

— ANNA STRYJEWSKA —



• SAGA KLONOWEGO LIŚCIA •

WARSZAWSKA GARSONIERA

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

ANNA STRYJEWSKA

• SAGA KLONOWEGO LIŚCIA •

WARSZAWSKA
GARSONIERA



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 24

Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45

Podziękowania

Redakcja
Agnieszka Czapczyk

Korekta
Bożena Sigismund

Skład i łamanie
Marcin Labus

Projekt okładki
Anna Slotorsz

Zdjęcie wykorzystane na okładce
© *Dusanpetkovic1/AdobeStock; Maciej/AdobeStock;*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Anna Stryjewska, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83291-95-6



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Pamięci Krzysztofa

CZĘŚĆ PIERWSZA



Rozdział 1

Czarno-biały telewizor, ustawiony we wnęce beżowej, pokrytej forniturem meblościanki, zaczął nagle śnieżyć. Nadawana była właśnie transmisja z mszy w Watykanie inaugurującej pontyfikat nowego papieża. Sześć dni wcześniej, szesnastego października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku na konklawe zwołanym po śmierci Jana Pawła I, na nowego króla Stolicy Apostolskiej został wybrany metropolita krakowski Karol Wojtyła. *Habemus papam* – padło o godzinie osiemnastej osiemnaście, a o dziewiętnastej dwadzieścia zgromadzonemu na placu, wyczekującemu przed bazyliką tłumowi ukazał się Polak, który przyjął imię Jan Paweł II. Zdumiony tym wyborem świat na moment wstrzymał oddech, a naród polski ogarnęła niezwykła euforia, wymieszana z dumą i wzruszeniem.

– Tylko nie teraz! – syknęła zdenerwowana Stefania, na co towarzyszący jej szczupły, wysoki mężczyzna z gęstymi pasmami siwizny na skroniach podniósł się z wersalki i zaczął obracać pokrętłami odbiornika.

– Jest już dobrze, odsłoń, Felek! Zaczyna się!

Wszyscy w pokoju zamarli, z niedowierzaniem wpatrując się w ekran telewizora.

– Nie lękajcie się! Otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi – wzywał Jan Paweł II w homilii, wznosząc do góry ręce, emanując jakimś nieograniczonym dobrem i ciepłem.

– Nigdy nie myślałam, że doczekam takiej chwili... – szepnęła Stroińska, zalewając się łzami wzruszenia. – To coś, czego się nie da opisać... – jęknęła łamiącym się głosem, jednocześnie wyjęła z kieszeni swetra materiałową chusteczkę i przetarła nią mokre policzki.

– Historyczna wręcz – dodał Antek, który z czułością i atencją objął matkę ramieniem. – Komuniści mają teraz nie lada problem... – sarknął z satysfakcją.

Miał już ukończone dwadzieścia trzy lata, wyrósł na niezwykle przystojnego mężczyznę, w dodatku niepozbowionego uroku i sprytu. Po matce odziedziczył urodę, czarne bujne włosy, oliwkową cerę i ładną twarz o łagodnym, ujmującym spojrzeniu. Po ojcu wzrost, szarmanckość i pewność siebie. Zdążył już nie tylko ukończyć technikum gastronomiczne, ale również odbyć dwa lata zasadniczej służby w jednostce wojskowej w Przasnyszu.

– To prawda – mruknął Feliks, wpatrując się, oszołomiony, w szklane okienko, na którym raz po raz ukazywały się czarno-białe pasy zakłócające odbiór transmisji. Nikt z zebranych w pomieszczeniu nie zwracał już na ten detal uwagi, ich myśli gorączkowo biegły na plac Świętego Piotra w Watykanie, pomiędzy wiekowe mury bazyliki, w sam środek modlącego się, stłoczonego tłumu.

Feliks Stroiński od kilku minut był nie tylko spocony z wrażenia, ale miał ciarki na plecach. Widok rodaka na tronie Stolicy Apostolskiej wydał mu się czymś niezwykle i doniosłym, niemalże nierealnym. Uczucie nieprzyzwoitej radości, a wręcz upojenia kołysało nim to w prawo, to w lewo, zupełnie jakby wypił co najmniej pół litra wódki. Zresztą... miał teraz ochotę się napić. Dziś kolejny raz uwierzył, że cuda się zdarzają. Czuł się w ten sposób w swoim życiu dwa razy: pierwszy raz, gdy po śmierci Stalina ogłosili amnestię, i drugi – tego wieczora, kiedy przyszła do niego Stefcia i oznajmiła, że odchodzi od męża.

Podobno takie chwile zdarzają się tylko wybrańcom losu – usłyszał kiedyś. A jeśli tak, to znaczy, że on się do nich zalicza. Trudno było w to uwierzyć, zważywszy na to, czego musiał doświadczyć. Głód, choroby, skrajne wyziębienie i praca ponad siły... A jednak. Przeżył.

Teraz siedziała obok niego kobieta jego życia, jej syn, córka, mama i wspólnie przeżywali tę niesamowitą chwilę.

– Emanuje z niego taki spokój... – zauważyła starsza pani Rudzka, która o wyborze papieża Polaka dowiedziała się pierwsza z radia. Siedziała teraz na bujanym fotelu, z zarzuconą na ramionach wełnianą chustką. Przebiegała w palcach paciorki różańca. Mieszkała ze Stefanią od wielu lat, pomagając córce w wychowaniu dzieci, uczestnicząc w ich dorastaniu, dojrzewaniu i związanych z tym okresem czasach buntów, pierwszych fascynacji i wielu rozczarowań. Dużo tego było, zwłaszcza że Weronika wciąż im przysparzała kłopotów. Pyskata, uparta, krnąbrna i kapryśna – stała się przyczyną niejednej nieprzespanej nocy. Co innego wnusio – ten potrafił się wkupić w łaski wszystkich, od początku był posłuszny i nie sprawiał problemów, a jego urok nie miał sobie równych.

Rodzinne gniazdo na Sprawiedliwej, które stworzyła wspólnie z mężem, po jego śmierci przestało być jej ukochanym miejscem. Na dodatek nie najlepiej układało jej się z synem i synową, którzy też mieszkali w domu Rudzkich. Stosunek do matki zmienili dopiero gdy urodziło im się drugie dziecko – Anielka. Wiele razy wówczas namawiali ją na powrót. Czasem nawet błagali. Miała ogrom wątpliwości, szarpały nią poczucie winy i odpowiedzialność, lecz za każdym razem mówiła: nie. Musiała przyznać sama przed sobą, że przywykła do mieszkania z córką i jej rodziną. Przyłgnęła do tego miejsca niczym stary, zasuszony strup. Czuła się w nim dobrze, zwłaszcza że otrzymywała od większości domowników to, na co zasługiwała, czyli miłość, szacunek i zrozumienie. W tym roku kończyła siedemdziesiąt siedem lat i starość coraz częściej dawała o sobie znać. Choroby jedna przez drugą wchodziły w nią jak robactwo i wysysały życie kropla po kropli. To w nogi, to w plecy, nie oszczędzały jej dolegliwości gastryczne i nieustanne bóle brzucha. Nie skarżyła się, choć Stefania wiele razy wysyłała ją do doktorów. „Co jeden to mądrzejszy” – kwitowała złośliwie, machając lekceważąco ręką. Wciąż coś wymyślali, kazali jej łykać to i tamto, robić kolejne badania, a ona nie miała do tego ani głowy, ani czasu.

Tymczasem transmisja mszy z Watykanu właśnie dobiegła końca, telewizyjny spiker zapowiedział teleturniej *Wielka gra*. Choć przez lata był to

ich ulubiony program, tego dnia nikt nie był nim zainteresowany, uwagę wszystkich pochłaniały ostatnie wydarzenia.

– Kiedy wracasz do Warszawy, synku? – spytała troskliwie Stefania, stawiając na pokrytym obrusem stole wazę z gorącym rosołem.

– Jutro! – odparł Antek, sięgając po talerz z makaronem. – Wziąłem tylko dwa dni urlopu, aby pobyć z wami. Tęskniłem za tobą, mamusiu, jak diabli!

– Och, Lolek, Lolek! – odparła rozanielona, nie mogąc oprzeć się odwzajemnieniu czułości. Niemal w tym samym momencie poczuła na sobie cyniczne spojrzenie córki, która zerknęła na nią spod ciemnej grzywy, nie kryjąc wzgardliwej dezaprobaty. „Znow ją coś ugryzło!” – myśl lotem błyskawicy przemknęła jej przez głowę. „Ciekawe, co tym razem”.

– Wczoraj byłem u ojca! – oznajmił Antek, sięgając do salaterki po plasterki kiszzonego ogórka.

– Tak? A co u niego? – Matka, pochylając się głęboko nad blatem, uniosła pokrywkę, uwalniając boski aromat lubczyku. Chwyła łyżkę wazową i zaczęła po kolei rozlewać wywar.

Wzruszył ramionami.

– To, co zawsze... Nie ma im kto sprzątać, więc siedzą w bałaganie...

Stefcia uśmiechnęła się nieznacznie. Ta wiadomość gdzieś w środku sprawiła jej przyjemność. Nie to, że źle życzyła byłemu mężowi. Miał w końcu to, na co zasłużył. „Chciał Bajeczki, to ma życie jak w bajce” – skonkludowała w myślach z dojmującą satysfakcją.

– A ona, zmieniła się? – ciągnęła gnana ciekawością.

– Ona jak to ona! – prychnął lekceważąco. – Przebrzmiała piękność! Teraz, kiedy się postarzała, wygląda wręcz karykaturalnie. Nie to co ty, mamuś! – dodał, podnosząc głowę znad talerza, wyciągając utłuszczone wargi w uśmiechu. – Przy tobie wygląda jak zwykła służąca.

Antek wiedział, co powiedzieć, aby podnieść na duchu rodzicielkę, aczkolwiek niewiele się minął z prawdą. Rzeczywiście zastał w dwupokojowym, umiejscowionym na parterze mieszkaniu ojca ogromny, niewyobrażalny wręcz bałagan. Sam był pedantem, odziedziczył tę cechę niewątpli-

wie po matce, więc odurzył go smród niewietrzonych pomieszczeń, wprowadziły w osłupienie gruba warstwa kurzu, porozrzucane ubrania, brudne szklanki po herbacie i wszędobylska sierść kotów. Naliczył ich chyba z pięć. Leżały na kanapie, w fotelu, na podłodze i parapecie okna. Spoglądały na niego nieufnie, wachlując od niechcienia ogonami. Niewiarygodnie chuda Bajeczka, której ozdobą były niegdyś bujne, czarne włosy, nawet nie wstała z kanapy. Siedziała ubrana w granatową sukienkę, zapinaną z przodu na guziki i nie odrywała ręki od papierosa, z którego nieustannie strzepywała popiół do popielnicy. W jej upiętej w kok fryzurze srebrzyło się mnóstwo siwych nitek. Zrobiona przez ojca kawa po turecku i postawione na talerzyku herbatniki stanowiły całe przyjęcie przygotowane z okazji jego przyjazdu. Nie czuł się w tym domu dobrze, pił kawę, czując na zębach drobinki niezaparzonych ziaren i mało wyrazisty smak. Rozmowa też się nie kleiła. Ojciec, jak wszyscy, przeżywał wybór Polaka na papieża, nawiązała się krótka dyskusja, potem przeszła jednak na inny tor. Pytali go o pracę, pobyt w stolicy, plany na przyszłość.

– Nie wiem, skąd u ciebie to zainteresowanie kuchnią – skwitował kwaśno Ostrowski, nie chwając ani nie ganiąc wyboru szkoły syna.

Tadeusz Ostrowski posunął się w latach. Posiwiął, dorobił się sporego brzucha, a jego dawny urok gdzieś się ulotnił.

– Ja też nie wiem, tato – odparł, nie wiedząc, co powiedzieć. – Tak jakoś samo wyszło.

W zasadzie nie pytali go o nic więcej, nawet o siostrę, która cztery lata wcześniej dostała się do technikum krawieckiego. W pierwszym roku miała ogromne problemy z nauką, dlatego musiała go powtarzać. Ta lekcja życia, będąca upokorzeniem dla dziewczyny i wstydliwym tematem dla całej rodziny, przyniosła niespodziewane rezultaty, ponieważ Weronika wreszcie wzięła się w garść i zaskoczyła wszystkich pozytywnymi wynikami.

Wizyta nie trwała długo, z ulgą pożegnał się i opuścił mieszkanie.

Teraz Antoni patrzył na matkę z podziwem. W jego oczach wciąż była piękna i miała niezwykłą klasę. W zielonej sukience w drobne kwiatuszki

z białym kołnierzykiem podkreślającym koloryt skóry wyglądała świeżo i kobieco. Włosy nieco ścięła, zakręcała je często na grube wałki, dzięki czemu wiły się wokół jej ładnej twarzy grubymi, błyszczącymi pasmami. Wyglądała młodo, mimo że przekroczyła już magiczną pięćdziesiątkę. Jej twarz nadal była gładka, pozbawiona zmarszczek, a w oczach wciąż tańczyły wesole ogniki. Kochał ją całym sercem i podziwiał. Za to wszystko, kim była, co zrobiła dla nich, za jej duchowość i dobroć.

Kilka godzin później, w półmroku sypialni, gdy już położyli się oboje, wyczerpani emocjami dnia, Stefania rozmyślała, przytulona do pleców Felka. Głaskała jednocześnie męża po ramieniu, wsłuchiwała się w jego równomierny oddech, dziękując Bogu za to błogosławieństwo, którego dane jej było doświadczyć. Wróciła pamięcią do dnia sprzed lat, kiedy zostawiła ukochanego w parku, roztrzęsiona wpadła do domu i zamknęła się na długie godziny w pokoju. Nie mogła pohamować płaczu ani żalu o to, że los tak bardzo z nich zadrwił. Nie reagowała na pukania, wołania, prośby. A kiedy już wyplakała wszystkie łzy, poczuła się jakaś uzdrowiona i spokojna. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a ona żyła dalej. Najpierw uczestniczyła w wyjściu Renaty z więzienia, pomagała jej dojść do równowagi po tym, co przeszła, będąc codziennie przesłuchiwaną, torturowaną, zmuszaną do podpisania fałszywych zeznań. Jak się okazało, łapówka niewiele pomogła, dopiero śmierć Zbyszka, a właściwie jego rozstrzelanie przez esbecję, doprowadziło przyjaciółkę do uwolnienia. Zamiast niej pękł ktoś inny. Ktoś, kto podpisał wszystko ze strachu przed bólem i utratą godności. W tej sytuacji jej zeznania okazały się zbędne.

Renata już nigdy nie powróciła do stanu sprzed aresztowania, pozostała zamknięta w sobie, apatyczna, pozbawiona radości. Zamiast alkoholu zaczęła pić mocne herbaty, szpikowała się też tabletkami przeciwbólowymi, których zdecydowanie nadużywała. Wróciła do SPATiF-u, ale jej stan zdrowia w krótkim czasie znacznie się pogorszył. Diagnoza zwała wszystkich z nóg. Złośliwy nowotwór piersi z przerzutami na węzły chłonne i kości.

W niedługim czasie schudła, a poddana najpierw mastektomii, następnie chemii, straciła nie tylko wszystkie włosy, ale również poczucie kobiecości. Bardzo to przeżyła, choć Stefka zakupiła jej mnóstwo pięknych chustek i wspaniałą perukę z długimi blond lokami. Wychodziły razem na spacer, cieszyły się słońcem, tętniącym wokół życiem.

– Jaki ten świat jest piękny! – powtarzała raz za razem ze łzami w oczach.

Kiedyś Tadeusz zabrał je na przejażdżkę za miasto. Urządzili sobie piknik w lesie nad jeziorem, nawet rozstawili namiot. Woda pluskała leniwie, wiatr muskał zarośla, owady, bzyząc, krążyły nad głowami. Mąż usiłował złowić rybę. Zaopatrzony w wędkę, składane krzesło i wiadro, wyszedł na pomost, ale poza kilkoma płótkami nic nie złapał. Śmiały się z jego nieudolności, on z siebie również. Zrezygnowany, zapakował sprzęt do samochodu i poszedł się kąpać. Dołączyły do niego. Ostrowska założyła swój nowy kostium, prezentując w nim bujne kobiece kształty, a Rena swój. Dopiero wtedy z przerażeniem dostrzegła chudość koleżanki – wystające kości ramion, bioder i żebra. Miejsce po jednej piersi zamaskowała wypchaną miseczką stanika. Stefa udawała, że tego nie widzi, komplementowała przyjaciółkę, zachwycając się jej wklęsłym brzuchem i nienaturalną rzeźbą pleców. Renata przyjmowała pochwały z uśmiechem na twarzy, sprawiając wrażenie pogodzonej z losem. Woda zmęczyła je, dlatego po kąpieli i posiłku złożonym z suchego prowiantu rozłożyli się wszyscy na kocach i zasnęli. Wieczorem rozpalili ognisko, piekli na nim kiełbaski, pili wino, rozmawiali, śpiewali. Wspaniały to był czas. Rena często wracała wspomnieniami do tych chwil, nawet wtedy, kiedy leżała już na szpitalnym łóżku wycieńczona chorobą. Stefania jeździła do niej codziennie, przekupywała pielęgniarki łakociami, aby mogła wejść choć na chwilę i przytrzymać za rękę, pokrzepić. Przyjaciółka umarła po dwóch miesiącach, zostawiając po sobie ból, pustkę i smutek. Mieszkanie przejęła rodzina, która zajęła się pogrzebem. Zorganizowała też skromny pożegnalny poczęstunek, na który Stefania nie została zaproszona. Mało kto z nich wiedział o łączących je bliskich, siostrzanych wręcz relacjach, nic więc dziwnego. Nie miała o to żalu.

Po tych tragicznych wydarzeniach Stefka skupiła się na domu i pracy. Wydawało się, że wszystko zaczyna wskakiwać na właściwe tory, kiedy pewnego dnia, wracając późno z popołudniowej zmiany, natknęła się na Felka. Wybrała tę drogę przypadkiem, tylko dlatego, że koleżanka poprosiła ją o pomoc przy zanieśieniu zakupów. Z okazji zbliżających się urodzin przygotowywała przyjęcie dla rodziny i po wcześniejszym uzgodnieniu z kierowniczką SPATiF-u mogła zabrać do domu sporo jedzenia, które pozostało niewykorzystane w kuchni. Ostrowska zgodziła się, choć zmuszona była nie tylko zboczyć z drogi, ale wrócić do siebie mało uczęszczaną, nieoświetloną uliczką. Było już późno, trochę się bała. Biegła po kocich łbach, starając się nie wywoływać hałasu obcasami, ale na niewiele to się zdało. Głuchy pogłos niósł się po wybrzuszonych kamieniach i ginął między szarymi frontami obskurnych kamienic. Tyle się nasłuchiwała o różnych napaściach, zbrodniach, krążyły opowieści o wampirze i wielu mu podobnych. Pokonała już większość odległości, z ulgą ujrzała oświetlony wylot, kiedy dostrzegła idącego z przeciwnej strony Stroińskiego. Miał na sobie prochowiec i kapelusz, który uchylił na jej widok.

– Co tutaj robisz? – spytała, nie kryjąc zdumienia.

– Wracam z fabryki, z popołudniowej zmiany, a ty?

– Ja też, tylko koleżanka prosiła mnie, abym jej pomogła zanieść zakupy. Zgodziłam się w drodze wyjątku... Nie wiedziałam, że tutaj mieszkasz...

– Nie tutaj, przecznicę dalej – sprostował. – Tędy po prostu przechodzę.

– Ach, tak... Więc już nie mieszkasz z mamą i panem Boczkim?

Zaprzeczył ruchem głowy, przyglądając jej się smutnymi oczami.

– To gdzie? – wyrwało jej się.

– Na Lipowej trzynaście. Dostałem jakiś czas temu przydział. Ciasne, ale własne – dodał, wyginając wargi na kształt uśmiechu.

– To dobra wiadomość, gratuluję! – powiedziała ciszej, uciekając wzrokiem od jego natarczywego spojrzenia.

Mimo półmroku widziała jego błyszczące oczy, które sprawiły, że jej serce znów ścisnął ból.

– Mieszkasz sam?

Skinął głową.

– Odprowadzę cię do domu – zaproponował. – Ciemno tutaj i niebezpiecznie – wytłumaczył. – Nie mógłbym cię teraz puścić samej.

Zgodziła się. Niewiele ze sobą rozmawiali, a pod bramą pocałował ją w rękę, uśmiechnął się oszczędnie, trochę bezradnie, i zaczekał, aż wejdzie do środka.

Tego wieczora zrozumiała, że nigdy nie przestanie kochać Felka.

Kilka tygodni później przemieszczała się z dziećmi tramwajem do domu handlowego Central. Antek gapił się w szybę i wciąż o coś pytał, Weronika go przedrzeźniała, co wywoływało w chłopcu dodatkową złość. Chciała im kupić nowe buty i kurtki. W czwartek były dostawy materiału, więc liczyła na to, że znajdzie dla siebie kawałek ładnej tkaniny. Zajmowali dwa miejsca przy oknie, w środku nie było wielu pasażerów, mimo to trzymała córeczkę na kolanach. Powoli zbliżali się do Dworca Kaliskiego, za kilka przystanków tramwaj miał skręcić w lewo. W pewnej chwili synuś wyciągnął ramię, podniósł palec, wskazał na coś i zawołał:

– Mamo, patrz! Nasz samochód!

Podniosła, zaskoczona, oczy. Faktycznie, przed jednym z betonowych bloków wzniesionych wzdłuż alei Włókniarzy dostrzegła znajome auto. Stało zaparkowane niemal przy samej ulicy, dlatego rozpoznała je bez trudu. Miało tę samą naklejkę z koniczynką, którą mąż zamaskował odprysk lakieru na klapce wlewu do zbiornika paliwa. To nie mogła być pomyłka.

– Pewnie przyjechał do kolegi z pracy. – Uśmiechnęła się czule i przyglądała chłopcu włosy. – Wspominał coś o tym – dodała, choć dorobiła tę teorię na własny użytek. Coś ją tknęło, bo kiedy wcześniej romansował z Bajeczką, obilo jej się o uszy, gdzie mieszka kochanka Tadeusza. Właśnie w tych okolicach. Przełknęła ślinę, ścisnął ją zawód, choć przecież nie miała żadnej pewności. Od tej pory była jednak czujna. Zaczęła bardziej przyglądać się mężowi, któremu od jakiegoś czasu zaczęła znów ufać.

Pewnego razu postanowiła zabawić się w detektywa. Pojechała w tamto miejsce, chcąc przekonać się, czy mąż jej nie oszukuje. Jej przypuszczenia wkrótce się potwierdziły. Zobaczyła ich razem wracających z pracy. Tadek najpierw zaparkował przed blokiem, potem wyskoczył z auta i otworzył drzwi z prawej strony. Podał rękę pasażerce i pomógł wysiąść, następnie wyciągnęli z bagażnika torby z zakupami i zniknęli wewnątrz klatki. Bajeczka ubrana była w czerwony, obcisły kostium, na jedno ramię narzuciła czarną pelisę z kołnierzem z lisa. Buty na wysokim obcasie dopełniały elegancji. Wyglądała w tym stroju bardzo kobieco, wręcz zjawiskowo, co chyba najbardziej zabolalo Stefanię. Patrzyła na tę scenę, siedząc na ławce odrobinę dalej. Nie mogli jej zauważyć, zasłaniał ją ogromny krzak jałowca. Poza tym... byli tak zaabsorbowani sobą, że nie przyszło im do głowy oglądanie się za siebie. Tym razem nawet nie poczuła gniewu, żalu, rozczarowania... dosłownie nic.

Zjawiła się u Feliksa następnego dnia. Bez trudu odnalazła mieszkanie na pierwszym piętrze przy Lipowej trzynaście. Zapukała, nie mając pewności, czy go tam zastanie. A jednak był. Na jej widok zaniemówił, znieruchomiał i stał tak dłuższy czas, tylko patrząc. Podeszła bliżej, zatrzymała się o krok przed nim, po czym zdjęła płaszcz, rzuciwszy go niedbale na podłogę, wywołując stłumiony dźwięk, na który żadne z nich nie zareagowało. Zsunęła z nóg buty i nie spuszczając z mężczyzny rozkochanego wzroku, zaczęła rozpinać bluzkę. Dalej tylko patrzył, więc odsunęła zamek spódnicy i pozwoliła, aby ta opadła. Po chwili stała przed nim w samej halce, bieliźnie, podwiązkach i stylonowych pończochach, które podarowała jej kiedyś Józia. Wyciągnęła przed siebie spragnione ręce, na co on chwycił je i przyłgał do nich wargami. Za chwilę ich usta złączyły się w namiętym pocałunku, ale ona pragnęła więcej, dlatego zaczęła zachłannie i niecierpliwie rozpinać jego koszulę. Całowała jego klatkę piersiową centymetr po centymetrze, potem jej dłonie powędrowały w dół.

– Tak długo czekałam, tak długo czekałam... – szeptała, pieszcząc palcami jego nabrzmiałą męskość. – Już nigdy więcej nie pozwolę ci odejść...

– Ja tobie też – zawtórował uradowany, podrywając ją do góry i niosąc na łóżko. Tam wreszcie skonsumowali swoją miłość, delektowali się bliskością, wynagradzając sobie lata tęsknoty, cierpienia i smutku.

A kiedy już leżeli wtuleni w siebie, kontemplując cudowny stan błogości, oświadczyła zdecydowanie:

– Odchodzę od męża.

I to jedno zdanie wystarczyło, aby jej los odmienił się raz na zawsze.

Tym razem nie uległa skomleniom męża, któremu podwójne życie najwyraźniej odpowiadało i swoją drogą służyło. Uporządkowany dom, dzieci, oddana żona, a na boku kochanka z gorącą krwią. Taka, co może niejednemu zawrócić w głowie zamiast szampana. Jednak nie wystarczająco dobra, aby poświęcić dla niej wszystko.

Odbyła się sprawa rozwodowa, a potem Tadek zabrał ukochane auto, trochę pieniędzy, które mieli odłożone na tak zwaną czarną godzinę, spakował osobiste rzeczy, a także te, do których czuł szczególny sentyment, po czym się wyprowadził. Oczywiście do niej. Ona też zdążyła się rozwieść, tak więc już nic nie stało na przeszkodzie, aby mogli mieszkać razem. Po roku wzięli ślub cywilny – Bajeczka dopięła swego.

Stefania z dziećmi została w domu przy Piotrkowskiej. Teraz, kiedy mieszkała z nią matka, te dwa, przerobione na trzy pokoje z kuchnią i łazienką nie stanowiły takiego zbytku jak kiedyś. Poza tym nie był to lokal własnościowy, tylko lokatorski. Musiała przygotować najbliższych na zmiany, zrobiła to rozważnie, nie spiesząc się. Chciała być pewna, że nikogo nie skrzywdzi, choć syn bardzo przeżył rozstanie rodziców. Pewnych rzeczy nie dało się uniknąć, dlatego ona chciała im oszczędzić niepotrzebnych przeżyć. We wszystko wtajemniczyła mamę, która nagle zaczęła jej kibicować. Mając jej błogosławieństwo, Stefie łatwiej było zrealizować plan wprowadzenia Felka do ich życia rodzinnego. Jak się okazało, bardzo szybko skradł serca wszystkich. Zakochani pobrali się dwa lata później, ku uciesze dzieciaków, radości obu mam, szczęściu ich obojga, które trwało nieustannie po dzień dzisiejszy.

Rozdział 2

Stała za garmażeryjną ladą, w białym, nieskazitelnie czystym fartuchu, z zarysowanym pod nim wyraźnie wydatnym biustem. Była średniego wzrostu brunetką, bardzo ładną, ze śniadą cerą i niebieskimi oczami, za którymi nieustannie wodził wzrokiem. Kiedy się pochylała, by wyciągnąć z niej pieczeń czy roladę, robiło mu się gorąco, a w lędźwiach czuł znajome mrowienie. Widział gładki dekolt i głęboki rowek między dwiema wypukłościami. Jak ta dziewczyna mu się podobała!

Antoni Ostrowski przyjechał do Warszawy na praktykę zaraz po ukończeniu technikum gastronomicznego w Łodzi przy ulicy Henryka Sienkiewicza. Uwielbiał gotowanie, traktując tę umiejętność jako sztukę wyższą, dlatego jego pasje i zdolności dostrzegli nauczyciele. Mając ich poparcie i wielką nadzieję na dalszy rozwój, chciał się dostać do stolicy. Wiedział, że tam wszystko wygląda inaczej, że stamtąd bliżej jest do wielkiego świata, a o nim nieustannie marzył. Dostał się na praktykę do Grand Hotelu dzięki referencjom cioci Józki, która też namawiała go na tymczasowe zamieszkanie u niej. Podziękował, pragnął wolności, swobody działania, a pod okiem przyjaciółki mamy nie czułby się komfortowo. Wynajął pokój w hotelu robotniczym, który na razie dzielił z kolegą Rysiem. Już w szkole brał udział w licznych konkursach, zdobywał nagrody i pochwały. Uwielbiał eksperymentować, improwizować, łączyć składniki w niekonwencjonalny sposób. Śledzie podawał według swoich sekretnych przepisów, w tym także na słodko z rodzynkami, czym niejednokrotnie zaskoczył jury i swoich rywali. Starał się, aby dania wyglądały kunsztownie, niestandardowo, dekorował je zerwanymi z ogródków kwiatami, zieleniną czy naciętymi odpowiednio

warzywami. Nie bał się nowych wyzwań, mówił zawsze to, co myślał, poza tym – szukał sposobów na to, aby ułatwić sobie pracę. Wymyślił, jak sprawniej obrać i pokroić cebulę, czosnek albo buraki. Z jego pomysłów korzystali inni. Marzył o pracy w kuchni w eleganckim hotelu, bo tylko w takich miejscach jego talent byłby wykorzystywany. W przyszłości pragnął sam zostać szefem. Tymczasem... wciąż zdobywał szlify. Mając w ręku dyplomy uznania i wyróżnienia, przyjechał do Warszawy. W jego głowie roiło się od pomysłów i już będąc na praktyce, pokazywał swoje możliwości kulinarne, które zyskiwały coraz większe uznanie. Jego przełożony, Zygmunt Woliński, był z niego bardzo zadowolony. Powierzał mu coraz trudniejsze zadania, a także stawiał za wzór przed innymi pracownikami.

W Grand Hotelu wiele się działo. Wzniesiony w latach pięćdziesiątych, stanowił integralną część dzielnicy rządowej. Budynek wybudowano w stylu socrealizmu, miał czterysta szesnaście pokoi, restaurację, pralnię, garmazerię i elegancki hol z dekoracją w stylu oscypka. Zjeżdżali się tutaj goście odwiedzający pobliskie ministerstwa, sportowcy, gwiazdy estrady, delegacje z bloku wschodniego, najczęściej Czechosłowacji, Jugosławii i NRD. Zwłaszcza kiedy pojawiali się ci ostatni, restauracja pękała w szwach, a kuchnia pracowała na wysokich obrotach, serwując napoje, dania na ciepło, przystawki, a także garmazerkę. Ogromne wzięcie miały słynne meduzy, czyli galaretki wieprzowe, pasztety, pieczenie, ryba po grecku i sałatki.

Cały ten sektor obsługiwała Alina. Tak miała na imię dziewczyna, która wpadła Antkowi w oko. Wiele razy specjalnie tamtędy przechodził, wyprostowany jak struna, swoim sprężystym krokiem, w białym fartuchu, białych chodakach, którymi tłukł równomiernie o podłogę. Pragnął chociaż zerknąć w jej stronę, uśmiechnąć przelotnie, a nawet rzucić jakiś złośliwy komentarz. Tak, lubił jej dokuczać. Tylko wtedy mógł się spodziewać ciętej riposty, ponieważ Alina była nie tylko zdolna i pracowita, ale słynęła też z niewyparzonego języka. Czasem podchodził, kiedy dekorowała półmiski, taksował drwiąco wzrokiem, dodając:

– Jakoś wydeło tę rybę... Aby na pewno świeża?

– Ależ skąd... Leży już drugi tydzień w lodówce. Będzie w sam raz dla nieuprzejmych klientów – odpowiadała ze śmiechem, podnosząc tylko brwi.

Znów zrobiło mu się gorąco. Pochylona nad ladą, w obcisłym, kłującym białą fartuszką, z falującym pod nim jędrnym biustem.

Lubił tę słodkość, która go oblewała jak lukrem, to przyjemne ciepło rozchodzące się po plecach, kiedy tak na nią patrzył z góry i prześlizgiwał się wzrokiem po zgiętym karku, obnażonej szyi, upiętych wysoko włosach, zakrytych częściowo siatkowym czepkiem. I mógłby tak stać godzinami, gdyby nie któryś z kolegów, co wkraczał w ten jego intymny świat nasycony pragnieniami i przywoływał do porządku.

– Antek, do kuchni! Szef cię woła!

Odnosił wtedy wrażenie, jakby Alina wzdychała z żalem, zerkając tęsknie za nim. Wtedy też dochodził do wniosku, że te jego zaczepki nie były jej niemiłe.

– Uważaj, ten towar nie dla ciebie! – rzucił kiedyś do jego pleców Wacek.

– A niby czemu nie?

– Za wysokie progi! – usłyszał, co go jeszcze bardziej zirytowało.

Jeśli nie dla niego, to dla kogo, do diabła? Nie przywykł do tego, aby w życiu przegrywać, postawił sobie za cel, że wszystko, co najlepsze, będzie należało właśnie do niego.

Najbardziej jednak denerwował się, kiedy podchodził do niej sam szef. Czasem potrafił zrugać bez ostrzeżenia, a niekiedy był miły i pozwalał sobie na więcej, niż powinien. Pogłaskał po ramieniu, cmoknął w policzek, rzucił ciepłe spojrzenie. Antek wściekał się wówczas, zaciskał pięści, powstrzymując się, aby nie przywalić przełożonemu.

Stary, obleśny dziad! – cisnęło mu się na usta, kiedy widział to wszystko, co jemu – młodemu chłopakowi z Łodzi – nie mieściło się w głowie. Szef wprawdzie nie był jeszcze ani stary, ani obleśny, ale przecież mógłby być jej ojcem. Czyżby Alina gustowała w starszych od siebie? Słyszał o takich przypadkach, ale dlaczego akurat ona?

Kiedy zobaczył ich razem wychodzących z hotelu, spoglądających ku sobie czule, zatrząsł się cały i miał żal do całego świata. Szli na parking. On z przodu, z neseserem w jednym ręku, ona za nim z damską torebką. Potem wsiadła do jego auta – szarej, nowiutkiej, prosto spod igły warszawy – i odjechali. A jego trafił szlag. Przecież jeszcze przed chwilą podobnie patrzyła na niego, przecież zerkała spod ciemnych brwi zachęcająco, zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Lubię cię, Antoni”. Nic z tego nie rozumiał, był tu od niedawna, nie znał jeszcze stolicznych zwyczajów, a pewne rzeczy zwyczajnie go przerastały. Warszawa była jakaś inna, Łódź przy niej wydawała się cichą prowincją, tutaj tętniło życie i świat pędził do przodu szybciej.

Tajemnica wyjaśniła się już kilka dni później, gdy jeden z kolegów rzucił do drugiego:

– Fajna jest ta córka szefa, co nie?

– Noo... – odparł Bronek, uśmiechając się lubieżnie, błyskając przy tym srebrną jedynką. – Chętnie bym ją zaliczył. Zresztą... jestem na dobrej drodze – dodał, przetykając głośno ślinę.

– Nie dla psa kiełbasa! – Marek roześmiał się lekceważąco. Pracował tu od roku, z pomagiera niedawno awansował na kucharza.

– To może dla ciebie, he?

– A nie? Przecież to ja się podobam Alince, nie zauważyłeś? – Bronek najeżył się jak indor.

Antek akurat ubijał sznycle. Przerwał na chwilę, chcąc jak najwięcej usłyszeć.

„A więc Alina to córka szefa!” – rozbłysło odkrywczo w jego głowie i kojące uczucie ulgi rozlało mu się po plecach.

Twarz mu się w sekundzie rozjaśniła, napięcie opadło, zaczął coś nucić pod nosem i zapamiętale uderzać tłuczkiem w kawałki pokrojonego mięsa.

Rozdział 3

Rysio Gil z Parzęczewa pod Łodzią nie miał nic wspólnego z branżą hotelową ani tym bardziej gastronomiczną. Od najmłodszych lat fascynowały go samochody, wykształcenie miał odpowiednie, więc kiedy pojawił się w stolicy, bez większego problemu otrzymał robotę w Fabryce Samochodów Osobowych, na początku przy lakierowaniu błotników, ale to i tak w jakimś sensie go satysfakcjonowało. Marzył, że kiedyś będzie składał silniki, że dzięki jego pracy i zaangażowaniu fabryka odniesie spektakularny sukces. Może wykona ponadprzeciętne normy, jakiś tysięcznik bądź dwutysięcznik w rocznicę powstania zakładów? Tego jeszcze nie wiedział.

Poznali się z Antkiem w wojsku, razem przetrwali niekończące się dwa lata dyscypliny, zaprawy i upokorzeń, ale relacji nie mieli wówczas zbyt bliskich i zaraz po zakończeniu służby ich drogi się rozeszły.

Antek wakacje po służbie wojskowej spędzał u kuzynostwa, pomagał im przy żniwach. Cały tydzień od rana do wieczora wszyscy harowali w pełnym słońcu, a w sobotę chłopak wraz z kuzynami, Szymkiem i Marianem, udał się na zasłużoną potańcówkę. Oni dwaj raczyli się winem pod remizą, za to on upatrzył sobie Beatkę, anielską piękność z długimi blond włosami. Musiał przyznać, że była warta grzechu, w dodatku wciąż się do niego wdzięczyła. To strzelała oczami, to ocierała się o niego udem, to pozwalała się dotykać w najmniej dozwolonych miejscach. Tańczyli kilka kawałków, nie odrywając się od siebie, w tumanach kurzu i oparach potu, po czym poszli do baru ochłonać, a także uzupełnić niedobory płynów. Dostrzegł przy kontuarze Rysia w towarzystwie kolegów i kilku roześmianych od ucha do

ucha dziewcząt. Wszystkie ładne, świeże i rumiane. Młody mechanik samochodowy, lekko wstawiony, ze szklanką wina w musztardówce, nawijał im makaron na uszy, jaki to z niego kierowca rajdowy i chętnie którąś z nich przewiezie na motorze. Słuchały przejęte, chichotały, zerkając na niego spod umalowanych rzęs. Każda z nich miała ochotę na szaloną przejażdżkę po wiejskich drogach. Przytulić się do pleców kierowcy, poczuć wiatr we włosach, a może coś jeszcze?

Antek chwilę przyglądał się chłopakowi, miał nawet ochotę wtrącić się do rozmowy, kiedy nagle ktoś go szturchnął w bok. Odwrócił się zdziwiony i napotkał spojrzenie nabuzowanych oczu. Czyjaś wielka łapa chwyciła go za koszulę i pociągnęła mocno.

– Ej, co jest? – zdążył wymamrotać, zanim stracił równowagę i wylądował na ziemi. Ktoś go przygniótł i zaczął okładać. W uszach mu dzwoniło, tchu zabrakło, próbował obezwładnić przeciwnika, wykręcając mu obie ręce, ale nie miał zbyt wielkiej wprawy w biciu. Czuł, że jak ktoś mu nie pomoże, walka zakończy się jego wielką porażką.

– Heniek, przestań! – krzyczał znajomy głos, który najwyraźniej należał do Beatki. Do tej pory słyszał go w o wiele niższych tonach, dlatego nieco się dziwił. – Zostaw go! – darła się wniebogłosy.

– Nie będzie nam tu taki paniczyk naszych dziewczuch obmacywał! Wynocha do miasta! – Zawiedziony rywal dyszał mu prosto w twarz, co dodatkowo utrudniało obronę.

W tym samym momencie ktoś chwycił konkurenta za plecy, szarpnął mocno i odciągnął na bok. Tamten próbował się jeszcze wrywać, ale po kilku minutach przepychanki osłabł, a po solidnych kopniakach w tyłek poddał się i zrezygnowany opuścił pole walki. Antek tymczasem wstał, otrzepał spodnie, wyprostował koszulę, potem wsunął ją za pasek spodni.

– Dzięki! – rzucił głośno w kierunku Rysia, który uśmiechał się do niego całą zaczerwienioną gębą. – Antek jestem, pamiętasz mnie? – krzyknął, próbując przebić się przez ogólną wrzawę. Wyciągnął rękę w jego kierunku, ściskając mocno spoconą, miękką dłoń.

– No pewnie, że pamiętam. Takiego kocura trudno zapomnieć! – Zażmiał się i poszli razem do baru.

– Teraz ja stawiam! – oświadczył Ostrowski.

Tego wieczora już nie zatańczył z Beatką, bo dziewczyna wzięła kiecę za pas i wróciła do swojego amanta. Cóż, życie...

Okazało się, że zacieśniona w tych niecodziennych okolicznościach znajomość przetrwała kolejne lata. Rysio przyjechał do Łodzi w celu podjęcia pracy. Edukację w technikum samochodowym zakończył jeszcze przed wojną, natomiast często wspominał życie w internacie i te wszystkie wygłupy z chłopakami, których było bez liku. Spotykali się z Antkiem głównie w kawiarniach, gdzie popijając cokolwiek, polowali na dziewczyny szukające wrażeń. Zdarzało się dość często, że obaj byli bez kasy, dlatego raczyli się herbatą kupioną na spółę, a kiedy ich było stać na butelkę wina marki wino – czuli się już królami życia. Fajne to były czasy, często do nich wracali we wspomnieniach, nawet kiedy po kilku latach obaj wylądowali w stolicy.

Jedna historia zapadła im w pamięć szczególnie. Kiedyś w przypiływie wybujałej fantazji wsiedli w pociąg i pojechali na Śląsk, gdzie mieszkał ich dawny kumpel z wojska – Wojtek. Chłopak, zaskoczony niespodziewaną wizytą, próbował ich jakoś ugościć. Jego mieszkanie usytuowane było na osiedlu robotniczym w jednym z tak zwanych familoków. W pobliżu mieściła się popularna wówczas w okolicy pijalka, dokąd poszli całą gromadą, łącznie z kuzynkami Wojtka, które nie stroniły od mocnych trunków. Narobili hałasu, wypili po parę kufli, a potem postanowili zrobić zapas piwa i wrócić do domu. Ktoś przyniósł cynkowe wiadro, które wkrótce napełniło się bursztynowym płynem. Dobrze podchmieleni, z pieśnią na ustach, szli brukowanymi uliczkami pośród ceglanych zatechłych murów, zmierzając chwiejnym krokiem pod wiadomy adres. Wojtek mieszkał z babcią, sympatyczną, kościstą starowinką, która miała łóżko tuż przy kaflowym piecu. Nie przeszkadzało jej, że resztę nocy przebalowali we wspólnym pokoju, racząc się przyniesionym z baru piwem. Dotrzymywała im towarzystwa, częstując ich co chwila bezzębnym uśmiechem, podstawiając to śledzika,

to pieczeń, to pozostałości z obiadu. Co pewien czas zmuszeni byli wychodzić na dwór za komórki, aby opróżnić napęczniałe pęcherze. Potem zaś, już nad ranem, legli wszyscy pokotem gdzie popadło i zasnęli.

Kiedy się obudzili, powitało ich niedzielne, całkiem niebrzydkie południe. Puszysty śnieg obieleł podwórze i zamaskował wszystkie obsikane kąty. Wojtek, trzymając się za nabrzmiałe krocze, pierwszy ruszył za potrzebą, tylko tym razem za zasłonkę, gdzie zwykle stało wiadro na pomyje. Tym razem go nie było.

– Babciu, co zrobiłaś z wiadrem? – zawołał, kręcąc się niepewnie po wąskim pomieszczeniu.

– No jak to co? – odezwała się kobiecina. Z cienkimi, rozproszonymi włoskami podniosła się z łóżka, wyprostowała chude jak patyki nogi i wsunęła w kapcie. – No przecież dałam wam na piwo.

Wspominali tę opowieść wielokrotnie, za każdym razem zataczając się ze śmiechu. Babcia Wojtka już dawno pomarła, chłopak ożenił się i ustakował. Wstąpił w szeregi górniczej braci, a po kilku latach awansował na sztygara. Ich drogi nieco się rozeszły.

Ostrowski i Gil zajmowali kilkunastometrowy pokój z dwoma pojedynczymi łózkami, dwiema metalowymi szafkami i maleńkim aneksem kuchennym, gdzie stał wąski stół i dwa krzesła. Łazienka znajdowała się w korytarzu. Czasem któryś z nich zrobił sobie małą przepierkę w umywalce: skarpety, bieliznę czy koszulę. Suszył potem rzecz na sznurku rozwieszonym między ścianami. Z reguły jednak pranie zawozili do rodzinnego domu.

Antoni właśnie wrócił ze zmiany, rzucił się w ubraniu na łóżko i zasnął. Spał krótko, nie upłynęło bowiem kilka minut, a drzwi rozwarły się z hukiem i stanął w nich Rysio. Średniej budowy ciała, średniej wagi, za to szeroki w barach, z ładną gębą, otoczoną gęstwiną brązowych włosów, wiecznie roześmianą.

– Hej, stary! Wstawaj, idziemy do baru!

– Do baru? – Współlokator podniósł się, oparł na łokciu i przyglądał kumpłowi z niezrozumieniem. Wciąż był zaspany, potargany, w wymiętej koszuli i pogniecionych spodniach.

– Daj mi spokój! – jęknął. – Zmęczony jestem jak pies. Dziś w hotelu gościła drużyna piłki nożnej, ledwo żyję. Dopiero co zasnąłem...

– Nie marudź! – przerwał mu kumpel, podając mu szklankę wody z syfonu. – Umówiłem nas z takimi pięknosciami, że nie uwierzysz!

– Taa... – sarknął Antek bez przekonania. – Jedyna dziewczyna, która w jego mniemaniu zasługiwała na to miano, stała za ladą garmażerii.

– A chcesz się przekonać? To wstawaj! One niedługo przyjdą!

– A muszę? – oponował Ostrowski.

Rysiek kucnął obok jego łóżka i złożył obie ręce jak do modlitwy.

– Błagam, nie rób mi tego! Wiesz, ile się namęczyłem, aby je namówić?

– To gdzie je wyrwałeś?

– Na przystanku autobusowym. – Zachichotał i mrugnął do niego porozumiewawczo. – Bidulki się zagubiły... Musiałem im pokazać drogę.

– Czyli nie z Warszawy? – mruknął Antoni, siadając na brzegu łóżka i czochrając obiema rękami głowę. – Kwiat prowincji?

– Są spod Warszawy. Nie wiem, nie pytałem. Mówiły coś o Żyrardowie czy jakoś tak... Ma to dla ciebie w ogóle znaczenie?

– Dla mnie? Żadne! – odparł wesoło, wstając energicznie. – Daj mi tylko dziesięć minut. Pójdę się wykąpać!

Jakieś cztery godziny później siedzieli przy placu Bankowym w Barze Kawowym, racząc się wódeczką. W lokalu panował gwar jak zawsze o tej porze, niemal wszystkie stoliki były zajęte, pod sufitem wisiała chmura papierosowego dymu. Upięte w oknach, poszarzałe firanki, boazeria na ścianach, lada chłodnicza z deserami w postaci galaretek, owoców z bitą śmie-

taną i torcików stanowiły podstawowy wystrój tego wnętrza. Za barem stała ładna kobieta po czterdziestce, która panowała nad całym zamieszczeniem, zaś nieco młodsza dziewczyna biegała pomiędzy stolikami z wypełnioną tacą, rozdając uśmiechy na prawo i lewo. Zamówili pół litra czystej, cztery kieliszki, herbatę, śledzika na przekąskę i sałatkę jarzynową. Dziewczyny chichotały, obie zaczerwienione, rozanielone opróżniały kieliszek za kieliszkiem. Hanię i Mirkę, bo tak miały na imię, można było zaliczyć do ładnych i apetycznych. W dopasowanych sukienkach ze sztucznego materiału, w butach na koturnach, upiętych wysoko włosach – przypominały nieco nieudolnie gwiazdy filmowe ze szklanego ekranu. Z każdym wypitym kieliszkiem trajkotały coraz głośniej, aż wreszcie jedna z nich wydeła usta, stwierdzając, że jest już bardzo późno, ostatni autobus im uciekł i nie mają gdzie się zatrzymać na noc.

– Nic nie szkodzi, możecie przecież przespać się u nas! – zaproponował ochoczo Rysiek, na co one od razu się zgodziły.

Antoni nie protestował. Sam był już wcięty, a towarzystwo nawet mu odpowiadało. Zwłaszcza Hanka miała coś w sobie, podobały mu się jej stalowe oczy i pełne usta pomalowane różową pomadką.

Po uregulowaniu rachunku ruszyli rozśpiewani w stronę hotelu robotniczego. Musieli przemknąć obok dyżurki, ale o tej porze, a dochodziła już dwudziesta trzecia, pani Zenka chrapała w najlepsze. Początkowo planowali, że panie będą spały w jednym łóżku, jednak już po drodze wszystko zaczęło się wymykać spod kontroli. Dziewczyny nie oponowały, kiedy chłopakom zebrało się na czułości, tym bardziej że zakupili w barze na wszelki wypadek jeszcze jedną butelkę czystej. Wypili ją, lejąc zamasyście w anielki, już bez zagryzania. Mirka przestała kryć się z tym, że Rysio jest w jej typie, a ona przyjechała do Warszawy złowić kandydata na męża. Hanka podobnie, usadziła się obok Antoniego, dociskając do niego gorące udo, nic więc dziwnego, że po kilku namiętnych pocałunkach połączyli się w pary i wylądowali w łóżkach. Ich wąskość sprawiła, że musieli przylgnąć do siebie mocno, nie zważając na twardy materac i pozostałe niewygody. Cały ten dyskomfort wynagrodziła im natura, pozwalając, by spragnione zbliże-

nia ciała połączyły się w całość i przeżyły coś w rodzaju krótkiego uniesienia. Nikomu nie przeszkadzały głośne jęki, westchnienia, szelest materaca, a wreszcie... radosny okrzyk szczytowania.

Rozdział 4

Mawiają, że najpiękniejsze kobiety pochodzą z Polski, kiedy jednak po hotelu zaczęły kręcić się elegancko ubrane, śliczne Czeszki, ta teza upadła. Oprócz kobiet w składzie delegacji byli także mężczyźni, nieco starsi jednak i nie tak atrakcyjni. Niektórzy kucharze specjalnie wychodzili pod byle pretekstem na salę restauracyjną, aby sobie tylko popatrzeć na pełne tyłeczki czy anielskie twarzyczki i wyobrazić to czy tamto. Oczywiście za każdym razem kiedy trafiali na szefa, nie obyło się bez zbesztania i narzucenia nowych obowiązków. Jednak nacieszenie wzroku takim widokiem było czasami silniejsze od strachu.

Tego popołudnia sztandarowym daniem był strogonow. Potrawę, która stanowiła kombinację kuchni francuskiej i rosyjskiej i której nazwa wzięła się od rosyjskiego generała, ministra i gubernatora – Aleksandra Grigorjewicza Stroganowa, miał przygotować Bronek. Niestety, przyszedł na zmianę półprzytomny po libacji urodzinowej i już na starcie przypalił mięso.

Szef pojawił się, gdy tylko smród spalenizny rozszedł się po kuchni. Stał wściekły obok winowajcy i wycodził gardłowo:

– Na zmywak! Do odwołania!

Bronek zrobił minę zbitego psa, zdając sobie sprawę ze swego położenia. Nawet się nie odezwał, wszak zawalił na całej linii. Zaczął porządkować swoje miejsce pracy, gdy tymczasem Woliński podszedł do Antoniego.

– Strogonow! Ma być gotowy za dwie godziny! – wydał polecenie rzeczowym, nieznanym sprzeciwu tonem, na co młody praktykant przytaknął tylko głową.

Niewiele czasu, aby mięso nabrało odpowiedniej miękkości, ale wystarczająco dużo, aby zaprezentować przed przełożonym swoje wyjątkowe umiejętności. Poczuł, że pojawia się przed nim szansa jedna na milion i jeśli teraz zda egzamin, może szef zechce go zatrudnić na stałe.

W kuchni jako przyprawy używano zwykle soli i pieprzu, czasem czerwonej suszonej papryki. Ostrowski wiedział, że właściwie wyważone proporcje, a także odpowiednie przyprawy nadają potrawom wyjątkowy smak, dlatego już jakiś czas temu zakupił na ryneczku natkę pietruszki, kolendry, kopru, lubczyku, mięty, schował do słoików i zamroził. Korzystał z tych naturalnych dobrodziejstw za każdym razem, kiedy przyrządzał poszczególne dania. Poza tym wiedział, że strogonow musi być odpowiednio pikantny, przełamany kwaskowością sosu pomidorowego i kiszonych ogórków, z odrobiną majeranku oraz kilkoma suszonymi grzybami, dodających niezwykłego aromatu.

Żał mu było kolegi, który w taki głupi sposób został chwilowo zdegradowany, jednak nie czuł się winny z tego powodu. Spojrzenia pozostałych kucharzy mówiły same za siebie. Wyglądało na to, że wszyscy mieli mu to za złe.

– Cholera, co za świat! – przeklął w duchu i pośpiesznie wziął się do roboty. Pokroił mięso w drobne paski, cebulę w piórka, czosnek w drobną kostkę i kolejno podsmażał na patelni.

Niedługo potem pojawił się Woliński i z surową miną zatrzymał się za plecami Antka, kiedy ten mieszał w ogromnym metalowym garze. Kiedy kucharz się zorientował, że przełożony stoi tuż obok, odchylił się nieco w bok, podał mu łyżkę i kazał spróbować. Szef pochylił się i powachlował dłonią, by uchwycić aromat unoszący się nad naczyniem. Chwilę potem zanurzył koniuszek łyżki w gulaszu, zaczerpnął odrobinę potrawy i długo trzymał ją w ustach, delektując się wybornym smakiem.

Jego twarz następnie się rozjaśniła, poklepał praktykanta po ramieniu.

– Spisałeś się, chłopaku! To jest naprawdę dobre!

Potem zostawił go samego w jakiejś wewnętrznej euforii, próbującego poskładać myśli i okiełznać kiełkującą z każdej strony radość. Nie chciał

pokazywać przed kolegami dumy, wolał teraz udawać, że coś robi, porządkuje blat, czyści noże i deski. Tamci spoglądali na niego spode łba, fukając niechętnie.

Jakiś czas później przyszedł kelner i zawołał Antoniego na stronę. Kazał mu iść do restauracji, ponieważ ktoś tam na niego czekał.

Ostrowski zdziwił się, rzucił okiem po kolegach, którzy w mig zwietrzyli aferę. Obserwowali go kątem oka, czekając na ciąg dalszy.

Antek poprawił czapkę, zapiął guziki fartucha, wygładził białe spodnie i poszedł we wskazane miejsce. Wiedział, że po drodze minie stoisko z garnażerią, które obsługiwała Alina. Liczył teraz na jej ciepłe, ufne spojrzenie i pomyślał, że w drodze powrotnej może zdecyduje się i zaproponuje jej spotkanie. Marzył o tym od dawna, Musiał jednak przyznać sam przed sobą, że jej bliskie pokrewieństwo z samym szefem nieco go onieśmiało. Odkąd się tego dowiedział, rzadziej do niej podchodził, żartował i zaczepiał. Jakaś niewidzialna siła ciągnęła go do tej dziewczyny, a z drugiej strony przy niej czuł się zwykłym chłopakiem z prowincji, żółtodziobem bez krzty ogłady.

Przy jednym ze stolików stał już pan Zygmunt, który na jego widok machnął ramieniem. Antek podszedł tam, dostrzegając dwie urocze kobiety, elegancko ubrane, pięknie uczesane i umalowane. Jedna z nich wyciągnęła rękę ozdobioną niezliczoną ilością biżuterii, którą chłopak ujął i pocałował z namaszczeniem. Druga uczyniła to samo. Potem wyprostował się jak struna i czekał.

– To mój najzdolniejszy kucharz – oświadczył z dumą pan Woliński, na co Antek zarumienił się jak zwykły sztubak. – Antoni.

– Antoni, twój strogonow był pyśny – zaćwierkała Czeszka łamaną polszczyzną, wsuwając mu do kieszeni banknot.

W pierwszej chwili wzdrygnął się, chwycił jej szczupłą dłoń, ale ona rozbroiła go uśmiechem. Szef skinął głową i prychnął wymownie, dając mu do zrozumienia, że ma nie odmawiać.

Podziękował więc, wysłuchawszy jeszcze przez moment komplementów pod swoim adresem, po czym ponownie ucałował wierzchy dłoni obu cu-

dzoziemek i prostując się, odszedł. Gdy mijał ladę garmazeryjną, Alina, pochylona głęboko nad blatem, dekorowała majonezem talerz z podrobami. Jej delikatny, ulotny zapach nęcił go, wodząc za nos. Rzucił okiem na dziewczynę, ale sparaliżował go strach. Nie zrobił tego, co zamierzał, tylko ruszył dalej, tłukąc trepami o kamienne płytki. Wtedy do jego pleców dotarł jej ciepły, dźwięczny głos.

– Gratuluję! Nieźle się spisałeś!

Zatrzymał się jak rażony prądem. „Teraz albo nigdy” – pomyślał.

Stała za ladą, patrząc nań wyczekująco. Jeszcze nigdy nie była tak piękna. Wszystkie Czeszki, Niemki, Rumunki, Jugosłowianki razem wzięte nie dorastały jej urodą do pięt.

– Co byś powiedziała na kawę i ciasto któregoś popołudnia? – odezwał się jakoś nieudolnie, nienawidząc w tej chwili własnego głosu.

– Czemu nie? – odparła, przekrzywiając figlarnie głowę i patrząc z nadzieją w jego niebieskie oczy.

– W takim razie... spotkajmy się jutro w Łazienkach przy pomniku Chopina. O siedemnastej, będzie ci pasowało?

Ściągnęła zabawnie brwi, w jej uszach zamigotały dwa srebrne koła.

– Myślę, że tak.

Miękko mu się zrobiło w nogach, zaszumiało w głowie ze szczęścia.

– Do zobaczenia! – rzucił cicho, posyłając w jej stronę czułe, pełne radości spojrzenie.

Potem odwrócił się na pięcie i ruszył do kuchni, mając wrażenie, że unosi się trzy metry nad podłogą.

Alina siedziała ze skrzyżowanymi nogami na wąskim tapczanie w swoim pokoju, oparta plecami o słomiankę i zanurzona w stronicach powieści. Z lampki stojącej obok na szafce tryskało ciepłe światło, oświetlając sporą część pomieszczenia. Obok łóżka wisiała podobna słomianka, tylko zawieszona w pionie, a do niej przypięte szpilkami widniały fotografie polskich

gwiazd estrady. Wśród nich można było zobaczyć Annę Jantar, Marylę Rodowicz, Irenę Jarocką, Elżbietę Dmoch i bożyszcze wszystkich nastolatków – Seweryna Krajewskiego. Było już późno, dochodziła północ. Rodzice jeszcze nie wrócili z potańcówki, na którą zostali zaproszeni przez znajomych. Czytała tę książkę już trzeci raz, ale za każdym razem jej serce roztrzaskało się na kawałki, a ją rozrywał ból niespełnienia. „Dlaczego Ewa musiała umrzeć?” – myślała, zdruzgotana dramatycznym zakończeniem, kładąc rozwartą księgę na piersi i przeżywając tę nieszczęśliwą miłość raz jeszcze. Stefan Żeromski należał do jej ulubionych pisarzy, natomiast *Dzieje grzechu*, ta skandalizująca w swoim czasie powieść, nadal wzbudzała niesamowite emocje. Wykorzystała moment, kiedy mamy nie było w domu. Ta zabraniała jej wczytywania się w takie nieprzyzwoite – jak mawiała – lektury. Dziewczyna w jej wieku powinna skupiać się na nauce, manierach, dobrym zachowaniu, a nie na czymś, co sprowadza na złą drogę.

Alina wiele razy analizowała postępowanie głównej bohaterki jako kobiety zniewolonej przez grzech. Po wielokroć śledziła jej zawikłane losy, począwszy od szaleńczego zakochania, po porzucenie, depresję, a także dopuszczenie się strasznych, zbrodniczych czynów. Pewne rzeczy nie mieściły jej się w głowie, może dlatego, że wychowana była według podstawowych reguł dekalogu, była wierząca i praktykująca. Dzieciobójstwo, zabójstwo, zdrady... Nie, tego było za wiele.

Nie sądziła, że kobieta była w stanie się do tego posunąć. Jak ona zachowałaby się na jej miejscu, czy pozwoliłaby sobą tak manipulować? Na pewno nie. Zwłaszcza że jej wymagająca, surowa mama nigdy nie wybaczyłaby jej tego grzechu. Co innego tatko, on ją ubóstwiał, choć w pracy nie stosował taryfy ulgowej. Traktował na równi z innymi, co nawet niektórych dziwiło.

Odłożyła książkę i położyła się na wznak. Rozpalona, z rumieńcami na twarzy, błądziła myślami wokół bohaterów powieści, ich tragicznej miłości, zawiloci dróg, ale przede wszystkim odtwarzała w pamięci opisane przez autora erotyczne, czasem zbyt pikantne sceny. Nigdy nie była z mężczyzną tak blisko, dlatego już na samą myśl jej ciałem wstrząsał dreszcz, w brzu-

chu czuła znajome mrowienie, oddech przyśpieszał. Teraz, mając przed oczami obraz Antka, pośliniła wargi, potem przesunęła po nich opuszką palca. Zsunęła rękę niżej, po wypukłości piersi i płaskim brzuchu. I znów oblała ją cudowna słodkość, że aż zacisnęła wargi, żeby nie krzyknąć.

Miała powodzenie u chłopców, wciąż ją podrywali, zapraszali na randki, i nie dlatego, że była córką szefa. Podobno uchodziła za ładną, nawet bardzo, i miała w sobie to coś, co ich kręciło. Tak przynajmniej wszyscy jedno- głośnie twierdzili. Jednak odkąd w hotelu pojawił się Antoni Ostrowski, jej serce biło już tylko dla niego. Na początku trochę sobie z niej drwił, był nawet zbyt zuchwały i nieco arogancki. Wiedziała, że dziewczyny za nim szaleją, choćby te kelnerki z restauracji i ta cała Wiesia z dużymi cyckami i nogami do pasa. „Wciąż strzela do niego oczami, lafirynda jedna” – podsumowała zazdrośnie, mając w pamięci scenę, kiedy przechodząc z tacą, otarła się o niego biustem. Na szczęście Ostrowski nie reagował na jej zaczepki, owszem – starał się być miły, ale to wszystko. To z Aliną rozmawiał w każdej możliwej chwili, to ją wypytywał o różne rzeczy, nawet o te, które dobrze znał. Nic dziwnego, że z czasem stał się obiektem kpin ze strony kolegów. Może dlatego, że to oni chcieli być na miejscu Antoniego, a przecież żadnego z nich nie darzyła takim uczuciem jak jego. Był inny niż wszyscy, taki elegancki, czysty i pachnący. W dodatku znał się na swoim fachu i miał ambicje. Ojciec go często chwalił, nawet w domu nawiązywał do jego talentów, powtarzając podczas obiadu wiele razy, że Antek to, Antek tamto... A w niej wszystko wrzało już na sam dźwięk tego imienia... Dlatego tego popołudnia, kiedy podszedł i zapytał, czy mogą się spotkać, jej świat zadrżał w posadach.

Antek czekał, siedząc na niskim murku otaczającym niewielkie, okrągłe jeziorko i przyglądając się zamyślonemu na betonowym cokole wybitnemu pianiście. Kompozytor tkwił pod wierzbą płaczącą, której gałęzie wydeptane wiatrem ułożyły się nad jego głową w kształt dłoni. Chopin, lekko odchy-

lony, z zawieszoną w powietrzu ręką nad niewidzialną klawiaturą, z roz-
wianymi połami płaszcz wyglądał tak, jakby szukał natchnienia.

Spojrzał na zegarek, dochodziła siedemnasta. Aliny jeszcze nie było, więc korzystając z okazji, wyciągnął grzebień z tylnej kieszeni spodni i przecesał nim czarne, nieco przydługie włosy. Mama twierdziła, że powinien iść do fryzjera, ale on trzymał się najnowszych trendów mody, więc wolał mieć dłuższą, bujną grzywkę zarzuconą na bok i włosy sięgające karku. Koszulę zakupił w peweksie za ostatnią wypłatę. Bony zdobył od za-
przyjaźnionego z Rysiem cinkciarza, pana Bolka. Do tego sztruksowa kurtka nabyta jeszcze w Łodzi w domu handlowym Central, granatowe spodnie imitujące teksasy i materiałowe półbuty. Przed wyjściem obowiązkowo wziął prysznic i spryskał się brutalem. Rysiu podśmiewywał się z jego przywiązania do higieny, zwłaszcza że on sam miał z tym niestety problem. Często zasypiał nieświeży po całym dniu, rzucał pod łóżko brudne, cuchnące skarpety, nosił koszule po kilka dni, co skutkowało wątpliwym aromatem wgrzyzionym w jego ubrania. Na uszczypliwe uwagi kolegi nie reagował, a nawet ironizował, że Antek zachowuje się jak typowy lalusz z miasta.

– Chłop musi śmierdzieć potem, papierosami i wódką – argumentował, na co kolega tylko się z pobłażaniem uśmiechał.

Dostrzegł ją już z daleka. Ubrana była w sięgający kolan trapezowy płaszczyk w zielono-brązową kratę, brązowe czółenka i wełniane rajstopy. Kiedy się zbliżyła, wyciągnęła rękę ukrytą w beżowej cieniutkiej rękawiczce, na co on uścisnął ją i musnął wargami wierzch materiału.

– Ojej! Przepraszam, zapomniałam zdjąć! – zachnęła się, wyrywając rękę z jego mocnego uścisku.

– Nie szkodzi, cieszę się, że przyszłaś.

W odpowiedzi jedynie się uśmiechnęła.

– Pięknie wyglądasz! – mruknął.

Omiotła go pełnym uznania spojrzeniem, po czym dodała:

– W fartuchu kucharskim jest ci do twarzy, ale chyba wolę cię w takim wydaniu! – mówiąc to, parsknęła śmiechem. – To dokąd pójdziemy?

– Najpierw przespacerujemy się po Łazienkach, a potem... zapraszam do Księżycowej. Serwują tam podobno najlepsze kremówki w mieście.

– Daleko ta kawiarnia? – spytała, myśląc o niewygodnych butach, a właściwie zbyt wysokich obcasach, które założyła po to, aby się jak najładniej zaprezentować.

– Nie, skąd... bliziotko. Na Gagarina.

Odetchnęła z ulgą, a kiedy Antek chwycił ją ponownie za rękę i nie miał zamiaru już uwolnić, wypuściła powietrze z piersi i pomaszerowała rażno, dotrzymując mu kroku.

Zapadł wieczór, a oni wciąż siedzieli we wnętrzu kawiarni, delektując się wzajemną obecnością. Wypili już po trzy kieliszki likieru, Alina miała zaczerwienione policzki, rozpięła ostatni guzik satynowej bluzki, nieświadomie ukazując ponętny rowek między piersiami, w który Antoni raz po raz nurkował zachłannie wzrokiem. Co chwila też popuszczał wodze fantazji i wyobrażał sobie co nieco. Nie byli sami, przy okrągłych, wykonanych z metalu, ażurowych stolikach siedziało sporo osób. Goście pili, jedli, dyskutowali głośno. Niektórzy się śmiali. Pod ustrojonym w drapowane zasłonki oknem jakiś muzyk brzdąkał na pianinie. Wyglądało na to, że nikt go nie słuchał. Orgia głosów wzbijała się w powietrze nasycone dymem z papierosów, aromatem palonej kawy, trunków i pieczonych ciast.

Kawiarnia Księżycowa, usytuowana w sąsiedztwie zakładów WZM, u zbiegu ulic Gagarina i Czerskiej, słynęła z deseru lodowego o tej samej nazwie. Polany ajerkoniakiem, udekorowany chmurką bitej śmietany, smakował wybornie. Tymczasem oni, zlizując z rozmysłem słodkość z łyżeczek, rozmawiali o wszystkim i o niczym. Antek, który znany był z odwagi, zuchwałości i pewności siebie, teraz nagle stracił rezon i zaczął się jąkać. Alina wypytywała o hotel robotniczy i warunki w nim panujące, zupełnie jakby się czegoś domyślała. Była ciekawa, jak wygląda życie w takim miej-

scu, interesował ją też współlokator. Chłopak rzucał lakoniczne odpowiedzi, od czasu do czasu serwował jakąś śmieszna w jego mniemaniu historyjkę, uważając przy tym, aby nie klapnąć czegoś głupiego. Niektóre wydarzenia z jego życia nie należały do chlubnych, choćby nawet ostatnia randka z dziewczynami spod Żyrardowa. Konsekwencje tego jednorazowego incydentu odczuł niedługo potem. Pewnego popołudnia pod prysznicem odkrył wstydlwego intruza na swoim ciełe, a właściwie intruzów, skupionych zwłaszcza w miejscach intymnych. Jeszcze dziś na samą myśl wzdrygał się ze wstrętem i wstydem. Okazało się, że nie był osamotniony w zmaganiach z przeciwnościami losu, bo Rysiu załapał to samo. Drapali się od jakiegoś czasu, ale żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że przyczyną swędzenia mogą być wszy łonowe, które w krótkim czasie bardzo się rozmnożyły. Nie mieli wyjścia, musieli wziąć kilka dni urlopu, zaopatrzyli się w środki do dezynfekcji, a potem przez wiele godzin pozbywali się nie tylko owłosienia, ale poniekąd też męskiej godności. Następnie wysmarowani śmierdzącymi płynami, owinięci w turbany i ręczniki siedzieli w pokoju hotelowym, zapijając smutki, racząc się resztką wódeczki. Wspominali gorzko przez śmiech swoją wizytę w aptece, nieudolne próby wytłumaczenia, o co chodzi, i wyraz twarzy aptekarki, kiedy zorientowała się, po co przyszli.

– Nad czym tak medytujesz? – Alina wytrąciła go z zamyślenia.

– Aaa, nic. Tak jakoś... – bąknął nieporadnie, odwracając zawstydzony wzrok.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie. Da się tam wytrzymać?

– Może być – odpowiedział smętnie, nie wdając się w szczegóły. – Czasem bywa nawet wesoło.

– Zabierzesz mnie tam kiedyś? Pokażesz? – spytała nagle, wprawiając go w osłupienie.

– No pewnie! Kiedy tylko zechcesz! Muszę jedynie poprosić kolegę, aby posprzątał po sobie. To straszny bałaganiarz! Nawet sobie nie wyobrażasz... Zupełnie jak mój ojciec.

– Mężczyźni z reguły nie przywiązują wagi do porządku... Rzadko kiedy trafia się inny okaz.

– Musisz w takim razie rozważyć ofertę, bo taki cenny obiekt masz właśnie przed sobą. – Uśmiechnął się łobuzersko, oblizując wargi, które ubrudził bitą śmietaną.

– Nie wierzę! – odparła rozbawiona.

– A mam ci udowodnić?

– Tak, poproszę! – zachichotała.

– Od kiedy mogę zacząć? – spytał, wpatrując się w jej intensywnie niebieskie oczy i robiąc arcyważną minę.

– Od kiedy tylko chcesz – odpowiedziała, przenikając go wzrokiem.

Patrzył na nią, czując gorąco w lędźwiach i obiecując sobie w duchu, że już nigdy nie zrobi tego z inną kobietą. „Albo Alina, albo żadna” – zadeklarował uroczyście, marząc o bliskości z nią i pierwszym pocałunku.

Następnie odwiózł taksówką aż pod same wejście do klatki schodowej nowo wzniesionego blokowiska na Jelonkach. Już przy samych drzwiach, tuż przed rozstaniem, zdobył się na czuły gest, całując w przelocie jej śniady, rozogniony policzek.

Rozdział 5

Weronika śmiertelnie się zakochała. Początkowo Stefania sądziła, że zauroczenie minie tak szybko, jak przyszło. Niestety – miłość nie chciała wywietrzeć dziewczynie z głowy. Zarówno matka, jak i ojczym, choć jeszcze nie mieli okazji poznać chłopaka, nie popierali jej wyboru. Oboje uważali, że córka zasługuje na kogoś lepszego, a nie obiboka i pijaka – a taki obraz jawił się niestety z pobieżnych opowieści zakochanej dziewczyny.

Wykwalifikowany elektryk Józek Biliński, dwudziestoczterolatek, pracował w spółdzielni mieszkaniowej w dziale technicznym i jego zadaniem było ratowanie mieszkańców osiedla przed utratą prądu. Oczywiście nie miał wpływu na częste braki dostaw z elektrowni, ale kiedy udało mu się załagodzić sytuację i opanować niejedną awarię, w ramach podziękowania częstowano go gorzałką. Przywykł do tego, że całymi dniami chodził podchmielony, a kiedy czasem dostawał wynagrodzenie pieniężne, chował je do kieszeni, nie dbając nawet o to, aby wyprostować banknoty. Zwykle wciskał zwitek pogniecionych papierków niedbale w spodnie, a potem kiedy wyciągał je pod sklepem i gubił, nie mając o tym pojęcia. Czuł się panem tego świata, ludzie go potrzebowali, a nawet uwielbiali.

– Panie Józiu kochanieńki, to kiedy pan do nas zajrzy? – szczebiotała mieszkanka bloku spod ósemki, a zaraz następna przebijała ją, sygnalizując, że ma coś lepszego do zaoferowania.

– Dla pana Józia wszystko się znajdzie, i kieliszeczek, i popitka, i śledzik na przekąskę. Tylko zajdź pan jeszcze dzisiaj, będę czekała.

Trzeba było przyznać, że Józkowi natura nie poskąpiła urody i uroku. Z tą mieszanką zalet niejednej zawrócił w głowie, niejedna zadurzyła się w nim na zabój, niejedna truła, chcąc odebrać sobie życie. Nie więc dziwnego, że wpadła też po same uszy Weronika. Zupełnie niespodziewanie, kiedy była u koleżanki na osiedlu Teofilów. Planowały wspólny projekt na konkurs, miały omówić wszystkie szczegóły, kiedy nagle zaterkotał dzwonek i w drzwiach stanął najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego Ostrowska widziała. Puścił do niej oko, a potem, kiedy dłubał coś w instalacji, a następnie w liczniku na klatce schodowej, a one chichocząc dotrzymywały mu towarzystwa, rzucał spojrzenia w jej kierunku, mlaskał i oblizywał wargi. Nie wydawało jej się to obsceniczne ani wulgarne. Wręcz odwrotnie. Robiła maślane oczy i posyłała mu znaki, mając nadzieję na rychłe spotkanie. Jej koleżanka Ewa nie poczęstowała Józka wódką, za to podała mu banknot z Ludwikiem Waryńskim przygotowany przez rodzicielkę, schowany w szufladzie w kuchni pod ściereczkami właśnie na taką ewentualność.

– Gra jak orkiestra w Łazienkach! – odparł młody elektryk, chwając efekty swojej kilkudziesięciominutowej pracy. Swoim zwyczajem wcisnął banknot do kieszeni i uśmiechnął się zawadiacko w kierunku Weroniki.

– A poza tym osiedlem też pan reperuje prąd? – bąknęła niepewnie.

– Ogólnie nie, ale w szczególnym przypadkach się zdarza. To gdzie by to było?

– Lipowa trzymaście – wypaliła dziewczyna, bo był to jedyny adres, jaki przyszedł jej do głowy. Mieszkał tam kiedyś jej ojczym, później zameldował ją, aby władze nie zabrały mu lokalu. Przez wiele lat urzędowało tam kuzyństwo ze wsi, potem brat Weroniki, a odkąd on wyniósł się na stałe do Warszawy, mieszkanie stało puste. Trzeba było jednak coś zrobić, bo lokali w mieście brakowało, kolejki do przydziału były długie i niekończące się, a sąsiedzi już czyhali. W każdej chwili mogli donieść, że nikt tam nie zamieszkuje i lokum się marnuje, podczas kiedy inni czekają latami na własne M. Weronika podjęła więc rozmowy ze swoim ojczymem, próbując przekonać go, że przyszedł czas, aby się usamodzielniała. Za praktyki dosta-

wała wprawdzie marne grosze, ale ojciec płacił jej alimenty, którymi do-
tychczas dysponowała matka. Ona też by sobie poradziła, a poza tym –
miała w zanadrzu dar w rękę, czyli umiejętność szycia. Za drobne opłaty
mogłaby naprawiać odzież, wszywać zamki, skracać spodnie, podwijać fi-
ranki. O ile Felek nie miał nic przeciwko, o tyle Stefania stawiała opór.
Miała obawy, że jej córka jest na to jeszcze za młoda. W dodatku miała za
sobą dopiero trzy klasy technikum, a przed sobą liczne egzaminy i maturę.

Ostatnio w tajemnicy przed domownikami wykradła klucze i poszła
obejrzeć mieszkanie. Jednopokojowe, z obszerną kuchnią, łazienką i ciem-
nym korytarzem, a nawet minibalkonem z widokiem na ulicę. „Można by
się tutaj nieźle urządzać” – pomyślała, wielokrotnie rozglądając się dookoła.
Pod oknem ustawiłaby maszynę do szycia, w rogu manekin... Łóżko już
było, rozkładana wersalka w kolorze płynnego miodu, do tego meblo-
ścianka z forniru, stolik pod telewizor, lampa z miodowym abażurem na
jednej nodze i płowy dywan w kwiatowe wzory. W kuchni zlew, zimna
woda w kranie, kuchenka gazowa i szeroki parapet, pod którym zawie-
szona była zasłonka w słoneczniki. W łazience wanna żeliwna, chwiejący
się sedes i umywalka. Na podłodze wylane lastriko. Czegóż chcieć więcej?
Największy problem stanowiło ogrzewanie, trzeba było donosić wiadrami
opał z komórki i palić w kaflowym piecu stanowiącym w pewnym sensie
ozdobę tego mieszkania. W jednym pomieszczeniu nie było światła i wła-
śnie ten fakt postanowiła wykorzystać w swojej sprawie.

– To kiedy pan znalazłby czas? – Przyjęła zachęcającą pozę, wdzięcząc się
i składając pełne usta w dzióbek. Obdarzona śniadą cerą, bujnymi czar-
nymi włosami i parą niebieskich oczu, mogła uwieść niejednego mło-
dzieńca. Zawsze jej się to udawało, ale co z tego, skoro trafiała na nie-
udaczników i popaprańców. Tym razem to fatum miało się odmienić. Ten
mężczyzna miał w sobie to wszystko, co jej imponowało: budowę Herosa,
miłą aparycję, fach w rękę i łatwość nawiązywania znajomości.

– Jutro o trzynastej?

– Do trzynastej mam lekcje, może być o czternastej?

– To panienka jeszcze się uczy?

– Ostatni rok! – pospieszyła z odpowiedzią, choć nieco naciągnęła fakty. Zostały jej jeszcze dwa lata, tylko dwa lata, a później stanie się wolna i niezależna.

Cmoknął, przełknął ślinę i pokiwał głową.

– Jaki numer mieszkania?

– Pięć!

Mężczyzna pochylił się, spakował swoje narzędzia do skórzanej, zniszczonej torby i ponownie wyprostował plecy.

– Do jutra! – rzucił w jej kierunku, omiatając wzrokiem jej niewysoką, apetyczną sylwetkę.

Ewa po jego wyjściu pisnęła z niedowierzaniem.

– Ty serio tak?

– Ale o co chodzi? – zapytała Weronika, robiąc głupawą minę.

– Nieźle go załatwiłaś! Skąd wytrzasnęłaś ten adres?

– Nie mówiłam ci? To moje mieszkanie. Mam tam meldunek, wkrótce się tam przeprowadzę.

– Naprawdę? – Koleżanka aż usiadła z wrażenia. – Zazdroszczę ci, w dzisiejszych czasach zdobycie mieszkania graniczy z cudem, ludzie gnieźdzą się całymi rodzinami w jednym pokoju, a ty... – Wypuściła z ust powietrze. – Jak tego dokonałaś?

Weronika wzruszyła ramionami.

– Ma się te swoje sposoby – odparła tajemniczo. – Kiedyś ci o tym opowiem. A teraz wracajmy do projektu. To co z tymi zakładkami? Robimy je z przodu czy z tyłu?

Czekała na niego wystrojona w obcisły, rozpinany sweterek, pod którym nie miała już nic, nawet biustonosza. Dolną partię ciała ubrała w dopasowaną spódnicę. Kruczoczarne włosy pozbawiła gumki, a intensywnie niebieskie oczy podkreśliła, tuszując rzęsy. Spóźniał się. Minęło już dobre pół

godziny po czternastej. Niecierpliwie spoglądała na okrągły budzik, który brat zostawił przy łóżku na szafce. Co chwila rozsuwała poszarzałe firanki i spoglądała za okno, gdzie rozpościerał się widok na ulicę Lipową, o tej porze dnia jeszcze wyludnioną. Wreszcie go dostrzegła, maszerującego chodnikiem zamaszystym krokiem, dzierżącego na ramieniu wielką, brązową torbę. Kiedy pojawił się w mieszkaniu, od razu zauważyła, że jest lekko podchmielony. Miał na sobie brudny kombinezon z drelichu, robocze buty, mocno sfatygowane. Uśmiechnął się głupawo na jej widok, gdy ramieniem wskazała miejsce wymagające naprawienia, czyli sufit w korytarzu. Kazał jej przynieść drewniany stołek, na który wskoczył, wcześniej upewniwszy się, że prąd tutaj nie dochodzi. Patrzyła, jak wymienia wtyczkę, przebierając palcami wokół przewodów, i marzyła o tym, że kiedyś w taki sam sposób będzie dotykał jej ciała.

Ten mężczyzna pociągał ją jak żaden inny i tego dnia, a właściwie w tej jednej chwili, zdała sobie sprawę, że jeśli go nie uwiedzie, jeśli nie dołoży starań, aby zwrócić na siebie uwagę, już nigdy nie zazna prawdziwego szczęścia.

On tymczasem gwizdał sobie pod nosem, skupiając się wyłącznie na złeconej robocie. Gdy skończył, zeskoczył z taboretu, zapakował narzędzia do skórzanej torby i mruknął zadowolony.

– Gra jak orkiestra w Łazienkach!

Zagroziła mu drogę, kiedy próbował przecisnąć się do wyjścia.

– To ile się należy?

Spojrzał na nią z góry, prześlizgnął wzrok po odsłoniętych częściowo wypukłościach. Mruknął coś, czego nie zrozumiała. Przełknął ślinę i oblizał wargi.

Specjalnie odpięła kolejny guzik sweterka, udając, że tego nie zauważyła. Pozwoliła, aby podszedł bliżej. Nie zrobiła kroku w tył.

Ośmielony tym zachowaniem, zsunął z ramienia pasek ciężkiej torby, która runęła na podłogę, robiąc rumor.

– To ile? – powtórzyła, mruczając zachęcająco.

Nie odpowiedział, tylko chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie i zanurzył kosmatą głowę w jej obnażonych piersiach.

Rozdział 6

Jak my ich wszystkich pomieścimy? – rzuciła Stefania zmartwionym głosem, kiedy późnym wieczorem siedzieli sami przy stole w kuchni.

– Nie martw się, kochana! Damy jakoś radę!

– Jesteś pewien? Naliczyłam razem z nami prawie dwadzieścia osób.

– Zapytam mamy, czy nie przenocuje kilku gości. Posiadają dodatkowy pokój, w którym miałem mieszkać po powrocie. Jest jeszcze Lipowa...

– Lipowa... – powtórzyła cicho, wzdychając jednocześnie. – Weronika z tobą rozmawiała o tym mieszkaniu?

– Tak, kilka razy... Chciałaby tam zamieszkać. Myślę, że ma to sens. Po tym jak wynajmowało je kuzynostwo ze wsi, a potem Antek, lokal stoi pusty. Za chwilę sąsiedzi się o tym dowiedzą i dadzą znać w administracji. Mogą nam je zabrać, a przecież lada moment będzie potrzebne. Weronika jest już dorosła.

– Jakie tam dorosła? – fuknęła. – Ja w jej wieku byłam bardziej samodzielna, choć jak wiesz, mieszkałam cały czas z rodzicami. Z drugiej strony, dokąd miałam pójść? To mieszkanie to wieczna pokusa dla dzieciaków. Oby z tego nie zrobiło się jakieś nieszczęście.

Mężczyzna pochylił się nad stołem i chwycił jej rękę.

– Będzie dobrze, kochanie. Twoja córka to piękna, rozsądna dziewczyna. Odkąd zaważyła jeden rok, zaczęła się dobrze uczyć, a krawiectwo ma przyszłość w naszym mieście. Jest tyle zakładów odzieżowych, nie będzie miała problemów ze znalezieniem dobrej pracy. Może też zostać konstruktorem. Słyszałem, że dużo im płacą.

– Dziękuję ci – szepnęła, odwzajemniając uścisk. – Może powinniśmy rozważyć taką wersję. Jak jej na to nie pozwolimy, sama może zrobić coś głupiego. Znam ją, ma charakter po tatusiu albo raczej po teściowej.

– A właśnie... co u niej? Zapraszasz ją na urodziny?

– Nie, chyba nie... Odkąd rozstałam się z Tadeuszem, nasze drogi nieco się rozeszły, sam wiesz... To już nie to samo co kiedyś, choć Antek bywa u babki, a z ciotką Urszulą ma nawet dobre relacje. Zresztą... dzwoniemy do siebie od czasu do czasu. Życie Uli zweryfikowało jej złośliwy, a nawet podły charakter. Po urodzeniu Joasi zmieniła się nie do poznania. Już nie jest tą samą napuszoną dziewczyną. Nabrała pokory, zwłaszcza że los jej nie oszczędza. Mąż popija, a dziecko ma chorobę serca. Biedna... Tyle na nią spadło w krótkim czasie.

– A Józia przyjedzie? – wtrącił Felek, zmieniając smutny temat.

– Nie... nie mówiłam ci? Rozalia wyjechała podobno do Bułgarii kręcić jakieś sceny do filmu. Ktoś musi się zająć małą Nineczką. A kto, jeśli nie babcia? Zwłaszcza że Józia po śmierci Kazimierza przestała koncertować, skupiła się wyłącznie na domu i pomocy córce. Powinniśmy ją kiedyś odwiedzić. Przy okazji zobaczymy się z Antkiem. Będziemy mieli okazję przekonać się, jak mieszka i jak sobie radzi nasz syn.

– Zrobimy, jak zechcesz. Najpierw twoje urodziny, a potem zaplanujemy wyjazd, zgoda?

Uścisnęła jego rękę i spojrzała mu w łagodną, pozbawioną napięcia twarz.

– Zgoda – odparła. – Mówiłam ci dzisiaj, że bardzo cię kocham?

Uśmiechnął się jak złapany na gorącym uczynku mały chłopiec.

– Mówiłaś mi, ale możesz to powtórzyć jeszcze raz.

Wstała, podeszła do niego i objęła mocno ramionami. Każdy dzień u jego boku nazywała w duchu darem od losu. Mimo zdarzających się od czasu do czasu drobnych sprzeczek, kończących się pojednaniem w sypialni, nigdy poważnie się nie pokłócili.

Felek nabrał ogromnej pokory do życia, które go tak mocno doświadczyło. Choć kraj, w jakim żył obecnie, daleko odbiegał od jego wyobrażeń, to jednak rządy Gierka i Jaroszewicza nieco ożywiły gospodarkę, dały ludziom więcej swobody i luksusu, choćby takiego jak pepsi i coca-cola w sklepach, mały fiat dla mas czy wyjazdy na wczasy, których nie znali pod sterami najpierw Bieruta, a potem Gomułki. Nowy pierwszy sekretarz partii zaoferował Polakom namiastkę Zachodu, poza tym zjednął ich sobie, występując na licznych wiecach. Słynne stało się pytanie: „Pomożecie, towarzysze?”. „Pomożemy, towarzyszu Gierku!” – entuzjastycznie odpowiadali zgromadzeni, bo wierzyli, że zły czas minął bezpowrotnie.

Wzrosły płace, zmalały ceny żywności, stopa życiowa obywateli się podniosła. Wiedział, że za tym dynamicznym rozwojem, wielkimi inwestycjami, budową dróg, nowych osiedli stoją ogromne kredyty zaciągnięte z zachodnich banków. Gdzieś pod skórą czaił się strach, że ogromne zadłużenie Polski doprowadzi kraj do kolejnego kryzysu, ceny znów wzrosną, a niezadowoleni obywatele wyjdą na ulice. Wolał jednak odrzucać takie myśli. Nauczył się przez lata na Syberii, że tylko wiara i optymizm są szansą na przetrwanie wszystkiego najgorszego. A teraz... mając u boku kobietę, którą kochał ponad życie – nie pozostało mu nic innego, jak błogosławić każdy dzień bycia razem.

– Lolo! Witaj, synku kochany! – Stefania rozłożyła ramiona i wyściskała Antka z całych sił. Pachniał świeżością pomimo dwugodzinnej podróży pociągiem, miał ładną, wypoczętą twarz i rozognione oczy.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś! Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą też. Pięknie wyglądasz, mamo! – odparł, wyciągając z teczki niewielki pakunek. – To dla ciebie. Mam nadzieję, że trafiłem w gust. Wszystkiego najlepszego!

Stefania przyjęła prezent owinięty w szary, pakowy papier i przycisnęła go do piersi. Towarzyszący żonie Feliks przywitał jej syna mocnym uściskiem ręki i przyjacielskim poklepaniem po plecach.

– Dziękuję, nie mam żadnych wątpliwości. Zaraz obejrzę, a teraz chodź, przywitaj się z gośćmi.

W salonie było gwarno. Dostrzegł tam wuja Staszka z żoną, panią Stroińską z mężem Wackiem, a także siostrę Weronikę, która w ostatnim czasie bardzo wyładniała. Było tam jeszcze kilka osób, których nie miał okazji do tej pory poznać, znajomi wuja Felka z pracy, sąsiedzi. Zastawiony zakąskami stół uginał się od salatek z sałatką warzywną, półmisków ze śledziem i wędlinami swojej roboty. Mężczyźni rozlewali wódeczkę, wznosząc co chwila toasty za gospodarzy. Z kuchni dochodził zapach smażonego na smalcu mięsa. Po wylewnym przywitaniu się z gośćmi Antek pobiegł tam, aby ukochać babcię Krysię, która starym zwyczajem krzątała się przy garnkach.

– Antek! Aleś ty wyprzystojniał! Co to za fryzura? – Najpierw pochwaliła, a potem zganiła, tarmosząc jego zbyt długie włosy.

– Taka moda, babciu! – Zaśmiał się, urywając kawałek upieczonego mięsa.

Pacnęła go żartobliwie po rękę.

– Zupełnie jak mój stary! – sarknęła z udawanym wyrzutem.

– W końcu coś mi zostało z dziadka!

– Szkoda jednak, że nie zostałeś szewcem jak Bronek... – Z westchnieniem obróciła kotlety na rozgrzanym tłuszczu na drugą stronę.

– Wiem, babciu, ale wolę gotowanie. Schab wypieczony w sam raz! – rzucił zaraz na pochwałę, obejmując starszą kobietę ramieniem.

– I jak ci w tej stolicy jest? Zadowolony chociaż?

– Ja? – wykrzyknął. – Bardzo! Działam teraz w eleganckiej restauracji, przychodzą tam wyjątkowi goście i... pracuje tam najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałem – dodał jednym tchem.

– Wiedziałam... Jesteś taki zmieniony, że od razu o tym pomyślałam. To musi być naprawdę ktoś wyjątkowy.

– Bo jest – odparł, zamyślając się na chwilę. A potem zaraz dodał z zaciekawieniem:

– A co tutaj słyhać? Jak sobie radzi Weronika? Jak się uczy?

Babcia w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– A co ja mam ci odpowiedzieć? Sam o to zapytaj! Charakterek odziedziczyła po tatusiu – prychnęła, nie kryjąc złości. – W dodatku chce się wyprowadzać. Urwanie głowy z tą dziewczuchą.

– A dokąd?

– No jak to dokąd? Na Lipową. – Pokiwała głową, nie kryjąc niezadowolenia. – A do tego jeszcze spichnęła się z tą Bajeczką. Do czego to podobne, z wrogiem trzymać? Wstydu za grosz! Jak matka nie chce się na coś zgodzić, to idzie do ojca, hiena jedna. Ten oczywiście zawsze poprze córeczkę, rozgrzeszy ze wszystkiego, tylko po to, aby dokuczyć Stefci. Nie rozumie, że nie jej, ale dziecku krzywdę robi. Nauczy się od początku kombinować, to już tak zostanie.

Chłopak wsłuchiwał się w ten monolog bez słowa, patrzył tylko, jak skwierczy tłuszcz, mrugając do niego drobnymi oczkami.

– Jakby to Stefka była czemuś winna... – sarknęła znów babcia, potrząsając patelnią. – Ma do niej żal, że go w końcu zostawiła, choć sam gził się z kochanką przez tyle lat.

Słyszając to, Antek zacisnął szczęki z wściekłości. Nie lubił nowej żony ojca i nic nie wskazywało, że miałyby to ulec zmianie. Nigdy nie zaskarbiła sobie jego sympatii, choć wiele razy usiłowała to zrobić. Raz nawet wręczyła mu parę nowiutkich skarpet, które wystąpiła w kolejce w Centralu, a raz próbowała poczęstować papierosem. Odmówił, choć zdarzało mu się popalenie po kątach z kumplami. Bardziej przerażało go przebywanie z nową żoną ojca sam na sam na balkonie, co mogłoby się różnie zakończyć. Już nieraz miał ochotę wygarnąć jej całą prawdę, wylać z siebie wszystkie żale, ale ze względu na Tadeusza wolał ugryźć się w język. „To już i tak niczego nie zmieni” – tłumaczył sobie w duchu. Skarpety przyjął, owszem – z grzeczności. Tylko po to, aby jej nie urazić.

– Pomóc ci, babciu?

– Jeśli chcesz, to zanieś mięso na stół! Tylko uważaj, abyś nie upuścił!

Zaśmiał się krótko w odpowiedzi, chwycił półmisek i zrobił zwrot na pięcie. Staruszka traktowała go wciąż jak małego chłopca.

Tymczasem z uruchomionego gramofonu i kręcącej się na wałku winylowej płyty płynęły piosenki zespołu Czerwone Gitary. Głośne rozmowy zagłuszały słowa słynnych szlagierów, takich jak *Anna Maria* czy *Biały krzyż*.

Mama z Felkiem zajęli honorowe miejsce w szczycie stołu. Musiał przyznać, że rodzicielka wyglądała pięknie w czarnej dopasowanej sukience ze sznurem pereł zawiązanym na szyi. Ufryzowane włosy, mocniejszy niż zwykle makijaż, kolczyki w uszach tworzyły obraz niezwykle atrakcyjnej kobiety.

– Twoje zdrowie, Stefciu! – Goście kolejny raz wznieśli toast. – Kolejnych lat w szczęściu, spełnieniu i radości!

Rozkrojono trzywarstwowy tort będący dziełem babci Krysi, ozdobiony girlandą słodkiego kremu. Popłynęło *Sto lat*, zastukały kieliszki, zabręczały sztucce i talerze. Rozmowy, śmiechy i tańce trwały do białego rana. W pewnej chwili brat wziął pod ramię siostrę i wyciągnął ją do drugiego pokoju. Przynajmniej tutaj panowało trochę ciszy.

– Co ty wyprawiasz, Werka?

– Ale o co ci chodzi? – Wyswobodziła łokieć z jego zbyt mocnego uścisku.

– Słyszałem, że wciąż łazisz do ojca i do tej jego nowej. Po co ci to?

Wzięła się pod boki i skrzywiła ładną buzię.

– Nie twoja sprawa! Pilnuj swojego nosa! – warknęła w odwecie.

– Robisz mamie przykrość! A poza tym... na twoim miejscu nie ufałbym tej babie. Zrobi wszystko, aby dokuczyć mamie!

Dziewczyna stanęła na wprost niego i oznajmiła wzgardliwie.

– A skąd wiesz, czy sobie na to nie zasłużyła? Sama latała za Felkiem, jak tylko dowiedziała się, że wrócił z zesłania. Nie jest od niego lepsza!

– Nawet tak nie mów! Zabraniam ci! – ryknął na całe gardło, robiąc się w sekundzie czerwony jak burak. – Nie masz prawa jej osądzać!

– Phi! – prychnęła z wyższością. – Możesz sobie gadać, co chcesz, ja tam swoje wiem! I nie rób z niej świętej!

Antka trafił szlag.

– Uspokój się, bo zaraz zapomnę, żeś moja siostra!

– Ej! Nie unosi się, stary! Wyluzuj!

Zrobiła w tył zwrot, podeszła do szafki z adapterem i bez słowa, dając mu sygnał, że nie ma ochoty na dalszą konwersację, nałożyła płytę z piosenkami Anny Jantar. Przesunęła ramię z igłą na trzecią piosenkę, jej ulubioną.

Tyle słońca w całym mieście...

Zaczęła podrygiwać w rytm muzyki i nucić pod nosem znane rytmy.

– Oj, siostra, siostra... – mruknął poirytowany. – Kiedyś się doigrasz, zobaczysz.

Mówiąc to, włożył z rezygnacją ręce do kieszeni i przyglądał jej się z naganą.

W odpowiedzi na to rozłożyła ramiona i zaczęła prowokacyjnie nimi wymachiwać.

Popatrz! Ooo, popatrz! – nuciła dalej, nie pozwalając mu dojść do głosu.

Bajeczka to jedno, a zamieszkanie oddzielnie – to drugie. Jakoś sobie siostry w tej roli nie wyobrażał. Martwił się o nią. Wiedział, że w przeciwieństwie do niego jest impulsywna i uparta. Sam również popierał mamę i babcię, twierdząc, że na usamodzielnienie się ma jeszcze czas. Tamta okolica należała do szemranych, kręciło się też sporo typów spod ciemnej gwiazdy, którzy tylko czyhali na samotnie mieszkającą dziewczynę, w dodatku ładną jak malowanie. Poza tym wciąż się uczyła. Nie miała wystarczająco dużo pieniędzy, aby się utrzymać, kupić opał, opłacić mieszkanie. Próbował jej ten pomysł wyperswadować z głowy.

– Ojej, braciszku! Nie wtrącaj się! To nie twoja sprawa! Jak ty chciałeś tam mieszkać, to mieszkałeś! A mnie zabraniasz! – wycedziła, nie szczedząc bratu krytyki.

– Nikt ci niczego nie zabrania. Martwię się o ciebie. To nie jest czas ani miejsce.– zaoponował. – Nie wiem, co ci nagle strzeliło do głowy.

– Jestem już dorosła, osiemnaście lat skończyłam już dawno temu – dodała wzburzona.

– Ale nie ukończyłaś szkoły, nie pracujesz! – podsumował bezlitośnie brat.

Weronika zatrzymała się w miejscu i tupnęła ze złością.

– Przyjechałeś tutaj, aby mnie umoralniać? Nie masz własnych problemów? Ciekawe, jak tam prowadzisz się w stolicy? Ładne są warszawianki? – zakpiła.

– Coś cię ugryzło, siostrzyczko? – spytał zaniepokojony. – Nie zwiedzisz mnie tym tonem. Za dobrze cię znam. Czuję, że za tym planem ktoś stoi.

Roześmiała się pusto.

– A jeśli nawet, to co? Nie mam prawa?

Omiótł ją uważnym spojrzeniem, po czym skwitował gorzko:

– Owszem, masz... Nie rozumiesz jednak, że wszyscy się o ciebie martwią.

Przeszedł się po pokoju, zatrzymując się przy manekinie ubranym w górę sukienki bez rękawów. Strzepnął z niego nitki.

– Z drugiej strony, to zakolegowanie się z Bajeczką kiedyś ci wyjdzie nosem. Ostrzegam. To policzek dla matki. Jak możesz? Rozwalając małżeństwo naszych rodziców, nie miała żadnych skrupułów...

– Przypominam ci, że mama też nie była święta. Kiedy wrócił Feliks, cały dom postawiła na głowie.

– To wcale nie było tak! – zaprotestował Antoni. – Byłaś jeszcze za mała, by o tym wiedzieć. Kto ci tych bzdur naopowiadał? Pewnie ona! – sarknął gniewnie.

– Sam się pytasz i sam sobie odpowiadasz! – Zachichotała złośliwie i wystawiła język.

Zawsze tak robiła, aby mu dopiec.

– Oj, siostra, siostra! – Pokiwał głową z rezygnacją. – Abyś jeszcze kiedyś nie płakała...

- Nie kracz, bo wykraczesz! – odcięła się, a on skapitulował.
- Zrobisz jak zechcesz, ale żeby nie było, że cię nie ostrzegąłem – wycedził.

Rozdział 7

Weronika stała przed budynkiem Spółdzielni Mieszkaniowej Teofilów już od kilkadziesiąt minut. Dreptała w miejscu, przestępując z nogi na nogę. Jesień się już kończyła, dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze. Ranki zdarzały się częściej oszronione. Miała na sobie wełniane płaszcz do kolan, ciepłe buty z ortaliczną cholewką, wełnianą czapkę i rękawice. Zimno jej było, ale nie zamierzała sobie pójść. Józek zaczął jej unikać, tymczasem sytuacja uległa diametralnej zmianie. Musiała wreszcie z nim porozmawiać, a nawet wymusić na nim pewne decyzje. Spotkali się jeszcze kilkakrotnie, zaglądał na Lipową zwykle o tej samej godzinie, tego samego dnia, czyli we wtorek. Za każdym razem czekała na niego z utęsknieniem. Czasem przygotowała nawet coś do zjedzenia, bo zwykle przychodził głodny i bez pardonu rzucał się na przygotowywane posiłki. Nie było to nic wielkiego, kiełbasa na ciepło, kawałek pasztetu, chleb ze smalcem czy gotowane jaja. Wszystko, co udało jej się wykraść z domu. Gorzej rzecz się miała z cukrem, na który w siedemdziesiątym szóstym roku wprowadzono kartki, ale nauczyła się odsypywać z torebki tak, by babcia nie zauważyła. Lubiła patrzeć, jak jej ukochany pochłania to wszystko, wyobrażając sobie nawet ich wspólne życie pod jednym dachem. Nie był wymagającym kulinarnie mężczyzną, nie był też rozmowny ani wdzięczny. Jej to jednak wcale nie przeszkadzało, wystarczyło, że był. Ewa kiedyś powiedziała, że ma coś z prostakią i chama. Weronika obraziła się wtedy i przestała się odzywać do koleżanki. Nikt nie miał prawa znieważać jej kochankę, nawet gdyby to była prawda. Kiedy już zaspokoił pierwszy głód, szli do łóżka. To właśnie tam okazywało się, że jego wirtuozeria nie ma sobie równych. Nikt nigdy tak jej nie dotykał, nie pieścił, z nikim nie

szczytowała, krzyząc wniebogłosy, choć miała za sobą kilka doświadczeń tego typu. Oczywiście jej mama o niczym nie miała pojęcia, uważała, że takie rzeczy to tylko po ślubie. Jej zdaniem dziewczyna powinna się szanować, a rozwiązanie prowadzenie to tylko grzech i rozpusta. Na szczęście tata był bardziej postępowy. Mogła mu zdradzić co nieco i nigdy jej nie skrytykował. Lubiła jego nowy dom i kobietę u jego boku. Wiedziała, że mama jej nie znosi, nie miała pojęcia dlaczego. Bajeczka była inteligentna, rozmowna i ponad wszystko kochała ojca. Przecież jej mama też miała swoje za uszami, romansowała wszak z Felkiem, zanim doszło do oficjalnego rozwodu. Takiej prawdy dowiedziała się od nowej żony ojca. „Zapomniał wół, jak cielęciem był” – skonkludowała cicho, spoglądając kolejny raz w kierunku szarego budynku spółdzielni.

Dochodziła piętnasta, gdy dojrzała go wychodzącego z bloku obok, w kombinezonie, kufajce i czapce uchatce. Co chwila odwracał się za siebie i machał komuś na pożegnanie. Powędrowała za nim wzrokiem, na balkonie drugiego piętra dostrzegła kobietę w średnim wieku, z podniesioną ręką i szerokim uśmiechem na twarzy. Nieznajoma miała na sobie szlafrok związany ciasno w pasie i rozpuszczone blond włosy. Widok ten spowodował, że Weronikę ogarnęła zazdrość. Świadomość, że mógłby robić to z inną, rozerwała jej serce na pół. „Może to nie jest to, o czym myślę” – zrelektowała się, a potem zerwała się z miejsca i pobiegła za nim.

– Józek, zaczekaj! – zawołała do jego pleców, kiedy już zbliżał się do furtki ogrodzenia.

Łypnął na nią przez ramię, potem rzucił wściekle:

– Co tutaj robisz, czego chcesz?

– Musimy porozmawiać! To ważne!

Znieruchomiał, odwrócił się, mierząc jej sylwetkę od stóp do głów. Z jego ładnej twarzy bił tym razem chłód.

– No? – wycedził przez zęby. – No, mów! – powtórzył niecierpliwie.

Jego obcesowe zachowanie zbiło ją z tropu. Miała przygotowaną dla niego kwiecistą, emocjonalną mowę, tymczasem nagle zapomniała języka w gębie. Cała jej dotychczasowa pewność siebie gdzieś się ulotniła.

– Tutaj? – wydukała. – Przejdźmy chociaż gdzieś dalej! – zaproponowała niepewnie.

– No dobra... – sarknął po chwili namysłu – Zaraz wrócę, tylko się odha-
czę...

Dotarł do niej pięć minut później. Był już przebrany w czyste, choć wy-
mięte spodnie, nową kufajkę w odcieniu ciemnego ołówka i mniej zdefor-
mowane buty. Nie miał też przy sobie wielkiej torby na narzędzia, którą za-
stąpił brązową teczką.

Chwilę szli w milczeniu, oddalili się od jego miejsca pracy na dość sporą
odległość, wreszcie zdobyła się na pytanie:

– Dlaczego mnie unikasz?

Wzruszył ramionami.

– Nie miałem ostatnio czasu, dużo roboty, sama rozumiesz...

– Jestem w ciąży...

Zaśmiał się półgębkiem.

– I co? Że niby ja?

– A kto, Józek? Przecież ja tylko z tobą. Tylko ciebie kocham!

– A niby skąd ta pewność, że tylko ze mną? Skąd mam wiedzieć, że nie
sprowadzasz tam sobie innych chłopów?

– Ja możesz? – jęknęła obruszona. Nie spodziewała się po nim takiego
cynizmu.

Nagle zatrzymał się i szarpnął ją mocno za ramię.

– Chcesz mnie wrobić w bachora? Naprawdę myślisz, że ci się uda?

Stała jak wryta, oczy jej zaszyły łzami.

– Myślałam, że mnie kochasz...

Roześmiał jej się kpiąco w twarz.

– Sama wepchałaś się do łóżka. Nie prosiłem cię o to.

Weronika przełknęła ślinę. Ból upokorzenia zakłuł ją w piersiach.

– Nie spodziewałam się tego po tobie, Józek. Nie myślałam, że jesteś taki
podły...

– Dobrze sobie! – prychnął ze złością. – Masz jeszcze coś do mnie, bo mi się spieszy.

Przełknęła ślinę i cisnęła mu pogardliwie w twarz.

– Nie daruję ci tego! Będziesz płacił na dziecko, czy tego chcesz, czy nie! A teraz zejź mi z oczu! Jesteś skończonym łajdakiem! – Uderzyła go w twarz z całej siły i splunęła mu pod nogi. – Świnia! – syknęła wściekle i poszła.

„Chociaż tyle” – pomyślała, oddalając się od niego z zalaną łzami twarzą. Nie pamiętała, aby ktokolwiek ją tak poniżył i upokorzył. Trochę jej ulżyło... Tylko co teraz będzie? Jak o tym wszystkim powie w domu?

Rozdział 8

Gdzie byłaś tak długo? – Aldona Wolińska zastąpiła córce drogę, wzięwszy się pod boki. Była niewysoką, szczupłą kobietą z krótkimi, zaczesanymi za ucho mysimi włosami.

– Na spacerze z Jadzią. Dawno się nie widziałyśmy.

– Miałaś posprzątać w kuchni, jak wrócisz z pracy! – oznajmiła rodzicielka pełnym wyrzutu tonem.

– Przecież posprzątałam... – zdziwiła się Alina, odpinając guziki płaszcza. – Dokładnie tak jak chciałaś, pozmywałam, startam blaty... – dodała już ciszej, bo zbyt dobrze znała matkę i jej przywiązanie do porządku.

– To chodź, coś ci pokażę! – rzuciła wściekle w odwecie i pchnęła córkę we wskazanym kierunku.

W kuchni paliło się światło, stół lśnił czystością, w zlewie nie było brudnych naczyń, na półce równiutko obok siebie stały wypolerowane pojemniki na herbatę i kawę. Wolińska tymczasem podeszła do kuchenki gazowej, pochyliła się i otworzyła osmalone dymem drzwiczki.

– Kiedy ostatni raz szorowałaś piekarnik? Widziałaś, co zostało po niedzielnym pieczeniu ciasta?

Dziewczyna zbliżyła się niepewnie, zerknęła w czeluść piecyka, stwierdzając po chwili, że zostały w nim ślady spaleniźny.

– Przepraszam – wydukała. – Całkiem zapomniałam...

Usta kobiety zacisnęły się w wąską kreskę, brwi zmarszczyły znacząco. Alina wiedziała, co to oznacza, Matka wpadała w gniew.

– Jak śmiesz mnie okłamywać? – wrzasnęła. – Włóczysz się gdzieś całymi dniami, myślisz tylko o bzdurach, a nie o ważnych rzeczach! Uważasz, że tego nie widzę? Masz mnie za idiotkę?

Nagle zbliżyła się do szuflady i wyciągnęła z niej książkę, którą jej córka ostatnio czytała. Z wściekłością rzuciła powieść na blat szafki.

– A to co? Ile razy powtarzałam, że nie wolno w tym domu czytać takich niegodziwości? – Ręce jej się trzęsły, a twarz wykrzywiona była irracjonalnym gniewem. – A potem łęgnie się w głowie samo zło i zgorzenie!

– Ale ja... – Dziewczyna spróbowała coś dodać na swoje usprawiedliwienie, kiedy w tym momencie poczuła na twarzy silne uderzenie. Matka nie wytrzymała, musiała dać upust swojemu niezadowoleniu, jak to czyniła wiele razy z byle powodu. Dziś wyjątkowo coś ją ugryzło.

Alina chwyciła się za piekący policzek i wybiegła z kuchni, po drodze wpadając na ojca, który właśnie wrócił z popołudniowej zmiany. Zdążył zdjąć palto, odwiesić je w przedpokoju, zmienić obuwie na wygodne kapcie.

– Co tu się dzieje? – wydał z siebie okrzyk niezrozumienia, kiedy zobaczył płaczącą małą kobietkę biegnącą do swojego pokoju.

– Zapytaj swojej córeczki. Sama niech ci odpowie! – wysyczała małżonka, nie odwracając głowy w kierunku męża.

– Zapytam, zapytam... – odparł zaniepokojony.

Chwilę później wszedł do zalanego półmrokiem pomieszczenia, w którym zastał Alinę leżącą na tapczanie i łkającą.

– Co się stało? – Pan Zygmunt usiadł na brzegu łóżka i dotknął ręką jej policzka. – Dlaczego cię znów uderzyła?

– Dla niej każdy powód jest wystarczający – chlipnęła dziewczyna, dając upust swojej goryczy. – Nawet gdy go nie ma.

Tatko westchnął ciężko, chwilę ważył myśli.

– Nie mówiłem ci tego nigdy, ale... twoja matka miała bardzo trudne dzieciństwo... Kiedy miała dziewięć lat, na gruźlicę umarła jej matka. Potem ojciec, stary zwyrodnialec, pastwił się nad nią i jej siostrą. Nawet nie

wiesz, jaką im wyrządził krzywdę. Aż strach pomyśleć. – Wzdrygnął się, kiedy to mówił. – Gdyby nie to, że zmarł zaraz po wojnie, pewnie czekałby go proces.

Alina podniosła się na łokciach. Słowa ojca wywarły na niej niemałe wrażenie.

– Przez całą wojnę pracowała jako służąca u Niemców. Podobno ojciec sam ją tam oddał, zmienił też nazwisko na niemieckie, podpisując słynną volkslistę. Nie miała nawet trzynastu lat, dziecko jeszcze... Ci Niemcy, rodzina doktorów z dwójką dzieci, byli strasznie wymagający, Aldona musiała wstawać przed czwartą rano, aby wypastować panu doktorowi oficerki. Miały lśnić tak, aby można było się w nich zobaczyć. Potem wstawały kolejno dzieci, sama pani doktorowa i zaczynały się następne obowiązki. Usługiwanie, sprzątanie, pranie, gotowanie, odprowadzanie maluchów do szkoły. Wszystko było na jej głowie. I ta ciągła presja, bezwzględne posłuszeństwo i dyscyplina. To tam nauczyła się tej cholernej dokładności. Oni nie byli dla niej dobrzy, bili za każde uchybienie. Ale i tak miała więcej szczęścia od swojej siostry, która została z tym potworem w jednym domu.

– Co zrobił cioci Bożenie? – spytała lękliwie Alina.

Ojciec znów westchnął bezradnie.

– Zapytaj, czego nie zrobił... – mruknął głucho, zawieszając na moment głos w powietrzu.

Spojrzała na niego pytająco, marszcząc gęste, czarne brwi. Tymczasem on otrząsnął się z przykrych myśli, pogłaskał córkę po policzku i wstał.

– Kiedyś ci o tym opowiem, ale dziś nie mam na to siły...

– Dziękuję, tatusiu – rzuciła w stronę przystojnego mężczyzny ubranego w sztruksową marynarkę. – Bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też, córeczko.

Zanim wyszedł, odwrócił się jeszcze.

– I nie miej do niej żalu. Ona też cię kocha, tylko na swój pokrętny sposób.

Alina uwielbiała ciocię Bożenę, siostrę matki. Przez całe swoje dzieciństwo co roku, zwłaszcza latem, jeździła do niej na wieś, gdzie wspólnie z mężem Janem krewna prowadziła niewielkie gospodarstwo. Dziewczyna kochała wieś, przyrodę, zwierzęta i ten niesamowity związek człowieka z naturą. Gdyby nie szkoła, mogłaby stamtąd nie wracać. Tęskniłaby jedynie trochę za ojcem... Za matką raczej nie, nigdy nie usłyszała od niej ciepłego słowa, nie zaznała bliskości ani czułości. Poza tym Wolińska nie znosiła wsi, która jej zdaniem śmierdziała łajnem i chamskim potem, i nie kryła swojej pogardy do chłopów, których uważała za prostaków i brudasów. Przez to nawet pokłóciła się z jedyną siostrą Bożeną, bo ta obwieściła pewnego dnia, że zamierza wyjść za mąż za małorolnego. Obie wychowały się w Lublinie, pięknym mieście ze wspaniałą starówką. Ich mama, nim zachorowała, pracowała w księgowości, ojciec w banku. Obszerne mieszkanie na Krakowskim Przedmieściu Aldona zapamiętała jako eleganckie, wytworne i zadbane: trzy pokoje, wielka, kwadratowa kuchnia, prostokątna łazienka z wanną i długi korytarz z mnóstwem szaf na ubrania. Mieli gosposię, która przychodziła dwa razy w tygodniu i sprzątała, robiła zakupy, przygotowywała posiłki. Z okien rozpościerał się widok na deptak, po którym o każdej porze dnia i późnej nocy przewijało się mnóstwo osób. Towarzyszył ich życiu nieustanny gwar, który kojarzył się Alinie ze szczęściem i dobrobytem. W dolnych częściach kamienic mieściły się liczne restauracje, kawiarnie, sklepy, apteki, zakłady fotograficzne, między innymi skład z artykułami korzennymi, który należał do słynnego kupca Jana Mincla z *Lalki* Bolesława Prusa. Sam pisarz też przez pewien czas żył w Lublinie, dlatego nie omieszkał opisać na kartach swojej powieści niektórych ważnych miejsc, jak słynna kamienica Chmielewskich, gdzie mieściła się najpopularniejsza wówczas kawiarnia, albo dom samego Mikołaja Reja czy zbudowany w drugiej połowie osiemnastego wieku Pałac Morski. Mieszkali przy najbardziej reprezentacyjnej ulicy Śródmieścia, ciągnącej się od placu Króla Władysława Łokietka aż do placu Litewskiego. Ile się tam działo! Krakowskie Przedmieście i plac Litewski były nierzadko areną pochodów,

zamieszek na tle antysemickim, festynów i manifestacji, a pod pomnikiem Unii Lubelskiej odbywały się uroczystości i barwne defilady oddziałów Wojska Polskiego. Obie siostry były świadkiem tych wszystkich wydarzeń i gdyby nie przedwczesna śmierć mamy, a potem wojna, ich ojciec być może nie zamieniłby się w potwora.

Aldona odczuwała niezwykłą dumę, że urodziły się w mieście, w najcudowniejszym miejscu na ziemi, i nie mogła pogodzić się z tym, że jej siostra pogrzebała na zawsze wyższość pochodzenia, wiążąc się z prostym chłopem bez krzty oglądy i wykształcenia. Alina miała na ten temat odmienne zdanie. Ciocia naprawdę kochała, co więcej – z wzajemnością. Bożena była delikatna i dobra. Zachowywała się tak, jakby przepraszała wszystkich za swoje istnienie, mimo czułości, jaką okazywał jej mąż. W dodatku siostrzenicę traktowała jak własną córkę. Biologicznych dzieci nie mieli, kobieta okazała się bezpłodna, dlatego niedługo po ślubie zdecydowali się na adopcję dwójki dzieci, bliźniąt: chłopca o imieniu Maciej i dziewczynki o imieniu Marcelina. Jednojąjowi, podobni do siebie jak dwie krople wody. Byli kilka lat młodsi od Aliny, ale od zawsze łączyły ich z kuzynką serdeczne relacje. Ile razem napsocili, ile natruli krwi nadopiekuńczej matce, tylko ona wiedziała.

Mąż Bożeny był prostolinijnym mężczyzną, niezwykle pracowitym i obowiązkowym. Jego gospodarstwo, choć biedne, zawsze było obrobione, zwierzęta czyste, zadbane, a obojście miłe. Trzyizbowy, drewniany dom ze strychem, gdzie wygospodarowano miejsce na małeńki pokój, bez łazienki, z kuchnią wyposażoną w stół, krzesła, kredens i wodniarkę, na której stała blaszana miska do mycia i wiadro wody, świecił czystością, za co odpowiedzialna była ciocia. Wychodek mieścił się w końcu podwórka tuż przy oborze i stajni, gdzie też wynoszono wszystkie nieczystości. Kobieta nie należała do rozmownych, za to potrafiła czułym, bezpretensjonalnym gestem okazać miłość i przywiązanie. W jej szarych oczach tkwił nieustanny smutek, Alina nie miała pojęcia dlaczego. Wujostwo kochało się, co było widać na każdym kroku, a jednak musiała ją dręczyć jakaś zhora z dzieciństwa, której w żaden sposób nie mogła się pozbyć...

Młoda Wolińska miło i z rozrzewnieniem wspominała czas spędzony u wujostwa. Prace w polu, spacerunki po łąkach czy wyprawy do lasu na jagody lub grzyby. Zawsze w towarzystwie bliźniaków, których nie sposób było nie lubić. Matka zabraniała jej wyjazdów na wieś, na szczęście tato miał coś jeszcze do powiedzenia i umiał czasem przekonać żonę do swoich racji.

Kiedyś Alina zapytała ciotkę, jak poznała wujka. Okazało się, że przyjechała na wieś pod Poznań uczyć wiejskie dzieciaki języka polskiego. Została wytypowana do tego zadania zaraz po ukończeniu studiów na wydziale pedagogiki. Na początku nie ucieszyła jej ta wiadomość, misja wydawała się karkołomna. Miała nie tylko uczyć miejscowych ojczywego języka, ale jeszcze wpajać chłopom najszustniejszą ideę komunistów, czyli ideę socjalizmu. Nie była tym zachwycona, dlatego kiedy przyjechała do małej miejscowości Pyrów z jedną walizką w ręku i zamieszkała w budynku szkoły, gdzie wydzielono dla niej schludny, oszczędnie urządony pokój, ogarnęło ją coś w rodzaju wewnętrznego rozdarcia. Najpierw poczuła się samotna jak jeszcze nigdy dotąd, wszystko wokół wydawało się obce, poza tym nie przywykła do wiejskich klimatów i mentalności. A jednak ta otaczająca ją zewsząd prostota sprawiła, że po raz pierwszy poczuła kielkujące w piersiach ciepło. Panował tu taki spokój, było cicho i pięknie. Stojąc w oknie na piętrze drewnianego budynku, mając przed sobą widok na przycupnięte wzdłuż drogi zabudowania, w dali łańcuchy pól i lasów, a wreszcie ścianę lasu, poczuła się wreszcie szczęśliwa. Dzieci okazały się pilne i pomocne. Dziarsko nosiły węgiel i drzewo do pieca, którym ogrzewała pokój, towarzyszyły w drodze do wiejskiego sklepu, podrzucały pod drzwi dojrzałe owoce czy słoiki z przetworami. Niejeden raz czuła się wzruszona, widząc stojący pod nogami wiklinowy kosz z wiktuałami, dlatego robiła wszystko, aby dzieci z jej klasy nauczyły się jak najwięcej, a zarazem zapamiętały ten czas dobrze. Pewnego deszczowego dnia wracała z przystanku PKS-u. Zapomniała parasola, choć silny wiatr i tak by go wygwał w drugą stronę. Zasłaniała się wysokim kołnierzem palta, skulona patrzyła pod nogi, aby się nie poślizgnąć i nie wpaść w błotnistą dziurę. Właśnie wtedy zobaczyła zatrzymującą się obok furmankę. Woźnica gwizdnął na konia, śmignął w powietrzu batem i rzucił zachęcająco w jej stronę:

– Proszę wsiadać, podrzucę do domu! Do szkoły jeszcze ze trzy kilometry!

Zdziwiła się, skąd obcy mężczyzna wiedział, gdzie mieszka i pracuje, ale nie oponowała, tylko wsiadła. Nie uśmiechało jej się maszerować dalej w ulewie i zawierusze. Pomógł jej, wyciągając ramię i przytrzymując, kiedy stawiała drobną stopę obutą w ubłocony trzewik na chwiejącym się dyszlu. Szarpnął tak mocno, że wpadła wprost na niego. Ta bliskość ją onieśmieliła. Patrzyły na nią wielkie niebieskie oczy młodzieńca o przyjemnej aparycji.

Przeprosiła, podziękowała nieskładnie, a potem usadowiła się obok na twardej ławce. Przez całą drogę nic do siebie nie mówili, klacz kłapała podkawkami, deszcz zacinał równo, a mężczyzna obok mruczał pod nosem jakąś melodię.

– Tak to się zaczęło – zakończyła wówczas swoją opowieść ciocia Bożena, uśmiechając się oszczędnie. – Smalił do mnie cholewy jeszcze przez dwa lata, aż wreszcie zgodziłam się za niego wyjść. Aldona była przeciwna. Obruszyła się, stwierdzając na koniec, że nie ma już siostry. Ale cóż mogłam zrobić? Ona i tak już miała swoje życie, swojego Zygmunta. Nie byłam jej do niczego potrzebna, musiałam pomyśleć o własnym szczęściu.

– I nie miałaś nigdy żalu do mamy? – drążyła Alina, nie rozumiejąc decyzji matki.

– Nie, wcale – odparła ciocia, a po chwili zamyślenia kontynuowała: – Obie wiele przeszłyśmy, każda z nas jest inna, każda inaczej postrzega szczęście. Ale to, co dla twojej mamy jest dobrem, nie musi być dla mnie. I odwrotnie. Może kiedyś to zrozumie, a jak nie... – prychnęła – to trudno. Jej wybór. – Przytuliła Alinę mocno do siebie i szepnęła siostrzenicy do ucha: – Dobrze chociaż, że mam ciebie.

Rozdział 9

Józia pochyliła się nad małym berbeciem w grubych rajtuzach i kusej sukience z naszytą na przodzie aplikacją z misiem. Nina była niemal łysa, miała okrągłą buzię, czarne jak smoła oczy i urocze dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiechała.

– W kwietniu skończy dwa lata. Jest taka kochana. Nie sądziłam, że zwa-
riuję na starość na punkcie wnuczki.

– Jaka starość? – wtrąciła Stefania z oburzeniem. Pięćdziesiątka dopiero
co nam stuknęła, wszystko jeszcze przed nami!

Siedzieli w salonie, który niewiele się zmienił od czasu, kiedy Stefania odwiedzała Wróblewskich jeszcze z Tadeuszem. Otaczały ich te same ściany obite mięsistą, zieloną tapetą w złote esy-floresy, te same ciężkie meble obite butelkowym welurem, okrągły stół nakryty dzierganym obrusem i tapicerowane krzesła z rzeźbionymi podłokietnikami. Na pianinie stała czarno-biała fotografia w zdobnej ramce, przedstawiająca Kazimierza i Józię w czasach ich świetności. Zdjęcie wykonano na jednym z koncertów, oboje byli na nim elegancko ubrani i wyglądali na niezwykle szczęśliwych. Obok stało drugie zdjęcie, uwieczniono na nim Rozalię i człowieka, którego poślubiła kilka lat temu.

– Chyba dla ciebie, Stefcu. Moje życie zakończyło się wraz z odejściem
Kazia. Bez niego już nic nie będzie nigdy takie samo.

Stefania nie skomentowała słów przyjaciółki, wstała i podeszła do pianina.

– Pasują do siebie – stwierdziła, przyglądając się odbiciu młodej Wróblewskiej, po mężu Czarneckiej, ubranej w suknię ślubną i jej przystoj-

nemu mężowi.

– Dobrali się jak w korcu maku! – potwierdziła Józia, sarkając głośno. – Szkoda tylko, że wciąż nie mają czasu dla dziecka. Nosi ich po świecie, i nosi... – dodała karcąco. – Kariera ważniejsza od wszystkiego.

W tym momencie do pokoju weszła otyła kobieta ubrana w luźną podomkę. Chwyciła dziewczynkę za rękę, chcąc ją zaprowadzić do kuchni.

– Ja nakarmię Nineczkę, a pani niech porozmawia z gośćmi – rzuciła przez ramię, jakby to było czymś oczywistym. – Przynieść coś jeszcze?

– Dziękuję, Pelagio, poradzimy sobie. Ciasto i kawa wystarczą. Za godzinę wyjdziemy coś zjeść. Czekamy tylko na Antoniego.

Kobieta mruknęła w odpowiedzi.

– Może położysz Ninę? Nie spała jeszcze dzisiaj...

– Tak, proszę pani – odparła posłusznie gosposia, zamykając za sobą drzwi do salonu.

– To jeszcze po jednym, drogie panie? – spytał Felek, który dotychczas siedział na krześle, nie wtrącając się do rozmowy. Na stoliku w kącie stał telewizor marki Alga. Nadawano koncert zespołu Dwa plus Jeden. Najnowszy szlagier *Windą do nieba* wybrzmiewał cicho z głośników odbiornika. Wysoka, zjawiskowa piękność w czarnym kapeluszu uwodziła głosem ze szklanego ekranu. Towarzyszący jej dwaj mężczyźni z długimi jasnymi włosami, zawadiackim wąsem i brodą tworzyli zgrane tło, operując gitarą i saksofonem.

– Nalej, Felek! – przystała ochoczo na propozycję Józia.

Wstała z sofy i podeszła do przyjaciółki. Miała na sobie jedwabną, luźną tunikę w kwiaty z szerokimi rękawami. Wyglądała w niej jak prawdziwa gwiazda.

– Cieszę się, że przyjechaliście. Jak zauważyłaś, trudno mi teraz wybrać się gdziekolwiek. Gdyby nie moja słabość do tej istotki, pewnie miałabym to wszystko gdzieś. A tak, sama widzisz... Dobrze, że mam Pelagię. Małomówna jest, ale pomocna i uczciwa. A dziś trudno o taką osobę.

– To prawda – przytaknęła Stefcia z uśmiechem. – Nie przypuszczałam, że twoja córka zdecyduje się na aktorstwo. Wcześniej nic na to nie wskazywało. A teraz... stała się taka popularna, że ho, ho! – Pokiwała głową, nie kryjąc podziwu.

– Wiele zawdzięcza właśnie jemu. – Wróblewska wskazała na podobiznę zięcia. – To on rozwinął jej karierę, choć jak widzisz... Coś za coś. Wciąż podróżują, to zdjęcia, to próby, premiery, rauty... Dziwię się, że w ogóle zdecydowała się urodzić dziecko. – Westchnęła ciężko. – Ale dzięki temu nie czuję się samotna po śmierci Kazia. Nineczka wypełnia pustkę po nim.

– A twoja kariera? – spytała Stroińska. – Nie chcesz wrócić do śpiewania? Sceny i publiczność na ciebie czekają.

Józia wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę... Poza tym... nie czuję się jeszcze na siłach. Od śmierci Kazimierza minęły dopiero trzy lata. Wciąż nie mogę się z tym pogodzić. To się stało tak nagle. Po prostu był... i go nie ma. To straszne! Właśnie w tym pokoju. Chciał coś powiedzieć i tylko zbladł. Przewrócił się i po wszystkim. Na pomoc już było za późno... – Zakryła twarz dłońmi, próbując wyrzucić z pamięci tamten obraz.

Przyjaciółka objęła ją ramieniem.

– Już dobrze, Józiu, już dobrze... Nie myśl o tym w ten sposób. Przeżyliście razem tyle cudownych chwil. Był od ciebie przecież sporo starszy.

– Nigdy nie przypuszczałam, że on pierwszy. Zawsze cieszył się dobrym zdrowiem. To ja wiecznie narzekałam... Teraz myślę, że o wielu rzeczach mi po prostu nie mówił.

– Tacy są mężczyźni. Z moim Felkiem jest podobnie. Nigdy się na nic nie skarży, choć wiem, że wojna i łagry zrujnowały mu zdrowie.

– Jesteście tacy zakochani! – szepnęła Wróblewska. – Aż miękko się robi, jak się na was patrzy. To niewiarygodne. Po tylu latach!

– Nie przesadzaj! – zaoponowała Stefania. – A wy? Z wami było inaczej?

– Właśnie nie – odparła zgaszonym głosem Józia, a potem szarpnęła przyjaciółkę za łokieć. – Wracajmy do stołu! Felek się na nas w końcu zde-

nerwuje. Zostawiłyśmy go samego przed telewizorem.

– Nie samego, nie samego! Z Elżbietą Dmoch! – ironizował mężczyzna, uśmiechając się łobuzersko.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Najpierw ukazała się w nich słusznej tuszy Pelagia, która swoim pozbawionym emocji głosem zapowiedziała gości. Następnie zza jej pleców wyskoczył roześmiany Antoni.

– Jesteśmy! – zawołał, a wszyscy, zaciekawieni, podnieśli głowy. – Chciałbym, abyście kogoś poznali.

Odwrócił się i wyciągnął ramię. Z korytarza do salonu wkroczyła kruczoczarna piękność z intensywnie niebieskimi oczami.

– To jest właśnie Alina. Moja dziewczyna – powiedział z dumą ociekającym czułością głosem.

Rozdział 10

Antek wrócił po wyczerpującej zmianie do hotelu, stwierdzając ze zdziwieniem, że w pokoju oprócz Rysia są jeszcze jakieś osoby. Kolega nie zapowiadał, że ktoś ma do niego przyjechać, dlatego Ostrowski trochę się zdenerwował. Liczył na odpoczynek, czuł się ogromnie zmęczony, w głowie miał ostatnie wydarzenia, które chciał kolejny raz przeanalizować.

Parę dni temu namówił Alinę na wizytę u cioci Józki w Śródmieściu, wiedząc, że będą u niej mama z Felkiem. Podczas spotkania przedstawił najbliższą swoją ukochaną. Mama od pierwszej chwili pokochała Alinę jak córkę, czego nawet nie kryła. Ciocia Wróblewska też ją polubiła, a Feliks pomógł jej założyć płaszcz, kiedy wychodzili do restauracji na obiad. Czuł, że dziewczyna kupiła wszystkich nie tylko urodą, ale wdziękiem i skromnością. Już snuł plany i zastanawiał się, czym jeszcze zaskoczy Alinę, tymczasem w pokoju czekała na niego niespodzianka.

– Masz gości – powitał go Rysiek zgaszonym głosem.

– Gości? – powtórzył zdziwiony. – Nikogo nie zapraszałem.

Rzucił okiem na siedzące na tapczanie osoby. Gruby, spocony mężczyzna w wymiętej koszuli w prążki i znajomo wyglądająca kobieta, choć znacznie zaokrąglona. Z niemałym trudem rozpoznał w niej Hankę – sprawczynię jego higienicznych problemów. Przyszła mu ochota, aby jej co nieco wygarnąć, gdy nagle postawny towarzysz otaksował Antka badawczym, jednocześnie groźnym spojrzeniem.

– Co jest? – jęknął zdezorientowany chłopak. Spojrzał na kumpla, który rozłożył bezradnie ręce.

W tym momencie oblany potem facet wstał i zwrócił się do Antka:

– No cóż... skoro już bydziemy rodziną, musimy się poznać bliżej. Bogdan jestem! – I wyciągnął w jego kierunku wielką jak łopata łapę.

– Że co? – Ostrowskiego zalała fala wściekłości. Zrobił się czerwony jak burak, w jednej sekundzie poczuł na plecach zimny pot. – Ale o co chodzi?

Grubas roześmiał się kpiąco. Wskazał na dziewczynę, która nie ruszała się z miejsca. Trzymała na kolanach torebkę i mięła nerwowo palcami skórkowy pasek.

– No chyba się teraz nie wyprzesz? Zabawiłeś się z moją córką, to musisz ponieść konsekwencje. Każdy honorowy chłop by tak się zachował. A ty co, jesteś honorowy? – Zmrużył oczy i wpatrywał się w Antka uparcie.

Chłopak wzdygnął się na te słowa.

– Że co? – mruknął z niedowierzaniem.

– Nie spodziewołem się takiego powitania, córeczko! – zwrócił się z sarkazmem mężczyzna do swojej latorośli, która z rumieńcami na twarzy i zacisniętymi ustami nie miała odwagi spojrzeć na Antoniego.

– Powiedz prawdę, jak było. To ten? To un zmajstrował ci tego bynkarta?

Dziewczę, nie mówiąc nic, robiąc jedynie nieszczęsną minę, pokiwało twierdząco głową.

– Hanka, jesteś pewna? – wydukał chłopak. – To był tylko ten jeden raz! Uważałem przecież! – dodał łamiącym się głosem.

Znów potwierdziła, zaciskając wargi i mnąc nerwowo pasek od torebki.

– Widocznie nie tak bardzo, jak ci się wydaje – wtrącił ojciec ironicznym tonem. – Zatem przyznajasz, że społeś z moją córką. A jak społeś, to dzi-ciok twój.

Ostrowski usiadł na taborecie, ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Jego wizja wspaniałej przyszłości u boku dziewczyny, którą kochał na zabój, właśnie legła w gruzach.

– To niemożliwe! – jęknął.

– Niemożliwe to jak teściowa wpadnie do studni i się nie utopi! – palnął żart ojciec Hanki. – Aleś sobie wybrała narzeczonego! – Splunął pod nogi, nie kryjąc rozeźlenia.

W tym momencie dziewczyna rozplakała się na dobre i zerwała z miejsca.

– Chodźmy stund, tatusiu! Najwyżej sama je wychowum! – rzuciła nieco teatralnie. – Bez ojca, ale trudno. Niech się cała wieś śmieje, niech mnie noszum na językach! Niech wyzywają moje dziecko od bynkarta!

– Chodźmy! – zgodził się mężczyzna, ściągając z oparcia krzesła marynarkę. – Niech sobie chłopina przemyśli. Damy mu kilka dni na odświeżenie paminci. A potem... sam do nas przyleci. Już ja ci to, córeczko, obiecuję – zagrzmiał złowrogo.

Mówiąc to, rzucił na ławę zwiniętą kartkę papieru. Antek nawet się nie ruszył, kiedy oboje opuścili pokój, a zaskoczony do granic Rysio zamykał za nimi drzwi.

Zrobiło się cicho i tak nieprzyjemnie, że aż łupało w głowie.

Kolega zgarnął z ławy zgnieciony papier. Widniał na nim nagryzmołony koślawymi kulfonami adres.

– Przykro mi, stary... – jęknął Rysiek, nie wiedząc, co powiedzieć. – To wszystko moja wina... I co zamierzasz teraz zrobić?

– Jak nie uważałeś, co robisz, to rób, co uważasz – burknął gniewnie Antek, pochylając się nad podłogą i wciąż tarmosząc włosy z bezradności.

Rozdział 11

Synku, musisz się z nią ożenić! Nie masz wyjścia. – Stefania twardo prezentowała swoje stanowisko, choć w środku wszystko rwało jej się na strzępy. – Nie tak miało być – jęknęła zdruzgotana, mając przed oczami obraz pięknej, mądrej Aliny, wymarzonej synowej.

– Ja jej nie kocham, mamó! To był tylko jeden niewinny raz!

– O jeden raz za dużo – mruknęła zrezygnowana. – Nie możesz tej dziewczyny zostawić teraz na pastwę losu. Musisz odpowiadać za swoje czyny. Tak cię zawsze uczyłam. Zapomniałeś?

Chłopak oparł łokcie na stole w kuchni, czoło i skronie ukrył w dłoniach. Siedząca obok babcia Krystyna tylko kiwała smutno głową.

– I pomyśleć, że tego doczekałam...

– A może pokochasz ją z czasem? – zagadnęła matka, chlipiąc głośno. – Może to nie jest zła dziewczyna?

– Taaa... – sarknął bez przekonania. Przypomniała mu się niespodzianka, jaką po sobie zostawiła. Wolał jednak o tym nie wspominać, by nie pogarszać sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie wyobrażał sobie życia u boku innej kobiety niż Alina, ale w tym momencie musiał przyznać się do porażki.

I co jej teraz powie? Jak jej obwieści, że wkrótce zostanie ojcem?

Już na samą myśl skręcało go w kiszki. Po tych wszystkich skradzionych pocałunkach na przystanku tramwajowym, po tych obiecujących słowach dotyczących wspólnej przyszłości?

Mama podeszła do niego i położyła rękę na ramieniu.

– Bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję, wiedz, że bardzo cię kocham, synku. Gdybym mogła przeżyć to za ciebie, zrobiłabym to, ale wiesz, że to niemożliwe.

– A co ty byś, mamusiu, zrobiła na moim miejscu? – Podniósł głowę i przyglądał jej się z nadzieją w dużych, brązowych oczach.

– Ja? – spytała zaskoczona. Myślała chwilę intensywnie, a potem powiedziała powoli: – Wiem, że nie spodoba ci się to, co powiem, ale na pierwszym miejscu jest odpowiedzialność za swoje czyny. Jeśli się nawarzyło piwa, trzeba je wypić. Tym bardziej że chodzi tutaj o dziecko, które niczemu nie jest winne. Czasem za krótką chwilę zapomnienia trzeba słono zapłacić. Nikt nie powiedział, synku, że będzie łatwo...

Chrząknął, wysłuchawszy jej wypowiedzi, a po chwili przytaknął z rezygnacją.

– Rozumiem...

Wstał, pokręcił się po kuchni, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– Muszę się napić, bo oszaleję. Nalać wam?

– Nalej! – padła głucha odpowiedź.

Rozdział 12

W mieszkaniu przy alei Włókniarzy panował ten sam bałagan co zwykle. Domownicy nie zwracali już uwagi na wszechobecny kurz i sierść, którą oblepione były wszystkie powierzchnie mebli, a koty leżały rozłożone na dywanie i parapecie okna i nic nie robiły sobie z obecności gościa. Bajeczka z papierosem w palcach, którego metodycznie obracała, stała przy oknie z widokiem na zasypany śniegiem trawnik. Jej mąż siedział na wersalce przy rozłożonej gazecie z krzyżówką, której nie zdążył dokończyć ze względu na niezapowiedzianą wizytę. Na ławie w szklankach umieszczonych w wiklinowych koszyczkach stały trzy zaparzone herbaty. Wszystkie już wystygły.

– Matka mnie zabije, jak się tylko dowie. Powie, że okryłam hańbą całą rodzinę. Znam ją i tego jej całego Felka – rzuciła wzgardliwie Weronika i wydeła pełne usta.

– Nie lubisz go? – Przez twarz Tadeusza przebiegł cień satysfakcji.

– Nie o to chodzi! – burknęła, wycierając zapłakane oczy, rozmazując smugi tuszu na policzkach. – Tylko jest taki jakiś mrukliwy, poza tym... zawsze stoi po jej stronie. A jak wiesz, ona tylko kocha Antosia. Synuś to cały jej świat, jakbym ja była z innego miotu.

– A może jesteś? – zasiał niepewność ojciec i uśmiechnął się półgębkiem.

Spojrzała na niego skonsternowana, potem znów się rozbeczała.

– Tylko co ja teraz zrobię? Na pewno dowiedzą się, że pomieszkiwałam w tamtym mieszkaniu, zabiorą mi klucze i zamkną mnie jak w więzieniu!

– Nie płacz! Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie. A może zamieszkas u nas?

Ostrowski rozejrzał się ostrożnie po lokalu, jakby próbował oszacować, czy aby na pewno znajdzie się tutaj miejsce dla trzech osób. Mieli tylko dwa pokoje, ale przecież jeden, ten mniejszy, chwilowo mogłaby zająć córka. Dzięki temu odegrałby się na Stefanii, nie musiałby już płacić alimentów – analizował w myślach.

Wtedy napotkał rozsierdzony wzrok małżonki.

– To może pozbądź się ciąży! Po co ci ten dzieciak? Mało masz problemów? – Wypuściła z ust kółko z dymu, po czym dodała zimno: – Młoda jeszcze jesteś, życie sobie zmarnujesz.

– Ale ja się boję! – Weronika oprzytomniała. – Tyle się nasłuchałam o nieudanych aborcjach. A co, jeśli już potem nie będę mogła mieć dzieci?

– A po co ci one? – prychnęła ze złością macocha. – Tylko kłopot i wydatki!

W gęstym od dymu powietrzu zawisła niezręczna cisza.

– Ale ja chcę urodzić to dziecko – wyznała po chwili poruszona. – To owoc wielkiej miłości, przynajmniej z mojej strony – dodała, łkając.

– Łajdak! – syknął ojciec na wspomnienie wiarołomnego Józka. – Gdybym mógł, obciąłbym mu jaja!

– Tato, ja go wciąż Kocham! – zaprotestowała córka.

– To jak mamy ci pomóc? – burknęła Bajeczka. – Przecież tutaj nie ma miejsca dla czwórki, prawda, Kochanie? – zwróciła się do Tadeusza, uśmiechając się wymownie.

– Tylko na jakiś czas... – bąknął zmieszany Ostrowski. – A później coś wymyślimy.

– Ciekawe co? – rzuciła zjadliwie, spoglądając z politowaniem na jego córkę, która cały czas kiwała się na wersalce i obejmowała twarz rękoma.

– No... nie wiem... Przede wszystkim trzeba będzie porozmawiać ze Stefanią, uspokoić ją. Weronika nie powinna się denerwować, w jej stanie... – jękał się Tadeusz, nie spuszczać oczu z małżonki. Ta nie ukrywała coraz większej irytacji jego zachowaniem. Wciągała zachłannie dym z papierosa i wypuszczała z ust demonstracyjnie wielkie koła. Znał ten odruch, wie-

dział, że po wyjściu Weroniki czeka go karczemna awantura, na którą szczerze mówiąc, nie był gotów. Wiedział, czego jego ukochana nie może mu wybaczyć. Ona też spodziewała się dziecka, zaraz na początku ich romansu. Oboje podjęli decyzję o aborcji. Wtedy im się wydawało, że urodzenie potomstwa bardzo skomplikuje im życie. Niestety, Bajeczka już później nie mogła zajść w ciążę. Nigdy nie powiedziała tego głośno, ale on miał świadomość, że ma o to do niego wielki żal. Nie zdecydował się na odejście od żony od razu, nie odwiódł kochanki od tej niefortunnej decyzji. A teraz... na wszystko już było za późno.

– Prześpisz się u nas, córeczko, czy wracasz do siebie? – zagadnął Tadeusz, nadając głosowi troskliwy, czuły ton. W głębi duszy chciał, by Weronika poszła, odwykł już od problemów dzieci, a ich poukładane życie miało swój rytm.

– Wracam – usłyszał odpowiedź, na co poczuł ogromną ulgę. – Jeszcze nic nie widać, to dopiero dziewiąty tydzień. Mam jeszcze czas na podjęcie decyzji.

– Słusznie – przyznał ojciec, zadowolony z obrotu sprawy. – Gdybyś jednak czegoś potrzebowała, zawsze możesz na nas liczyć. I do twojej matki pójdziemy, nie obawiaj się. Nie chcę cię z tym zostawiać samej.

Weronika podniosła na ojca wdzięczny wzrok i rzuciła cicho:

– Dziękuję, tatusiu, jesteś kochany.

Rozdział 13

Do małej miejscowości Jesionka niedaleko Żyrardowa wybrali się we troje. Feliks wypucował trabanta, którego jakiś czas temu nabył za talony, wyłożył siedzenia ze skaju kocami i zapakował do bagażnika torby podróżne. Nie planowali przedłużać pobytu, jednakże przygotowali się na każdą ewentualność. Zima na kilka dni zelżała, opady śniegu w ostatnich dniach zmalły, choć nie ustały zupełnie. Stefania ubrana w kozuch i czapkę z lisa wtarabaniła się do samochodu, nakazując mężczyznom, aby się pośpieszyli. Stali jeszcze na podwórku w towarzystwie dozorca, który od rana odśnieżał teren wokół kamienicy, i pomagającemu mu sąsiadowi spod trójki. Wszyscy uskuteczniili rozmowy o nadchodzących zmianach: wzroście cen paliwa i żywności, a także jej braku z powodu paraliżu państwa spowodowanego ostrą zimą. Przelewała się fala goryczy na system i partię, która przestała już być narodowym autorytetem. Przeklinali, nie szczędząc gorzkich słów pod adresem stalinowsko-breżniewowskiego buta, który od zakończenia wojny ugniatał ojczyźnianą gospodarkę, a także wielotysięczny dorobek kultury i przerabiał wszystko w kupkę bezwartościowego mialu.

Stroińska utyskiwała jeszcze chwilę, czując coraz większe zdenerwowanie z powodu czekającej ją wizyty u przyszłych teściów. Nie wiedziała, czego się można po tych ludziach spodziewać, nie znała ich mentalności i nawyków. „Do czego to doszło?” – jęknęła w duchu. Do tego zima w pełni, drogi śliskie, a dni krótkie. Była wściekła na syna, że wpakował się w taką kabałę, zwłaszcza że zdążyła poznać i bardzo polubić Alinkę. Tamtego dnia, kiedy Antek przyprowadził ją do Józi, matczyne serce Stefanii zabiło

szybciej. Poczwała słabość do tego dziecka, i to nie dlatego, że była samą córką szefa, przykładem miłego usposobienia i skromności, ale z powodu czułości, jaką poczuła, kiedy ścisłała ją w swoich ramionach. Dziewczyna lgnęła do niej jak do prawdziwej matki, zupełnie jakby innej nie miała. Zrobiła na wszystkich dobre wrażenie, nawet Felek cmoknął z uznaniem dla gustu pasierba, choć rzadko się wypowiadał na takie tematy. Józia była zachwycona, nie mogła się powstrzymać od licznych pozytywnych komentarzy na jej temat, wciąż ją o coś wypytywała, za każdym razem uzyskując trafną odpowiedź, świadczącą o mądrości dziewczyny. Nawet mała Ninka lgnęła do nowo poznanej, pozwałała się tulić, całować, wdrapywała na kolana, domagając się uwagi.

A teraz miało się okazać, że jakaś inna panna zajmie miejsce Alinki i będzie oczekiwała podobnej atencji, a nawet miłości. Na razie nie wyobrażała sobie tego. Kiedy mijali wiejski kościół, wzniesiony tuż przy głównej drodze, przyszło jej na myśl, że skoro zdarzył się cud, bo Polak został papieżem, to może zdarzy się coś, co spowoduje, że do tego ślubu nie dojdzie. Będzie się o to modliła – postanowiła solennie, spoglądając na otaczający ich, spowity bielą krajobraz. W mieście tego nie było widać, ale tu, na wiejskich drogach, widziała ogromne zasy śniegu na poboczach, które tworzyły coś w rodzaju wysokiego ogrodzenia.

Zatrzymali się przed piętrowym ceglany budynkiem przypominającym klocek. Wjazd był dokładnie odśnieżony, brama otwarta na oścież. Z tyłu, za zabudowaniami gospodarczymi, dostrzegli kilka szklarni.

– No to trafili nam się badyłarze! – skwitował Felek, uśmiechając się półgębkiem.

Gdy tylko wjechali na rozległe podwórze, z budy wyskoczył brązowy kundel i zaczął głośno ujadać. Na szczęście był uwiązany, a to oznaczało, że nie wpije im się w łydki. Jego jazgot wywabił mieszkańców domostwa z różnych zakamarków, bo zaalarmowani wybiegli zobaczyć, kto przyjechał. Nie spodziewali się gości albo spodziewali, tylko akurat nie dzisiaj.

Gospodyni, kobieta około czterdziestki, w chustce na głowie, miała na sobie luźną podomkę i narzucony na nią ortalionowy serdak, wybrudzony na przodzie. Na nogach filcowe buty, które stanowiły śmieszny kontrast z pozostałą garderobą, choć wiadomo, praca w gospodarstwie wymagała odpowiedniego ubioru. Ręce miała czerwone i spracowane, twarz okrągłą, nawet ładną. Wyglądała na zaskoczoną, bo tylko niepewnie się przywitała i pokręciła głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Dołączyła do niej druga kobieta, chuda, zniszczona na twarzy, a po chwili dobiegł jeszcze podobny do niej typ, z zaczerwienionym nosem, w przekręconym na bakier berecie, z papierosem w kąciku ust. Gospodarz ubrany w wyświechtaną kufajkę i czapkę uchatkę na ich widok rozłożył szeroko ramiona, uśmiechnął się triumfalnie pełną gębą i zawołał z niebywałą szczerością:

– Wiedziałem, że przyjdziecie, tylko nie myślałem, że tak szybko. Bogdan jestem!

Podszedł do Stefki i ucałował ją siarczyście w oba rozgrzane policzki. Potem nastąpił dalszy ciąg ceremonii powitalnej, podawali sobie zgrabiałe ręce, przedstawiali się sobie, operując imionami.

– A gdzie Hania? – spytał Antek, rozglądając się niepewnie dookoła.

– Zaraz przyjdzie, poszła do sklepu po świeży chleb. Dzisiaj opóźniła się dostawa z piekarni, wyłunczyli nam rano prund, mieli też rzucić papier toaletowy.

Przytaknęli bez słowa zgodnym chórem, a wtedy znów wtrącił się gospodarz, proponując im spacer po obejściu.

– Bogdan, zaproś gości na herbatę. Pewnie są zmęczeni po długiej podróży! Później pokażesz szklarnie! – wtrąciła się kobieta, na co on zareagował stanowczo:

– Idź, Wieśka, do kuchni i przygotuj coś! My zaraz wrócimy! A wy, do roboty! – zwrócił się do stojących obok wgapionych ludzi.

Jak się okazało, szklarnie – duma ojca Hanki – przyłączone zostały do kotłowni ogromnymi rurami. Stał tam wielki, brzuchaty piec, rozgrzany do czerwoności, leżały zwały błyszczącego węgla, a na rozwartych wrotach wisiały pęki sznurka i cienkiego drutu. Następnie dotarli do parnego, jasnego

wnętrza, gdzie na wytyczonych parcelach, pociętych wąskimi korytarzami, podpięte sznurkami do góry, stały wyprężone całe grupy goździków. Głównie różowe i czerwone, rzadziej białe. W ostatniej szklarni znajdowała się uprawa gałązek asparagusa – modnego przybrania każdej szanującej się wiązanki. Nad zagonami pochylało się kilkoro ludzi, którzy zerkali spoode łba na tę niecodzienną wizytację.

Gospodarz kroczył dumnie po swoich włościach, pokazywał palcem, na co powinni zwrócić uwagę, i rozemocjonowanym głosem opowiadał o swoim sposobie zarobkowania. Nie szczędził też szczegółów, rzucając cyframi, które cokolwiek by mówić – wprowadzały przybyszy z Łodzi w konsternację. A na koniec zaszedł do wybudowanego z pustaka, usytuowanego z boku podwórza garażu, gdzie zaparkowany był lśniący, prezentujący się dumnie czerwony fiat 125p.

Antek przełknął ślinę, nie mogąc pojąć otwartości przyszłego teścia. Nie rozumiał, po co to wszystko. Chęć pokazania, że jego córka to nie byle kto, że niby bogata panna z posagiem? Nic innego nie przychodziło mu do głowy, a zachowanie tego człowieka nieco go żenowało. Chwycił matkę za łokieć, kiedy poślizgnęła się na wyjeżdżonym śniegu, przytrzymał w ostatniej chwili, chroniąc ją od upadku.

– Dziękuję, synku! – mruknęła, uśmiechając się słabo. Najwyraźniej ona też miała dość tego cyrku, na który zupełnie nie byli przygotowani.

Felek Stroiński nic nie mówił, przyglądał się w milczeniu, jak gospodarz wymachuje rękami, wyrzuca z siebie pełne zdania, bryzgając w mroźne powietrze kropelkami śliny. Chwycił żonę za rękę i pomógł przejść przez podwórko. Teren przypominał jedną wielką ślizgawkę. Kiedy już niemal dochodzili ostrożnie do schodów, zobaczyli wlokącą się w stronę domu, okutaną w kraciastą chustę postać. Trzymała w rękach wypchaną torbę, a z ramienia zwisał jej sznur rolek z papierem toaletowym. Wyglądała jak półtora nieszczęścia.

– Córeczko, mamy gości z Łodzi! – zawołał na jej widok Bogdan i wybiegł na powitanie. Odebrał zakupy i wskazał ruchem głowy na wpatrzoną w nią trójkę ludzi.

Antoni miał jeszcze nadzieję, że na jej widok serce mu zadrży, że poczuje coś do dziewczyny, z którą zmajstrował dzieciaka, ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego ogarnęła go jeszcze większa niechęć. Widział, że matka robi wszystko, aby wykrzesać sympatię do dziewczyny, uśmiecha się, bierze ostrożnie w ramiona, ale miał pełną świadomość, że czyni to tylko z obowiązku i poniekąd dla niego.

Reszta dnia minęła w nieco sztywnej atmosferze na omawianiu zaręczyn i szczegółów wesela. Trzeba było przecież w kościele dać na zapowiedzi, zamówić orkiestrę, kucharki, salę, zakupić świniaki, kury na rosół, uszyć suknię ślubną. A czasu było niewiele. Hanka już się zaokrągliła, za chwilę wszyscy zobaczą brzuch i we wsi będą mieli używanie.

Antoni siedział obok przyszłej narzeczonej i nie wierzył w to, co się dzieje. Czuł się, jakby był widzem jakiegoś spektaklu, który rozgrywał się przed jego oczami. Znajdowali się w pokoju stołowym, wyposażonym w segment na wysoki połysk, wersalkę z narzutą i stół z krzesłami. Beżowe ściany ozdobione były gęstym, pionowym szlaczkiem i wykończone pod sufitem brązowym paskiem. Na zamocowanych w wielu miejscach drucianych kwietnikach pyszniły się zwisające ku ziemi dorodne, zadbane paprotki. Podłoga wykonana z drewnianej klepki pokryta była wzorzystym dywanem, na którym trudno było się dopatrzeć choćby najmniejszego pyłku. Było tu jakoś czysto i sterylne, zupełnie jakby nikt tych pomieszczeń nie używał na co dzień. Tak samo prezentowały się kuchnia i łazienka. Jedynie przestronny pokój Hanki, do którego go siłą zaciągnęła, nosił ślady użytkowania.

– Chcesz pogłaskać? – spytała, kładąc się na łóżku i podwijając bluzkę aż za pępek.

Nie chciał, ale co miał powiedzieć. Zrobił to więc, trochę nieudolnie przesuwając palcami po wypukłej skórze brzucha, nie czując w tym momencie żadnej tkliwości, dosłownie nic.

Uśmiechnęła się zalotnie, chwyciła jego dłoń i przyciągnęła bliżej narzmiętej piersi.

– Dawno mnie nie dotykołeś, stęskniłam się, że och... – mruknęła uwodzicielsko, śliniąc przy tym koniuszkiem języka pełne wargi.

– Ktoś może zaraz wejść... Myślę, że nie powinniśmy jeszcze, możemy przecież narazić dziecko na niebezpieczeństwo... – bąknął bezradnie, nie wiedząc za bardzo, co wymyślić.

– Żartujesz? Zamknęłam drzwi na klucz, a poza tym... nie musisz się obawiać. Doktor powiedział, że do szóstego miesiąca można.

Zaciągała po wiejsku, na co wcześniej zupełnie nie zwracał uwagi. Nie chciał z nią tego robić, na trzeźwo nie wydawała mu się już taka atrakcyjna, poza tym... W jego sercu wciąż tkwiła Alina. Czuł, że gdyby uległ, byłaby to zdrada wobec ukochanej. Ale czy w obecnej sytuacji miał prawo dalej ją tak nazywać? Co będzie, kiedy się o wszystkim dowie?

Przełknął głośno ślinę, analizując gorzko. Przecież sam będzie musiał jej o tym powiedzieć.

Zerwał się na równe nogi.

– Wybacz, Hanka! Zrobiło się późno. Musimy już wracać do Łodzi. Drogi są śliskie, a pan Chmurka zapowiadał kolejne obfite opady śniegu. Niedługo przyjadę, wtedy na pewno cię tak samej nie zostawię – mruknął.

– Obiecujesz? – spytała, mrużąc oczy.

Wciąż leżała na plecach z podwiniętą koszulką, lekko wypukłym brzuchem i sterczącymi piersiami. Podwinięta za kolana spódnica obnażała szerokie uda, okrągłe kolana i ubite łydki. Jej kształty należały do tych obfitych, krągłych. Mogła się podobać, choć nie była do końca w jego typie.

– Wiesz, że jak przyjadę, zostanę tutaj na noc. To już zostało postanowione. Słyszałaś przecież?

– No tak, ale to dopiero za dwa tygodnie. Bede tynsknić.

Pochylił się nad nią, obciągnął jej bluzkę i spódnicę. Pocałował w oba policzki i szybko cmoknął w usta.

– Powiem rodzicom, żeby się szykowali do wyjazdu.

Chwyliła go za brzeg koszuli i przytrzymała mocno.

– Pocałuj mnie, Antoś. Nie zostawiaj mnie tak bez niczego.

Zamknął oczy i zbliżył wargi do jej ust. Nie poczuł tego, co wtedy, kiedy całował się z Aliną. Tych słodkich dreszczy, emocji, tego niedosytu i gorąca w lędźwiach. Jej wargi, choć miękkie, nie miały tego smaku, nic nie było takie słodkie i obiecujące jak przy tamtej dziewczynie. Oderwał jej ramiona zarzucone na szyję, uśmiechnął się sztucznie, prostując plecy.

– Będzie nam razem dobrze, zobaczysz.... To wszystko będzie twoje. Dom, szklarnie, samochód... Jestem jedynaczką, ukochaną córeczką tatusia. Nie pożałujesz, Antoni. Wszyscy będą ci zazdrościć.

– Dla mnie najważniejsza jest miłość – rzucił gorzko przez ramię, co ona zrozumiała opacznie.

– Mój kochany! – jęknęła słodko. – Dla mnie też.

Dotarli do granic Łodzi późnym wieczorem. Całą drogę niewiele się odzywali, dopiero pod koniec podróży atmosfera w samochodzie nieco się ożywiła.

– Matka tej Hani, Wiesia, zaproponowała nam nocleg. Miałam nadzieję, że zostaniemy – mruknęła w pewnej chwili Stefania. – Polubiłam ją nawet. Ona jedna w tym domu wydaje się normalna.

– I chyba trochę stłamszona przez męża i córkę, nie sądzisz? – oświadczył niespodziewanie mąż, bo rzadko wtrącał się w cudze sprawy.

– Tak, masz rację. Miła, serdeczna kobieta, a całkowicie zdominowana. Widać, że cały dom jest na jej głowie. Wszystko aż lśni. I jeszcze to stadko kaczek na podwórku. To niebywałe! Widziałeś jej ręce?

– No tak... – przytaknął Stroiński z lekkim sarkazmem. – Tylko że całe ich życie toczy się w suterrenach. Na górę wchodzi przy niedzieli, świętach albo w wyjątkowych okolicznościach.

– To znaczy, że zaliczono nas do wyjątkowych okoliczności! – Stefania się zaśmiała. – Szkoda, że nie zostaliśmy na noc, może odkrylibyśmy coś ciekawszego? Każda rodzina ma przecież jakieś sekrety, prawda? – Odwróciła się i mrugnęła znacząco.

– A po co to komu? – sarknął wściekle syn. – Nie chciałem zostać. Na siłę ciągnęła mnie do łóżka – oznajmił nagle z niebywałą szczerością – Musiałem coś wymyślić.

– Już i tak więcej narozrabiać nie mogłeś – odparła gorzko matka. – Co miałeś zrobić, zrobiłeś.

– Daj chłopakowi spokój! – odezwał się Felek. – Nie widzisz, jak się mężczy?

– Właśnie widzę! – burknęła, nie kryjąc goryczy.

W aucie zapanowała grobowa cisza, przerywana jedynie warkotem pracującego silnika. Dwa słupy świateł odbijały się na pustej o tej porze dnia drodze.

– Jesteś pewien, że to twoje? – odezwała się w pewnej chwili Stroińska, wprawiając wszystkich w konsternację.

– Nie, nie jestem... – odparł Antek zrezygnowany. – Ale jak to udowodnię, macie jakiś pomysł? Spałem z nią? Spałem. A że raz, to nieważne. Fakty są takie, że innego kandydata na tatusia nie ma.

– Co racja, to racja... – skwitowała z ciężkim westchnieniem. – Ale ta twoja Hanka nie wygląda na świętą. Coś mi w niej nie pasuje, nie podbiła mojego serca i nie zanosi się, by coś się w tej materii kiedykolwiek miało zmienić.

– Na razie... nie jest moja – burknął ze złością chłopak. – Tylko jak ja o tym wszystkim powiem Alinie?

Znów zapadła cisza, dopiero po chwili odezwał się Feliks:

– Ja wiem, Antek, że to marne pocieszenie dla ciebie, ale ja przeżyłem wojnę, partyzantkę, Rakowiecką, a potem syberyjski Kotłas. Czasem myślałem, że gorzej już być nie może, że mój los już dawno został przesądzony i ktoś tam na górze postawił na mnie krzyżyk. I wiesz co mnie za każdym razem trzymało przy życiu, co kazało mi walczyć i nie poddawać się?

Dwoje ludzi w aucie wstrzymało oddech.

Stroiński przełknął głośno ślinę, a potem oznajmił uroczyście:

– Miłość do twojej mamy.

Rozdział 14

W hotelu wrzało, tym razem przyjechała do Warszawy grupa naukowców z NRD, złożona głównie z mężczyzn w średnim wieku. Rozmowy w znienawidzonym przez Polaków języku dało się słyszeć wszędzie, dlatego pan Zygmunt z góry zapowiedział, że nie będzie tolerował żadnych prowokacyjnych zachowań lub głupich uśmieszków. Nakazał wziąć się do pracy i dać z siebie wszystko, mając na uwadze ustanowione wcześniej menu. Kuchnia działała pełną parą, kroił się sztuki mięsa, gotowała kapusta, rosół, skwierczał rozgrzany tłuszcz. Głównym daniem miał dziś być de volaille z ziemniakami, koperkiem i bukietem surówek. Musiał być mięciutki, mieć chrupiącą, idealnie zarumienioną panierkę, a ze środka obowiązkowo powinno wypłynąć gorące masło. Po raz kolejny okazało się, że najlepiej ze wszystkich prac domową odrobił Antoni. Dla nikogo ten fakt nie powinien być zaskoczeniem, chłopak od dawna był najlepszy, przewyższał swoich kumpli kunsztem kulinarnym co najmniej o głowę. Znów zebrał pochwały i słony napiwek, co nie każdemu się podobało. Niektórzy sądzili, a nawet byli pewni, że te względy to tylko zasługa bliskiej znajomości z córką szefa. Oczywiście przedmiotem zazdrości była nie tylko dziewczyna, ale uznanie samego przełożonego, które skutkowało premią i pisemnymi pochwałami.

Tego dnia Ostrowski skupił się tylko na robocie, która w jakiś sposób dawała mu ukojenie. Jego myśli wciąż krążyły wokół Aliny, nie miał pojęcia, jak się zachować, co jej powiedzieć. Nie był jeszcze gotów na pożegnalną rozmowę, nie wyobrażał sobie, że miałby zakończyć ten dopiero co pączkujący, ale jakże pełen rumieńców i uczucia związek. Doszedł do wniosku, że

odłoży tę decyzję na potem, kiedy do niej dojrzeje, a tymczasem – będzie szukał pretekstów do unikania dziewczyny. Czego najbardziej się bał – to spojrzenia jej prosto w oczy. Brzydził się kłamstwa, dlatego coraz bardziej gardził sam sobą.

Alina zaczęła go zaraz po zakończeniu zmiany. Bardzo szybko się przebrał i chciał niepostrzeżenie opuścić hotel, kiedy dogonił go znajomy głos:

– Antek, co się dzieje? Dlaczego mnie unikasz?

Odwrócił się. Jego ukochana stała przed nim w haftowanym kożuszku do kolan, baraniej czapce do kompletu i trzewikach zakrywających kostki. Musiał przyznać sam przed sobą, że wyglądała w tym stroju zjawiskowo.

– Nieee... Skąd... – Zrobił głupawą minę, nie ruszając się z miejsca.

Zbliżyła się do niego i pocałowała w policzek.

– Odniosłam takie wrażenie, jakbyś się czegoś bał.

– Ależ skąd... Rysiek prosił, żebym wrócił wcześniej. Ma dla mnie jakąś fuchę. – Skłamał na poczekaniu, jednocześnie poczuł się jak ostatnia świnia.

– Aha... chyba rozumiem... – bąknęła zmieszana. – Nie chcesz się już ze mną spotykać.

– Ależ nie! – zaprotestował gwałtownie, szarpnął za obie ręce opatulone w wełniane rękawiczki i docisnął do ust. – On naprawdę mnie potrzebuje!

W tej samej chwili nie wytrzymał tej bliskości, chwycił ją w ramiona i mocno przytulił. Potem nachylił się nad nią i zaczął zachłannie całować.

– Tylko przez kilka dni, Alinka... – jęknął, łapiąc głęboki oddech.

– Dobrze, Antek. Ja zaczekam – powiedziała cichutko, zadzierając brodę, przekrzywiając figlarnie głowę i patrząc mu intensywnie prosto w oczy. Nie mógł znieść tego poważnego spojrzenia, poczuł się jak ostatni łajdak, dlatego oderwał się od niej jak oparzony i nie mówiąc nic więcej, popędził przed siebie, zostawiając ją zaskoczoną i nic nierozumiejącą.

Alina stała w oknie, patrząc na nieustannie spływający z nieba biały całun. Przed blokiem grupa ludzi opatulonych w grube palta, czapy i rękawice pracowała wytrwale, odgarniając nasypany przez noc śnieg i formułując po bokach zaspę. Pierwsza fala mroźnej zimy nadeszła w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego grudnia. Zimna masa powietrza, która napłynęła z północy, spowodowała nagły spadek temperatury, a także obfite opady śniegu. Silny, porywisty wiatr powodował szybkie tworzenie się zasp, co z kolei przyczyniło się do niemal całkowitego paraliżu kraju. W niektórych województwach ogłoszono nawet stan klęski żywiołowej. Takiej zimy nie pamiętali najstarsi mieszkańcy. Zasypane zostały niemal w całości drogi, szlaki kolejowe, co uniemożliwiało transport, karetki nie mogły dojechać do chorych, a ludzie nie byli w stanie dostać się do pracy. Miasta nie nadążały z odśnieżaniem, dlatego za łopaty chwytali solidarnie mieszkańcy i torowali drogę samochodom i autobusom. W kolejnych dniach zaczynało brakować surowców energetycznych, a węgiel nie docierał na czas do elektrociepłowni, bo z powodu mrozu pękały szyny kolejowe. Komunikacja publiczna w wielu miastach niemal nie istniała, zdarzało się, że autobusy przemieszczały się po wytyczonych odcinkach wykopanymi w śniegu tunelami. Wiele osób nie było w stanie w żaden sposób się przemieścić, ponieważ pociągi często utykały w śniegowych zaspach. Jedynie dzieci miały uciechę, bo trudna sytuacja wymusiła na władzach zamknięcie większości szkół. Niskie temperatury i zamarznięcie gruntu stały się pośrednią przyczyną wybuchu gazu w Rotundzie PKO w stolicy, do którego doszło w połowie lutego siedemdziesiątego dziewiątego roku. W katastrofie śmierć poniosło czterdzieści dziewięć osób.

Tego typu informacje co rusz docierały do ludzi, pogłębiając niespokojne nastroje mieszkańców miast i wsi. Zarazem jednak trudna sytuacja solidaryzowała społeczność, która całymi grupami brała udział w akcji odśnieżania. Powstawały komitety blokowe, dyżury, a za tym szły integracja i wymiana myśli. Zawsze pod koniec takiej roboty znalazł się ktoś, kto poczęstował pędzonym po cichu bimberkiem albo papierosem, rozmowy się przeciągały i pozwalały przetrwać trudne dni, skupione na walce z żywiołem.

Alina, opatulona w koc, z kubkiem gorącej herbaty, krążyła po pokoju, wracając myślami do minionych wydarzeń. Jeszcze wczoraj odśnieżała wraz z mieszkańcami bloku parking, a już wieczorem chwyciła ją wysoka gorączka. Matka nie przejęła się zbyt jej stanem zdrowia, zanim wyszła do pracy, zostawiła na stole w kuchni tabletkę polopiryny. Tatko nakazał okłady z wody i octu, uściskał ją i kazał się wygrzać.

– Przykro mi, córeczko, ale muszę pędzić do roboty! Auto zasypało, więc spróbuję dostać się do hotelu autobusem! – oświadczył, zanim pożegnał się na dobre, i ubrany w barani kozuch, ocieplane buty, czapkę i rękawice opuścił mieszkanie.

Dziewczyna po ich wyjściu odetchnęła z ulgą. Lubiła takie samotne dni spędzane na rozmyśleniach i czytaniu książek. Nikt jej wówczas nie przeszkadzał, nie nakazywał tego czy tamtego, zwłaszcza że matka czepiała się dosłownie o wszystko. Jej nabyta w dzieciństwie niemiecka dyscyplina doprowadzała czasem członków rodziny do rozpacz. Wszystko musiało być na czas, idealnie uporządkowane, odzież odprasowana bez najmniejszego zagniotka, pranie złożone co do milimetra, buty wypastowane i wypolerowane tak, aby można było się w nich przejrzeć. Niesprostanie tym wymaganiom skutkowało awanturami albo – co było czasem lepszym rozwiązaniem – cichymi dniami. Aldona potrafiła bez uprzedzenia wparować do jej pokoju, otworzyć szafę z ubraniami, a kiedy dostrzegła najmniejsze choćby uchybienie, wyrzucała wszystko z furią na podłogę. Kiedy córka poukładała starannie każdą rzecz, ona wchodziła ponownie, aby swoim wprawnym okiem ocenić, czy zrobiła to wystarczająco dobrze. Alina wstrzymywała wówczas powietrze, zastygała w bezruchu ze ścisaniem w dole brzucha. Bezradnie czekała na werdykt. Wyrzuci czy nie wyrzuci. Pierwsze oznaczałoby ciągnącą się dalej awanturę, owocującą fatalnym nastrojem matki, drugie – kompromisem. Czasem jeszcze wymierzonym policzkiem. Oczywiście bywało różnie.

Często zastanawiała się, co ojciec widział w tej małej, szczupłej kobiecie o przeciętnej urodzie. Jej tatko – wysoki i postawny brunet z niebieskimi oczami i piękną aparycją – mógł się podobać kobietom. Zresztą... często

widziała, jak kucharki i kelnerki wodziły za nim oczami. Ba... niejedna członkini delegacji miała ochotę na spędzenie z nim wolnego czasu, a nawet nocy. Dla Aliny tatko był powodem do dumy. Oczytany, wykształcony, znał biegle rosyjski, słabiej angielski. Zawsze wiedział, jak się zachować, uprzejmy wobec gości, wymagający wobec podwładnych. Swój zawód traktował jak powołanie. Budził uznanie i powszechny szacunek.

Podobno poznał matkę w górach. Do Zakopanego pojechał odetchnąć po rozwodzie ze swoją pierwszą żoną, którą po powrocie z pracy zastał z kochankiem w łóżku. Jeszcze wtedy nie był szefem Grand Hotelu, tylko kuchni w podrzędnej restauracji na Bielanach. Rozstanie było dość burzliwe, choć od początku znajdował się na pozycji wygranej. Miłość między nimi wygasła już jakiś czas temu, żal mu natomiast było ich wspólnej córki, Marty. Dziewczynka piękna jak malowanie, urodę odziedziczyła po ojcu, spokojna, o miłym usposobieniu i wrażliwa, miała dziewięć lat, kiedy doszło do rozwodu. Zdecydowała, że mimo wszystko zostanie przy matce, jednak Zygmunt mógł się z nią widywać bez ograniczeń. Tak też było, regularne spotkania z córką z pierwszego małżeństwa stanowiły jeden z głównych priorytetów w jego życiu. Chodzili razem do kina, zoo, na lody, a także na basen, gdzie nauczył ją pływać.

Aldonę poznał na Kasprowym Wierchu. Zauważył ją pierwszy raz już w kolejce linowej. Stała odwrócona plecami do wnętrza wagonika, wpatrzona w majestatyczne, pokryte śniegową warstwą szczyty gór, w czerwonym kombinezonie i wełnianej czapce z pomponem. Towarzyszące jej dwie koleżanki pyłowały nieustannie i co chwila wybuchały salwą śmiechu. Żadna z nich nie zrobiła na nim takiego wrażenia jak właśnie ta niewysoka, drobna kobieta z takim ujmującym, łapiącym za serce wyrazem twarzy. Drugi raz dostrzegł ją na stoku, leżącą bezradnie z odpiętymi nartami. Jedna z desek zsunęła się niżej, dziewczynie trudno było ją sięgnąć. Zrobił to więc on i kiedy pomógł jej przypiąć nartę, a później wstać, uraczyła go wdzięcznym, ciepłym spojrzeniem, które zrobiło na nim piorunujące wrażenie. Zapytał, czy ma czas wieczorem, a ona odpowiedziała, że tak. Później okazało się, że oboje kochali zimowe sporty, góry, podróże,

a także dobrą kuchnię. Wydawało mu się, że właśnie spotkał swoją drugą połówkę. Imponowała mu jej czystość, punktualność, perfekcyjność w obyciu i ubiorze, w dodatku w łóżku okazała się gorąca. Wypowiadała się, ostrożnie dobierając słowa, choć z czasem nabrała do niego coraz większej śmiałości. Okazało się, że mieszka w Lublinie, pracuje w księgowości, z najbliższej rodziny pozostała jej tylko młodsza siostra. Oświadczył jej się po dwóch miesiącach, uznawszy, że pokonywanie trasy pociągiem Warszawa–Lublin jest zbyt męczące i czasochłonne. Zaraz po ślubie ściągnął ją do Warszawy, gdzie bez trudu znalazła pracę jako księgowa w zakładach FSO na Żeraniu. Zamieszkali kątem u jego ciotki, nieco chimerycznej i schorowanej starszej kobiety. Nie było łatwo, atmosfera z czasem stała się ciężka, bo Aldona równie wymagająca jak wobec siebie okazała się wobec pozostałych domowników. Cięża niewiele zmieniła, choć wówczas Zygmunt okazywał wyjątkowe zrozumienie. Dopiero po pięciu latach otrzymali swoje pierwsze mieszkanie i z nieukrywaną radością i ulgą przenieśli się do nowo wybudowanego bloku na Jelonkach.

Alina usłyszała tę historię kiedyś od ojca, a teraz, snując się po pokoju, po raz kolejny zastanawiała się, co on widział wówczas w jej matce. Ona sama Aldony czasem wręcz nie znosiła, a co gorsza – bała się jej okropnego usposobienia, wybuchów gniewu, a nawet szału. Matka potrafiła uderzyć, obrazić, potłuc w furii talerz albo rzucić szklanką. Córka nie miała takiej wyrozumiałości co ojciec, choć zdawała sobie sprawę z tego, że na wszystko wpływ miało to, co matka przeżyła w dzieciństwie i wczesnej młodości. Trudny czas, w tym wojna, praca u Niemców, a także bestialstwo ojca... Właśnie. Nigdy nie dowiedziała się, na czym ono polegało. Dziewczyna postanowiła, że musi wrócić do rozmowy z ojcem na temat przeszłości matki i cioci Bożeny.

Te rozmyślenia przerwał dzwonek do drzwi. Alina pobiegła do nich jak na skrzydłach, licząc na to, że jakimś cudem ujrzy w nich Antka. Ostatnio znów się spotkali, choć chłopak był jakiś markotny i małomówny. Siedzieli w kawiarni przy czarnej kawie i kremówkach, a za oknem udekorowanym upiętymi zasłonkami w kratkę padał gęsty śnieg. Atmosfera w środku była

urocza, mimo tęgiej zimy, srogich mrozów i tych wszystkich nieudogodnień związanych z paraliżem miasta. Patrzyli sobie w oczy, jednak jej nie opuszczało wrażenie, że Antek coś przed nią ukrywa.

W pewnej chwili nie wytrzymała.

– Antek, czy jest coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć? Dziwnie się ostatnio zachowujesz. Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć...

Poruszył się na krześle, nabrał powietrza w usta, przewrócił oczami.

– Jeśli przestało ci na mnie zależeć, to powiedz. Jestem gotowa usłyszeć szczerą prawdę. – Ostatnie zdanie wypowiedziała łamiącym się głosem, ponieważ gardło zakleszczyła fala silnych emocji.

Wówczas chwycił ją za rękę i ścisnął mocno.

– Kochanie, najdroższa! Nawet tak nie mów! Jesteś najbliższa mojemu sercu, nie wyobrażam sobie życia bez ciebie!

Słyszając te słowa, wykrzyczane z takim zaangażowaniem, uwierzyła mu. To wyznanie nieco ją uspokoiło, choć gdy opuścili kawiarnię, odprowadził ją do domu i nie zaproponował następnej randki. Za to objął ją tak mocno i ścisnął długo w ramionach, że aż traciła dech w piersiach. Odniosła wrażenie, jakby chciał ją w ten sposób zapamiętać możliwie jak najdłużej. I to wydało jej się dziwne i niepokojące.

W drzwiach nie zobaczyła ukochanego, ale córkę taty z pierwszego małżeństwa – Martę. Obie, mimo sporej różnicy wieku, bardzo się lubiły. W dodatku były do siebie podobne jak dwie krople wody.

– Cześć, bidulko! Tata zadzwonił i powiedział, że się rozchorowałaś! Stwierdziłam, że w tej sytuacji koniecznie muszę cię odwiedzić!

Stała przed nią w zaśnieżonym palcie i ocieplanych butach, z zaczerwienionymi od mrozu policzkami. Potupała raz jedną nogą, raz drugą, zostawiając na wycieraczkę kupki śniegu.

– Wchodź, kochana, jak cudownie cię widzieć! – zawołała Alina, ciesząc się z niezapowiedzianej wizyty. – Zaraz nastawię wodę. Na pewno prze-marzłaś!

– Jeszcze jak! – przyznała Marta, zamykając za sobą drzwi i rozpinając guziki płaszcza. – Szłam dwa przystanki piechotą. Tramwaje znów stoją...

– Dobrze, że nam jeszcze nie wyłączyli prądu, choć w ubiegłym tygodniu przez dwa dni nie było ogrzewania. Siedzieliśmy w domu w paltach i kocach. Nieźle, co?

– No... – Marta usadowiła się w swoim ulubionym miejscu, czyli w kuchni przy maleńkim stole pod oknem. Na tle jasnych mebli rzucały się w oczy jej śniada cera i czarne włosy, które nieco rozczochrane po zdjęciu czapki próbowała przyglądać zziębniętymi palcami.

Alina zaparzyła herbatę w szklankach, następnie umocowała je w wiklinowych koszykach. Podsunęła przyrodniej siostrze cukiernicę z ciętego szkła.

– Zrobiłam kanapki z mortadellą i ogórkiem konserwowym. Zjesz?

– Chętnie. Jestem taka głodna, że zjadłabym chyba konia z kopytami! – Zaśmiała się, chwytając pokrojoną pszenną bułkę, posmarowaną grubo masłem, i gryząc ogromny kęs.

– Bułki świeżutkie, tatko przyniósł, zanim wyszedł do pracy. Na szczęście dzisiaj piekarnia działała całą noc.

– Jak się czujesz? – spytała Marta, pałaszując kolejną kanapkę.

– Już lepiej... Wzięłam polopiryne i temperatura spadła.

Marta podniosła głowę i przyjrzała jej się uważniej.

– Coś mi się zdaje, że nie tylko ciało choruje, ale i serce.

Alina westchnęła głęboko i wzruszyła ramionami. Przez chwilę myślała nad czymś intensywnie, po czym się odezwała:

– Sama wiesz, jak to jest zakochać się na śmierć i życie.

– Oj, wiem, wiem... – przytaknęła i upiła łyk gorącej herbaty. – Najlepiej będzie, jak opowiesz mi wszystko od samego początku. Chyba że to tajemnica.

– Tajemnica? Nie, skąd... Chętnie o tym z tobą pogadam, bo z matką się nie da, a tatko to przecież facet i mnie nie zrozumie. – Zachichotała krótko,

po czym wzięła głęboki oddech i zaczęła snuć swoją opowieść o miłości do chłopaka z Łodzi.

Rozdział 15

Stefania pokroiła angelkę i ułożyła kawałki świeżego pieczywa w wiklinowym koszyczku wyłożonym białą serwetą. Dłonie jej drżały, w pierśsiach czuła ścisk. Zerknęła przez ramię na byłego męża, który w towarzystwie swojej drugiej żony postanowił ją tego dnia odwiedzić. Dotychczas nigdy nie zabierał Bajeczki ze sobą, gdy wpadał od czasu do czasu omówić sprawy dzieci. Obecność tej kobiety nie tylko Stefanię zaskoczyła, ale też mocno zaniepokoiła. Mimo skrywanej w duchu niechęci próbowała być miłą, a nawet uprzejmą. Żałowała, że nie ma przy niej Felka, wyszedł dwie godziny wcześniej do fabryki na popołudniową zmianę. Odkąd przejął funkcję brygadzysty, przybyło mu obowiązków.

– Częstujcie się! – zachęciła, stawiając na środku stołu półmisek z podrobami, które przywiozła ze wsi znajoma handlarka. – Leberka pyszna, kaszanka też.

Położyła obok koszyk z pieczywem, pojemnik ze świeżutkim masłem i poprosiła Weronikę, aby rozstawiła talerze.

Uśmiechnęła się sztucznie, sięgając do szafki po szklanki na herbatę. W tej chwili poczuła na sobie lekceważące, zimne spojrzenie brązowych oczu.

Nie lubiła tej niewysokiej brunetki, lekko podstarzałej, która usiłowała za wszelką cenę zachować dawną atrakcyjność i powab. Nałóg w postaci palenia ogromnej ilości papierosów zniszczył jej ładną niegdyś cerę, doprowadził do żółknięcia szkliwa zębów i paznokci, tego dnia nieumalowanych. Jediną jej ozdobę stanowiły włosy. Wciąż bujne, kręcone, upięte po bokach ozdobnymi wsuwkami. Obcisły żakiet ze spódnicą w czerwonym

kolorze uwypuklał jej nadmierną chudość, która dodawała tej kobiecie ostrości i lat. Niewiele dotychczas mówiła, ale jej zachowanie było dla Stefanii przykładem wyniosłości i pychy. Palce rąk, przyzwyczajone do trzymania papierosa, bębniły teraz nerwowo w blat stołu.

Na szczęście obok siedziała Weronika, co prawda jakaś zgaszona, obgryzająca paznokcie, ale w tym momencie jej obecność dodawała Stefce otuchy. Starsza pani właśnie poszła się położyć, ostatnio coraz gorzej się czuła.

W pewnej chwili córka wstała i zaproponowała rodzicielce pomoc.

– Siadaj, mamó. Ja zaparzę herbatę.

Zaskoczyła ją, Weronika nie lubiła pomagać w kuchni, do gotowania się nie garnęła, sprzątanía też nie lubiła.

– Dobrze! – rzucił tymczasem Tadeusz, który postanowił skosztować kawałek leberki.

Siedział obok Bajeczki w wymiętej marynarce, ze zmęczoną twarzą pokrytą kilkudniowym zarostem. Ich ubrania nie tylko pokryte były sierścią kotów, ale cuchnęły dymem z papierosów, który poczuła, gdy tylko pojawili się w mieszkaniu. „Na pewno rzadko wietrzą pokoje, no i palą w domu” – przemknęło mimo woli Stefanii przez myśl, co akurat było zgodne z prawdą.

– Mam problem, Stefanio... – zaczął w pewnej chwili jej były mąż.

– My? – mruknęła zdziwiona, spoglądając na niego spod uniesionych brwi.

Chrząknął w odpowiedzi, spojrzał znacząco na stojącą za jej plecami Weronikę, po czym zsunął wzrok niżej.

– Nie rozumiem... – bąknęła, czując nadchodzące zagrożenie.

Tadeusz otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale uprzedziła go żona.

– Prawdę mówiąc, dziwię się... Mieszkacie pod jednym dachem, a ty, matka w końcu, nie widzisz, co się dzieje z twoją córką – rzuciła krytycznie.

– Ale o co chodzi? – Stefania podniosła głos, bo jadowity ton byłej kochanki jej męża mocno ją zirytował.

– Co to za matka, która nie widzi, że jej córka jest w ciąży – prychnęła wzdrgliwie, wydymając wąskie usta, na co mąż szturchnął ją, dając do zrozumienia, że przesadziła.

– Słucham? – Stroińska przełknęła ślinę i wstrzymała oddech. Odruchowo odwróciła się za siebie, usilnie szukając zaprzeczenia.

Córka stała ze spuszczoną głową, próbując zalać herbatę wrzątkiem, ręce jej drżały.

– Który miesiąc? – rzuciła głucho.

– Mniej więcej dwunasty tydzień... – bąknęła Weronika w odpowiedzi.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?

Stefania poczuła się w tym momencie dotknięta do bólu. Jak mogła jej to zrobić własna córka? W dodatku wciągnęła w to wszystko ojca i tę jego wstrętą lafiryndę. To im zaufała, a nie jej. Jak mogło do tego dojść? Gdzie popełniła błąd?

– Bałam się... – wydukała dziewczyna. – Ty zawsze poważałaś tylko Antka, ja się dla ciebie nigdy nie liczyłam...

Matka zerwała się z krzesła zszokowana tym, co usłyszała. Czerwień zalała jej twarz, czuła jak podnosi jej się ciśnienie.

– Córeczko? Jak możesz tak myśleć? Oboje jesteście dla mnie najważniejsi! Skąd ci to przyszło do głowy? Nie rozumiem...

Otworzyła ramiona, próbując objąć córkę, kiedy ta zrobiła zwrot i wybiegła z kuchni.

Znów poczuła na sobie triumfujące spojrzenie tej zdziry.

– Łatwo oceniać innych, jak się swoich dzieci nie ma! – warknęła Stefania wściekle, mierząc swoją dawną rywalkę oskarżycielskim wzrokiem.

– Nie twoja rzecz! – wycodziła tamta. – Martw się lepiej o siebie!

Mąż znów ją szturchnął ostrzegawczo, ale ona nic sobie z tego nie robiła. Miała okazję wyżyć się za te wszystkie lata, kiedy usiłowała bezskutecznie

zajść w ciążę, za te przepłakane noce i puste dni pozbawione macierzyństwa.

– Ani synusia nie upilnowałaś, ani córeczki! – dodała z satysfakcją, dolewając jeszcze oliwy do ognia.

– Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy! Nic ci do tego!

– Nie? – syknęła wściekle Bajeczka. – Do matkowania tak, a do problemów już nie?

– Jakiego matkowania? Ty jej matkowałaś? Nie bądź żalosna!

– A właśnie, że tak! – wrzasnęła żona Tadeusza i nie panując nad sobą, wyciągnęła z torebki paczkę carmenów. Nie pytając o zgodę, trzęsącymi się rękami chwyciła za ustnik i wcisnęła między wargi.

– Tu się nie pali! – zaproponowała gospodyni.

– Gównu mnie to obchodzi! Wychodzę!

– Nie zatrzymuję pani! – prychnęła kpiąco Strońska, widząc, jak Bajeczka demonstracyjnie wyciąga zapalki, a następnie wstaje.

– Nie musisz mnie odprowadzać! Znam drogę! – obwieściła wyniośle.

– Mam nadzieję! – sarknęła Stefania, nie kryjąc ulgi.

– Zaraz do ciebie dołączę! – ocknął się Tadeusz, który do tej pory nie miał najmniejszych szans, aby się wypowiedzieć.

– Jak chcesz! – wycedziła, potem automatycznie obciągnęła żakiet, wygładziła spódnicę i energicznym krokiem ruszyła w stronę wyjścia.

Po wyjściu tej kobiety nie mogła dojść do siebie. Roztrzęsiona, usiłowała opanować drżenie rąk i suchość w ustach, co nie było łatwe.

– Przepraszam za żonę... Nie wiem, co w nią wstąpiło... – bąknął Tadeusz.

– Łatwo się wychowuje cudze dzieci, zwłaszcza na odległość, prawda? – warknęła, zaglądając mu w twarz.

– Niektórym tak się wydaje...

– Zapomnijmy o tym – dodała, chcąc jak najszybciej zakopać wojenny topór. Teraz były na głowie ważniejsze sprawy.

Ustalili z Tadeuszem, że Weronika sama podejmie decyzję, gdzie będzie chciała zamieszkać. Z jego pokrętnych wypowiedzi wywnioskowała, że wspaniała Bajeczka nie wyraża chęci na nowego lokatora, co Stefanię ucieszyło i dało nieukrywaną satysfakcję. Nie przepadała za Józkiem, ale chciała się dowiedzieć, na kiedy młodzi planują ślub. Tutaj znów spotkała ją niespodzianka, która zaowocowała falą kolejnej wściekłości. Jak to nie chce się żenić i wypiera dziecka?

Nie mogła w to uwierzyć. Jej piękna, zdolna córka, która mogłaby przebierać w amantach jak w ulęgalkach, trafiła na bezdusznego chama i prostaka. Co za przewrotność losu!

– Już ja sobie z nim pogadam! – rzuciła mściwie po wysłuchaniu wyjaśnień Tadeusza. – Wiesz chociaż, gdzie on teraz pracuje?

Przytaknął.

– Podobno jest elektrykiem na etacie w spółdzielni mieszkaniowej. – Ale to pijak i babiarz! – sarknął gniewnie.

– Pójdę po nią, niech powie, co planuje – wycodziła, wstając od stołu. – Albo ty idź. Pewnie zamknęła się w swoim pokoju i beczy.

Tadeusz wstał i ruszył w dobrze mu znanym kierunku. Wiodła za nim wzrokiem, idącym wolno, niepewnie, zgarbionym, i ogarnęło ją coś w rodzaju politowania. Zdziadział przy swojej nowej żonie, nie był już tym samym, pełnym osobistego uroku, przystojnym, pociągającym mężczyzną. Pewnie gdyby nie łączące ich dzieci, ich drogi rozeszłyby się na dobre. Już nic do niego nie czuła poza resztkami przywiązania i powracającej niekiedy litości. „Co ta kobieta z nim zrobiła?” – zadała sobie pytanie, patrząc na niego ze smutkiem i żalem.

Rozdział 16

Zima zaczynała odchodzić w zapomnienie. Topniał śnieg, zsuwając się płatami z dachów, wypełniając wodą rynny ściekowe, pobocza dróg i wszelkie wgłębienia. Powiew cieplejszego powietrza przywodził na myśl nadchodzącą rychło wiosnę. Mieszkańcy miasta porozpinali palta, zrezygnowali z futrzanych czap, szali i ciepłych rękawic, za to ochoczo wylegli z domów, zaludniając parki, ulice, kawiarnie i sklepy. Zwłaszcza w tych ostatnich pojawiły się długie, niekończące się kolejki będące wynikiem kolejnego kryzysu gospodarczego. Nie tylko wzrosły ceny paliwa, ale sklepowe półki coraz częściej świeciły pustkami. Brakowało podstawowych artykułów spożywczych, dlatego jeśli już rzucono jakiś produkt, natychmiast ustawiał się sznur zainteresowanych.

Antoni, przechodząc obok sklepu mięsnego, zerknął nań tylko z daleka. Nie miał zamiaru tkwić w długiej kolejce, choć ktoś rzucił hasło, że przyjechała dostawa z drobiem. Przed zamkniętymi drzwiami natychmiast zebrał się tłumek, a pani w białym fartuchu wywiesiła kartkę z napisem: „przerwa – dostawa towaru”. Minął pawilon i niewielki skwer, dotarł do budynku spółdzielni mieszkaniowej. To tutaj miał zastać swojego niedoszłego szwagra, który w tak ohydny sposób potraktował jego siostrę. Rozsadzała go wściekłość. Sam zmuszony został do żeniaczki, choć nie kochał swojej przyszłej żony, a ten – na usta cisnęły mu się obelżywe słowa – zabałił się cudzym kosztem. Nie puści mu tego płazem. Niech go tylko dorwie!

Od portiera dowiedział się, gdzie znajdzie dział techniczny. W pokoju numer trzy mieszczącym się na parterze budynku miał zastać Józefa Bilińskiego. Weronika opisała jego wygląd, opowiadając mu historię swojego

nieszczęsnego zakochania. Wypytał o szczegóły, nie budząc jej podejrzeń. Była tak przejęta swoim losem, że nie zauważyła nadmiernego zainteresowania brata. Zdecydowała, że na przekór wszystkiemu urodzi to dziecko. Na razie zostanie z matką, bo ta zaoferowała jej pomoc, później, jak skończy szkołę i się usamodzielni, pójdzie na Lipową. Czekał ją trudny czas, na który nie do końca była gotowa. Zdawała sobie sprawę z tego, że zmarnowała sobie młodość, pakując się tak wcześnie w pieluchy. „Moja piękna siostra mogłaby jeszcze tyle użyć, przeżyć niejedno zakochanie” – skonkludował w myślach.

– Pan do kogo?

W niewielkim zakopconym pomieszczeniu pełnym drewnianych regałów z narzędziami dostrzegł dość młodego mężczyznę pochylonego nad biurkiem. Gryzmolił coś na kartce kanciastym, szerokim ołówkiem, nie przywiązując wagi do staranności pisma. Obok stała brudna szklanka z niedopitą herbatą, leżała pajda chleba owinięta do połowy w szary, załuszczonego papier. Jego torba wisiała na oparciu krzesła, za to on w rozpiętym do połowy kombinezonie, rozczochranych włosach, nieco przydługich, właśnie urządził sobie przerwę na drugie śniadanie.

– Józef Biliński? Gdzie go mogę zastać?

Tamten podniósł głowę i omiół go uważnym spojrzeniem.

– To ja. W jakiej sprawie? Jeśli chodzi o awarię, to dzisiaj już nie dam rady. Może jutro? Albo proszę zapytać zmiennika...

Ostrowskiego nie zwiodła ładna aparycja rozmówcy ani diabelsko piękne oczy. Przeciwnie – jego ignorancki ton głosu rozwścieczył go jeszcze bardziej. Rozejrzał się ostrożnie po pokoju, stwierdzając z satysfakcją, że oprócz tego łajdaka nie ma w nim nikogo więcej.

Zacisnął pięści i postąpił parę kroków do przodu.

– Nazywam się Ostrowski. Mówi ci to coś?

– Nie, a powinno? – Jakiś głupawy, cyniczny uśmiech rozlał się na jego twarzy. – Od kiedy przeszliśmy na ty?

– Weronika Ostrowska to moja siostra. Mówić dalej? Mam ci jeszcze odświeżyć pamięć?

– Ale o co chodzi? – burknął.

Józek podniósł się znad biurka. Dopiero teraz dostrzegł słusznych rozmiarów postawę oraz imponujący wzrost. Nieznajomy przewyższał go o całą głowę.

Antek przestąpił z nogi na nogę.

– Naprawdę nie wiesz? – syknął przez zęby. – A to, że moja siostra jest z tobą w ciąży, też cię nie interesuje?

– Mogła się nie puszczać! – warknął obraźliwie. – Jaką mam pewność, że to moje?

– A niby czyje? – wycedził. – Zbyt dobrze znam swoją siostrę, aby jej nie wierzyć!

– Dobrze sobie! A to się braciszek obrońca znalazł! – zakpił.

W tym momencie Antek już nie wytrzymał. Zrobił skok w stronę biurka i wycelował pięścią prosto w nos. Trafił celnie, drugi cios był nieco chybiony, bo tylko drasnął mężczyznę w policzek. Za trzecim razem twarda ręka wylądowała na szczęce.

– Jeszcze raz obrazisz moją siostrę, to popamiętasz, bydlaku! Weronika nie wypadła sroce spod ogona! Jeżeli ci się tak zdaje, to jesteś w ogromnym błędzie!

Tamten stał jak słup soli, krew poleciała mu z nosa, ale poza tym, że przetarł ją rękawem kombinezonu, nie poruszył się.

– Będiesz jeszcze żałował, draniu, że cię matka wydała na świat. Nie podaruję ci tego! Nie pozwolę, aby moja jedyna siostra wylewała łzy przez takiego lajdaka! Nie jesteś tego wart!

Poślinił kostki zwiniętej ręki, splunął pod nogi i wyszedł, trzaskając drzwiami. Na korytarzu minął się z wypacykowaną pracownicą biura, która z tacą i dwiema szklankami zaparzonej kawy z gracją szła w przeciwnym kierunku. Zatrzymała się przed pokojem z numerem trzy i zapukała. „Trochę się zdziwi, jak zobaczy swojego kochasia poturbowanego” – prze-

mknęło Antoniemu przez myśl, kiedy zerknął przez ramię. Potem uśmiechnął się półgębkiem i pomaszerował rażno w górę schodów.

– Mamo, nie powinnaś na tak długo wychodzić z domu. Martwiłam się o ciebie.

Stefania odebrała torby z zakupami, które przytaszczyła starsza kobieta. Znalazły się tam dwa kilogramy cukru, bochen świeżego chleba, paczka herbaty, paczka kawy zbożowej i pół kilograma chałwy.

– A co ja mam innego do roboty! – sapnęła pani Krystyna, siadając przy stole w kuchni. – Jak dzieci były mniejsze, to rozumiem, ale teraz? Postawiłam ino parę godzin w kolejce, ale przynajmniej zdobyłam te rzeczy. Ty pracujesz, Felek też, Werka jeszcze się uczy...

– Już niedługo! – sarknęła przez ramię Stefania, przygotowując rodzicielce napar z mięty. Ostatnio coraz częściej skarżyła się na zaparcia i bóle brzucha. – Dobrze się dzisiaj czujesz?

– Może być – przytaknęła matka, ściągając z głowy chustkę. – Jak się stoi w kolejce, można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

– Na przykład?

– Pamiętasz Józwiakową?

– Pamiętam.

– Jej syn się ostatnio ożenił, wziął sobie za żonę córkę tego rzeźnika, co miał przed wojną sklep na Mokrej.

Przytaknęła, choć rzeźnika nie kojarzyła, a już na pewno nie jego córki.

Tymczasem matka kontynuowała żarliwie, zmieniając całkowicie temat:

– Podobno w lutym w Brazylii zmarł ten straszny zbrodniarz wojenny, Mengele. Kąpał się w morzu, uwierzysz? Mówili o nim anioł śmierci. Nasi go szukali, a on zaszył się gdzieś na końcu świata i żył sobie tak, jak gdyby nigdy nic się nie stało. I gdzie tu sprawiedliwość? – Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Oj, mammo! Tyle razy ci mówiłam, że sprawiedliwości na tym świecie nie ma.

– A co jest, twoim zdaniem, w takim razie?

Westchnęła ciężko i bezradnie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Uczciwe, prawe postępowanie? – spytała retorycznie. – Ale oczywiście nie w przypadku fanatyków. Bo tych należy się bać. A jak wiemy, Mengele był fanatykiem systemu stworzonego przez Hitlera czy Himlera. Właściwie, wszystko jedno. Jeden i drugi zapisali się w historii jako zbrodniarze najwyższego kalibru. – Urwała.

Wspomnienie obozu i panujących w nim warunków wróciło jak żywe. Krwawa, szpetna Berta i mściwa Anita. Zastanowiła się, czy one zapłaciły za swoje czyny, czy tak jak wspomniany doktor rozpierzchły się po świecie, nie ponosząc za nic żadnej odpowiedzialności. Zadrzała na myśl więźniarki rozszarpanej przez psy, potem inne obrazy przesunęły jej się przed oczami. Głodowe racje, ciężka praca, prycze, wszy, choroby...

– Co robisz, dziecko? – Krystyna chwyciła ją za rękę, bo Stefania bezwiednie przesypywała herbatę do słoika, nie bacząc na to, że obok utworzyła się już kupka z suszonych, aromatycznych liści.

Stefania drgnęła jak rażona prądem. Dopiero teraz zorientowała się, gdzie jest i co się wokół niej dzieje.

– Przepraszam, mammo...

– Nie przepraszaj. To ja przepraszam, że zaczęłam ten temat. Nie powinienam, mając na uwadze, co wtedy przeżyłaś.

– Ach, stare dzieje! – Machnęła ręką, jakby chciała odpędzić od siebie mroczne myśli. – Ale dzięki temu poznałam pana Willa. Szkoda, że zmarł. Miał dopiero osiemdziesiąt trzy lata... Niestety, choroba nie wybiera. Dobrze, że wtedy udało mi się z nim zobaczyć. I pomodlić się na grobie Kazi. Pan Will to był taki dobry człowiek, dbał o to miejsce, jak mógł.

– Szkoda... – powtórzyła głucho starsza kobieta. – Ja wciąż żyję, a mam niewiele mniej...

– Oj, mammo! O czym ty mówisz? Masz żyć jak najdłużej! Jesteś wciąż młoda!

– Taak... – Urwała z westchnieniem. – Gdyby nie różne dolegliwości, reumatyzm... to może tak. Ale coraz częściej myślę, że mój czas nadchodzi nieuchronnie.

– Mammo! – skarciła ją ponownie córka. – Nie chcę słuchać takiego gadania! I obiecaj mi, że już nigdy więcej nie pójdziesz stać do kolejki. To może zrobić każdy z nas. Poza tym jedzenie, które zostaje w restauracji, mogę kupić za symboliczne pieniądze. Z głodu nie umrzemy. Weronika jest młoda, ma więcej czasu.

– W jej stanie? – zaprotestowała babka.

– Nic jej nie będzie, nikt jej nie zmusza do ciężkiej pracy. Wciąż chodzi do szkoły, żadna z jej koleżanek nie wie, że jest w ciąży. Na razie musi sobie radzić.

– Biedne dziecko... – szepnęła litościwie seniorka rodziny. – Taka ładna dziewczyna, a tak kiepsko trafiła.

– Uroda to nie wszystko! Co z tego, jak zabrakło jej zdrowego rozsądku! Kto to słyszał, aby zakochać się w takim prostaku?

– A co powiesz w takim razie o Antku? Sama mówiłaś, że synowa nie do końca w twoim typie?

Krystyna sięgnęła po kawałek tłustej chałwy, którą wcześniej pokroiła córka, i położyła przed nią na stole. Wszyscy domownicy uwielbiali ten przysmak, szkoda, że ostatnio był taki problem ze zdobyciem go.

– Antek to co innego! – zaprotestowała córka. – Wpadł jak śliwka w kompot. Aż mi go żal. Gdybyś poznała tę Alinkę, zmieniłabyś zdanie. Nawet nie wiesz, co teraz czuję. Z jednej strony chciałabym, aby rzucił tamtą w diabły, a z drugiej... dziecko, odpowiedzialność... – mruknęła zawiedziona i rozdarła wewnętrznie.

– Właśnie – przytaknęła starsza kobieta. – Jak sama wiesz... miłość nie wybiera. – Uśmiechnęła się ustami błyszczącymi od tłuszczu i spojrzała na córkę wymownie.

Stefania skończyła rozkładać zakupy i pozamykała wszystkie szafki. Starła blat i zaczęła automatycznie porządkować jedną z szuflad. Odwrócona do niej tyłem pomyślała, że owszem – miłość nie wybiera, ale jej przytrafiło się najpiękniejsze uczucie, jakie mogło się kiedykolwiek wydarzyć.

– A czy dziś czasem nie leci *Czterdziestolatek*? – zapytała nieoczekiwanie Krystyna Rudzka. – Uwielbiam ten serial, a już najbardziej kobietę pracującą – oznajmiła.

– Wiem, mamo. Ja też go mogę oglądać na okrągło. Madzia jest niesamowita! Czasem jej zachowanie wprowadza mnie w konsternację... – Zachichotała, przypominając sobie niektóre sceny. – Na przykład ten odcinek ze szkoleniem i peruką.

– A tak, pamiętam! – zgodziła się matka i zaczęła z entuzjazmem przytaczać niektóre dialogi.

– Pójdę do pokoju sprawdzić program. Gazeta leży na stole – oznajmiła Stefka i zostawiła rodzicielkę samą w kuchni.

„Dobrze, że mama zmieniła temat” – pomyślała, z ulgą kierując się w tamtą stronę.

Rozdział 17

Tym razem do towarzystwa zabrał Rysia. W końcu to on wpakował go w kłopoty, to niech teraz chociaż trochę ulży mu w cierpieniach.

Do Żyrardowa dostali się pociągiem, potem przesiedli na PKS. Uprzedził Hankę, że przyjedzie z kolegą. Już nie dziewczynę, ale świeżo upieczoną narzeczoną, bo nie tak dawno doszło do oficjalnych zaręczyn. Kupił na Bazarze Różyckiego od pewnego handlarza złoty pierścionek, nie zastanawiając się ani chwilę, czy będzie dobry i trafi w gust. Ważne, że był złoty, miał lśniący czerwony kamyczek osadzony w skromnym koszyczku imitującym liście. Wybrał największy rozmiar, bo jego wybrance spuchły ostatnio palce, zresztą nigdy nie należała do szczupłych kobiet. W uroczystości uczestniczyli tylko rodzice obu stron i oni sami. Stół był suto zastawiony, przyszła teściowa postarała się, aby niczego na nim nie zabrakło. Antek, przyglądając się pani Wiesi znad talerza ze schabowym, zdał sobie sprawę, że tylko wobec niej żywi jakieś pozytywne uczucia, coś w rodzaju sympatii i nici porozumienia. Wydawała mu się życiową, niegłupią kobietą, niestety – zahukaną przez pozostałych domowników. Okazało się, że w wolnych chwilach czytywała książki, najczęściej romanse, za co dostawała zwykle burę od męża. Tego dnia miała na sobie zieloną sukienkę z poprzetykaną gdzieniegdzie złotą nitką, z żabotem pod szyją i zakładkami wokół bioder. Jasne włosy były ułożone, oczy podkreślone tuszem. Jej uroda była delikatna, ledwie zauważalna. Jeśli jednak ktoś ją dostrzegł, nie mógł już oderwać oczu od tej subtelnej twarzy, najczęściej smutnej i zamyślonej. W takich chwilach żałował, że jego przyszła żona ani trochę nie wrodziła się w matkę, a całym swoim topornym wyglądem przypominała ojca.

Po sutym obiedzie przeszli do części oficjalnej. Najpierw podał przyszłej teściowej bukiet kwiatów, a potem niezdarnie ukląkł przed swoją wybranką. Zmusił się do wypowiedzenia kilku beznamiętnych zdań o tym, jak bardzo chce, by została jego żoną, a następnie wręczył jej złote cacko. Hanka udawała zaskoczoną, połały się łzy wzruszenia, rzuciła mu się na szyję i wykrzyczała: „Tak, tak, tak!”.

Ślub i wesele zaplanowali w lany poniedziałek, czyli drugi dzień Świąt Wielkanocnych, który w siedemdziesiątym dziewiątym roku przypadał szesnastego kwietnia. Już szła się suknia, na którą zapobiegliwy tatuś ściągnął gipiurę aż z Czechosłowacji, garnitury – szary na ślub cywilny, który miał się odbyć kilka dni wcześniej, i czarny na kościelny – też. Kra-
wiec tydzień wcześniej zdjął ostatnią miarę.

Przyjęcie miało być wystawne, na sto pięćdziesiąt osób, jak obliczył przyszły teść. Wieś musi zobaczyć, że za mąż wychodzi nie kto inny, ale Hanka Kowalczyk, i zapamiętać to wesele na długo. To nazwisko w okolicy przecież coś znaczyło, a jeśli w grę wchodziło wydanie za mąż jedynej córki – on nie będzie na nic żałował. Ani na jedzenie, ani na kucharki, ani na wystrój sali w remizie czy ubranie.

Stroińscy po tych słowach tylko na siebie popatrzyli. Po ich stronie leżał zakup wódki, wynajęcie samochodu, zapłacenie za orkiestrę, zdjęcia, a na taki wydatek nie byli przygotowani. Przełknęli jednak ten wywód bez cienia protestu, nie mając odwagi zaprzeczyć.

Antek czuł się jak baranek, który właśnie idzie na rzeź, i pożałował kolejny raz tej chwili zapomnienia na wąskim, hotelowym tapczanie. To wszystko wydarzyło się tak szybko, spontanicznie, bez jakiegokolwiek refleksji... „Gdyby tak można było cofnąć czas” – analizował w myślach, mając przed oczami obraz smutnej, zapłakanej Aliny, kiedy wreszcie któregoś popołudnia zdobył się na wyznanie. Nie mógł już dłużej jej oszukiwać, zwłaszcza że oczekiwała od niego szczerości, na którą sobie przecież zasłużyła. To ona wymogła na nim rozmowę, dostrzegając od dawna jego dziwne zachowanie. Kiedy tak na nią wtedy patrzył, gdy spuściła głowę i potok łez spływał jej po policzkach, a ona bezradnie mięła w palcach pa-

pierową serwetkę, miał ochotę wykrzyknąć całemu światu, że kocha tylko ją, że niech powie słowo, a on się ze wszystkiego wycofa. Nic takiego się jednak nie stało, bo Alinka wstała, chlipnęła głośno, mruknęła coś pod nosem i opuściła kawiarnię, w której się spotkali. Wyrzucał sobie, że nie mógł znaleźć gorszego miejsca, bo przecież dokładnie tutaj jeszcze niedawno wyznawał jej miłość, patrzył głęboko w oczy i kradł krótkie całusy, na jakie mu ochoczo pozwalała.

„Jestem kretyńcem, ostatnim kretyńcem” – powtarzał w myślach, gdy wracał po tym spotkaniu do hotelu, powłócząc nogami. Cała przyszłość, snute wspaniałe plany właśnie legły w gruzach. Nad głową zebrały mu się czarne chmury, których nie był w stanie rozgonić. Próbował zapomnieć, rzucił się w wir pracy i obowiązków. Nic nie przynosiło ukojenia, nawet jego przełożony stał się ostatnio jakiś oschły i mniej życzliwy. Przechodził, rzucał krótkie polecenia i odchodził, tłukąc drewnianymi podeszwami trepów. W domu też nie działo się dobrze. Werka wpadła podobnie jak i on. Z siostrą nie miał nigdy jakichś specjalnie zażyłych relacji, wciąż się o coś sprzeciali, ale w tym momencie poczuł więź silniejszą niż zwykle. Połączyło ich to samo nieszczęście, niemal w tym samym czasie, jakby to sobie razem zaplanowali.

W dodatku Hanka wymogła na nim kolejny przyjazd, na który kompletnie nie miał ochoty. Znów będzie chciała nakłonić go do amorów, choć on robił wszystko, aby ich uniknąć. „Pójdziemy razem na zabawę do remizy. W przyszłom sobotę strażoki organizują festyn z okazji rozpoczęcia wiosny. Musimy się pokazywać, coby ludzie nie broli mnie na języki” – perorowała namiętnie przez telefon, a on nie miał siły zaprotestować. „Sprawy już tak daleko zaszły” – myślał smętnie, godząc się kolejny raz na jej propozycję.

– Ja nie wiem, czemu jesteś taki niezadowolony – rzucił w pewnej chwili Rysiek, spoglądając z podziwem na ogromne, imponujące gospodarstwo

ogrodnicze, niemal w całości rozpościerające się przed ich oczami. – Na twoim miejscu skakałbym z radości i walił piętami po tyłku.

Wyszli właśnie na papierosa. Przed chwilą zjedli obfitą kolację, kilka słuszných plastrów wędlin swojej roboty, ogórków konserwowych, które przysłała teściowa przyniosła ze spiżarni, pokrojonego w grube pajdy chleba obłożonego świeżym masłem. Do tego pan Bogdan postawił butelkę samogonu, którym raczył raz po raz, wykrzykując to swoje: „To na drugom nogę!”.

Hanka w łazience szykowała się do wyjścia, więc kiedy gospodyni zaczęła sprzątać po kolacji, oni wykorzystali moment i wymknęli się na dwór. Stali w rozpiętych koszulach, bo bimberk wciąż szumiał im w głowach i rozgrzewał od środka.

– Trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno! – ciągnął nieubłaganie Rychu, wzdychając wzrokiem po okazałym dwupiętrowym budynku mieszkalnym, po rozległym, zabłoconym podwórzu, na którym przykuwał uwagę całkiem nowy, czerwony fiat 125p. – Wżeniasz się w bogatą rodzinę, w dodatku twoja ślubna jest jedynaczką. Trafił ci się taki bonus, a ty się jeszcze masz jak panienka! – rzucił i zarechotał.

– To się ze mną zamień! – warknął Antek, rzucając niedopałek pod nogi. Zmiażdżył go okrężnym ruchem buta, wsadzając demonstracyjnie ręce do obu kieszeni.

– Wiesz, stary... chętnie bym to zrobił, gdyby nie to, że ona kocha się w tobie!

– Czy ja wiem... – mruknął Ostrowski. – Czasem mam wrażenie, że ona poszłaby z każdym. Uwielbia te igraszki.

– Już ci zazdroszczę! – jęknął Rysiek. – Do tego jeszcze chętna i gorąca!

– Aż za bardzo... – mruknął z goryczą. – A niby skąd wzięły się wtedy te mendi? Myślisz, że one obie takie święte były?

– Musisz mi przypominać? – sarknął z wyrzutem, drapiąc się odruchowo po torsie. – A może to się załęgło w naszej toalecie? Skąd tak naprawdę ta pewność?

– Jasne! – wycedził. – Akurat wtedy i akurat nam obu. A później i wcześniej nic. Jedzie mi tu czołg? – Wyciągnął rękę i rozłożył ją przed oczami kumpla.

– I od tego czasu już nic nie załapałeś? – Trącił go w ramię i uśmiechnął się lubieżnie. –

– Nie! – burknął zirytowany Antek. – Nie sypiam z nią!

Chłopak otworzył gębę, wypuścił kółko dymu i popatrzył na niego, nie kryjąc zdziwienia.

– Wiesz, co? Ja to ciebie czasem nie jestem w stanie zrozumieć.

W remizie strażackiej, oddalonej od domostwa Kowalczyków o jakieś dwa kilometry, wrzało jak w ulu. Poszli tam grubo po dwudziestej, zastając już stłoczoną przy wejściu gromadę młodych ludzi. Jedni ze szklankami w dłoniach, inni palący papierosy, a jeszcze inni żywo dyskutujący. Padały siarczyste, niecenzuralne słowa, a wystrojone w wystrzałowe kreacje panny chichotały. Z głębi budynku dochodziła głośnie muzyka i przekrzykujące ją rozentuzjasmowane głosy. Opary dymu z papierosów, wody kolońskiej splecionej z potem kłębiły się w powietrzu. Na drewnianej podłodze wymieszane były warstwy naniesionego błota i pourywanego z dekoracji wstążek z bibuły.

Na widok Kowalczykówny w towarzystwie dwóch miastowych niektórzy umilkli, utkwili w całej trójce zaciekawiony wzrok, odprowadzając ich aż do samej kasy biletowej.

– Hanka! – Ze zbitego tłumku wysunęła się jakaś dziewczyna i podbiegła do Kowalczykówny, zarzucając jej na powitanie ręce na ramiona. Miała na sobie ciasną sukienkę w kwiaty, odciętą w pasie i przymarszczoną. Poczuli duszący zapach perfum *Być może*, które stały na półkach niemal w każdym kiosku Ruchu.

– Nie sądziłam, że przyjdiesz, i to jeszcze w takiej doborowej kompanii – zawołała głośnie, nachylając się do ucha dziewczyny, na co tamta pu-

ściła jej konspiracyjne oko.

Rysiek od razu rozpoznał w znajomej Mirkę, którą owej nocy wychędożył nie tylko za jej zgodą, ale i za jej namową. Musiał przyznać, że dziewczyna prezentowała się całkiem nieźle, nie przeszkadzała mu nawet gruba warstwa szminki na jej ustach i zbyt mocno podkreślone oczy. Mając jednak w pamięci pamiątkę, jaką po sobie wówczas zostawiła, postanowił być tym razem ostrożny i przywitał się z nią bardzo chłodno. Weszli do środka sali, dusznej i zatłoczonej. Dziwna lepkość wirowała w powietrzu gęstym od kurzu i potu. Muzykanci usiłowali naśladować jeden z utworów Czerwonych Gitar – *Annę Marię*, choć szło im to bardzo nieudolnie. Nie przeszkodziło to jednak większości połączyć się w pary i tkwić tak przez kolejnych kilka minut, kołysząc się w rytm fałszującej muzyki. Kiedy zagrano *Beatę z Albatrosa*, Hanka zawiesiła ramiona na szyi Antka niemal tak mocno, że czuł na sobie cały jej ciężar. Rysiek, chcąc nie chcąc, porwał do tańca koleżankę. Objął jej szerokie plecy, oparł brodę na czubku głowy i kiwali się niezdarnie na boki, wsłuchani w tekst piosenki. Ostrowski czuł na sobie wrogie spojrzenia miejscowych, zdając sobie sprawę z tego, że niektórym kawalerom wszedł niechybnie w paradę. Jego Hanka mogła rzeczywiście stanowić doskonałą partię, tylko że on – chłopak z miasta, który marzył w przyszłości o prowadzeniu własnej restauracji, nosząc w sercu inną kobietę – miał o tym ożenku całkiem inne wyobrażenie.

Zabawa trwała w najlepsze, muzykanci zmieniali repertuar, a niektórzy amanci wciskali im dychę, aby zagrali coś ekstra na zamówienie. Popłynęły ulubione szlagiery wyśpiewywane przez Alę Pugaczową, Marylę Rodowicz, Helenę Vondráčkovą, Dwa plus Jeden czy Skaldów. Przy barze, gdzie sprzedawano wino na szklanki i bimber, tłoczyła się kolejka. Rysiek z Mirką mieli za sobą kilka rund w tamtym kierunku, oboje byli już mocno podchmieleni, dlatego, coraz bardziej ośmieleni, kleili się do siebie jak tamtego wieczoru w stolicy.

Hanka nie piła, choć chciała. Antek musiał ją za każdym razem powstrzymywać. Wciąż na nim wisała, jakby się uparła, że musi pokazać przed całą wsią, że właśnie znalazła sobie narzeczonego. I to nie byle ja-

kiego. Chłopak był tą sytuacją zmęczony, chciało mu się do wychodka, usytuowanego z tyłu remizy. W którymś momencie kiwnął w stronę kumpla, aby ten zaopiekował się jego narzeczoną. Rysiek zaśmiał się rubasznie i bez protestu przechwycił dziewczynę. Dla odmiany Mirka, nie chcąc być sama, pobiegła za Antkiem.

W pewnej chwili do środka wtoczyła się grupa rozkrzyczanych rezerwistów. Podniósł się raban, dziewczęta zaczęły piszczeć, a chłopaki zerkać niespokojnie w ich stronę. Z doświadczenia wiedzieli, że trzeba było się mieć na baczności, bo często w takich sytuacjach dochodziło do bójek. Tamci, z narzuconymi na ramionach kolorowymi chustami, małymi arcydziełami będącymi pewnego rodzaju symbolem wolności, obejmowali się w pół i tańczyli mocno rozchwianym krokiem. Butelka samogonu krążyła z rąk do rąk jak zdradliwa kochanka. Kiedy mieli już dość wspólnej zabawy, postanowili wyłowić z tłumu dziewczyny dla siebie. A w tych można było przebierać jak w ulęgalkach, w dodatku strzelały do nich oczami, dając do zrozumienia, że chłopak, który dopiero co opuścił wojsko, przeszedł pobór, linię, ostrą dyscyplinę i wszelkie upokorzenia, jest dla nich wręcz wymarzony.

– Jeżdżą od wsi do wsi i podrywają nasze panny! – ryknął jakiś młodzieniec w przepeczonej koszuli do drugiego, nie mniej spoconego. – Chodź, spuścimy im łomot!

– Daj spokój, Heniek! Mało ci problemów? – zaproponował kolega, powstrzymując go silnym uściskiem.

W tym momencie jeden z grupy rezerwistów znalazł się przy Hance, szarpnął Ryśka, który, już mocno zamroczony, zaczął ją ugniatać, wyobrażając sobie, że ma przy sobie tę drugą.

– Ej, ty! Zostaw ją! – krzyknął mu w zaczerwienioną twarz. – To moja dziewczucha!

– Jaka twoja? – wściekł się Gil i chwycił mocno za ramię, próbując powstrzymać przed kolejnym atakiem. – To narzeczona mojego kumpla! – Wyprężył się jak gotowy do ataku kogut, bo wnet oprzytomniał i przypomniał sobie, o co poprosił go współlokator.

– Marek! Odczep się! – warknęła córka badylarza, kiedy zaczęło się robić nieciekawie.

– Marek? – wybełkotał Rychu, rozdziawiając gębę. – Ty go znasz, Hanka?

– A co ma nie znać? – Zachichotał tamten lubieżnie i oblizał wargi. – Prawda, Hanuś?

Zmieszała się, zaczerwieniła mocno, usiłując wydostać z żelaznego uścisku.

Amant zaglądał jej w oczy, trzymał wciąż za łokieć i przyciągał do siebie, nie zważając na protesty obojga. Uścisk zakleszczał się, a ona wciąż się szamotała.

– Teroz sobie o mnie przypomniałeś! A gdzieżeś był do tej pory? – warknęła wściekle.

Muzykanci akurat przestali grać, chcąc sobie zrobić przerwę na picie i jedzenie, dzięki czemu zrobiło się ciszej.

– Jak to gdzie? W wojsku! – odparł tamten, robiąc głupawą, rozbrajającą minę.

– Zostaw ją! – W tym momencie wyrósł przed nimi Antek, który właśnie wrócił z baru po jednym szybkim. Towarzyszyła mu Mirka, roześmiana od ucha do ucha, jednak na widok rezerwisty mina jej nieco zrzędała.

– A w mordę chcesz? To moja dziewczucha!

– Jaka twoja! To chyba jakiś żart! – wycedził Ostrowski, mając ochotę mu przyłożyć. Chciał dodać, że właśnie się zaręczył, kiedy tamten go uprzedził:

– A dzieciak też twój? – Rezerwista wyszczerzył gębę, na której rozlał się cyniczny uśmiech, a potem zwrócił się do Hanki: – Sama mi pisałaś w listach, że zmajstrowaliśmy bachora, hę?

Kowalczykówna zrobiła się w sekundzie blada jak ściana. Zachwiała się nad podłogą, tracąc rezon i pewność siebie.

– To czemu mi odpisołeś, że to nie twoja sprawa? – załkała nagle, czym wprowadziła rozmówców w osłupienie. Może tylko nie Mirkę, bo ta stała z boku, przyglądając się z zażenowaniem całemu zajściu.

– Oj tam, oj tam – wymamrotał Marek – Miołem gorsze dni. Nie chcesz chyba powiedzieć, że już mnie nie kochasz!

Dziewczyna dla odmiany oblała się rumieńcem, zerknęła na Antka, który, zszokowany, zrezygnował z ataku i cofnął się o krok.

– I co teraz byndzie? – jęknęła, zanosząc się szlochem. – Myślałam, że mnie nie chcesz, że będę sama wychowywać bękarta... A to taki wstyd na wsi!

Kawaler przyciągnął ją do siebie i objął czule, głaszcząc po głowie.

– Czego ryczysz, głupia? Co ma być? Wesele, co nie? Naprawdę myślałaś, że cię nie chcę? No co ty? Żadna nie zrobiła mi tak dobrze jak ty. – Znów zarechotał.

Potem zaś spojrzął na stojących obok chłopaków i rzucił podejrzliwie:

– A ci to kto? Amanci jacyś? Powiedz im, żeby spadali. Bo zaraz zawołam chłopaków i sprawimy im taki łomot, że popamiętają do końca życia!

Hanka nadal tkwiła w objęciach Marka, właściwie to już się nie kryła ze swoimi uczuciami, a nagły zwrot wypadków był jej chyba na rękę.

– I nie zostawisz już mnie? Ożynisz się ze mną? – zawodziła, chwytając go za podbródek.

– A cożeś, głupia, myślała? Tylko ciebie kocham na zabój. Wróciłem, tak jak obiecołem, co nie?

Ostrowski wyciągnął ramię, chwycił narzeczoną za łokieć, zmuszając ją tym samym, aby spojrzała mu w oczy.

– Hanka? To naprawdę jego? Przyznaj się!

– Precz! Łapy przy sobie! – warknął kochaś i zrobił wymach, trafiając Antka w nos. Połała się krew, przetarł ją więc rękawem koszuli i nie czekając długo, w odwecie pchnął napastnika. Ten zachwiał się, i wpadł w sam środek skupionej, wrzeszczącej grupki. Zrobił się rejwach. Z pomocą innych amant podniósł się, podwinął rękawy koszuli i nasadził na Antka niczym rozwścieczony byk. Po kilku sekundach obaj leżeli na ubłoconej, wydeptanej podłodze. Padały razy, potęgowały krzyki i obelgi. Scena przypominała boksinerski albo zapaśniczy ring, publiczność stojąca z boku skando-

wała, a oni, zagrzewani dopingiem, okładali się, nie zważając na ból, rozcięte wargi, nosy czy łuki brwiowe.

Nagle, nie wiadomo skąd, do remizy wtargnęła interwencja. Kilku umundurowanych mężczyzn, uzbrojonych w gumowe pałki, rozdzieliło ich, tłukąc bez opamiętania po plecach i głowie. Potem, nie zważając na ich protesty, zakuli w kajdanki i zaciągnęli do milicyjnego radiowozu.

Tłum gapiów wyległ ze środka, Hanka wyła coraz głośniej, tymczasem zrozpaczony Rychu usiłował jeszcze coś wytłumaczyć funkcjonariuszom.

– Antoni Ostrowski nie wszczął tej bójki, nie zabierajcie go, on jest niewinny!

Nie słuchali go, jeden z nich odepchnął chłopaka brutalnie od nysy, a potem odjechali spod remizy z głośnym wyciem milicyjnej syreny.

Rozdział 18

Alina siedziała na stacji Warszawa Centralna w oczekiwaniu na pociąg. Dworzec oddany został do użytku zaledwie cztery lata temu, piątego grudnia siedemdziesiątego piątego roku, otwarcia dokonywał pierwszy sekretarz partii Edward Gierek. To wielkie wydarzenie uświetniło również pojawienie się samego Leonida Breżniewa, który przyjechał do Polski na rozpoczynający się trzy dni później siódmy Zjazd Komitetu Centralnego. Nowoczesne rozwiązania sprowadzone z Zachodu, w tym automatycznie otwierające się drzwi, podgrzewane ławki na peronach, ruchome schody, salon dla VIP-ów, biało-czerwona fontanna na środku przejścia podziemnego, a także system tuneli z barami szybkiej obsługi, kawiarniami, sklepikami z galanterią i pamiątkami – wszystko to robiło ogromne wrażenie na podróżujących. Miejsce to miało stać się w krótkim czasie wizytówką odbudowującej się stolicy. Inwestycja rozpoczęła się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku i miała powstać w tysiąc sto dni, co w niewydolnej gospodarce PRL graniczyło niemal z cudem. W końcowym etapie do pomocy zaangażowano nawet Wojsko Ludowe.

Dziewczyna siedziała na ławce w głównej hali, wysokiej na jakieś dwadzieścia metrów, i spoglądała na tablicę świetlną informującą o przyjazdach i odjazdach pociągów. Wyprosiła u ojca kilka dni wolnego, nie była w stanie skupić się na pracy w hotelu. Każde spojrzenie w kierunku kuchni kończyło się bólem w piersi i tłumionym atakiem płaczu, z którym nie chciała się obnosić. On też unikał jej wzroku, kiedy zmuszony był przejść obok lady z garmazerką. Wlepiął oczy w posadzkę, udając, że jej nie widzi. Tymczasem jej serce nieustannie krwawiło. I tam gdzie zmuszona była go

widywać, i w domu, gdzie znów tęskniła za nim jak szalona. Matka jej nie pomagała, stała się jeszcze surowsza i bardziej wymagająca. Nie obchodziło jej nic poza cholernym porządkiem w mieszkaniu i opinią sąsiadów. Postanowiła przez kilka dni schronić się u cioci Bożeny. Może tam, w otoczeniu natury, bez zbędnego patosu i udawania uda jej się zapomnieć i zaleczyć zranione serce. Miała taką nadzieję, bo gdy zwierzyła się z tego pomysłu tacie, ten nie zaproponował.

– Odwiozę cię na dworzec – zaproponował.

Początkowo nie chciała się na to zgodzić, ale się uparła.

Obok ławki stała jej skórzana, porządna walizka, nieco wytarta, z mocnymi trokami zabezpieczającymi niespodziewane otwarcie. Pozostałość po dziadku, który poza podróżami kochał dobrej jakości rzeczy. Torba miała swoją historię, więc pomyślała z rozrzewnieniem, że i jej losy – czy tego chce, czy nie – zostaną do niej dopisane. Może kiedyś jej wnuczka, tak jak ona w tej chwili, będzie przeżywała podobne rozczarowanie miłością, może usiądzie w tym samym miejscu i ze łzami w oczach spojrzy na tę torbę podróżną, która przecież niejedno przeżyła i widziała. Już na samą myśl zrobiło jej się jakoś raźniej na sercu, zwłaszcza że ujrzała zbliżającego się do niej ojca. Szedł w rozpiętym płaszczu, pod rozrzuconymi na boki polami widniały zapięta na wszystkie guziki marynarka i krawat w skośne, kolorowe paski. Uśmiechał się szeroko, trzymał w ręku papierową torebkę, na której wykwitły tłuste, ciemniejsze plamy.

– Kupiłem świeże pączki – oznajmił, siadając obok i sapiąc lekko. – Weź na drogę... Na pewno zdążysz zgłodnieć, a nie wiadomo kto będzie siedział w przedziale.

– Myślisz, że jakiś głodomór, który nie pozwoli mi ich spokojnie zjeść? – spytała, mrugając porozumiewawczo.

– Z tym to nigdy nie wiadomo... Trzeba się mieć na baczności. Słyszałaś, o czym gadają ludzie?

– Słyszałam, tatko... – odpowiedziała z westchnieniem. – Drobnii złodzieje, zbrodniecy, mordercy, oszuści... Mam wymieniać dalej?

– Śmieję się, śmieję się! – mruknął, podając jej torebkę.

– Dziękuję, tatusiu... A może zjemy je teraz? Do odjazdu pociągu zostało jeszcze pół godziny. Będzie mi milej. Gdyby coś, mam kanapkę w plecaku i termos z herbatą. Naszykowałam sobie na wszelki wypadek.

Pogłaskał ją po policzku.

– Dobrze, córeczko – zgodził się ochoczo. – To z jakim nadzieniem wolisz? Różanym czy truskawkowym? – Po chwili, oblizując wargi umazane lukrem, dodał: – Koniecznie zadzwoń, jak dojedziesz!

– Zadzwonię – obiecała uroczyście. – A ty się nie martw i nie przepracowuj się. Masz od tego ludzi!

– Taak... sama wiesz, jak czasami można na nich liczyć. Wystarczy na chwilę spuścić ich z oczu.

– Kota nie ma, myszy harczą!

– Dokładnie, ostatnio Broniek znów przypalił gulasz. Tyle mięsa poszło na zmarnowanie!

Nikomu nie można już ufać, kiedyś wprawdzie myślałem, że ten Antek jest inny, że będę miał u swego boku godnego następcę... – Urwał, bo zobaczył szkliste spojrzenie córki. – Przepraszam... – bąknął.

– Nic się nie stało, tato... – powiedziała wolno i ugryzła kawałek pączka.

Patrzyła na biegających po hali podróżujących, przepychających się, szukających wyjścia, peronów, kas biletowych czy swoich bliskich. Życie toczyło się przed jej oczami na przekór wszystkiemu, przelewało kroplami słodyczy i dziegiu, czy tego chciała, czy nie.

W maleńkim pokoju na strychu stało wąskie łóżko, drewniana podwójna szafa i okrągły stolik nakryty wyszywaną ręcznie serwetką. Z okna rozpościerał się widok na rozrzucone wzdłuż utwardzonej drogi skromne zabudowania, częściej drewniane, otoczone niskim płotem ze sztachet, z mieniącymi się już kępami żonkili, w dali majaczyła smukła wieża kościółka, z przyległą do niego plebanią. Za nimi zaś ciągnęły się w dal wstęgi zazielenionych łąk, zorane, świeżo zasiane prostokąty pól, srebrzyła się w słońcu

tafla zarośniętego sitowiem stawu. Cały ten niezwykły widok zamykała gęsta ściana bukowego lasu, z którego raz po raz wychodziły stada oswojonych dzików czy brązowe młode sarenki.

Tych kilka dni dało jej czas na przemyślenia, choć nie na zapomnienie. Z małego tranzystorowego radyjka, które ciocia Bożena pozwoliła jej wziąć na górę, ulatniała się tęskna piosenka *Biały latawiec* wykonywana przez zespół Wawele. Jej serce ścisnął jeszcze większy żal, przytknęła ucho do głośnika, by nie uronić ani jednej nutki, ani jednego słowa. Melodyjny, aksamitny głos zawładnął całą jej duszą.

*On przyrzeka, ona mu wierzy,
będę twoim nadwornym krawcem,
centymetrem miłość wymierzę.
Płyną, płyną nad ciszą,
pewnie siebie już nie usłyszą
on ją woła, ona nie słyszy
sen bezsenny, sen ją kołysze
on latawcem białym na niebie,
ona płynie dokoła siebie
płoną chmury w pijanej bieli
Rozpłynęli się, rozpłynęli...*

Delikatne pukanie kazało jej zerwać się z łóżka i odłożyć radio na stolik. Ściszyła odbiornik.

– Proszę.

Drzwi skrzypnęły, otwierając się na całą szerokość. Ukazała się w nich niewysoka, szczupła postać Bożeny, ubrana w zieloną podomkę w drobne kwiatki, trzymająca w rękach tacę zastawioną drożdżowym ciastem i szklanką mleka.

– Pomyślałam, że przekąsisz coś przed kolacją. Napracowałam się przy myciu okien, na pewno zgłodniałaś.

– Ciociu! Nie trzeba było, sama zeszląbym na dół! Nie jestem jakąś księżniczką, zwałam wam się na głowę, a trochę pracy jeszcze nikomu nie zaszkodziło! – Zaśmiała się sztucznie.

– Jeszcze gorące, niedawno wyjęłam z piekarnika...

– Dziękuję, kochana jesteś – odparła, częstując się kawałkiem drożdżowca. – Jutro możemy uporządkować szuflady w kredensie. A pojutrze pranie!

Bożena położyła tacę na stoliku, po czym usiadła na brzegu łóżka.

Westchnęła głęboko i spojrzała na Alinę uważnie.

– Co cię gryzie, dziecko? Widzę, jak się miotasz, chciałabyś zrobić to wszystko, aby zagłuszyć w sobie ból. Mam rację?

Alina wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Święta za pasem, a ty przyjechałaś do nas. Mama cię nie potrzebuje? – ciągnęła nieubłaganie.

– Mam sobie jechać, ciociu? – spytała z lękiem.

Kobieta chwyciła ją za rękę i uścisnęła mocno.

– Nie to mam na myśli. Znam po prostu Aldonę.

– Tatuś mi pozwolił, powiedział, że sam pomoże mamie przy sprzątanii.

– Zygmunt to porządny chłop – skwitowała. – Poszczyściło się mojej siostrze. W dodatku ma taką wspaniałą córkę, prawda, Alinko?

– Ach, ciociu! – jęknęła dziewczyna i wsunęła się niespostrzeżenie w ramiona kobiety. – Gdyby mama była chociaż trochę podobna do ciebie! Ale ona jest jak faszystka.

– Swoje przeszła – mruknęła kobieta.

– A ty nie? Słyszałam, że wasz ojciec był potworem!

– Kto ci o tym powiedział?

– Tatko...

Bożena drgnęła na samo wspomnienie tego człowieka, serce zaczęło jej bić szybciej. Zaciśnęła palce na ramieniu siostrzenicy.

– Mało powiedziane, niech mu ziemia lekką będzie...

– A więc to prawda. – Bardziej stwierdziła niż zapytała.

Ciotka przełknęła głośno ślinę. W pokoiku zrobiło się jakoś ponuro, zupełnie jakby czas cofnął się o kilkadziesiąt lat. Powróciły mroczne wspomnienia.

– Jeżeli ojciec robi z córką takie rzeczy jak mężczyzna z kobietą, to musi być straszne, prawda? – wyrzuciła z siebie przez zaciśnięte gardło – A jeśli jeszcze córka jest dzieckiem?

Alina jęknęła i zakryła usta.

– Jak ja go nienawidziłam! – syknęła. – Życzyłam mu najgorszego! Modliłam się o jego śmierć i... wymodliłam. Zmarł na raka krtani w strasznych męczarniach. Udusił się. Nie byłam w stanie mu nawet współczuć. Zresztą... – Załkała gorzko. – Czasem zazdrościłam Aldonie, że ją oddał do tych Niemców. Przynajmniej jej nie tykał, a całą swoją chuć wyładowywał na mnie. Kiedy to zrobił po raz pierwszy, miałam... sześć lat. To było miesiąc po śmierci naszej mamusi. Pamiętam, jaki ból wtedy mi zadał, do tego próbował wmówić, że to mama mu się przyśniła i kazała mu to zrobić, abyśmy nie czuły tej okropnej pustki po niej... – Umilkła, a potem dodała beznamyślnym głosem: – Miała to być nasza tajemnica, którą ona zabrała do grobu. A jeśli ktoś by się o tym dowiedział, to ona nigdy nie poszłaby do nieba. A ja temu draniowi uwierzyłam! – sarknęła wściekle. – Nawet bałam się o tym powiedzieć starszej siostrze. Nie miałam pojincia, czy z nią robił to samo... aż do jego śmierci. Okazało się, że zdążył tylko raz.

Zapadła cisza.

– Straszne! – bąknęła dziewczyna, bo tylko takie słowa wcisnęły jej się na usta. – A mnie się wydaje, że jestem nieszczęśliwa. Jakie to śmieszne przy tym, co ty przeszłaś!

– Nie mów tak. Każdy problem ma swoją miarę.

Zerwała się z łóżka, aby posłodzić herbatę i ukryć kołujące w oczach łzy.

– Ja powiedziałam, teraz twoja kolej – rzuciła przez ramię.

Następnego dnia ciocia postanowiła zrobić na obiad żelazne kluski. W tym celu obrała kartofle i starta je na tarce. Do tego wystarczyło pokroić słoninę w drobną kostkę, stopić ją na patelni i polać jako okrasę. Czasem ciocia podawała do tych klusek kiszoną kapustę.

– Mój Janek uwielbia takie jedzenie. A jak jeszcze do tego dostanie zsiadłe mleko, nic innego mu nie trzeba.

– Pyszne! – przyznała Alina, oblizując utłuszczone wargi. – Już nie pamiętam, kiedy jadłam takie wspaniałości. Moja mama niewiele gotuje. Czasem jakiś krupnik, pomidorówkę, zalewajkę i to wszystko. To my z tatkiem rządzymy w kuchni, na zmianę. W restauracji też nie mamy takich klusek w menu. Muszę go namówić, żeby wprowadził. Są tanie i bardzo smaczne.

– A jak się zaczyna sezon na kurki, robię z nich sosik. Ach, jakie to dobre! – jęknęła z zachwytu ciocia Bożena. – Bliźniaki też je uwielbiają. Choć jeszcze lepiej smakują im knedle z truskawkami i młodą kapustą z koperkiem.

– Knedle z kapustą? – zdziwiła się dziewczyna. – Nigdy nie kosztowałam...

– A widzisz... – Bożena uśmiechnęła się łobuzersko. – Można się jeszcze czegoś od starej ciotki nauczyć?

– Jakiej starej? – zaoponowała siostrzenica. – Ciocia wygląda jak siostra własnych dzieci!

W tym momencie niemal jednocześnie do kuchni wpadło rodzeństwo, a za nimi gospodarz. Zdjął kufajkę i cofnął się do sieni, aby ją odwiesić, a potem zatarł wesoło ręce, spoglądając na dwie kobiety krzątające się przy węglowym piecu. Wciągnął nosem powietrze, wyczuwając w nim zapach smażonej cebuli i stopionej słoniny.

– Dobrze się zapowiada! – mruknął, potem nachylił się nad drewnianą szafką, na której stała miednica z wodą.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną z krótko przystrzyżonymi blond włosami, nieprzesadnie przystojnym, za to miłym w obyciu i ujmującym od pierwszego spojrzenia. Podszedł do żony i cmoknął ją w kark, co rozczuliło Alinę.

– Co jest na obiad? Jesteśmy tacy głodni! – Rodzeństwo zrzuciło z siebie wierzchnie ubrania i zamierzało usiąść. Mieli już po siedemnaście lat, Marcelina wyrosła w ostatnim czasie i wyładniała. Stała się mniej pucułowana na twarzy, a jej jasne, długie włosy nabrały gęstości i blasku. Średniego wzrostu Maciej, mimo krótkiej fryzury, stanowił wierną kopię swojej siostry.

– Najpierw umyć ręce! A potem zapraszam do stołu! Razem z Alinką nagotowałyśmy żelaznych klusek.

Chwilę później w całym komplecie siedzieli przy drewnianym, pokrytym ceratą stole, na którym parowała miska z kluchami. Obok stał dzbanek z kompotem z zeszłorocznych truskawek i rząd przezroczystych szklanek. Ciocia pochyliła się nad blatem, aby nałożyć wszystkim na przygotowane wcześniej talerze. Każde z rodzeństwa coś mówiło, czasem się przekrzykiwali, czasem ojciec musiał ich uspokajać swoim niskim, gardłowym głosem. Alina przyglądała się temu sielskiemu obrazkowi z jakąś dziką tęsknotą ukrytą na dnie serca. Zapragnęła, aby kiedyś jej rodzina wyglądała podobnie, tyle że jedyny mężczyzna, który mógłby siedzieć na miejscu Jana, miał się wkrótce żenić z inną.

– Jutro przyjeżdża do wsi cyrk! – obwieścił nagle Maciek z pełnymi ustami. – Ma się rozłożyć niedaleko remizy, na polu.

– Przynajmniej pożar im nie grozi! – prychnął wesoło Jan, nakładając sobie kolejną porcję. – Widziałem plakat na sklepie, miałem wam właśnie powiedzieć.

– Hurra! – zawołała Marcelina. – Ja chcę pójść, chcę zobaczyć akrobacje na linie! Te dziewczyny są takie zwinne, gibkie, wyginają się jak guma!

– Ćwiczą od dziecka, to ciężka praca i lata wyrzeczeń. Na pewno nie jedzą takich frykasów jak wy – dodał ojciec, spoglądając wymownie na opróżnioną miskę.

– Ja tam wolę konie i popisy kaskaderskie. – Maciek skrzywił się i łypnął na siostrę spod długiej grzywy.

– Wszyscy pójdziemy, dobrze? – wtrąciła się ciocia Bożena. – Dowiedzcie się, kiedy zaczną sprzedawać bilety i gdzie. – Sama chętnie zobaczę ten cyrk.

Rozdział 19

Pociąg jadący przez Żyrardów do Warszawy nadjechał zgodnie z planem. Pierwszy wskoczył do wagonu drugiej klasy Antek, zajął wolny, zakurzony przedział, a Rysiek podał mu przez okno plecak.

– Ładuj się, bo odjedzie bez ciebie! – Zaśmiał się łobuzersko i zaraz skrzywił, bo rozciągnięta rana na policzku i wargach zaczęła piec.

– Zajmij miejsce, a ja skoczę do Warsu po jakieś piwo, należy nam się, co nie? – oznajmił wesoło Rysiek, mrugając doń porozumiewawczo.

– Tylko się pospiesz i nie zgiń mi czasem! – upomniał go kolega i schował głowę do środka.

– Nie bój żaby! – odciął się tamten i pomknął w drugą stronę długiego składu.

Antek tymczasem zajął miejsce koledze, rzucając na poplamione siedzenie jego bagaż. Zasunął drzwi i zaciągnął zasłonki, nie chcąc, aby ktokolwiek zaburzył im spokój.

„Zrobimy sobie ucztę” – pomyślał z zadowoleniem i wyciągnął z plecaka połówkę żytniej, którą zakupił w czynnej w Żyrardowie pijalce, i cztery pajdy chleba posmarowane smalcem, obłożone zatłuszczonym pergaminem. Chciał zrobić kumplowi niespodziankę, wykorzystał moment, kiedy tamten szukał toalety, a po kilku daremnych próbach skorzystał z latryny przy kościele. Wtedy sam wszedł do otwartej na rogu kamienicy Kaskady. Tłoczno tam było i gwarно, królował znajomy, swojski zapach, brzęczały naczynia, rozbrzmiewały w powietrzu wesołe głosy. Za barem stała tęga, niezbyt urodziwa kobieta, a na jego widok rzuciła lakonicznie:

– Czego?

W kilku słowach wyjaśnił, o co mu chodzi, więc tylko otaksowała go pobieżnym spojrzeniem, po czym sięgnęła po butelkę, owinęła w „Trybunę Robotniczą”, a zakąskę zabezpieczyła papierem. Zostawił jej napiwek, podziękował i pomknął w miejsce, gdzie się rozstał z kumplem. Czuł się taki szczęśliwy. Splot różnych okoliczności uczynił go wolnym człowiekiem. Nieważne, że spędził kilka godzin na posterunku milicji, nieważne, że został przesłuchany, lekko obity i odnotowany. W gruncie rzeczy nic na niego nie mieli, bójkę na zabawach zdarzały się nagminnie. Dość porządnie napity Marek miotał się jak ryba w sieci, twierdził, że miastowy napadł na jego ukochaną, która spodziewa się dziecka, na co Antek spokojnie wytłumaczył, że nie tak dawno, bo dwa tygodnie temu, zaręczył się z tą dziewczyną i nikogo nie napadł, tylko oczekiwał wyjaśnienia. W końcu każdy na jego miejscu zrobiłby to samo, w lany poniedziałek zaplanowane było ich wesele. Nie miał pojęcia, że jego Hanka spotykała się z tym oto rezerwistą – dokończył ponurym tonem, spoglądając spod brwi na swojego konkurenta. Kochaś jego niedoszłej żony na te słowa szarpnął się jak dziki zwierz, łypnął na niego spode łba i wymruczał jakieś pogrożki.

Ich poplątane, nieco rozbieżne zeznania musiały jednak rozbawić funkcjonariuszy milicji, bo tylko popatrzyli po sobie, a potem jeden z nich rzucił drwiąco:

– Obywatelu Marek Koliba! Zostajecie w areszcie aż do wyjaśnienia! Rezerwista, który wszczyna bójkę w miejscach publicznych, stanowi element zagrożenia. Posiedzicie trochę, to amory wylecą wam z głowy! Przestaniecie podrywać cudze narzeczone!

– Ależ panie władzo! – zaprotestował. – Hanka jest moja!

– A ty, obywatelu Ostrowski, zmiatajcie do domu! – Zaśmiał się lekceważąco, nie zwracając uwagi na protest tego drugiego. – Na razie potraktujemy ten przypadek jako chuligański wybryk. Ale miejcie się na baczności, bo drugi raz nie pójdzie wam tak gładko.

– I pilnujcie swojej przyszłej żonki! – dodał ten drugi kpiąco. – Bo jak wiadać, niezłe z niej ziółko!

Nie skomentował tych słów, nie chciał zaczynać z władzami. Pragnął opuścić posterunek milicji jak najszybciej i dotrzeć do swoich przyszłych teściów, aby w końcu wyjaśnić to cholerne nieporozumienie.

Gdy zjawił się w domu Kowalczyków, zastał w suterenie siedzącego z opuszczoną głową Ryśka, chlipiącą Hankę i jej naburmuszonego tatulka. Wszyscy troje na jego widok odwrócili wzrok i zrobili miny, jakby zobaczyli ducha.

– Zabieram swoje rzeczy i wyjeżdżam – oświadczył zimno Antoni, patrząc na swoją niedoszlą żonę z wyrzutem. – Jeśli myślałaś, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw, przeliczyłaś się. Zwalniam cię z obietnicy, zostawiam wolną drogę, możesz wracać do swojego Mareczka. Najpierw jednak musisz go wyciągnąć z ciupy.

– Zaczekaj! – Bogdan poderwał się z miejsca i zastąpił chłopakowi drogę. – Nie rób głupot, przemyśl to sobie! Chcesz to wszystko popsuć?

– Popsuć? – wycedził Ostrowski, nie panując już nad sobą. – To ja chciałem zrobić kogoś w dzieciaka? Niech pan już da spokój!

– Wesele już prawie gotowe, piniądze wydane, może jednak się dogodocie – drążył uparcie Kowalczyk.

Rysiek podniósł się z wersalki, otrzepał odruchowo spodnie i wyminał ich bez słowa. Po chwili wrócił z plecakiem na ramieniu, stanął obok kumpla i spojrzał w jego stronę wymownie.

– To co? Zwijamy żagle?

– Chwila, zaraz! Porozmawiajmy spokojnie! – zaproponował ojciec Hanki i chwycił Antka za przedramię.

– Zapomnijmy o tym, co było, skupmy się na przyszłości. Nie pożałujesz, chłopcze.

W drzwiach stanęła pani Wiesława. W ciasno zawiązanej pod brodą chustce, w fartuchu i gumowcach, przedstawiała dość osobliwy widok.

– Bogdan! – powiedziała z naciskiem. – Daj chłopakowi żyć! Niech lepiej Hanka zastanowi się nad tym, co zrobiła.

– Nie wtruncoj się! – warknął na nią mąż. – O niczym nie masz zielonego pojęcia! Idź lepiej do szklarni, gdzie jest twoje miejsce!

Kobieta w tym momencie poczerwieniała, odwróciła się na pięcie i wyszła. Zrobiło się nieprzyjemnie cicho.

– Nie mam tu już nic do roboty! – mruknął Antek, wyminął mężczyznę i pomknął na górę po swoje rzeczy.

Spakowany, miał już wyjść, ale jakaś myśl kazała mu zawrócić i powiedzieć ostatnie słowo do niedoszłej żony. Stanął nad nią, płaczącą i zgarbioną na wersalce, pogładził lekko po włosach.

– Życzę ci szczęścia z tym Markiem. Przecież jego kochasz bardziej niż mnie.

Podniosła twarz, nie bacząc na rozmazany tusz na policzkach i czerwone opuchnięte oczy, i spojrzała na niego zaskoczona.

– I nie masz do mnie żalu?

Wzruszył ramionami.

– Staram się ciebie zrozumieć, choć trudno mi jakoś... Przecież kiedyś to i tak by się wydało...

Na te słowa znów zaniósła się płaczem, który niósł się po niskim, okopconym pomieszczeniu.

– Nie mam – rzucił głucho, na co ona poczuła zbawienną ulgę. Podniosła głowę i uraczyła go wdzięcznym spojrzeniem. Miał już dość tego cyrku, podniósł obie ręce na znak, że się wycofuje, i minawszy zrezygnowanego pana Bogdana, ruszył w górę schodów.

Tam natknął się na panią Wiesię. Błada jak ściana, stała w drzwiach, spoglądając z niecierpliwością w stronę obitej boazerią klatki schodowej. Najwyraźniej na niego czekała.

– Przepraszam za córkę – wymamrotała, obejmując go odruchowo. – Szkoda, polubiłam cię...

– Ja panią też – wykrztusił zaskoczony i odwzajemnił niemal matczyzny uścisk. – I niech pani uważa na siebie, nie pozwoli sobą pomiatać! Zasługuje pani na szacunek! – rzucił jeszcze przez ramię, a potem pobiegł jak na skrzydłach w kierunku bramy, gdzie niecierpliwiąc się, pałac papierosa i przydeptując z nogi na nogę, czekał na niego kolega.

Był zdziwiony, kiedy zauważył, że miejsce przy ladzie z garmazerią przejęła Baśka. Pracowała tu od niedawna, niska, gruba, z kartoflanym nosem, za to z wiecznie roześmianą, okrągłą twarzą. W opiętym, białym fartuchu, spod którego wylewały się zwały tłuszczu, przypominała zasznurowany baleron.

– Nie ma jej od tygodnia. Wzięła wolne – odparła zapytana, podnosząc wyniośle głowę znad talerza z wieprzową galaretką. Zmierzyła go przy okazji badawczym spojrzeniem, po czym wydeła wargi w nieoczywistym grymasie. Nie dało się nie zauważyć świeżych zadrapań na jego twarzy, siniaków i głębokiego rozcięcia na łuku brwiowym, które już zdążyło się zasklepić.

– Wiesz, co się stało? – drążył dalej, na co dziewczyna tylko wzruszyła ramionami i wróciła do swojej roboty.

– Zapytaj jej ojca! – mruknęła pod nosem.

– Nie omieszka... – odparł ponurym głosem i szybkim, energicznym krokiem ruszył do wnętrza rozległej kuchni.

Jak zawsze panował tam gwar. Kłęby pary unosiły się nad gazowym paleniskiem, gdzie stały prychające, przykryte pokrywkami gary. Zewsząd słychać było głosy, krzyki, plaśnięcia tłuczkiem czy tępe uderzenia noża. Zerknął na chłopaków, podsumowując w myślach, że licząc jego, zmiana była w komplecie. Na widok wchodzącego kumpla przestali się przekrzykiwać, a jeden z nich łypnął spod zarzuconej na czoło grzywy i zagadnął kąśliwie:

– Wpadłeś do betoniarki, Antek? Czy może pod kosiarkę?

– Prawie! – warknął niezbyt uprzejmie, bo żarciki kolegów bywały często złośliwe i niewybredne. A zwłaszcza ostatnio, kiedy po kuchni zaczęły krążyć plotki o jego związku z córką szefa. Miał pełną świadomość, że większość mu zwyczajnie zazdrości, niejeden z tej bandy żółtodziobów chciałby być na jego miejscu. „Ciekawe, czy już wiedzą” – przemknęło mu przez myśl. Porażki od zawsze stanowiły pożywkę i powód do satysfakcji.

W tym momencie, jak na zawołanie, zmaterializowała się obok niego sylwetka szefa. Ogromnej postury, w białym fartuchu, czepku wciśniętym na czarne, smagnięte siwizną włosy.

– No, jesteś wreszcie! – powitał go niecierpliwym, pełnym nagany tonem. – Gdzie byłeś wczoraj?

– Przepraszam... – bąknął. – Wszystko szefowi wytłumaczę. – Jednocześnie dał mrugnięciem znak, że zrobi to, ale nie tutaj.

– Mam nadzieję – odparł tamten, po czym podał mu menu.

– Za trzy godziny będzie tutaj drużyna piłkarska. Jedzenie ma być najlepszej jakości! – zagrmiał, spoglądając na niego wzrokiem pełnym zarzutu. – Jak się spiszesz, rozważę twoją prośbę o stałe zatrudnienie. – Tatar ma być prima sort, zrozumiano?

– Tak jest! – Ostrowski podskoczył, złączył nogi jak na apelu w wojsku i niemal zasalutował. Powstrzymał się w ostatniej chwili.

Kilka godzin później pojawił się w pokoju biurowym szefa, gdzie ten, pochylony głęboko nad jakimiś papierami, skrobał coś długopisem, posapując cicho. Towarzyszyła mu szklanka mocnej herbaty, upita do połowy, postawiona na szklanym spodeczku, razem z dwiema, niewykorzystanymi kostkami cukru. W wąskim, dość jasnym pomieszczeniu stało tylko jedno biurko oraz zamykany na kluczyk, pokryty brązowym fornirem regał. Okno z popielatymi zasłonkami zdobił wąski parapet zastawiony kwiatami i pojemnikiem z ustaną wodą. Chodziły po kuchni pogłoski, że pan Zygmunt lubował się w pielęgnacji roślin, i wystrój pomieszczenia bez wątpienia to potwierdzał.

Pojawienie się Antka w tym miejscu nie wywołało zaskoczenia. Woliński ręką wskazał mu wolne krzesło po drugiej stronie biurka.

– Słucham – rzucił krótko, okazując zniecierpliwienie.

Antoni wziął głęboki oddech i oznajmił bez zbędnych ceregieli.

– Kocham do szaleństwa pańską córkę. Chcę się z nią ożenić.

Woliński podniósł głowę i przyjrzał mu się uważnie. Na jego usta wkradł się drwiący grymas.

– A ona z tobą chce?

– Kiedyś chciała... – wydukał. – A teraz... – Splótł palce obu dłoni i schował szyję w ramiona. – Sam już nie wiem...

Mężczyzna popatrzył na niego z politowaniem, w jego palcach tkwił długopis, którym obracał nerwowo.

– Nie wiem, co między wami zaszło... nie powiedziała mi – zaczął cicho i dość łagodnie. – Wiem natomiast, że bardzo ją zraniłeś. Od pewnego czasu stała się jakaś dziwna, nieobecna... – Zawiesił głos. Potem spojrzął chłopakowi oskarżycielsko prosto w oczy i wrzasnął: – Nie pozwolę jej skrzywdzić kolejny raz. Zrozumiano?

Antek aż podskoczył na siedzeniu. Zbladł i znów stracił pewność siebie, jego entuzjazm gdzieś się ulotnił.

– Jeszcze raz zobaczę, jak przez ciebie płacze, to ubiję jak psa!

Rozdział 20

Lolek? Co tutaj robisz?

Antek wpadł do pokoju jak huragan, objął matkę, oderwał od podłogi i niemal podrzucił do góry.

– Puść, wariatuńciu kochany, puść! – zawołała, udając oburzenie. Jednocześnie zamknęła w dłoniach jego głowę i ucałowała w sam czubek. – Połącz mi kości! Puścisz czy nie?

– Już, mamuś, już!

Postawił ją na miękkim dywanie i wygładził z namaszczeniem zadartą spódnicę. Zawstydzila się nieco, spostrzegając obnażone wysoko uda i żabki od pasa przytrzymującego pończochy. Szybko uporządkowała ubranie, dopiero potem odważyła się spojrzeć na pierworodnego.

– Musiałem przyjechać i wam o tym powiedzieć! Nie uwierzycie, co się stało!

Stefania usiadła, czerwień zmieszania z jej twarzy znikła, zastąpiła ją dla odmiany bladość i uważne skupienie.

– Wesela nie będzie! – krzyknął z entuzjazmem. – Wszystko odwołałem!

– Ale jak to, tak nie można! – zaprotestowała, podnosząc w górę ręce w dramatycznym geście. – Rozmawialiśmy o tym setki razy! Możesz nie kochać, ale co z dzieckiem? Nie jest winne błędów swoich rodziców! Nie chcę, aby ta dziewczyna przez ciebie płakała, a nas kiedyś przeklęła... – ciągnęła niemal płaczliwie.

W drzwiach pokoju, w szarej prostej sukience, która wisiała na niej jak na haku, pojawiła się pani Krystyna. Schudła w ostatnim czasie, zmizer-

niała, policzki jej się niepokojąco zapadły, broda nienaturalnie wysunęła. W wąskich szparach oczu tliły się resztką dawnego ognia szare tęczęwki. Kolejne dolegliwości pozbawiły ją niemal apetytu, co swoim zwyczajem rzuciła na karb starości. Przyglądała się wnukowi, nie kryjąc zaciekawienia. Znała go niemal na wylot, chłopak od zawsze miał charakter, postępował honorowo. Nie mógł więc teraz wycofać się bez ważnego powodu.

– Powiedz, wnusiu, co się stało – wtrąciła drżącym, słabiutkim głosem.

Odwrócił się na te słowa, porwał ją w ramiona podobnie jak matkę i podniósł w euforycznym geście do góry.

– Bój się Boga, wnusiu! Udusisz starą babkę!

– Hanka jest w ciąży, ale nie ze mną! W końcu się wydało! – wykrzyknął na całe gardło. – Chciała mnie po prostu wrobić. Przyznała się!

Potem odstawił staruszkę na podłogę i omiół ją badawczym wzrokiem. Spochmurniał.

– Babciu, nic ci nie jest?

Machnęła lekceważąco ramieniem.

– A co ma być? Starość, dziecko!

Pokręcił głową z niezadowoleniem i spojrzał na matkę, która z wrażenia przytrzymała się krzesła. Zbladła w jednej chwili, bo nagle jakaś inna myśl zajęła jej głowę.

– A co z weselem? Wódka już kupiona, samochód opłacony, garnitury gotowe...

– A co ma być? – odparł lekko zbity z tropu. – Wyprawimy drugie wesele!

Po chwili jednak zmarkotniał jakoś, wcisnął głowę w ramiona i usiadł, zrezygnowany, w fotelu.

– Myślałem, że ta wiadomość was ucieszy... – mruknął. Potem już bez emocji opowiedział o tym, co się wydarzyło. Na końcu dodał, że zamierza zrobić wszystko, aby odzyskać Alinę.

Stefania po wysłuchaniu tej relacji ożywiła się nieco, podbiegła do meblóścianki, wyjęła z barku butelkę pigwowej nalewki i rozstawiła trzy kieliszki na stole.

– Ale się narobiło, Lolek! Mam tylko nadzieję, że ta dziewczyna ci wybaczy.

Rozlała drżącą ręką alkohol i usiadła przy stole.

– Ja też, mamoo...

– Jakie to życie potrafi być nieprzewidywalne... – Westchnęła ciężko. – Wszystkiego bym się spodziewała, ale nie tego. Wesela nie będzie, Werka w ciąży... Ojciec dziecka nie zamierza się z nią żenić... Ech!

– Gdyby miała mieć takiego chłopca, to nawet lepiej! – wtrąciła się babka. – Pan Bóg nad nią widocznie jeszcze czuwa.

– Ktoś tu mówił o mnie? – W pomieszczeniu, ku zaskoczeniu wszystkich, pojawiła się Weronika Ostrowska. W luźnej sukience w kratkę z fikuśnym wyszywanym karczkiem, klapnęła ciężko na najbliższym krześle. Sapnęła, luzując apaszkę wokół szyi.

– Ładnie wyglądasz, siostra! – rzucił brat na powitanie, podchodząc i obejmując czule. – Cięża ci najwyraźniej służy!

– Taa... – skwitowała z powątpiewaniem. – Ciekawe, jak ty byś się czuł z dziesięciokilowym balastem z przodu.

– Od razu dziesięć kilo? Nie przesadzaj! Niewiele przytyłaś – stwierdził, omiatając ją uważnie wzrokiem.

– Chyba wiem lepiej, luster w domu nie brakuje! – mruknęła ze złością.

Antoni stwierdził, że nie ma sensu wchodzić z siostrą w dyskusję dotyczącą jej wyglądu. Cokolwiek by powiedział, ona i tak musiała zakwestionować. Zawsze tak było, odkąd pamiętał. Mimo niewielkiej, bo trzyletniej różnicy wieku ona notorycznie musiała mieć ostatnie zdanie. A on jej we wszystkim ustępował. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś budowali wspólnie zamek z klocków. Namęczył się, aby był wysoki, miał okna i wieżyczki, a nawet fosę i most zwodzony zrobiony z kartki sztywnego papieru. Siostrze jednak nie spodobał się pomysł z murem. Uznała, że powinien okalać tylko jedną część ogromnej budowli. Próbował ją przekonać, że każde porządne zamczysko powinno mieć solidny mur, na co ona się wściekła i rozwaliała cały efekt ich kilkugodzinnej pracy jednym zamaszystym kopniakiem.

W pierwszej chwili miał ochotę strzelić jej klapsa, ale kiedy zaczęła płakać, jej usteczka wygięły się w podkówkę, a gęste łzy zalały policzki, zmiękł jak za każdym razem.

Teraz patrzył na nią, szczerze jej współczując.

– Będzie dobrze, siostra! Jeszcze się wszystko ułoży – dodał na pocieszenie. – Przynieść ci coś do picia? Sapiesz, kochana, jak stary parowóz.

– Jakbyś nosił bagaż z przodu, a nie z tyłu, też byś sapał! – odparła z przekąsem. – Możesz przynieść, najlepiej wody sodowej.

– Skończyły się naboje – wtrąciła babcia. – Kto pójdzie do sklepu?

– Ja skoczę! – zaproponował chłopak, zrywając się i pędząc ku drzwiom. – Kupić coś jeszcze?

Kobiety spojrzały na niego z lekkim politowaniem.

– A niby co chcesz teraz kupić? W sklepach tylko ocet stoi na półkach! – prychnęła z pobłażaniem Werka. – Leć lepiej po te naboje, a potem pogadamy. Wygląda na to, że mamy o czym. Prawda, braciszku?

Zerknął przez ramię i mrugnął w jej stronę porozumiewawczo okiem.

Rozdział 21

Na rozciągającym się tuż za remizą strażacką szerokim pasie pola ulokował się cyrk. Na głównym placu rozpięty został kolorowy, wielkich rozmiarów namiot, otaczały go liczne wozy pokryte plandeką oraz mniejsze namioty, a w tych obecnie rezydowała dyrekcja i grupa ważniejszych artystów. Prychały konie, potrząsając łbami, wydłubując karmę z prowizorycznego paśnika, do którego zostały przywiązane. Brzęczała metalowa uprząż, a niecierpliwe, przyzwyczajone do długiej drogi kopyta uderzały o rozpulchnioną nawierzchnię łąki. W ostatnich dniach sporo padało, rowy wypełniły się wodą, a pola rozmiękły. Na małym placyku, oddzielonym od reszty niskim ogrodzeniem, trwały właśnie próby do wieczornego pokazu. Truchtały posłusznie, jeden za drugim zgrabniutkie kucyki, a niewysoki, ubrany w rozciągnięte spodnie i bluzę treser poganiał je trzaskiem bata i ostrymi komendami. Gdzieś z boku paradowała największa atrakcja widowiska. To jej sława ściągała ciekawość i budziła zachwyty. Słonica nazywała się Adela. Była potężna, miała pomarszczoną skórę, wielkie łapy, wieszące uszy i długą trąbę, którą potrafiła płątać różne figle. Na jej popisowy numer ze staniem na dwóch nogach i z koszykiem kwiatów czekali wszyscy. W niewielkim oddaleniu, tuż za drewnianym płotem otaczającym teren strażnicy, wszystkiemu przyglądały się z rozdziawionymi gębami miejscowe dzieciaki. Jakież to dla nich było wydarzenie! Przewracały oczami, przepychały się i piszczwały z zachwytem na widok przemierzających się artystów, w tym kuglarzy, zonglerów, szcudlarzy, a także drobniutkich, giętkich dziewcząt zajmujących się woltyżerką.

Kilka godzin później cyrk w pełnej krasie był już przygotowany do występów. Zdążyło się ściemnić, dlatego między namiotami rozwieszono sznury lampionów. Na długiej szpicy zamocowano lampę, ta szerokim kręgiem oświetliła ten kolorowy, tętniący całą feerią barw i dźwięków plac. Tuż przy wejściu postawiono drewnianą kasę biletową, do której ustawiała się kolejka chętnych, a wchodzących do ogromnego namiotu zabawiał pocieszny klaun z czerwonym, okrągłym nosem. Grała głośna muzyka, raz po raz wybuchały salwy gromkiego śmiechu, widownia zappełniała się, a na okrągłej wysypanej żwirem i trocinami scenie nie było jeszcze nikogo. Całemu temu zamieszaniu towarzyszyła niezwykle podniosła atmosfera, cyrk był w tych okolicach rzadkością, nic więc dziwnego, że zewsząd nadciągały tłumy. Dla niektórych już zabrakło miejsc, dlatego zmuszeni byli siedzieć na drewnianych deskach imitujących schody. Alina z całą rodziną ciotki Bożeny zdążyła już się szczęśliwie ulokować. Ścisk panował niemiłosierny, ale nikt się nie skarżył, dzieląc się licznymi uwagami, niecierpliwie czekali na rozpoczęcie spektaklu.

Wkrótce się zaczęło, najpierw na scenę wybiegł klaun w komicznym ubraniu z ogromną pupą, przewrócił się kilka razy, czym rozbawił publiczność, a potem wskoczył na widownię i zaczął robić psikusy. Zaczepiał dzieci, zadając im głupkowate pytania, kradł niektórym nakrycia głowy, a na końcu rozdał lizaki, które wyciągnął z przepastnej kieszeni umieszczonej na brzuchu. Śmiechu było co niemiara, jednak najważniejsze dopiero miało się wydarzyć. Dalej był popis wołyżerki, dwa chyże konie, ubrane w złociste pióropusze, galopowały wokół sceny, a śliczna dziewczyna w obcisłym, błyszczącym stroju przeskakiwała z jednego grzbietu na drugi, robiąc przy tym zgrabne salta. Kiedy popis się skończył, oklaskom nie było końca. Następnie odbył się pokaz żonglerki. W ruch poszły piłki, obręcze, a nawet talerze. Jeden się stłukł, znów nagrodzono artystów salwą śmiechu i brawami, ale najwyraźniej efekt był zamierzony. Wstrzymali oddech, kiedy z wysokiego sufitu spadła kładka na linach, wskoczyła na nią zwinna jak małpka istotka w zwiewnej sukience i zaprezentowała wszystkie możliwe akrobacje, zaprzeczając tym samym teorii o grawitacji. Po tym pokazie wszyscy byli przekonani, że nic lepszego już nie zobaczą, kiedy na

środek sceny wytoczyła się Adela. Najpierw pokręciła się rubasznie, wydeła trąbę i obryzgała gości wodą, potem zaś podniosła się na tylne nogi i prze-spacerowała wokół areny, wydając z siebie śmieszne dźwięki. Głuchy pomruk poniósł się po dusznym, śmierdzącym zwierzęcym potem pomieszczeniu, kiedy owinęła trąbą wbiegającą tańczącym krokiem artystkę i uniosła ją w powietrze. Zrobiła wymach i wyrzuciła ludzkie ciało w powietrze, które w ciągu krótkiego powrotu na ziemię zdążyło wykonać kilka okrągłych salt. Zrobiło się cicho, wszyscy zamarli, nie wiedząc, czy ta krucha istota przeżyła upadek, ale ta nie dość, że się nie obila, to jeszcze wylądowała miękko na dwóch nogach, robiąc przed nimi głęboki, wdzięczny skłon. Znow rozległy się brawa, krzyki, tak widownia dała upust swojemu zachwytowi.

Zanim na koniec pojawił się sam dyrektor, dziękując za liczne przybycie, na arenę wyszli szczudlarze w przebraniach aniołów, którzy wprost z wiklinowych koszy rozdawali rozbawionym dzieciakom cukierki. Towarzyszył im oczywiście klaun. Płatał się pomiędzy ich drewnianymi długimi nogami, wciąż się przewracał, tarł pupę i łapał za głowę.

– Wspaniałe widowisko, nie pamiętam, kiedy tak dobrze się bawiłam! – podsumowała ciocia Bożena, kiedy zdążyli wydostać się z namiotu, co nie było łatwe. Tłum przeciskał się, usiłując dotrzeć do artystów, którzy przyszli się pożegnać. Każdy chciał popatrzeć z bliska na te twarze pokryte grubą warstwą różnych mazideł, uściskać rękę, zamienić słowo i podziękować za wspaniałą wieczór.

– Cudowny! – pisnęła Marcelina, wydymając wargi. – Też bym tak chciała... – Rozmarzyła się.

– A niby co? Akurat się nadajesz! – sarknął lekceważąco bliźniak, nie zważając na jej protest w postaci mocnego kuksańca w bok.

– Mam ci oddać? – odgrażał się.

– Tylko spróbuj! – odpyskowała siostra.

– Możecie się wreszcie uspokoić? – wtrącił się ojciec i złapał syna za ucho. Na szczęście lekko, nie naderwał go, jak to robili niektórzy srodzy nauczyciele. – Nawet przez chwilę nie można przy was odpocząć.

– Jakie te dziewczyny szczupłe i zwinne, niesamowite! – westchnęła z zachwytem Alina. – Chciałabym mieć taką figurę.

– Nie przesadzaj, dziecko! – zgromiła ją natychmiast ciotka. – Przecież one mają samą skórę i kości. Wyginają się jak guma.

– Kobieta musi mieć biust i na czym usiąść – zabrał głos Jan. – Co komu po takiej szprotce, ani to wziąć, ani przytulić... Nieee.

– No proszę! Znamca kobiecej urody się znalazł! – prychnęła ciotka, nie kryjąc zazdrości. – Kto by pomyślał?

Alina roześmiała się, widząc, jak sprzedaje mu kuksańca w bok. Nie spodziewała się po spokojnej i wycofanej krewnej takiego beztroskiego zachowania. Musiała przyznać, że takie odruchy odejmowały jej lat.

Szli poboczem szerokiej, ubitej drogi, mijając zapadłe w sennym rozmarzeniu domostwa. Na ich dźwięczne głosy reagowały psy, które za każdym razem zrywały się z łańcuchów i ujadły zażarcie. Z porośniętych gęstymi krzakami rowów dochodził cichy szelest wiatru. Chłodne powietrze nasycone świeżością niedawnego deszczu otrzeźwiało umysły. Nad ich głowami rozciągało się usypane gwiazdami niebo. Mimo że tylko gdzieś palily się światła, gospodarze szli równo, nie patrząc pod nogi, ponieważ znali tę okolicę jak własną kieszeń.

W pewnej chwili powracającym zastąpił drogę jakiś młodzieniec. Wyszedł z przeciwka, a właściwie wyłonił się z półmroku. W ciemnej kurtce, z postawionym kołnierzem, z głową wciśniętą w ramiona. Na jego widok serce Aliny podskoczyło do gardła, a krew w żyłach zawrzała.

Zagroził jej przejście, nie zważając na towarzyszących jej ludzi.

– Możemy porozmawiać?

Dziewczyna zamrugała oczami, uniosła brwi, okazując zdumienie.

– O czym? – odparła, siląc się na obojętność.

– O nas – padła odpowiedź, na co pozostała grupka bez słowa pomaszrowała dalej, zostawiając tych dwoje samym sobie.

Pani Bożena pościeliła mu w kuchni, czystej i schludnej, choć biednej. Stała tam wąska, niewygodna kozetka, którą domownicy zwykle wykorzystywali do poobiedniej drzemki. Przez całą noc nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok, wstawał, wychodził na podwórko, obserwował gwiazdy, nasłuchiwał gospodarskich głosów dochodzących z kurnika i obory, pozwalając sobie w tym czasie na kilka pociągnięć papierosa. Jednocześnie spoglądał tęsknie w stronę szczytu budynku, gdzie na poddaszu mieściło się niewielkie okno. Tam spała jego ukochana, a może nie spała, bo lekko rozświetlona luna odbijała się w szybie. Tak bardzo chciał tam teraz być, ale ona nawet nie raczyła go tam zaprosić. Rozmowa niewiele zmieniła, utwierdziła go jedynie w przekonaniu, że kocha ją jak wariat i nie wyobraża sobie innej kobiety obok siebie. A jednak jeszcze niedawno to sobie wyobrażał. Hanka miała zostać jego żoną, a on nie zrobił nic, aby zawalczyć o swoją miłość. Alina miała rację, odrzucając jego przeprosiny. Nie zasłużył na wybaczenie, choć nietrudno było zauważyć, że dziewczyna cierpi, co tylko mogło świadczyć o silnym uczuciu. Jednocześnie jej stanowczość go przezała. Nie tak wyobrażał sobie to spotkanie, nie po to tu przyjechał, aby teraz odejść z niczym. Gryzł się, nie wiedząc, co robić. Liczył, że dziewczyna rzuci mu się ze szczęścia w ramiona, a zobaczył, że ona też ma swoją dumę i granice wytrzymałości. Stwierdziła, że miała dużo czasu na przemyślenia, że dopiero tutaj odkryła swoją drugą stronę natury, której wcześniej nie знаła. Nie chce wychodzić za męża, nie chce więcej cierpieć i odliczać dni. Szkoda na to czasu, nie warto dla kogoś takiego jak on. Zdecydowała, że pójdzie na studia, a potem znajdzie sobie pracę z dala od Warszawy. Cholernie bolały go te wszystkie słowa, które wyrzucała z siebie, patrząc mu w twarz. Kiedy wyciągnął rękę, aby dotknąć jej włosów, odtrąciła ją, jakby był co najmniej zarażony trądem.

– Nie mogę pojąć, jak mogłeś to zrobić? Podobałam ci się, a ty poszedłeś do łóżka z inną?! Dobrze ci z nią było? – cedziła przez zęby.

– Nawet nie pamiętam, jak było, byłem pijany – odpowiadał na kolejny atak, choć do niej nic nie docierało.

– Za każdym razem, jak będziesz pijany, weźmiesz sobie dziwkę do łóżka? – szydziła dalej.

Nie znał jej takiej. Zaciętej, wulgarnej i nieprzystępnej.

– Ile razy mam przepraszać? – skomlał, błagając o wybaczenie.

– Nie musisz. To i tak nie pomoże. – Wykierowała w jego tors palec wskazujący i syknęła: – Wracaj, skąd przyjechałeś!

Potem zostawiła go pod furtką, która z dzikim łoskotem zatrzęsnęła się przed jego nosem.

Robił już obrót na pięcie i zamierzał dostać się do najbliższego przystanku PKS-u, kiedy usłyszał kroki. Przed dom wyszła obca kobieta i zaprosiła do środka. Początkowo odmówił, ale ona nalegała. Później okazało się, że jest siostrą matki Aliny. Poczęstowała go pajdą chleba ze smalcem, a jej mąż szklaneczką bimbru. Kiedy już zjadł, wzięła go na bok i tłumaczyła szeptem:

– Musisz dać jej trochę czasu. Ona mocno cię kocha, ale tak trudno jej wybaczyć. Bardzo się na tobie zawiodła.

– Wiem... – przyznał, a potem dodał: – A ja strasznie tego żałuję. Gdybym mógł to wszystko wymazać z pamięci... – jęknął zrezygowany.

– Nic nie dzieje się bez przyczyny. Czasem to, co z trudem zdobyte, cenimy najbardziej. Nie poddawaj się, chłopcze, bo to dobra dziewczyna, warta zachodu.

Następnie posłała mu łóżko w kuchni, poinformowała, gdzie mieści się ustęp, wiadro i miska z wodą. Pożegnali się z nim cicho i udali się do swojej sypialni.

Stwierdził, że z samego rana podziękuje za gościnę i pójdzie sobie. Nie będzie się nikomu narzucał, choć uprzejmość gospodarzy mile go zaskoczyła.

Na Święta Wielkanocne wybierał się do domu. W jego życiu nic się nie zmieniło. Praca, praca, praca... Alina nie wracała, nie dając mu żadnej

szansy na odkupienie grzechów. Czasem Rysiek namawiał go na wypad do jakiejś kawiarni, chcąc odciągnąć kumpla od ponurych myśli i zagłuszyć tęsknotę, jaka Antka zżerała od środka. Było mu już wszystko jedno. Na ulicach Warszawy zdążyła się na dobre rozgościć wiosna, zgęstniał ruch na drogach, przybyło nowych aut, które zjechały z taśmy produkcyjnej fabryki samochodów FSO na Żeraniu. Nowością stał się polonez – następca dużego fiata. Jego cena dochodziła nawet do dwustu pięćdziesięciu tysięcy złotych, więc nielicznych było stać na taki zakup. Rychu awansował na głównego montera, z czego był ogromnie dumny. Dostał pochwałę od samego towarzysza Edwarda Gierka, który złożył wizytę w zakładach w celu otwarcia nowej linii produkcyjnej. Dzięki koledze Antek uczestniczył w tej uroczystości. Nie mógł się napatrzeć na elegancki komitet powitalny, złożony w większości z młodych, wyjątkowo ładnych kobiet. Grupa uczennic z pobliskiej szkoły w ludowych strojach najpierw odśpiewała patriotyczną pieśń, a następnie wręczyła pierwszemu sekretarzowi ogromny bukiet czerwonych goździków. Zaraz ze wstrętem pomyślał o niedoszłym teściu i jego szklarniach. Przestał sobie tym zawracać głowę, kiedy na plac przed budynkiem wjechał biały, lśniący samochód owinięty czerwoną kokardą. Potem znów dwie urocze dziewczynki w galowych strojach podeszły grzecznie z bordową aksamitną poduszką na wyciągniętych rączkach, na której z daleka coś się srebrzyło. I właśnie wtedy nastąpił ten niezwykły moment. Edward Gierek pogłaskał obie po złotych główkach, po czym chwycił nożyce i z pobożnym skupieniem na twarzy przeciął wstęgę. Rozległy się oklaski, towarzysz podchodził do każdego w długim ustawionym rzędzie i składał gratulacje. Wkrótce po tym wydarzeniu złożył podanie o przydział na mieszkanie i cierpliwie czekał. Tymczasem ogonki pod sklepami nie malały, artykułów spożywczych wciąż brakowało. Powstały nawet komitety kolejkowe i specjalne listy, które pełniły funkcję listy obecności. Swoje trzeba było odstać nie tylko po żywność, ale i po papier toaletowy, lodówkę czy meblościankę. Jediną instytucją nienarzekającą na brak towaru był Pewex. Ale to miejsce przeznaczone zostało dla wybrańców losu. Tych związanych z rządzącymi na wysokich szczeblach, członkami partii, dyrektorów, sekretarzy, ich znajomych i pociotków. Istniała też grupa ludzi,

która dobrze sobie radziła w epoce głębokiego PRL-u – kombinatorów, cinkciarzy, handlarzy i złodziei. Wszelkie znajomości w odpowiednich miejscach oznaczały dobrobyt, ich brak – szarą prozę życia. Poza tym stolicę ogarnęła euforia w związku z zaplanowaną pielgrzymką do ojczyzny przez papieża rodaka – Jana Pawła II.

Niestety, święta okazały się smutne i bolesne dla rodziny Stefanii. W Niedzielę Wielkanocną odeszła babcia Krysia. Najważniejsze było to, że nie cierpiała zbyt długo. Poza tym umarła w domu, wśród swoich, dokładnie tak, jak sobie tego życzyła, nie chciała bowiem trafić do szpitala, czyli wykańczalni, jak to nazywała. Nie znosiła koloru czarnego i zgodnie ze swoją wolą została pochowana w zielonej sukience, którą miała przygotowaną w szafie na tę ewentualność. Trumna musiała być z dobrego drzewa, najlepiej dębowego. I koniecznie wyłożona atlasem i koronką.

– Włóżcie mi na ostatnią drogę zdjęcie Bronka i moje. Abyśmy się mogli rozpoznać, kiedy już się tam spotkamy. Zmieniłam się ostatnio, potwornie schudłam przez tę chorobę. Boję się, że mnie nie zauważy, kiedy już tam dotrę.

Mówiła to, uśmiechając się łobuzersko, ale im nie było do śmiechu. Stali nad nią we czworo, Weronika trzymała ją za rękę, potem pochyliła się i pocałowała z głęboką atencją w czoło.

– Dbaj o tę dziecinę, przyniesie ci dużo szczęścia – szepnęła babka, wyciskając z oczu wnuczki łzy.

Leżała już wtedy przykuta do łóżka, spędzając czas na modlitwie z różańcem. Przebierała paciorkami sztywnymi palcami, szepcząc żarliwie kolejne koronki. Wstawała tylko przy pomocy najbliższych, bo sama nie miała siły, aby przemieścić się do łazienki.

– A ty, Antoś, walcz o swoje szczęście! Wszystko się ułoży. – Ścisnęła lekko jego rękę i uśmiechnęła nieznacznie.

Przyłgnął wargami do jej suchej, pomarszczonej skóry i zadrżał z przejęcia.

– Nie pozwól im zginąć – zwróciła się do córki. – To dobre dzieciaki. I dbajcie o siebie i swoją miłość. – Popatrzyła na Felka z czułością, a ten

uścisnął z namaszczeniem jej dłoń, potem pocałował.

– Już czas, dzieci kochane, zawołajcie księdza. Muszę się wyspowiadać.

Stefania zaszlochła i zrozpaczona wybiegła z pokoju. Nie mogła już dłużej na to patrzeć. Matka mogłaby jeszcze żyć, cieszyć się narodzinami prawnuka, radować ich wspólnym szczęściem. Zarzucała sobie, że jej posłuchała i nie oddała do szpitala. Może by jej tam pomogli. Do tego zaledwie wczoraj przyszli w odwiedziny Stachu ze swoją ślubną i dziećmi. Ewa nie omieszkała przygadać szwagierce, wywołując jeszcze większe poczucie winy, że rodzoną matkę wpędziła do grobu. A przecież Stefania chodziła z nią do lekarzy, namawiała na badania, kupowała tabletki. Mimo to Krystyna marniała w oczach, słabła, choć nigdy się nie skarżyła. Dziś też brat i bratowa mieli przyjść, ale coś im wypadło. Coś, co było ważniejsze od bycia w tych ostatnich, niezwykle ważnych chwilach z matką. Brat przy swojej żonie zmienił się nie do poznania. Odwrócił się nie tylko od Boga, ale od całej rodziny. Oboje zapisali się do partii i właśnie służba dla tej nowej pani zawładnęła ich życiem bez reszty. Ze ścian w mieszkaniu na Sprawiedliwej poznikały wszystkie symbole wiary chrześcijańskiej, takie jak krzyżyki, obrazy, podobizny najświętszej Maryi. Ich syn przestał uczęszczać na lekcje religii, a małej Anielki nawet nie ochrzcili.

– To tylko zacofanie i herezja – odpowiadała oburzona szacowna małżonka na wszelkie zapytania na ten temat. – Jest tylko jedna słuszna droga.

Nikt nawet nie próbował kwestionować jej słów. Ta nadęta, roztyta blondyna już dawno przestała być ulubienicą sąsiadów, którzy z czasem po kolei, z coraz mniejszym żalem opuszczali ziemski padół. Najpierw Antoni Gil, potem jego żona i nawet kochana Maria. Jej pracownia szybko została przejęta przez syna, który dodatkowe metry przeznaczył na pokój dla najmłodszych dzieci. A miał już ich pięćoro. Mówią, że jedni odchodzą, aby zostawić miejsce tym drugim. Okazuje się, że coś w tym było.

Przyszedł ksiądz, wyspowiadał i dał ostatnie namaszczenie.

– Niech Bóg będzie z tobą – powiedział na pożegnanie, wziął co łaska i poszedł.

Jeszcze tej samej nocy babcia odeszła. Wszystko odbyło się zgodnie z jej wolą. Była solidna, dębowa trumna wyłożona atlasami, msza żałobna w parafialnym kościele, ksiądz z ostatnią posługą, marsz na cmentarz i ostatnie pożegnanie. Na koniec skromna stypa i wspomnienia. Dużo wspomnień, przy tym tak samo łez, co i śmiechu. Tylko Ewa Rudzka w towarzystwie swojego męża Stacha i dzieci siedziała naburmuszona, bo nikt nie chciał słuchać jej wynurzeń o możliwościach, jakie daje jej partia i jakie horyzonty roztacza przed każdym polskim obywatelem.

– Głupia, wstrętna baba – komentowali niektórzy ze zgorznięciem. Zwłaszcza ci, którzy dobrze znali Krysie, jej dobroć i szlachetną, spokojną naturę i spędzili w jej sąsiedztwie wiele długich lat.

– Wykąp się, zanim wejdiesz do domu! Śmierdzisz krowim łajnem! – Matka przywitała ją, stojąc w korytarzu z założonymi na piersiach rękami. Z ułożonymi gładko włosami, w nieskazitelnym stroju i ze wzgardliwym wyrazem twarzy budziła jedynie coraz większą niechęć.

Alina nie skomentowała jej słów. Bez słowa zdjęła wierzchnie ubranie i odwiesiła na wieszaku. Zdjęła buty, odłożyła równo na półkę, następnie sięgnęła do szafki po pantofle. Pochyliła się po walizkę i chciała już iść do swojego pokoju, kiedy rodzicielka zastąpiła jej drogę.

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię? – wysyczała. – Ubrania też wypierz, bo nie chcę czuć smrodu obory!

Dziewczyna spojrzała na nią twardym wzrokiem.

– Lepiej śmierdzieć oborą, niż zionąć nienawiścią do wszystkich ludzi tego świata!

Spodziewała się, że ta uwaga może ją sporo kosztować, była na to przygotowana, dlatego nie zdziwiła się, kiedy własna matka wymierzyła jej silny policzek. Nawet się nie poruszyła, patrzyła zimno w twarz kobiety, która dziewiętnaście lat temu wydała ją na świat. Ta nie wytrzymała tej zniewagi, dlatego jej ręka wylądowała na drugim policzku córki.

– Przepróś! – zażądała.

– Nie mam zamiaru! – wycedziła Alina, patrząc na nią wyniośle z góry.

Chciała ją wyminąć i pójść do siebie, ale w matkę jakby coś wstąpiło. Chwyciła ją za łokieć i przytrzymała mocno.

– Albo przeprosisz, albo się stąd wynoś!

Wyszarpnęła się i zbyła ją pogardliwym milczeniem. Poszła do pokoju i rzuciła walizkę na łóżko.

– Nie odwracaj się ode mnie, jak do ciebie mówię! – wrzasnęła coraz bardziej rozwścieczona Aldona, stojąc w progu za jej plecami. Tym swoim apodyktycznym tonem i nazistowskimi metodami, próbowała zmusić córkę do posłuszeństwa, uległości i pokory.

Alina nie reagowała, rozpięła torbę podróżną i zaczęła powoli, metodycznie wypakowywać z niej rzeczy. Wszystkie były starannie złożone, tak jak uczyła ją matka, nawet te używane, przeznaczone do prania.

– Wolałaś spędzić święta u tej prostytutki, która wydała się za chama?

Dziewczyna rozumiała, że rodzicielka może mieć do niej żal, że tak ważny, świąteczny czas spędziła u rodziny, a nie w domu, ale ustaliła to z ojcem, na co on przystał. Powiedział, żeby się nie martwiła, bo on rozumie jej rozterki i popiera decyzję, no i przekona żonę do swoich racji. Uznał, że i tak większość czasu spędzi w pokoju na czytaniu gazet, że skoro Aldona nie chce przygotować świątecznych dań, nie chodzi do kościoła, nie celebruje tradycji, ten czas niczym nie będzie się różnił od innego.

Jednak obraźliwe słowa pod adresem ukochanej cioci Bożeny mocno ją zabolowały. Wyprostowała plecy i zrobiła odwrót w stronę drzwi.

– Ja rozumiem, że wiele przeszłaś, mamo, zanim zaczęła się wojna, po tym, jak umarła babcia... – Urwała, spoglądając na nią wymownie, po czym kontynuowała: – A także wtedy, kiedy zaczęła się wojna i czas okupacji. Ja to wszystko rozumiem, ale nie ty jedna przeżyłaś tragedię, nie ty jedna masz prawo oskarżać innych i obwiniać za swoje nieszczęścia. Inni też doświadczyli strasznych rzeczy, ale nie mszczą się tak jak ty.

Twarz matki wykrzywił ohydny grymas. Nabrała w powietrza w płuca, zacisnęła dłonie w pięści.

– Powiedziała ci, tak? – wysyczała.

– Powiedziała. I co? – prychnęła gorzko Alina. – Nie miała prawa? Kogo miała kryć? Tego potwora, który się nad wami pastwił?

– Jak śmiała! – Aldona była bliska furii.

– To jej życie i jej prawo! – odparła dobitnie córka. – Może przyszedł czas, że musiała to z siebie wyrzucić? Skąd wiesz? Każdy z nas jest inny, każdy inaczej odbiera ciosy od życia. Każdy inaczej je w sobie trawi.

– To była nasza, wyłącznie nasza sprawa! – wykrztusiła.

– A może nie tylko wasza? – drażniła córka bezlitośnie, czując w tej chwili nad matką przewagę. – Skoro tamte wydarzenia przez ten cały czas rzucają cień na nasze życie?

Przez twarz matki przebiegły nerwowe tiki, zacisnęła wargi w jedną wąską kreskę. Patrzyła przed siebie, ale nie na jedynaczkę. Przebijała ją wzrokiem na wskroś, jakby gdzieś za jej plecami przewijały się obrazy wspomnień sprzed lat. I nie były to miłe scenki, tylko ociekające brutalnością i bezkarnością chwile. Momenty dziecięcego strachu stłoczone w pokoju w ciemnej szafie wśród zapachu naftaliny, gdzie ukryła się w nadziei, że ojciec jej nie znajdzie, że nie wywlecze jej jak poprzedniego razu, nie rzuci na łóżko, nie chwyci mocno, nie zatka ust, by nie krzyczała, i nie przygniecie jej swoim potężnym ciałem. Jej kochany tatuś, który szeptał jej do ucha słowa o miłości, zaufaniu, bezpieczeństwie, wielkiej tajemnicy, która miała ich złączyć na resztę dni. Znów poczuła nieznośny ból, kiedy w nią wówczas wchodził, ciężki oddech zatykający nozdrza do utraty tchu, i poczucie, że właśnie jej dzieciństwo bezpowrotnie się zakończyło. Wtedy jej nie znalazł, dlatego zajął się młodszą siostrą. Do okropnego upokorzenia dołączyło jeszcze poczucie winy.

– Nie miała prawa! – wymamrotała kolejny raz, zachwiała się nad podłogą i wyszła.

Zrobiło się cicho, przygnębiająco, jakiś żal snuł się po kątach. Alina klapnęła na łóżko i długo patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Rozdział 22

C ały kraj ogarnęła euforia. Zbliżał się drugi czerwca siedemdziesiątego dziewiątego roku. Do stolicy tłumnie nadciągali wierni. Tego dnia na placu Zwycięstwa papież Polak miał odprawić mszę świętą. Każdy z bijącym sercem i nadzieją, że może uda się dotknąć jego dłoni albo w najgorszym razie usłyszeć głos i popatrzeć na tego człowieka chociażby z daleka. Dla dumnego narodu polskiego był przecież symbolem wolności, pomnikiem za życia, a wreszcie świętym, który kiedyś sprawi, że stanie się cud. Obecnie panujące władze wzbraniały się przed tym przyjazdem, ale ogólne niepokoje społeczne spowodowane ostatnimi zmianami, strach przed buntem polskiej społeczności ostatecznie przyzwoliły na pielgrzymkę do ojczyzny króla Stolicy Apostolskiej, która miała się odbyć pod hasłem: *Gaude Mater Polonia*, co miało oznaczać *Ciesz się, Matko Polsko*.

W godzinach porannych na płycie lotniska Okęcie wylądował samolot z Watykanu wiozący pasterza narodu całego świata. Został powitany przez kardynała Stefana Wyszyńskiego, a także przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego. Kiedy odkrytym samochodem przemierzał ulice Warszawy, spotkał stłoczonych na poboczach dróg swoich wiernych. Wiwatowali na jego widok, obrzucali kwiatami, witali okrzykami, a nawet łzami wielkiego wzruszenia. Dzieci siedzące na ramionach opiekunów jeszcze nie rozumiały, co się dzieje, rodzice kazali patrzeć, to patrzyły – na tego ubranego w białą sutannę człowieka, który wznosił w górę ramię i uśmiechał się dobrotliwie.

– Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi... Tej ziemi! – padły słowa podczas mszy świętej odprawianej na placu Zwycięstwa, gdzie usta-

wiono wspaniały ołtarz z baldachimem i zrobiono niezwykłą oprawę w postaci pięknych kwiatowych dekoracji.

Spółceństwo, słysząc to zdanie, poczuło, że papież właśnie się z nimi zjednoczył. Wyraził w ten sposób nadzieje całego ludu polskiego na to, że kiedyś ich ojczyzna wyswobodzi się spod stalinowskiego buta, bo przecież jego następcy, tacy jak Breżniew, kontynuowali politykę propagandy i zamordyzmu.

Wielotysięczny tłum, w tym młodzież, związki zawodowe, przedstawiciele pracy oraz zwykli ludzie pragnący popatrzeć na tego niezwykłego człowieka, wznosili okrzyki entuzjazmu. Ich serca wypełniały radość i duma. Wśród nich znalazła się również Stefania z Felkiem, którzy przybyli tutaj w towarzystwie Józi. Dołączyli do nich również Antek i Rysiek. Obaj w szarych spodniach w kant, białych koszulach z podwiniętymi rękawami, krótko przystrzyżeni i ogoleni. Wróblewska w błękitnej sukience, z okrągłym kołnierzykiem, paseczkiem podkreślającym talię, z blond włosami zakręconymi na wałki, jak zawsze wyglądała imponująco.

Cała piątka niewiele rozmawiała, starała się słuchać kazania, aby nie uronić choćby jednego słowa. Jakimś cudem udało im się dotrzeć aż do bariery, przy której czuwała ochrona, i po skończonej mszy, kiedy Jan Paweł II wstał, zbliżył się do swoich wiernych cisnących się i wiwatujących, w pewnej chwili podszedł do najbliższej stojącej Stefanii i wyciągnął rękę. Pocałowała ją z namaszczeniem i uściskała, poczuła na sobie jego mądry, przenikający wzrok, i ogarnęło ją coś w rodzaju uniesienia, zupełnie jakby wzbijała się nad tym wielotysięcznym tłumem i nie czuła nic oprócz bezmiernej miłości i spełnienia.

Wrócili do mieszkania nad Wisłą późnym popołudniem. Antek z Rychem podziękowali za towarzystwo, złożyli na delikatnej dłoni Wróblewskiej nonszalanckie pocałunki, potrzęsnęli serdecznie ramieniem Felka, a matkę Antek, tak jak się tego spodziewała, czule wyściskał.

– Już wystarczy, Lolek! – zachichotała lekko zmieszana, czując na sobie natarczywy wzrok przyjaciółki. – Jeszcze Józia gotowa sobie pomyśleć, że nie oderwałeś się od spódnicy.

– A niech sobie każdy myśli, co chce! Kocham cię, mamuś! – szepnął jej do ucha i dopiero wówczas lekko oszołomioną postawił na ziemi.

– Tylko nie szalejcie za bardzo! – Mrugnęła do nich porozumiewawczo.

– Ma się rozumieć, będę go strzegł jak oka w głowie – wypalił Rychu, obejmując kolegę ramieniem.

Patrzyli jeszcze we troje, jak chłopaki znikają za rogiem kamienicy, a potem wolnym krokiem ruszyli Nowogrodzką w stronę Solca.

Wyczerpani emocjami, przeżyciami, kilkugodzinnym staniem na słońcu pragnęli już tylko wypoczynku. Na szczęście Pelagia przygotowała obiad. Były to leniwe z gulaszem i buraczki na ciepło. Do tego kompot z tegorocznych truskawek, a na deser drożdżowe bułeczki z owocami.

– Wszystko przepyszne! – pochwaliła Józia swoją gosposię, która bez słowa zabrała talerze i zanosła do kuchni.

– A gdzie słodka Nineczka? – zapytała Stefcia, rozglądając się za małą dziewczynką, która zwykle biegała po pokojach i wdrapywała im się na kolana. Ostatnio koniecznie musiała im się pochwalić porcelanową lalką otrzymaną w prezencie od rodziców. Zabawka miała okrągłą główkę z malinowymi usteczkami, rumieńcami na policzkach i niebieskie oczęta z długimi czarnymi rzęsami, które nieustannie mrugały. Kiedy ją się nacisnęło na korpus, mówiła: „mama, mama”. Do tego miała śliczną sukienkę w kratkę, wstążki na kasztanowych włosach i prawdziwe buciki z materiału wiązane na cieniutkie sznurówki.

Jakoś pusto było bez tej czarującej istotki, jej pisków, śmiechu i tupotu nóżek.

– Wyjechała z Rozalią i Mirkiem na Krym. Kręcą tam jakieś zdjęcia. Trochę im się zejdzie, więc postanowili zabrać dziecko ze sobą. Nareszcie poszli po rozum do głowy – skwitowała z naganą.

Wstała i podeszła do przeszklonej witryny. Otworzyła drzwiczki i wyjęła ze środka kartkę pocztową.

– Spójrzcie, listonosz ją przyniósł dwa dni temu. Pięknie tam, prawda?

– Cudownie! – przyznała przyjaciółka, obracając widokówką na wszystkie strony. Za chwilę przejął ją Felek i przyglądał się z zainteresowaniem bajkowej scenerii.

– Byłaś tam kiedyś?

– Tylko raz, jeszcze z Kaziem. Jaskólcze gniazdo. Tak się nazywa ten wieszący na skale zameczek. Niesamowity widok! – Westchnęła teatralnie. – Pierwotnie nazywany zamkiem miłości. Podobno był domem schadzek rosyjskiego generała. W tysiąc dziewięćset jedenastym roku został odkupiony przez niejakiego barona von Steingela, który w Baku dorobił się majątku na ropie. Kazał go przebudować według wzorów neogotyckich, tak więc z willi zrobił się zameczek, na którego temat krążyły legendy.

Urwała, zanurzając się przez ułamek sekundy we wspomnieniach.

– Tyle widziałaś, nie żal ci? Mogłabyś przecież wrócić do koncertowania – bardziej stwierdziła niż zapytała Stefania.

– Bez Kazia to już nigdy nie będzie to samo – stwierdziła ze smutkiem.

Stefania przyglądała jej się uważnie. Wreszcie zdobyła się na wyznanie.

– Muszę ci się do czegoś przyznać... – chrząknęła, przetykając ślinę. – Wiele lat temu, kiedy spotkałyśmy się po wojnie, sądziłam, że Kazik miał ci tylko przynieść lepszą przyszłość, zapewnić bezpieczeństwo i poprawić społeczny status. Byliście tacy różni. On przedwojenny amant, sporo od ciebie starszy... I ty, wojenna sierota, w dodatku Żydówka. Dziś widzę, jak bardzo się myliłam. – Objęła Józję wzrokiem pełnym podziwu i szacunku. – Przepraszam, że tak cię osądziłam – dodała cicho.

Kobieta potrząsnęła głową, burza jasnych loków zakryła jej wciąż ładną twarz. W czarnych oczach zaiskrzyło niepokojąco.

– Nie musisz przeproszać... – mruknęła. – Wszyscy wokół tak myśleli. Zresztą... ja na początku... Ech! – Machnęła ręką. – Nie wiem, jak to ująć... też tak czułam. Miłość przyszła z czasem, uwiodła mnie i złapała w swoje

macki, zanim sama się zorientowałam. – Zaśmiała się gorzko. – Wiesz, że nie mogłam zająć w ciąży. Próbowaliśmy, ale się nie udało. Postanowiłam adoptować Rozalię. Pamiętam jak dzisiaj dzień, kiedy Kazimierz przyszedł do sierocińca. Wskazałam na grupkę siedzących w stołówce dziewczynek pałaszujących z blaszanych misek grochówkę. Wszystkie niemal jednokowe, wychudzone, w pocerowanych ubraniach, z zaplecionymi w warkoczki włosami i wielkimi, smutnymi oczami. Wojenne sieroty. A wśród nich ona. Ta jedna, do której zapalałam matczynym uczuciem. I wiecie co? On też od razu spojrzał na Rozalię, skierował na nią palec i powiedział: to ona. Ten moment uświadomił mi, że to mężczyzna mojego życia, że jesteśmy dla siebie stworzeni pomimo wszelakich różnic. Nie pomyliłam się. – Przerwała, uśmiechając się z rozmarzeniem. – Jedyne mężczyzna wart każdego grzechu. W dodatku wspaniały kochanek... – dodała.

Stefania chrząknęła znacząco, uśmiechnęła się delikatnie, z uczuciem spoglądając na męża.

– Jesteśmy szczęściarami – stwierdziła, przykrywając dłoń Feliksa. – Każda z nas odnalazła swoją miłość. Czy to nie cudowne?

– O tak! – przyznała, biorąc w palce kieliszek z winem. – Szkoda, że Kazimierz nie doczekał tej chwili, że nie może być z nami, kiedy cieszymy się z przyjazdu papieża do Polski.

– Szkoda...

– A co u twoich dzieci? – zmieniła temat Józia. – Antek to cholernie przystojny chłopak. Żałuję, że nie wyszło mu z tą uroczą dziewczyną. Jak miała na imię?

– Alina.

– No właśnie. Z drugiej strony, jak mają być dla siebie, to będą. A Weronika, kiedy rodzi?

– Niedługo, w najbliższych tygodniach, dlatego nie przyjechała.

– Biedna dziewczyna... – rzuciła z westchnieniem Józia, nie kryjąc żalu. – Nie zasłużyła sobie na taki los.

– Ano nie – wtrącił się do rozmowy Felek. – Zawsze jednak może na nas liczyć. Nie opuścimy jej w niedoli, pomożemy, kiedy trzeba.

Stefania popatrzyła na męża z wdzięcznością, pogładziła wierzch jego dłoni.

– Ułoży się, kochani moi. Wypijmy za to!

Wznieśli kieliszki i stuknęli się krawędzią szkła.

– Nie zapytałam jeszcze o twoją siostrę. Co u niej? Nadal macie kontakt?

Józia chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Do saloniku weszła Pelagia z tacą zastawioną szklankami z kawą.

– Dziękuję, Pelagio, jesteś kochana – zwróciła się do kobiety, która nawet się nie uśmiechnęła. Rozstawiła naczynia, postawiła na środku cukiernicę i wyszła bez słowa.

– Jak ty z nią wytrzymujesz? Przecież to mruk – spytała Stefka ściszym głosem.

– Ma to swój urok – stwierdziła lakonicznie przyjaciółka, a potem słodząc i mieszając kawę, zaczęła mówić: – Róża napisała wspomnienia z getta. W Ameryce ta książka stała się bestsellerem. Siostra jeździ na spotkania, udziela wywiadów, zarobiła dużo pieniędzy. Dzwoni do mnie od czasu do czasu, rozmawiamy ze sobą, ale... – Wstrzymała oddech, zaważała się. – Nie sądzę jednak, że będziemy sobie takie bliskie jak kiedyś. Ma do mnie żal, że przeszłam na katolicyzm...

– A więc to o to chodzi... – rzuciła w powietrze Ostrowska i urwała zakłopotana.

– Tak jakby – przyznała smętnie Józia, a potem, czując łzy pod powiekami, zerwała się i podeszła do okna.

– Wojna nas nie tylko rozdzieliła, zabrała godność i dzieciństwo. Wojna nas odmieniła na zawsze – rzuciła głucho w powietrze, w którym wciąż plątał się zapach parzonej kawy.

Kelnerzy, mimo że zarabiali mniej, mieli najwięcej korzyści z pracy w restauracji. Nie dość, że znajdowali się w centrum uwagi i dysponowali najważniejszymi informacjami, to jeszcze dostawali napiwki. Ich kieszenie puchły od marek, koron, rubli, amerykańskich dolarów. Kiedy robił się z tego kłopot – bo przecież należało gdzieś upłynnić te dobra i zrobić z nich właściwy użytek – musieli się zwrócić z tym do kogoś, kto mógł pomóc. Wszyscy wtajemniczeni wiedzieli, że istniała tylko jedna osoba mająca znajomości w środowisku uczciwych cinkciarzy. Antoni Ostrowski – to on dzięki Ryškowi miał kontakt ze sprytnym, a przy tym poczciwym Bolkiem, który znał się na aktualnych kursach walut, a co najważniejsze – nie próbował nikogo wykpić. Bolek nosił zawsze przy sobie dwie wymiętoszone paczki marlboro, do jednej upychał te lepsze papierosy, którymi częstował swoich ulubionych kontrahentów, do drugiej sporty i mocne na wypadek nadliczbowych spotkań towarzyskich. Ta przezorność z jednej strony śmieszyła chłopaków, bo zwykle to oni częstowali Bolka, wypytywali o sprawy, nastroje i dewizowych klientów, z drugiej strony rozumieli – biznes to biznes. Każdy ma na niego własną receptę. Kręcący się często przed dworcem Bolek, wypuszczając z ust kłęby dymu, gładząc drugą ręką koniuszek długiego wąsa, ochoczo im o wszystkim opowiadał. O młodym narzybku przyjeżdżającym z Czechosłowacji, o kapitalistach z odgradzonego berlińskim murem RFN-u, o ustawionych socjalistach i o rodzimych, bardziej lub mniej luksusowych dziwkach, które za swoje usługi otrzymywały dewizy i radzieckie złoto. Nie brakowało historyjek o sprytnych Polaczkach, kombinatorach, złodziejach i lichwiarzach. Mógł tak mówić bez końca, gdyby nie co jakiś czas podchodzący klient. Rzucił wtedy papierosa pod nogi, oddalał się o kilka kroków, zwykle gdzieś w ustronne miejsce, ustalał warunki, negocjował, aż wreszcie, kiedy doszło szczęśliwie do transakcji, wracał.

Kiedyś, gdy tak stali w cieniu, chroniąc się przed zbyt natarczym słońcem, a ich plecy oblepiało lepkie od wilgoci powietrze, spostrzegli psiaka skulonego pod przewróconym koszem, wokół którego walały się różne śmieci. Wyglądał na wystraszonego i głodnego, sierść miał brudną, łapy

pokaleczone, za to z jego małej psiej mordki biła taka poczciwość, że chłopakom zrobiło się jakoś ciepło na sercu.

– Kręci się tutaj od kilku dni – rzucił Bolek, kontynuując swoją kwiecistą opowieść.

– To szczeniak... jakaś mieszanka kundla i wilczura – oszacował ze znawstwem Rychu. – Szkoda go trochę...

– Noo... – przyznał Antek, przyglądając się zwierzakowi z coraz większym zainteresowaniem.

Rozmawiali dalej, ale chłopak co chwila zerkał w stronę psiaka, który również patrzył na niego swoimi błyszczącymi czarnymi oczami, przywołując ze świata dzieciństwa ukryte od zawsze pragnienie. A gdyby go tak przygarnąć?

– Zwariowałaś? – zaproponował kumpel, kiedy już uszli kilka metrów po wylewnym pożegnaniu się z Bolkiem. – Gdzie go będziesz trzymać, w hotelu robotniczym?

– Tylko przez jakiś czas... a potem się zobaczy.

– Uważaj, będą z tego kłopoty...

– Większe niż były? – zakpił tym razem Ostrowski.

Głupio się zrobiło Ryškowi, bo przypomniał sobie te wszystkie problemy, w jakie go wpakował, następnie przed oczami stanęły mu w liczbach straty poniesione w wyniku tamtych sytuacji.

– No dobra, wróćmy po niego.

Lato zaczęło się już na dobre. Nad Wisłą zaroilo się od młodzieży, która po zakończeniu roku szkolnego została w mieście. Zgrabne dziewczyny w kostiumach kąpielowych zapełniły płytkie, wartkie zakole rzeki, prezentując swoje wdzięki, wyginając się, śmiejąc głośno i spryskując wodą. Na brzegu zrobiło się ciasno i gwarno. Koce, ręczniki, książki, plecaki, suchy prowiant i napitki wypełniły każdy wolny centymetr plaży, dzięki czemu integracja trwała w najlepsze. Chłopaki omiatali pożądliwie wzrokiem ciała swoich

koleżanek, wyobrażając sobie to i owo, krew w ich żyłach gęstniała, a w łędźwiach robiło się słodko i gorąco na przemian. One zaś, licząc na trwałą znajomość lub co najmniej przelotny romans, śmiały się coraz zuchwalej, prężyły piersi, spinały pośladki i wciągały brzuchy. Od czasu do czasu spoglądały w stronę brzegu, rzucały zalotne spojrzenia, dawały zachęcające znaki. Niektóre pary, połączone jeszcze w czasie trwania roku szkolnego, wypoczywały nieco dalej. Zwykle ona na plecach, on na boku przyciśnięty do niej, jakby byli zszyci na miarę, wpatrzony z rozmarzeniem w twarz ukochanej, miziający długą trawą jej skroń, dekolt i odsłonięte pozostałe fragmenty skóry.

Antek skrył się pod rozłożystym drzewem, gdzie zarówno znalazł odrobinę cienia i spokoju. Do wody miał zaledwie kilkanaście metrów, z tej pozycji, oparty plecami o pień, mógł jednak obserwować i mieć oko na swojego pupila, który co jakiś czas wypuszczał się na zwiady, węszył, wypatrywał, potem zaś wracał i siadał, aby wiernie warować przy jego nodze. Nazwał go Bary. Tak po prostu, tylko to przyszło mu do głowy, kiedy wziął pierwszy raz na ręce umorusane, ale wdzięczne losowi zwierzę, które od razu zaczęło tulić się do jego ramion. Wykąpał je w rzece, wyczesał, nakarmił. Dziś w niczym nie przypominało tamtego zapchlonego, wychudzonego kundla.

– Bary, przynieś! – wydał komendę i rzucił patyk kilka metrów dalej.

Pies pomknął jak strzała w tamtą stronę i za chwilę był już z powrotem z kawałkiem gałęzi w pysku. Zamerdął ogonem, rzucił zdobycz obok swego pana i czekał na pochwałę.

Antek pogłaskał go po grzbiecie, drapnął między uszami.

– Dobry Bary, dobry piesek!

Mówiąc to, wyciągnął z plecaka gotowaną kość z uda kuraka, całkiem jeszcze nieobgryzioną, zapakowaną w szary papier. Zwędził ją z kuchni, wyciągnął z resztek przeznaczonych do transportu. Przyjeżdżał po nie jakiś gospodarz ze wsi, zabierał wszystko, co zostało, i nie grymasił.

Pupil rzucił się na nią z radością i zaczął obgryzać zapamiętałe.

Antek oparł się ponownie o pień drzewa i spojrzał przed siebie. Musiał przyznać, że niektóre kąpiące się w Wiśle kobiety były piękne. Włosy im lśniły w słońcu, napięta, gładka skóra nabierała złotawej barwy. Skonstato-
wał gorzko, że fajnie byłoby tak pobawić się z którąś z nich, zapuścić się w niedozwolone rewiry, poczuć tę wibrującą słodkość w dole brzucha, aż wreszcie dojść. Tęsknił za dotykiem, pieszczotami, ale chyba najbardziej za obecnością tej drugiej osoby. Za dźwięcznym głosem, spojrzeniem pięk-
nych oczu, zapachem szamponu brzoźowego, którym myła gęste, czarne włosy. Ostatnio przychodził po nią do pracy jakiś przystojny blondyn. Nie wiedział, skąd go wytrzasnęła, ale wściekał się, kiedy tamten na powitanie pochylał się głęboko, całował ją w policzek, następnie podawał ramię i szli w miasto. Widział jej piękną twarz, na której zagubił się jakiś tajemniczy uśmiech albo coś w rodzaju przekory. Zaciskał pięści z bezradności, mając poczucie, że wszystko zaprzepaścił. A mogło być tak pięknie. Zrezygno-
wany, wyrwał sterczącą obok trawę i włożył ją sobie pomiędzy zęby. Gryzł zapamiętane, ssał, potem położył się na plecach, patrzył w niebo nieskażone najmniejszą chmurką i marzył. Ptaki ćwierkały w zaroślach, muchy brzę-
czały, bzyczenie komarów stawało się coraz bardziej natarczywe. Przez ko-
ronę liści przebijały się jasne promienie słońca, sprawiając, że ta drżała, poruszając listkami mieniła się cała niczym strojna pannica. Wpatrzony w to cudowne zjawisko, przymknął powieki i przysnął na chwilę. Śniła mu się Alina, siedziała na ławce pod blokiem, trzymając na kolanach Barego. Głaskała jego lśniąca sierść, on tulił się do jej rąk, merdał ogonem i piszczął z radości. W pewnej chwili podniosła głowę i spojrzała na niego. Cień sil-
nego uczucia prześlizgnął się po jej twarzy, a on poczuł się taki bezradny i pusty w środku. Nagle ocknął się, poderwał górną część ciała do pionu i spojrzał na smolistą kulkę z jedną białą plamką na uchu, która zwinięta spała przy jego łydce.

– Albo mnie uratujesz, przyjacielu, albo to już naprawdę koniec.

Psiak podniósł jedno ucho, machnął ogonem i ponownie zapadł w sen.

Ojciec kazał jej zostać dłużej w pracy. Przyjechały dwie wycieczki z Węgier, trzeba je było dobrze ugościć i wykarmić. Jej zmienniczka złamała nogę, dlatego od kilku dni cała obsługa stoiska z garmażerią była na jej głowie. Do pomocy przyszła niezdarna Tośka, wciąż jej coś leciało z rąk, dziewczyna się potykała i nieustannie wybuchiała płaczem. Przyjechała tutaj z dalekiej kieleckiej wsi. Zamarzyło jej się życie w mieście, jednak rozłąka z rodziną, licznym rodzeństwem, z którym była zżyta, źle na nią wpływała. Była nieśmiała i wstydliva. A tu co rusz kończyły się galaretki, paszteciki, pieczenie, śledzie, należało uzupełnić zapasy, przyjmując zamówienie, udekorować półmiski, dopilnować, aby wszystko było świeże, czyste, ładnie wyglądało, a lada trzymała odpowiednią temperaturę. Raz nie wytrzymała. Cała okrągła meduza wylądowała na posadzce, dlatego chwyciła roztrzęsioną Tośkę za ramię, spojrzała jej w czerwoną od płaczu twarz i rzuciła wściekle:

– Albo się weźmiesz w garść, albo doniosę na ciebie szefostwu i pójdziesz na zmywak!

Ta podniosła na nią rozmazane od tuszu, miotające wściekłością oczy, zacisnęła wargi, wyszarpnęła się i wyprostowała dumnie.

Minęło kilka dni, a pomocnica chodziła jak po sznurku. Przestała się nad sobą użalać, beczeć na każdym kroku, a co najważniejsze – potykać się i upuszczać półmiski.

„Można?” – pomyślała Alina z dumą, choć każdy, nawet najmniejszy zysk miał swoją cenę. Tośka przestała się do niej odzywać, polecenia wykonywała automatycznie, zawsze z naburmuszoną, zaciętą miną.

Z Antkiem się mijali. Czasem przyłapała go na zerkaniu w jej stronę, ale wtedy z wyższością podnosiła podbródek, udając, że ją to niewiele obchodzi. Macieja poznała dzięki Marcie. Był jej kolegą z pracy, a raz po udanym wspólnym spotkaniu zapragnął ją odprowadzić do domu. Lubiła tego miłego, dość interesującego chłopaka, który zapałał do niej gorącym uczuciem. Przychodził po nią do hotelu, spacerowali po mieście, rozmawiali na różne tematy. Zwykle zgadzał się z nią we wszystkim, niewiele czytał i niewiele oczekiwał od życia, dlatego z czasem zaczęła się nudzić w jego towa-

rzystwie. Nie miał nic z Antka, tego zwariowanego, cholernie zdolnego chłopaka, przy którym wszystko stawało się możliwe, a także nabierało kolorów i smaków. Tak bardzo za nim tęskniła.

Wreszcie skończyła się jej zmiana i mogła wracać do domu. Dwanaście godzin stania na nogach, biegania tu i tam, pochylania się głęboko nad ladą sprawiło, że czuła się, jakby co najmniej zeszła z pręgierza. Wszystko miała odrętwiałe, począwszy od kręgosłupa, po kark, nogi i ręce. Z ulgą opuściła swoje stanowisko pracy, mając nadzieję, że szybko uwinie się z przebraniem i może zdąży na kolejny tramwaj. Następny miał być dopiero za pół godziny, a nie uśmiechało jej się stać na przystanku i czekać. Do pomieszczenia socjalnego, gdzie mieściła się szatnia, szła, powłócząc nogami. Próbowwała się pośpieszyć, ale ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Ledwie otworzyła drzwi i zapaliła światło, ujrzała na środku szarej podszki piszczącą, skuloną psinę. Na jej widok podniosła mordkę, zamierdała ogonem i szczeknęła dźwięcznie, wprawiając ją w niemałe zaskoczenie.

– Hej, co tu robisz? – Podeszła kilka kroków, kucnęła i wyciągnęła obie ręce.

Szczeniak pozwolił się objąć, przytulić, a nawet pisnął z zadowolenia, kiedy przyłożyła policzek do jego gęstej sierści.

– Czyj ty jesteś? – zapytała, wpatrując się w czarne, błyszczące ślepia, które z sekundy na sekundę miękczyły jej dziewczęce serce. – Tutaj nie wolno przebywać psom, pewnie o tym nie wiesz! – zwróciła się do zwierzaka tonem pełnym przygany.

Zupełnie jakby ją zrozumiał, bo spuścił łeb po sobie.

– No, nie łam się! – Pogłaskała go ponownie po grzbiecie. – Znajdziemy twojego pana, na pewno gdzieś tu się kręci!

Postawiła go z powrotem na podłodze. Psiak patrzył na nią wyczekująco. Dopiero teraz zauważyła cienki sznureczek na jego szyi i dowiązaną doń maleńką karteczkę. Rozłożyła ją i przeczytała: *Wybacz mi. Kocham cię.*

– Co za interesująca korespondencja! – prychnęła zdumiona i trochę rozbawiona. – Ciekawe, do kogo zaadresowana?

Podniosła się z kucek i podeszła do szafki. Zdjęła fartuch, zsunęła ze stóp trepy i sięgnęła po sukienkę. Wyjęła z torebki prostokątne, ukruszone na rogu lusterko z naklejką z tyłu. Widniała tam podobizna ładnej kobiety w kapeluszu. Zerknęła na swoje odbicie, wzdychając ciężko. Nie uszły jej uwadze podkrążone oczy i potargane włosy. Ściągnęła więc z nich gumkę, przeczesała palcami i ruszyła w stronę wyjścia. Psiak siedział i cały czas jej się przyglądał. W pewnej chwili szczeknął i pobiegł za nią.

– Ej! A ty gdzie?

Zrezygnowana, pochyliła się i wzięła zwierzaka na rękę.

Polizał z wdzięczności jej policzek, czym wkradł się w jej łaski. Szła, gładząc go po grzbiecie, przyciskając do piersi, nie mając pojęcia, co z nim dalej robić. Wtem na końcu wąskiego korytarza dostrzegła Antka. Stał z założonymi przed sobą rękami, w błękitnej koszuli harmonizującej z kolorem jego tęczęwek.

– Nazywa się Bary – oznajmił, kiedy zamierzała go wyminąć. Pies szczeknął na jego widok, zamierzał z radości ogonem. – Jest twój.

Zatrzymała się, odwróciła twarz, przyglądając mu się z niezrozumieniem.

– Skoro nie chcesz pokochać mnie, pokochaj chociaż jego – rzucił oskarżycielsko w powietrze.

– To twój pies? – zdziwiła się.

– Już nie. Twój. Chyba że...

– Że?

– Że go nie chcesz.

– Ja... zawsze chciałam mieć psa, ale moja mama... Sam przecież wiesz. Nie wiem, co ona na to.

– Jesteś już dorosła – zauważył. – Sama o sobie decydujesz.

Prychnęła gorzko.

– To nie jest takie proste, jak myślisz. Dopóki mieszkam pod jej dachem... – Urwała. Zbliżyła się do niego. – Nie mogę – odparła, czując napły-

wające do oczu łzy. Bary skulił się i zapiszczał, kiedy wyciągnęła obie ręce przed siebie.

– Zawsze tak łatwo rezygnujesz z tego, co dla ciebie ważne? – zadrwił.

– Skąd wiesz, co jest dla mnie ważne? – sarknęła ze złością.

– Wiem, co jest dla mnie ważne – powiedział twardo i dobitnie, patrząc jej w oczy.

– Co takiego? – wycedziła gorzko.

– Ty, rodzina, miłość, on... – Zerknął wymownie na czarną kulkę, która nadal pozostawała w jej ramionach. Chcesz to wszystko zaprzepaścić?

– Ja? Dlaczego tak mówisz?

W jej oczach błysnęły łzy. Zabolało ją to oskarżenie. Nie miał prawa tak jej osądzać. Antek podniósł rękę, odsunął niesforny kosmyk włosów zasłaniający jej twarz, potem przesunął opuszką palca po policzku i dotknął jej warg. Zadrżała. Tłumione w środku ogromne uczucie wybuchło, krew za-bulgotała niczym rwący potok. Wszystko w jej wnętrzu krzyczało.

– Daj mi jeszcze jedną szansę, proszę...

Stała nieruchomo, nie protestując, kiedy przechylił głowę i dotknął wargami jej rozchylonych ust. Zwilżył je, przesunął po nich językiem, wywołując falę słodkich dreszczy biegnącą wzdłuż pleców.

Bary szczerknął, dając o sobie znać, na co on oderwał się od niej na moment, wyjął z jej objęć psiaka i postawił na podłodze. Znów się wyprostował i przysunął do ściany, wyczekująco wtapiając wzrok w jej oczy. Patrzyła na niego, nie mogąc powstrzymać buzujących w środku emocji, pragnęła jak nigdy wcześniej dotyku jego rąk, cielesnej i duchowej bliskości. Była gotowa mu przebaczyć, była gotowa dać mu jeszcze jedną szansę, byleby tylko nie odchodził i całował ją dalej.

Szeroka, płynąca wartkim prądem rzeka mieniła się w ciemności. Wisząca nisko kula księżyca rzucała na jej pomarszczoną powierzchnię srebrzystą lunę. Rozpięty nad nią, wybudowany kilka lat wcześniej ciężki most Zyg-

munta Berlinga odcinał się od nieboskłonu grubą, poziomą kreską. Echo rozpędzonych kół niosło się po powietrznej, łączącej dwa kresy miasta drodze, drgania przechodziły w jęki, a czasem w głuchy pomruk pracujących przęseł. Brzęczały komary w szuwarach, rechotały żaby, w zaroślach porastających garbaty brzeg swawolił wiatr. Noc była ciepła i parna.

Skryci pod rozłożystym drzewem wierzby płaczącej, z dala od ciekawskich oczu, już wiele godzin oddawali się pieszczotom. Bary drzemał czujnie nieopodal, zwinął się w kulkę w wygniecionej trawie, choć co jakiś czas podnosił uszy i nasłuchiwał. Potem znów kładł łebek na łapach i spał dalej. Tymczasem tych dwoje spragnionych siebie smakowało się zachłannie, leżąc na szarym, wojskowym kocu, który Antek przezornie ze sobą zabrał. Obok plecak, porzucony w pośpiechu, wybebeszony do połowy, zupełnie jakby ktoś nie zdążył go opróżnić, bo musiał uciekać. Upita do połowy butelka wina, dwa blaszane kubki, nadgryziona bułka paryska stanowiły pozostałość po skromnej uczcie, którą sobie zorganizowali. Jednak ani procenty, ani jedzenie nie były im teraz potrzebne do pełni szczęścia.

– Wyjdź za mnie, błagam! – zaskomlał chłopak, wchodząc w nią po raz kolejny tej nocy, pokrytą kroplami srebrzystej wody, po ostatniej kąpieli w nurtach Wisły. Wbiegali do niej nago, trzymając się za ręce, śmiejąc głośno i radośnie jak dzieci. Całując jej piersi, dekolt, szyję, zatapiał się w nią coraz głębiej i głębiej, czując ogarniający go za każdym razem gorąc. Jakaś lepkość wisiała w powietrzu, gęstym i ciemnym, pełnym wirujących wokół cząstek feromonów i testosteronu.

– Wyjdę! – wyszeptała cicho, zamykając szerokie plecy w ramionach, zaciskając uda wokół jego pompujących z coraz większym zapalem bioder, zanim kolejny raz wstrząsnęła nią niebiańska rozkosz, a z ust wydobył się i strzelił w górę okrzyk spełnienia.

Rozdział 23

Zanim skończyły się wakacje, Weronika urodziła śliczną, zdrową dziewczynkę. Poród był długi i skomplikowany. Pogotowie zabrało ją w bólach tuż przed wieczorem, a urodziła dopiero nad ranem. Dziewczyna darła się wniebogłosy, aż słyszał ją cały szpital położniczy przy ulicy Sterlinga. Początkowo pielęgniarki nie szczędziły jej słów krytyki, podśmiewały pod nosem, że mogła nie dawać dupy, a teraz nie drzeć ryja, żeby się wzięła w garść i zaczęła porządnie przec. Jedna z nich położyła się na jej brzuchu, uciskała gwałtownie i natarczywie, próbując w ten sposób wypchnąć dziecko na świat. Położna wsunęła się w tym czasie między jej rozłożone uda i grzebała palcami w jej wnętrznościach, próbując namierzyć główkę niemowlęcia. Zdążyła też naciąć krocze, ostry ból przeszył rodzącą, maleństwo dalej nie chciało wyjść na świat. Trwało to już zbyt długo, młoda matka była tak wycieńczona, że parła resztkami sił.

– Dalej, przyj, kobieto! – syczała spocona położna, przecierała przedramieniem zroszone czoło, snując już w głowie najczarniejszy scenariusz.

Weronika zaparła się końcówką sił, złapała powietrza w płuca i zacisnęła zęby. „Teraz albo nigdy!” – pomyślała. „Albo urodzę to dziecko, albo udowodnię temu bydlakowi, że każde świństwo może ujść płazem”. Poczowała wtedy, że coś się z jej wnętrza wyślizguje, następnie usłyszała chlupnięcie, jakby ktoś rzucił na stół kulę ugniecionego ciasta.

– Dziewczynka! – oznajmiła z ulgą kobieta odbierająca poród, podnosząc noworodka i prezentując go w całej okazałości. Owinięty w błony śluzowe, niemal granatowy, wyglądał jak mały potworek, który nawet nie piśnął, miał zaciśnięte usteczka i zamknięte powieki. Był siny, dlatego ko-

bieta w czepku i umazanym krwią fartuchu, trzymając dziecko wprawnie za nogi, plasnęła go kilka razy po gołej pupie. Rozległ się krzyk, tak żałosny, tak bezradny, że w sercu młodej matki rozpałił się niezwykle żar. A potem kiedy już umyte, zaróżowione, owinięte w bawełnianą pieluchę dzieciątko spoczęło na jej piersiach, poczuła nagle niewyobrażalną wdzięczność do losu za to, że obdarował ją najśłodszą, najcudowniejszą istotką na tej ziemi.

Po tygodniu wypuścili je ze szpitala, przed którym z wiązanką goździków, niecierpliwie, przydeptując z nogi na nogę, czekała na nią najbliższa familia. Oprócz mamy i jej drugiego męża przyjechała powitać nowego członka rodziny ciocia Helena Stroińska-Boczek, przez rodzeństwo Ostrowskich traktowana niemalże jak druga babka, wszak przez wiele lat poświęcała im ogrom swojego cennego czasu i uwagi. W ostatnich dwóch dekadach, choć doznała szczęścia od losu, gdy wrócił jej uznany za zmarłego syn, choć przyszywane wnuki odwzajemniały jej ciepłe uczucia, choć miała bądź co bądź dość udane małżeństwo z panem Wackiem, postarzała się mocno. Ale mimo siwych, rzadkich włosów, zwykle zaczesanych gładko i upiętych z tyłu w kok, mimo siateczki drobnych zmarszczek pokrywających szczupłą twarz, opadłych kącików ust czy zgarbionej do przodu sylwetki, z wygiętymi w pałąk plecami, nadal nie brakowało jej energii i siły.

Dzień był upalny, duszny, toteż obie kobiety miały na sobie marszczone w pasie spódnice i bluzki z krótkim rękawkiem, rozpinane z przodu na guziki. Głowę starszej zdobiła cieniutka chustka w kwiaty, zawiązana pod brodą. Na widok młodej matki z zawiniątkiem na ręku oderwały się od samochodu, którym przyjechali, i rozłożyły szeroko ramiona.

– Ostrożnie! – Stefania przejęła niemowlę, które z zaciekawieniem patrzyło na nie z wnętrza bawełnianego kokonu, marszcząc zabawnie nosek i brwi. – Jaka ona śliczna!

– Podobna do mamy – oznajmił Stroiński, przyglądając się przybranej córce z tkliwością. – Prawie nie widać, że tydzień temu rodziłaś. Wróciłaś

do dawnej sylwetki.

– Dziękuję, ale nie całkiem. Muszę jeszcze pozbyć się tego worka z przodu – odparła, nie kryjąc sarkazmu.

– Jak będziesz karmić piersią, zlecisz w moment – zawyrokowała matka, sadowiąc się na przednim siedzeniu trabanta.

– Witaj, ciociu! – Weronika, mając uwolnione ręce, dopiero teraz mogła odwzajemnić uściski. – Nareszcie! – jęknęła z nietajoną radością. – Jechemy do domu!

Felek i Stefcia zerknęli ku sobie porozumiewawczo i wymienili nieznaczne uśmiechy.

– Wybrałaś już imię?

– Prawdę mówiąc, myślałam o tym sporo, ale jeszcze nie zdecydowałam. Mam kilka typów. Waham się między Agnieszką a Małgosią.

– Małgosia jest pięknie – zaangażowała się ciocia Helena. – Gosia, Małgosia, Małgorzata... idealnie na każdy moment życia.

– Też jestem tego zdania. – zgodziła się młoda matka, siadając z tyłu pojazdu. Syknęła, podnosząc nogę, bo nacięcia krocza wciąż dawały znać o sobie.

Feliks odpalił auto i ruszył spod szpitala głośnym warknięciem. Tuman kurzu uniósł się w powietrzu, kiedy próbował ostrym zakrętem wydostać się z ciasnego parkingu. Następnie samochód potoczył się po asfaltowej drodze w kierunku ulicy Nowotki, którą zamierzali dojechać do placu Wolności. Rozglądał się na boki, patrząc, jak miasto tętni życiem, mimo dość wczesnej pory dnia. Duma go rozpierała, towarzyszyły mu cztery kobiety najbliższe jego sercu, reprezentujące cztery pokolenia: minione, obecne, przyszłe. I mimo wielu niezabliźnionych ran na sercu, żalu do losu za stracone lata, cieszył się jak wariat. Znów uwierzył, że ta mała istotka wtulona w ramiona jego żony doczeka się kiedyś wolnej Polski, o jaką on wiele lat temu walczył.

Tuż po wieczornej kąpieli Stefania wylała wodę z plastikowej wanienki, pozbiierała brudne pieluchy i umieściła je w łazience w koszu. Opróżniła sznurki i zaniósła do kącika przeznaczonych do prasownia. Stwierdziła, że zajmie się tym jutro, dziś miała ochotę na odpoczynek u boku męża, który niedawno wrócił z pracy, zjadł kolację i usiadł w salonie przed telewizorem. Weronika właśnie usypiała małą, zdążyła więc zaparzyć dwie herbaty, kiedy zaterkotał dzwonek. Zdziwiła się, nikogo o tej porze się nie spodziewali. Wprawdzie poprzedniego dnia była sąsiadka i pożyczała cukier, piekła ciasto i zabrakło jej pół szklanki. Nie sądziła jednak, że tak szybko przyjdzie go zwrócić. Odsunęła zapadkę wizjera, ale zasłonięty był czymś białym. Odryglowała zamki z lekkim niepokojem, choć nie zdjęła łańcuszka. Uchyliła tylko drzwi, wyglądając na korytarz.

– niespodzianka! – usłyszała znajomy, bliski sercu głos.

Jednocześnie zza ogromnego bukietu kwiatów wyłoniła się roześmiana twarz jej syna.

– Lolek? Co tutaj robisz o tej porze? Miałeś być dopiero za dwa dni.

Zdjęła łańcuch i uchyliła szeroko drewniane, ciężkie skrzydło.

Antek nie był sam. Dopiero teraz zauważyła towarzyszącą pierworodnemu Alinkę. Spoglądała w jej kierunku nieśmiało, w błękitnej sukience, rozkloszowanej od pasa, w krótkim sweterku zarzuconym na ramionach. Jak zawsze świeża i śliczna. Przyciskała do piersi psiaka, który na jej widok ożywił się i szczebkał kilka razy.

Tymczasem syn wręczył mamie kwiaty, objął swoim zwyczajem i poderwał do góry.

– Nie jesteś zła, że nie uprzedziłem? Przyjmiesz nas?

– Jeszcze pytasz, wariacie?

Postawił ją na betonie, uwolnił z objęć i pozwolił, aby kobiety swobodnie się przywitały.

– Jak miło was widzieć razem, kochani moi. Moje serce się raduje! – zawołała podekscytowana. Co za niespodzianka! Tak bardzo się cieszyła. –

Wchodźcie, rozgoście się! Zaraz naszykuję kolację, pewnie jesteście głodni.

Wsunęli się w pierwszą część korytarza, Feliks, zwabiony głosami, też się tam zaraz pojawił. Przyglądał się, zaskoczony, towarzyszącej chłopakowi Alinie. Już wszyscy spisali ten związek na straty, widzieli, jak chłopak cierpiał, a tu taka niespodzianka. „Jak to życie potrafi zaskakiwać” – podsumował w myślach filozoficznie.

Wymienili serdeczne uściski.

Nagle Antek spoważniał, objął dziewczynę ciasno ramieniem i oznajmił uroczyście:

– Pozwólcie, że wam przedstawię swoją przyszłą żonę. Kilka dni temu oświadczyłem się i zostałem przyjęty.

Alina spojrzała na niego i spłonęła rumieńcem. Stefka i Feliks popatrzyli na siebie z czułością, mrugnęli porozumiewawczo, jednocześnie odechnęli z ulgą.

Weronika pchała przed sobą głęboki wózek z czerwonej ceraty, usiłując dostać się do parku Śledzia. Gorąca końcówka lata nie sprzyjała spacerom po mieście, dlatego liczyła, że w cieniu drzew i lustrze parującej ze stawu wody uda jej się nieco odpocząć i zebrać myśli. Postawiła budę, zasłaniając ją pieluchą, ponieważ słońce tego dnia grzało bezlitośnie. Kurz unosił się nad ruchliwą, hałaśliwą ulicą, którą raz po raz przemierzały się warczące niecierpliwie auta bądź klaszczące podkowami furmanki. W gęstym, nieruchomym powietrzu mieszały się zapachy spalin, zwierzęcego potu i końskiego łajna. Obeszła połowę placu Wolności, kierując się w stronę Nowomiejskiej. Tuż za rogiem stała budka z saturatorem. Właściciel w przepocojonej koszuli serwował zimną gazowaną wodę. Zatrzymała się na końcu długiego rzędu przechodniów pragnących ugasić popołudniowe pragnienie.

– Pani z dzieckiem niech przejdzie na początek – odezwał się dobrodusznie jakiś starszy pan w słomkowym kapeluszu zakrywającym strzechę

siwych włosów.

– Dziękuję, postoję. Nigdzie mi się nie spieszy... – odparła, uśmiechając się z wdzięcznością. Jednocześnie nachyliła się nad wózkiem, chcąc sprawdzić, czy córeczka śpi. Spała, trzymając kciuk jednej rączki w ustach. Policzki miała zaróżowione od gorąca, dlatego mama rozpięła jej kaftanik i zsunęła z główki batystową czapeczkę.

– Jedną z sokiem! – zwróciła się do sprzedawcy, kiedy nadeszła wreszcie jej kolej.

Opróżniała szklankę, stojąc z boku i wpatrując się w zatłoczony chodnik, którym raz po raz przemykał jakiś rowerzysta, kiedy nagle z przeciwka wysunęła się znajoma męska sylwetka. Tym razem pozbawiona kombinezonu, za to w czystych spodniach i jasnej koszuli rozpiętej pod szyją. Towarzysząca mu kobieta była sporo od niego niższa, wyglądała na nieco starszą, trzymała go po ramię, zadzierając brodę do góry. Mówiła coś do niego, gestykulując żywo wolną ręką, na co on tylko przytakiwał, wodząc wzrokiem po krawędzi chodnika. W pewnej chwili ją spostrzegł, omiótł w przełocie od stóp do głów, prześlizgnął po wózku, który przytrzymała jedną ręką. Miała wrażenie, że zawahał się, nie wiedząc, co zrobić. Wreszcie minął ją bez słowa, nie zwalniając nawet kroku. Odwróciła głowę, śledząc jego oddalającą się postać, i gdzieś w środku rozszalała się w niej wściekłość. „Ty gnoju!” – zahuczało jej w głowie. Odstawiła szklankę na maszynę, podziękowała sprzedawcy i popychając, wózek ruszyła z impetem przed siebie.

CZĘŚĆ DRUGA



Rozdział 24

Sierpień roku osiemdziesiątego przyniósł Polsce falę strajków spowodowanych kolejnymi podwyżkami mięsa i wędlin. Skutkiem tych wydarzeń było podpisanie porozumienia robotników z władzami, a to stało się podwaliną do utworzenia niezależnych samorządnych związków zawodowych zwanych Solidarnością, na której czele stanął Lech Wałęsa. Stał się też jednym z głównych ośrodków opozycji przeciw panującemu rządowi i komunizmowi. Obecna sytuacja nie sprzyjała ekipie Edwarda Gierka, który poprzez zaciągnięcie ogromnych kredytów z jednej strony znacznie zmodernizował kraj, ale z drugiej doprowadził do kryzysu gospodarczego. Efektem tych wszystkich zawirowań stało się odwołanie Gierka z funkcji pierwszego sekretarza KC, a powołanie w jego miejsce Stanisława Kani.

Dzięki teściowi, który wykorzystał w tym celu wiele różnych znajomości, Antoni przejął restaurację Stowarzyszenie Dziennikarzy w tak zwaną agencję na początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku – niedługo przez zamachem na Jana Pawła II i na niecały rok przed wybuchem stanu wojennego w Polsce, który trzynastego grudnia sparaliżował cały kraj i zmienił w ciągu jednej nocy jego oblicze. Internowano tysiące ludzi zaangażowanych w walkę z systemem, w tym – ku przerażeniu mamy – również ojczyma.

Powstanie niezależnych związków zawodowych Solidarność obudziło w Feliksie Stroińskim nadzieje na odzyskanie ojczyzny, o jaką wiele lat temu walczył. Z entuzjazmem wkroczył w szeregi Solidarności, które łączyły się w jego włókienniczych zakładach pracy, a spośród szerokiego grona zaangażowanych został wybrany na przedstawiciela komitetu straj-

kowego. Zaczął uczestniczyć w zebraniach, wiecach, angażować się w sprawy fabryki, poświęcając temu niemal każdą wolną chwilę. Początkowo żona hamowała jego zapał, bardziej ze strachu niż z przekonania, ale z czasem pogodziła się z tym wyborem, a nawet zaczęła męża aktywnie wspierać. Jeszcze wtedy nie wiedzieli, że na Kremlu powstanie opozycyjnej organizacji Solidarność uznane zostało za klęskę ekipy rządzącej. Ta miała być naprawiona wszelkimi sposobami, dlatego zaczęto wdrażać niszczycki plan, należało więc stłumić wszelkie bunty i protesty, a odpowiedzialnych za nie ukarać i aresztować.

Noc z dwunastego na trzynastego grudnia przyniosła gorycz wymieszaną z przerażeniem. Feliks został siłą wyciągnięty z łóżka i wywieziony do aresztu. Nikt nie spodziewał się takiego rozwoju wypadków, Stefania wpadła w histerię. Mając na uwadze to, co oboje wiele lat temu przeżyli, wystraszyła się, że historia zatoczy koło. Następnego dnia o godzinie szóstej rano Polskie Radio wyemitowało specjalne przemówienie generała Wojciecha Jaruzelskiego, który poinformował zaskoczony naród o wprowadzeniu stanu wojennego. Kraj został całkowicie sparaliżowany, na ulice miast wkroczyły oddziały ZOMO, wjechały czołgi i samochody pancerne. Wprowadzono też godzinę policyjną. Ludzie z przerażeniem patrzyli na to, co działo się na ich oczach.

Stefania przeżyła chwile grozy. Z jednej strony docierały do niej słuchy o bestialstwie zomowców usiłujących stłumić opór, z drugiej – każdą tkanką ciała drżała o życie swojego ukochanego. Tymczasem świat Feliksa ograniczył się do małej powierzchni, na której przebywał wraz z wieloma innymi współwięźniami, pozbawiony całkowicie prywatności, pełen obaw i napięcia o to, co się wydarzy.

Większość jego kumpli próbowała trzymać fason, jednak z czasem niektórzy zaczęli przeżywać załamanie nerwowe. Znając historię i pamiętając, co ubecja robiła z niepokornymi, trudno było nie snuć czarnych scenariuszy, które potęgowały we wszystkich paraliżujący strach. Internowani nie wykonywali żadnych fizycznych zajęć, ale to z kolei miało swoje konsekwencje w postaci wewnętrznego spustoszenia i nieistniejącego upływu

czasu. Dopadała ich coraz większa apatia i zubożenie. Do tego ciągle przesłuchania.

Na szczęście Feliksa wypuszczono po trzech miesiącach, załamane, ale niepozbawione nadziei.

Przez ten okropny czas Antek starał się być przy matce, choć to nie było łatwe. Z racji wykonywania swojego zawodu otrzymał od władz specjalną przepustkę, która nie tylko umożliwiła mu przemieszczanie się po kraju i poruszanie po mieście, ale też uratowała przed obowiązkowym powołaniem do wojska, między innymi dlatego, że ktoś, kto produkował żywność dla żołnierzy, funkcjonował na innych warunkach. Każdą wolną chwilę między zaopatrywaniem się w jedzenie wykorzystywał więc na podróże do Łodzi, a te na początku wprowadzenia stanu wojennego stały się wręcz niemożliwe. Blokady, kontrole, pełna inwigilacja przy wykonywaniu najmniejszego ruchu.

Alinka w tym czasie zostawała w domu teściów, podróżowanie wówczas nie było rozsądne, poza tym miała pod opieką ich pierwszoročną córkę – Julię, która urodziła się dziewięć miesięcy po ich harcach nad Wisłą. Zdążyli już w tym czasie wziąć ślub i tymczasowo zamieszkać w mieszkaniu Wolińskich. Zajęli mniejszy pokój, należący wcześniej do jego żony, jednak życie z jej matką pod jednym dachem okazało się na tyle przykre, że zmuszeni zostali wynająć mieszkanie. O ile wcześniej narzekania Alinki względem surowej, wymagającej matki traktował z przymrużeniem oka, o tyle funkcjonowanie razem uświadomiło mu, że nie było w tym ani krzty przesady. Umiłowanie teściowej do porządku, dyscypliny, wieczne utyskiwanie na brak przestrzeni czy wtrącanie się do ich małżeńskich spraw – stało się powodem wielu zatargów między nimi, a z czasem doprowadziło do całkowitego zniechęcenia i rezygnacji. Po odwołaniu stanu wojennego w osiemdziesiątym trzecim roku wynajęli więc kawalerkę na czwartym piętrze bez windy, ale za to z ładnym widokiem na osiedle i maleńki, ciągnący się za nim pas zieleni. Płacili za nią sporo, ale Antoni uznał, że ich szczęście i święty spokój są więcej warte niż cała reszta.

Kuchnia była na tyle przestronna, w dodatku z dwoma oknami, że przedzielili ją zasłonką i urządzili po drugiej stronie pomieszczenie dla dziecka. Tym sposobem wygospodarowali dodatkową przestrzeń, a ich codzienne życie toczyło się w dużym pokoju, gdzie żyli, spali i przyjmowali gości. Okazało się, że teść przezornie założył kiedyś córce książeczkę mieszkaniową, na którą co miesiąc wpłacał spore zaliczki. Uzbierała się na niej dość solidna sumka, dlatego Alinka już jesienią osiemdziesiątego trzeciego roku zwróciła się do spółdzielni mieszkaniowej z prośbą o przyznanie im godziwego lokum. Była ich trójka, wkrótce rodzina miała się powiększyć o kolejnego członka, ubiegała się więc o trzy pokoje, co jak zdradziła im zaprzyjaźniona urzędniczka – mogło się niedługo spełnić. Pani Janka – jak niemal każdy pracownik administracyjny – piła dużo czarnej kawy, którą przy okazji żmudnej pracy przy papierkach przegryzała czekoladkami z bombonierki, będącej drobnym zadośćuczynieniem za załatwioną sprawę. Miała ich w szafie spory stos – ładnie zapakowanych, błyszczących, kolorowych, a nawet przysyłanych z Zachodu, gdzie jej interesanci posiadali rodziny. Lubiła się nimi chwalić, czasem ulubionych petentów częstowała słodką zawartością.

Młoda Ostrowska bywała tam regularnie, podsuwała kobiecie zgrabne prezenciki nabywane w peweksie, w które wkładała banknoty, zwykle amerykańskie dolary. Wiedziała, że jest to jedyny słuszny sposób na to, aby sprawę popchnąć do przodu. W pokoju biurowym wszyscy palili, dlatego w pomieszczeniu było siwo od dymu, a w oknach wisiały poszarzałe firanki. Mimo że sama unikała tytoniu, musiała przewyciężyć gryzienie w gardle i odruch wymiotny, kiedy tam wchodziła, zabierając za każdym razem ze sobą trzyipółletnią Julcię. Czarne sprężynki włosów okalały okrągłą, śliczną buzię, z której wyzierała para błękitnych jak ocean oczu. Uroda dziecka budziła powszechne zainteresowanie, Alina nierzadko musiała zatrzymywać się, odpowiadać na pytania, wysłuchiwać komplementów i cichych popiskiwań przyszyłych matek.

– Kiedy rozwiązanie? – padały nieraz pytania wyczekujących godzinami petentów, kiedy ona, korzystając z błogosławionego stanu, wchodziła bez

kolejki.

Odpowiadała zwykle, sapiąc, zbolalym tonem:

– Jeszcze trzy miesiące. Ale kopie, jakby miało to być już jutro!

Mimo trudnej sytuacji w kraju młodzi czuli się szczęśliwi. Nowa posada Antoniego, czyli szefowanie w prestiżowej restauracji, przysporzyła im znajomości, układów, a przede wszystkim wiodło im się coraz lepiej finansowo.

Dom Dziennikarza, usytuowany przy ulicy Foksał, znajdował się w pałacyku należącym przed wojną do rodu Czartoryskich, konkretnie Marii Ludwiki, a potem do jej wnuka księcia Antoniego de Bourbon. Willa w czasie powstania uległa zniszczeniu, po wojnie została upaństwowiona. Przez kolejne dekady była restaurowana, aż po latach odzyskała swoją dawną świetność. Mieściły się tutaj sale konferencyjne, sala kinowa wyposażona w ekran, projektor, nagłośnienie, pomieszczenie dla VIP-ów, a także ogromna restauracja. Na organizowanych w budynku konferencjach prasowych, spotkaniach redakcyjnych, pokazach mody, koncertach, balach, w zasadzie wszystkich ważniejszych wydarzeniach medialnych pojawiała się cała warszawska śmietanka, a także osobistości spoza granic kraju.

Znajdująca się na parterze pałacyku ogromna restauracja stała się teraz drugim domem Antoniego Ostrowskiego. Miał pod sobą sztab pracowników, w tym kucharzy, kelnerów, ludzi od organizacji imprez, a także pracowników administracyjnych. Nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu się zmierzyć z takim wyzwaniem i że będzie spotykać na swojej drodze ludzi, którzy w przestrzeni prasowej i telewizyjnej wiele znaczyli. Nie oglądał ich już tylko z perspektywy pokoju w okienku czarno-białego telewizora, ale miał okazję widywać ich na co dzień w swojej nowej pracy. Znani dziennikarze, spikerzy, aktorzy, piosenkarze, a nawet politycy stali się teraz starymi bywalcami jego królestwa.

Taki awans miał swoje zalety, ale też wady. Finansowo wiodło się Ostrowskim coraz lepiej, musiał się jednak troić i dwoić, aby każdemu do-

godzić. Nierzadko trzeba było załatwić jakieś sprawy związane z dostawą towaru, w tym żywności i alkoholu, z czym związane było udzielanie się towarzysko, a w tym picie. „Kieliszczyk wódki jeszcze nikomu nie zaszkodził” – powtarzał, kiedy czasem trafiał na opór. „To samo zdrowie” – przekonywał, a że miał do tego dar, mało kto mu odmawiał. To był jeden ze sposobów usuwania chwilowych trudności, drugim zaś były łąpówki.

Rozdział 25

Wracali z kościoła, trzymając się za ręce. Mróz ścisnął, przy dymiących, ustawionych na przystankach tramwajowych koksownikach stali opatuleni w grube palta i czapy ludzie, trzymając zziębnięte palce nad rozżarzonym koszem. Obłoki pary wydobywały się z ich ust, kiedy próbowali zamienić kilka zdań. Chodnik był odgarnięty, za to pobocze drogi zakrywały ogromne zaspę. Oprószone wczorajszym śniegiem kamienice w milczeniu przyglądały się zapadłemu w jakąś zimową melancholię miastu.

– Zjemy obiad i pójdziemy z Małgosią na spacer, dobrze? – zaproponował niespodziewanie Feliks, trącając ramię żony.

– Myślałam, że będziesz chciał odpocząć? – Nie kryła zdziwienia.

– Nasiedziałem się w więzieniu... – Westchnął ciężko. – Nawet nie wiesz, jak w tamtej chwili marzyłem o naszym wspólnym domu, o byciu z tobą, rozmowie czy zabawie z wnuczką...

Wyznanie to poruszyło Stefanię, która bezwiednie ścisnęła męża rękę. Felek nazywał Gosię swoją wnuczką, a Weronkę – córką. „Jakie to miłe” – myślała rozpromieniona.

– A my? – rzuciła w zakleszczone mrozem powietrze. – Szalałyśmy z niepokojem o ciebie. Jak to dobrze, że ten koszmar się skończył.

Felek zamilkł, szli jakiś czas, nie odzywając się do siebie. Ubity, wyślizgany śnieg skrzypiał przy każdym stąpanięciu.

– To dopiero początek, Stefcu... – oznajmił cicho głosem niepozbowionym niesamowitej ekscytacji. – Nie zatrzymamy się teraz, nie ma takiej możliwości.

Popatrzyła na niego zaskoczona, serce zacisnęło się ze strachu, twarz zeszywniała w ponurym grymasie.

– Myślałam, że już z tym skończyłeś – bąknęła zawiedziona.

Odwrócił się, chwycił jej obie dłonie ubrane w wełniane rękawiczki, i przyciągnął do ust.

– Skarbie, kochanie! Jesteśmy już tak blisko! Nie możemy się teraz wycofać!

Zaczerpnęła głęboko haust powietrza, wstrzymała oddech, wpatrując się w jego wychudłą twarz, z której wyzierały rozświetlone oczy.

– Boję się... – wyszeptała po chwili. – Tak bardzo się boję...

Byli już po obiedzie. Stefcia udało się zakupić kawałek brzucha i łopatki, a także świeżutką, ciepłą jeszcze kaszanekę i leberkę. Do sąsiadki z parteru przychodziła pani Gienia, ta zaś przywoziła mięso ze wsi, gdzie jej szwagier od czasu do czasu urządził świniobicie. Wyroby miał pierwsza klasa, do zakupu ustawiały się kolejki, na szczęście Stefcia miała swoje zasługi i przywileje, dzięki czemu zawsze czekała na nią przygotowana paczka z wyrobami i mięsem. W kamienicy była lubiana i szanowana, sąsiedzi liczyli się z jej zdaniem, nawet często przychodzili po porady. Upatrzili sobie w niej dobrego ducha, kogoś, kto wysłucha cierpliwie, nie skrytykuje, nie wyśmiewa, ale czasem powie coś mądrego albo wskaże właściwą drogę.

– Pyszne te mielone! – pochwalił mąż, wstając od stołu i zabierając swój talerz.

– Zostaw, wujku, ja to zrobię! – oznajmiła Wera, zrywając się z krzesła. – Odpocznijcie sobie, a ja pozmywam. A później zrobię kawę.

– Dobrze, córeczko. – Matka nie protestowała. – W takim razie pójdziemy do siebie. Położymy się. Po deserze obejrzymy *Koncert życzeń* i zabierzemy Małgosię na spacer.

– Nie za zimno? – zaniepokoiła się córka.

– Ubierzemy się ciepło, nic jej nie będzie. Taki spacer to samo zdrowie. A ty sobie w tym czasie odpoczniesz. – Stefania podniosła się i zebrała półmisek ze stołu z resztą kotletów. – Zostało jeszcze na jutro – dodała ucieszona.

– Będziemy mieli gości po południu – oświadczyła niespodziewanie młoda matka, nie odrywając się od zmywania naczyń.

Byli akurat w połowie drogi do drzwi.

– Gościa? – powtórzyła Stefka, nie kryjąc zainteresowania. – Jakaś twoja koleżanka z dawnej klasy?

– Kolega – padła krótka, lakoniczna odpowiedź.

Zerknęli ku sobie porozumiewawczo i wymienili krótkimi uśmiechami.

Może wreszcie sobie ułoży życie... – zdawały się mówić oczy Stefki, pełne matczynej troski i nadziei.

– Jak ma na imię ten kolega? – spytała, nie kryjąc ciekawości.

– Zbyszek – padła odpowiedź.

– Fajny jest ten Zbyszek?

Weronika wytarła talerze i włożyła do szafki. Odwiesiła ściereczkę na wieszaku.

Podniosła głowę, patrząc w ich stronę z lekką drwiną.

– Nie aż taki fajny, jak myślicie.

Rozdział 26

Pod koniec marca osiemdziesiątego czwartego roku Alina wydała na świat maleńką kruszynkę, która potężnie wrzasnęła na powitanie, marszcząc przy tym drobną, sinoróżową buźkę. Poród był lżejszy od poprzedniego, kobieta szybko do siebie doszła, a już po tygodniu wypisali ją ze szpitala.

– To moje łóżko – zauważyła niechętnie Julka, kiedy po przyjeździe do domu położyli noworodka na tapczaniku pierworodnej. – Niech sobie lepiej wraca do brzucha! – fuknęła obrażona i uciekła do dużego pokoju, kiedy oboje przyklękli i przyglądali się maleństwu z uwielbieniem. Tuż obok, wspięty na przednich łapach, popiskiwał Bary. Pojawienie się w domu nowego osobnika wzbudziło w nim zainteresowanie.

– Jest taka śliczna! – jęknął z zachwytem Antoni, biorąc do ręki jeden z maleńkich, niemal przezroczystych paluszków córki. Potem podniósł twarz i wzruszony rzekł uroczyście: – Kocham cię, Alinko.

– Ja ciebie też – odparła, całując jego zarośnięty kilkudniowym zarostem policzek. Wiedziała, że ostatnią noc spędził z kolegami, opijając przyjście córki na świat. Wyglądał na zmęczonego, jednocześnie parował z niego niestrawiony w ciągu dnia alkohol. Doskonale знаła ten nieznośny odór, którego nie było w stanie zniwelować żadne pachnidło. Była jednak w stanie wybaczyć mu wszystko, rozumiała intencje, dlatego też nie robiła mu wymówek.

Mężczyzna uśmiechnął się z wdzięcznością.

Nie przyznał się do tego, że spał zaledwie trzy godziny. Wrócił do domu po czwartej nad ranem. Do opieki nad Julką zatrudnił zaprzyjaźnioną są-

siadkę z dołu. „Oby tylko mała się nie wygadała” – przemknęło mu przez myśl. Na szczęście spała, kiedy wrócił do domu.

– Julka! Wracaj! – zawołała Alina, kierując uwagę w stronę starszej córki, której zachowanie wydało jej się nieco niepokojące. – To przecież twoja siostrzyczka! Zawsze chciałaś taką mieć.

– Nieprawda! – zaprotestowała mała, pojawiając się przy nich ponownie, zakładając na przodzie sukienki obie ręce. – Chciałam, ale nie taką.

– A jaką? – dopytywała matka, nie kryjąc ciekawości i rozbawienia.

– Taką dużą, która umie mówić, chodzić i poruszać powiekami – odpowiedziała poważnie. – A ta tylko śpi i płacze.

– Ale ona też zacznie mówić i będzie chodziła, ty też taka kiedyś byłaś.

– Nie byłam! – Tupnęła nogą ze zdenerwowania i pobiegła do okna. – Nie chcę, żeby zajmowała moje łóżko, to moje łóżko!

– Przecież nie będzie. To tylko na chwilę. Mamy dla niej łóżeczko, na razie będzie stało w pokoju.

Twarcyzka małej nieco złagodniała, uśmiechnęła się nawet, podchodząc bliżej i przyglądając się maleństwu z zaciekawieniem.

– Jak się będzie nazywała?

– Jeszcze nie wiemy – odparł Antoni. – Może nam pomożesz wybrać imię?

W odpowiedzi zmarszczyła zabawnie nosek i wygięła usteczka w podkówkę.

– Hmm... Zawsze chciałam mieć lalkę Tosię!

Zerknęli ku sobie, wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Antonina, Tosia... Cudowny pomysł! – przyznała Alina.

Julia przyklasnęła z zadowolenia, poczuła w tym momencie coś w rodzaju przywiązania do tej istotki, której samodzielnie nadała imię. Usiadła na rogu tapczanu i delikatnie, nieśmiało wyciągnęła w jej kierunku rękę. Maleństwo nieoczekiwanie zacisnęło drobną piąstkę na palcu siostry i szarpnęło nim gwałtownie, że Julia aż podskoczyła. Rodzice jednak roze-

śmieli się pobraźliwie i pogłaskali ją czule po nastroszonych, skręconych w spiralkę włosach, więc zrozumiała, że nic jej nie grozi. Pozwoliła małej Tosi trzymać kciuk, co z czasem wydało jej się nawet zabawne.

Rodzice przyglądali się tej scenie z wielką tkliwością. Ta nawiązująca się relacja pomiędzy dwiema najdroższymi istotkami wydała im się nagle bardzo interesująca.

– Będziesz się opiekowała siostrzyczką? – Ojciec pochylił się nad starszą córką, szepcząc jej do ucha.

Mała wzięła się pod boki i odpowiedziała z arcyważną miną:

– Tosia nie jest lalką, tylko moją siostrą. To zupełnie coś innego. Zastanowię się nad tym.

Popatrzyli na siebie, nie kryjąc rozbawienia. Ich życie znów nabrało rumieńców, choć sytuacja w kraju wciąż się pogarszała, kryzys pogłębiał się, a ludzie coraz częściej okazywali niezadowolenie. Młodość i miłość miały jednak swoje prawa, dlatego niezależnie od tego, co się działo wokół, skupiali się na tych wszystkich radościach, które przynosił im obecnie los.

Przychodziła czasem z samego rana, siadała w najbardziej zacisznym kącie, zamawiała kieliszek wódki za kieliszkiem, notowała coś na małych karteczkach.

– To przecież Agnieszka Osiecka – szepnęła mu kiedyś do ucha Lodzia, jedna z kelnerek pracujących tu od początku.

Antoni zaczął się wtedy uważniej przyglądać tej szczupłej kobiecie ze związanymi z tyłu blond włosami, pochylonej nad stolikiem, zanurzonej w myślach i zasłuchanej w odgłosy życia restauracji. Przypominała mu jasny poranek budzący się po ciężkiej nocy. Otaczała ją jakaś aura tajemniczości, by nie powiedzieć – melancholii.

– Poetka – mruknął do siebie, usiłując coś sobie przypomnieć, choć w pierwszej chwili przyszło mu to z trudem.

– No, nie pamięta pan? – zdziwiła się Lodzia. – *Małgośka* Maryli Rodowicz, *Uciekaj moje serce* Krajewskiego, a wcześniej *Okularnicy* Sławy Przybylskiej... Do tych piosenek teksty napisała właśnie Osiecka.

Stała na wprost z pustą tacą i patrzyła na niego z niedowierzaniem. „Jak można nie wiedzieć, kim jest ta artystka?” – mówił jej zdumiony wzrok.

Po chwili w jego pamięci zapadka się szczęśliwie osunęła, chwycił się za skroń, a w jego oczach pojawił triumfalny błysk.

– No, tak! No przecież! Jak mogłem nie pamiętać... – zaczął się usprawiedliwiać.

Ta ostatnia piosenka stała się hymnem młodej inteligencji w czasach siermiężnego Gomułki. Pamiętał ją doskonale, nucił często do dziś, nie zdając sobie sprawy, że autorka tego kultowego tekstu siedzi w jego lokalu. *Taki dzieckiem się nie zajmie, tylko myśli o Einsteinie itp., itd., itd.* – utkwilo mu w pamięci.

W tym momencie pomyślał o Alince, która przecież uwielbiała te wszystkie utwory, a Seweryn Krajewski długie lata zajmował zaszczytne miejsce na macie słomianej w pokoju nad łóżkiem. „Byłaby szczęśliwa, gdybym przyniósł autograf od pani Agnieszki” – przyszło mu na myśl i nie zastanawiając się dłużej, kazał zanieść do stolika dwa kieliszki wódki. Potem poprosił kelnerkę, aby wzięła ze sobą czystą kartkę papieru.

– Dzień dobry, nie przeszkadzam?

Podniosła wzrok, mrużąc oczy i ściągając brwi. W jej twarzy krył się jakiś smutek, choć na moment jej usta wygięły się w nieco wymuszonym uśmiechu.

– Nie, naturalnie, że nie – odparła. – Zapraszam. – Wykonała szeroki gest ręką, wskazując miejsce obok. – W czym mogę pomóc?

Pracownica restauracji przyniosła akurat dwa kieliszki i małą zakąskę w postaci śledzia w occie.

– Bardzo mi miło gościć panią w moich skromnych progach – zaczął na wstępie, siłąc się na niezwykłą uprzejmość. – Moja żona jest pani wierną

fanką. – Czy będę bezczelny, jeśli poproszę o jakąś krótką dedykację dla żony i autograf?

– Bezczelny? – Twarz poetki rozjaśniła się nieznacznie. Prychnęła swobodnie, odgarniając z czoła kosmyk włosów. Była nadal piękną kobietą, niepozabawioną czaru i wdzięku. – Ale najpierw, napijmy się! – zaproponowała, mrugając porozumiewawczo. – Za życie! – Wzniosła toast i stuknęli się kieliszkami.

– Ma w sobie jakiś niezwykły urok – stwierdził, kiedy opowiadał o wszystkim żonie. – Niesamowita kobieta!

– Ciekawsza ode mnie? – Alina udała oburzenie.

– Nie! Nie w tym sensie! – zaprotestował. – To taka urodzona artystka. No nie wiem, jak to powiedzieć... – Zmarszczył brwi. – Zagubiona, romantyczna, a jednocześnie niezwykle spostrzegawcza.

– Tak? – Nie kryła podejrzliwości. Podciągnęła nogi na łóżko i pozwoliła, aby Bary położył się obok. Od kilku minut kręcił się biedak po pokoju, nie wiedząc, co ze sobą począć. Pogłaskała go po grzbiecie, kiedy umościł łebek na jej kolanach.

– Wypiliśmy razem całą butelkę! – Zaśmiał się. – I jeszcze nam było mało, gdyby nie to, że przyszedł po nią jakiś gość w krawacie. – Zdążyliśmy nieźle się pośmiać i przejść na ty. Fajna kobitka z niej. Proszę, to dla ciebie. Obiecała, że będzie częściej wpadać. Na pewno jeszcze się spotkacie – stwierdził, wsuwając rękę pod szlafrok żony, gdzie namacał twarde, nabrzmiałe piersi. Jęknął z zadowoleniem.

– Oj, Alinka. Ale się za nimi stęskniłem... – zamruczał.

Odsunęła jego rękę, krzywiąc się teatralnie, potem rozwinęła kartkę, na której był rysunek przedstawiający głowę kobiety z kwiatami we włosach, trochę nieudolny, ale ciekawy. Pod spodem widniała dedykacja: *Alince – z serdecznościami. Agnieszka Osiecka.*

– Szkoda, że jesteś pijany... akurat dzieci śpią! – prychnęła, obejmując jego rozczochraną głowę i przyciągając równocześnie do siebie.

– Ja, pijany? – zaprotestował. – A udowodnić ci, że nie?

– Spróbuj! – odparła ze śmiechem, ale zachęcająco. – Zrobiłeś mi cudowny prezent. Dziękuję, kochany. – Przeciągnęła się jak kotka i odchyliła do tyłu, dając mu znak, że jest gotowa podjąć wyzwanie.

Rozdział 27

W SPATiF-ie organizowano wystawę obrazów. Stefania nie znała się na sztuce współczesnej, dlatego ustawiając sztalugi w najbardziej reprezentacyjnej sali, zerknęła pod ścianę, gdzie były ustawione domniemane dzieła sztuki i zastanawiała się, o co chodzi w tym malowaniu. Jej koleżanka Wiesia najwyraźniej miała podobne wątpliwości, bo zatrzymała się przed galerią, wzięła się pod boki i kiwała głową z powątpiewaniem.

– Stefka, rozumiesz coś z tego?

– Kompletnie nic! – zawtórowała w odpowiedzi, pochylając się po kolejne płótno. Było ich dwanaście, wkrótce wypełniły większość pomieszczenia, w którym stały też w kilku rzędach krzesła.

– To ma być licytacja!

– Aaa, licytacja... – podchwyciła Ostrowska, nie kryjąc zdumienia. – Myślałam, że tylko przyjdą popatrzeć.

Wiesia skończyła pracę, wyprostowała plecy, pomasowała je wierzchem dłoni i patrzyła przed siebie, usiłując zrozumieć sztukę współczesną. Kilka maźnięć na jednym, na drugim kropka na niebieskim tle, na trzecim rozmazane kolory przypominające zwiędnięte liście.

– Za proste na to jesteśmy – stwierdziła z przekąsem. – Poprzednie to rozumiałam... – prychnęła z lekkim rozrzewnieniem. – Ale to? – Machnęła ręką i przeszła do sali obok.

Wkrótce zaczęli się schodzić pierwsi goście. Dostrzegła wśród nich znane twarze, stałych bywalców restauracji, których obsługiwała niemal każdego dnia. Zajmowali puste miejsca albo krążyli wśród sztalug, wpatrując się w kompozycje raczej w milczeniu, nie wypowiadając głośno swych

uwag. Stojąc przy drzwiach, obserwowała całe zamieszanie, zastanawiając się jednocześnie, o której będzie mogła dziś stąd wyjść. W kuchni szykowały się zimne przekąski, chłodził się szampan w lodówce, obsługa ustawiała kieliszki na tacach. Sytuacja w kraju wciąż się pogarszała, niepokoje rosły, Feliks chodził na zebrania, wracał z nich albo zdenerwowany, albo dla odmiany podekscytowany. Wprawdzie z ulic zniknęły pancerne samochody i oddziały wojsk, jednak niezadowolenie z rządów nie gasło, a ponure nastroje się nasilały.

Tutaj dla odmiany wszystko toczyło się starym rytmem, zupełnie jakby nic się nie stało. Przychodzili stali bywalcy, pili, jedli, załatwiali interesy albo spędzali czas w miłym towarzystwie. „Dobrze – przemknęło jej przez myśl – że przynajmniej mam pracę, którą lubię”. Bo musiała przyznać, że czuła się tutaj znakomicie, brakowało jej jedynie Renaty. Tęskniła za nią, często wracała myślami, a kiedy spotykała się z dawną kierowniczką – wspominały ją ciepło, z nostalgią.

Na początku stwierdziła, że źle widzi, że z kimś ją pomyliła. Ale nie miała przed oczami znajomą postać z wciąż nienaganną sylwetką, w długiej satynowej sukni i futrzanym szalu przerzuconym przez ramiona. Towarzyszący jej mężczyzna miał siwą, starannie przystrzyżoną w szpic bródkę, okulary na jasnej twarzy, włosy równo przycięte. Czarny smoking i nieskazitelnie biała koszula idealnie pasowały do jego wysokiej, postawnej sylwetki, lekko przyciosanej. Irena trzymała go pod ramię, kiedy z zainteresowaniem przemieszczali się między sztalugami i przyglądali obrazom.

– Ja chyba śnię! – sarknęła, kiedy podeszła do niej Wiesia z tacą. – Moja była teściowa w całej okazałości...

– No co ty? – zdziwiła się tamta, nie kryjąc naturalnego zaskoczenia. – Która to?

– A jak myślisz?

Koleżanka powiodła wzrokiem po wypełnionej sali. Wyłowiła z niej jedną postać – chyba najbardziej intrygującą, mimo że z pewnością już niemłodą.

– To ona? – Wskazała, unosząc podbródek.

– Zgadłaś! Jak to możliwe? Przecież nigdy jej nie widziałaś!

– Ale widziałam twojego byłego, to mi wystarczyło. Podobieństwo rzuca się w oczy. – oceniła fachowo. – Zawsze ci zazdrościłam takiego przystojniaka! – Szturchnęła ją w ramię i zachichotała.

– Wybacz, ale przestałam je dostrzegać... – burknęła. – Jego urok też przestał na mnie działać – dodała gorzko.

– Nie idziesz do niej, nie przywitasz się? – zdziwiła się tymczasem Wiesia. – Ona nie wie, że tu pracujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Kiedyś jej wspominałam... ale to było dawno temu. Nie zna Łodzi, więc nie wie, gdzie to mogło być... Ostatni raz widziałyśmy się na Antka weselu, czyli ze cztery lata temu. Ale się skubana trzyma! – Stefa wydeła wargi, przyglądając się z uznaniem swojej teściowej. Zakręcone trwały włosy miała ścięte do ramion, dzięki temu falowały wdzięcznie wokół jej wciąż pięknej twarzy, naznaczonej w kilku miejscach oznakami starości, z której, jak widać, nic sobie nie robiła.

Wytarła dłonie w koniec fartucha, jakby przed chwilą myła ręce.

– No dobra, trzeba iść – podjęła decyzję, na co jej koleżanka z pracy skinęła z aprobatą. – Idź, idź! – ponagliła ją. – A ja sobie tymczasem popatrzę. Zrób to, zanim wszystko się zacznie. A zacznie się za chwilę. Właśnie mignął mi przed oczami Adamski. No wiesz, ten aktor. On ma to wszystko poprowadzić.

– Rozumiem... – Stroińska skinęła głową i zdecydowanie ruszyła do przodu.

– Mama? – Udała zaskoczenie, stojąc już za plecami przybyłej. Nigdy nie przestała jej tak nazywać, choć od wielu lat nie była już żoną Tadeusza. Nadal jednak byli rodziną, co słusznie zauważyła kiedyś jej matka.

– Stefcia? Co tutaj robisz?

Twarz kobiety się zmieniła. Z bijącego przed chwilą podekscytowania niewiele zostało, za to wyglądała na speszoną, zupełnie jakby ktoś ją przyłapał na gorącym uczynku.

– Jak to co? Pracuję! Mówiłam ci tyle razy, że jestem zatrudniona w SPA-TiF-ie! – Zaśmiała się, rozkładając ręce na powitanie. Cmoknęły się w policzki i uściskały serdecznie.

– Ojej! Faktycznie! Wspominałaś kiedyś – przyznała skruszona. – Ale wiesz, jak to jest...

– Wiem, wiem...

– Nie wiedziałam, mamo, że fascynuje cię sztuka współczesna?

Irena uśmiechnęła się tajemniczo.

– Mnie nie, ale Marka tak – to mówiąc, dokonała pełnej prezentacji.

Nowo poznany mężczyzna z bliska wydawał się jeszcze bardziej interesujący, może przez ciekawe oczy, które dotychczas kryły się pod szklami okularów.

– Niesłychane! – skwitował z podziwem towarzysz Ireny. – Jak to możliwe, że masz tak duże dzieci, serdeńko?

Zaraz jednak nachylił się nad dłonią Stefci i pocałował z kurtuazją.

– Bardzo miło mi poznać – szepnął głosem ociekającym szczerą życzliwością.

– Mnie również – odparła, a po chwili dodała: – Przepraszam was, ale muszę wracać do pracy. Spotkajmy się po wszystkim, a może wpadniecie do nas? Gdzie nocujecie?

Spojrzeli po sobie, wyraz zadowolenia omiółł ich twarze.

– W Polonii, ale ... czemu nie? Wiesz, Stefciu, że zawsze pozostaniesz bliska mojemu sercu.

W odruchu czułości pocałowała ją w policzek i zrobiła obrót na pięcie.

– To jesteśmy umówieni, czekamy na was!

– Nie rozumiem Tadzia – odezwała się Irena po krótkiej wymianie zdań. – Co ta Bajeczka z niego zrobiła? Przecież on wygląda gorzej niż jego własny dziadek przed śmiercią.

Zajmowali miejsce przy stole w pokoju stołowym, zastawionym zimnymi przekąskami, które Stefcia przytarczyła tego wieczora z restauracji, płacąc za nie symbolicznie. Na szczęście miała taki przywilej, dlatego w sytuacjach podbramkowych chętnie z niego korzystała. To był dodatkowy bonus tej pracy, która przynosiła jej nie tylko zadowolenie, ale jeszcze tak zwaną wartość dodaną. Za oknem rozgościł się już późny wieczór, miasto zasypiało, pomrukując elektrycznymi i telefonicznymi drutami, czasem jakimś zagubionym gwizdem, okrzykiem czy świstem wiatru.

– Podobno miłość jest ślepa – skwitowała kwaśno Stefania. – Lepiej się napijmy!

– Pokochałam cię jak własną córkę. Byłaś dla mnie zawsze taka dobra i wyrozumiała. I pracowita do tego... – ciągnęła teściowa, będąc już po kilku kieliszkach, a wcześniej wypila podczas licytacji dwie lampki szampana. Język jej się plątał, policzki miała zarumienione, a za tym szły szczerłość i otwartość. – Przyjechali kiedyś razem do Kalisza. To było w niecały rok po śmierci Lucjana. Wzięłam na bok syna i zrobiłam mu karczemną awanturę. Jak śmiał pokazywać się w domu z kochanicą? Wtedy, w odwecie, wytknął mi to i owo... – Westchnęła gorzko, zatapiając widelec w galarecie z nówek. – Co mu miałam powiedzieć? Nigdy nie świeciłam przykładem.

Stefka chrząknęła wymownie na to niespodziewane wyznanie i spojrzała na Marka, który tylko się pobłaźliwie uśmiechnął.

– Wiem o Irence wszystko – wyjaśnił. – Powiedziała mi. I za to ją kocham i szanuję. Moje serdeńko. – Zerknął na nią czule, na co ona odwzajemniła się tym samym.

– Najważniejsze, że wy jesteście szczęśliwi – dodała po chwili, spoglądając na słuchającego w milczeniu Feliksa i bardziej rozmowną Stefanię. – A Weronika gdzie? – zainteresowała się nagle, odkrywając jej nieobecność przy stole.

– Dałem jej wolne – odezwał się wreszcie Stroiński. – Zaproponowałem, że zaopiekuję się Małgosią. To już duże dziecko, nie sprawia wielu proble-

mów. Niech się dziewczyna rozerwie. Przez cały czas nic, tylko praca, dom, dziecko – żadnych przyjemności.

– Ostatnio poznała takiego przystojnego chłopca. Przychodzi do nas od czasu do czasu, przynosi kwiaty, bombonierki... – wtrąciła się Stefania. – Jest w nią wpatrzony jak w obraz, a Weronika wydaje się wreszcie zadowolona. Dla dziecka też jest dobry – dodała z westchnieniem. – Oby coś z tego wyszło. Zdolna jest, dostała nawet pracę w Telimie, ale szczęścia w miłości nie ma za grosz. Po tym jak tamten niegodziwiec ją zostawił, nie ufa już mężczyznom. Jest ostrożna i bardzo uważna.

– To chyba dobrze? – skwitowała Irena. – Dziewczyna się tylko raz sparzyła i od razu nauczyła rozumu. To się chwali. Młoda jest i ładna. Jeszcze sobie życie ułoży. Ta praca w Telimie zdaje się ciekawa? – zagadnęła.

– Dostała się tam bez żadnych koneksji jako konstruktor odzieży. Wygrała konkurs organizowany przez szkołę, a później w naborze pokonała wszystkie konkurentki. Została doceniona. Szycie i tworzenie to jej pasja. Podobnie jak ja – lubi swoją pracę.

– Fiu, fiu! – gwizdnęła z zachwytu Ostrowska. – A to mam zdolną wnuczkę!

Rozmowy trwały jeszcze kilka godzin, zanim goście postanowili wrócić do hotelu.

– Zostańcie u nas. Pościelimy wam w sypialni, a my prześpiemy się w stołowym – zaproponowała gospodyni, na co Felek tylko przytaknął obojętnie.

Goście nie zaprotestowali, oboje byli już znużeni. Skorzystali z propozycji i gdy tylko pościel była gotowa, rzucili się na łóżko i niemal natychmiast zasnęli.

Rozdział 28

Bolka można było zastać zwykle w tym samym miejscu, snuł się między Pałacem Kultury a Dworcem Centralnym, bo tam kręciło się najwięcej dewizowych klientów. Zdążył przeprowadzić kolejną transakcję, wymienił złotówki na bony towarowe i zadowolony sięgnął do kieszeni po wymiętoloną paczkę marlboro. Właśnie trzymał papierosa w zębach, odpalał zapalkę, kiedy podszedł do niego jakiś typ w ciemnych okularach i w białej marynarce w pionowe, brązowe pasy. Wyglądał na cudzoziemca, a kiedy się odezwał płynną angielszczyzną, podejrzenie okazało się słuszne. Cinkciarz znał trochę ten język, ze względu na wykonywany rodzaj działalności był zmuszony liznąć chociażby podstawy, dlatego szybko do niego dotarło, że chodzi o wymianę dolarów na złotówki. Zatarł z radości rękę, bo wszystko wskazywało na to, że szykuje się ładny biznesik. Tymczasem facet poklepał się po kieszeni, wskazał miejsce nieopodal, by w zaciszu, chociażby na ławce pod kasztanem, z dala od gwaru dokonać uczciwej wymiany. Bolek zgodził się ochoczo, niczego nie podejrzewając, kiedy podszedł do nich Ostrowski, informując go wymownym gestem, że ma sprawę.

– Nie teraz! – mruknął, dając mu do zrozumienia, żeby przyszedł później. Antoni zrozumiał, nie miał żalu, klient wyglądał na ważniaka, dlatego wycofał się o parę kroków i zamierzał pójść na dworzec, aby kupić bilety do Łodzi. Weronika miała mieć zaręczyny, zaprosiła ich na tę uroczystość, w dodatku mama tak bardzo się cieszyła, kiedy ją odwiedzali.

Kończąc papierosa, postać jeszcze chwilę, patrząc od niechcienia, jak dwaj mężczyźni oddalają się w ustronne miejsce. Jego kumpel utykał na prawą nogę, ostatnio skarżył się, że wszedł mu w biodro uporczywy ból,

ten drugi szedł za nim, rozglądając się nieustannie na boki. W pewnej chwili wykonał ręką jakiś niezrozumiały gest, co Antkowi wydało się dziwnie podejrzane. Wzdrygnął się nie wiedząc czemu, dreszcz przebiegł po jego plecach, rzucił peta pod buta, rozpląszczył go, po czym zamiast do kas dworcowych ruszył w przeciwną stronę. Nagle tamci skręcili w bramę narożnej kamienicy i na chwilę stracił ich z oczu. Przyspieszył kroku, a nawet zaczął biec. Zaskoczony, znalazł się na obskurnym podwórzu, gdzie poza koszami na śmieci, trzepakiem ze starym, wypłowiałym dywanem i dwoma kotami wylegującymi się na słońcu nikogo nie było. Zdziwił się, był pewien, że właśnie tutaj zboczyli z drogi, że właśnie w tym miejscu stracił ich z oczu. Przez chwilę rozglądał się, zdezorientowany, gdy nagle dotarły do niego stłumione głosy, jakby krzyki, jęki czy nawet głucho uderzenia. Zakradł się ostrożnie w miejsce, skąd dochodziły, by po chwili znaleźć się za rzędem pokrytych papą, wałących się komórek. Bolek jęczał, leżał na ziemi z założonymi do tyłu rękoma, jeden typ trzymał go pod butem, próbując unieruchomić, a drugi pochylał się nad nim, przetrzepując wszystkie kieszenie. Widok ten w pierwszej chwili zmroził Antka, ale już w drugiej sprowokował do działania. Nie było czasu na ustalanie strategii, dlatego chwycił leżące pod nogami dwa kawałki cegły i wyskoczył z ukrycia.

– Zostawcie go, bo wam przywalę prosto w te kudłate łby! – warknął wściekle i wycelował. Popatrzyli na niego groźnie, więc zamachnął się ponownie. Tym razem trafił w ramię. Wyższy z nich, w białej marynarce, jęknął i poderwał się do ucieczki.

– Wiejemy! – krzyknął po polsku, a jego współtowarzysz zostawił rzucającego się na ziemi Bolka i pobiegł za nim.

Antek gonił za nimi do wylotu bramy, ale tylko po to, aby ich wystraszyć. Krzyczał przy tym z całych sił: „milicja, milicja”, więc zrobiło się zamieszanie. Kilku mężczyzn rzuciło się na pomoc, ale bandyci okazali się sprytniejsi. Zapadli się jak kamień w wodzie. Postanowił wrócić do kumpla i pomóc mu się pozbierać. Okazało się, że bydlaki zdążyli mu skrępować ręce z tyłu i zapchać usta cuchnącą szmatą.

– Już dobrze, nic ci nie jest? – spytał, luzując sznurek i wyciągając knebel.

– Dzięki, stary! – sarknął Bolo, spluwając. – Nie wiem, co by ze mną zrobili, gdyby nie ty. – Zaraz też zerknął na niego podbitym okiem. – Skąd wiedziałeś, że oni są lewi?

Ostrowski wzruszył od niechcienia ramionami.

– Nie wiedziałem... W pewnym momencie coś mnie zaniepokoiło. Sam nie wiem co.

Bolek otrzepał zabrudzone ubranie, wyprostował nogawki spodni, po czym ruszyli w stronę dworca.

– Musisz bardziej uważać. Nie oddalaj się od zaludnionych miejsc. To zbyt ryzykowne – pouczał go Antoni.

– Wiem, wiem... – przyznał cinkciarz ze skruchą. – Nie mam pojęcia, co się tym razem stało... Po raz pierwszy w życiu zawiódł mnie instynkt. Straciłem czujność, najpierw chciał usiąść na ławce, a potem zaciągnął do tej bramy. Dlaczego go posłuchałem? – Podrapał się po głowie i rzucił głucho w powietrze. – Zawsze przecież miałem nosa do ludzi,

– Cóż... – Ostrowski wyciągnął paczkę marlboro i poczęstował kumpla. – Kiedyś musi być ten pierwszy raz. Od teraz będziesz na siebie bardziej uważał.

– Taa... – przyznał Bolek, zaciągając się trzęsącymi rękoma. – A tamci goście są spaleni. Jak wpadną w moje ręce, nie daruję skurczybykom – odgrażał się.

Jak tylko skończył palić, przeszukał kieszenie. Okazało się, że zniknęły bony towarowe, na szczęście waluta schowana była głębiej, w specjalnie wszytą kieszonkę od wewnętrznej strony spodni.

– No, reszta uratowana. – Odetchnął z ulgą. – Nie wiem, jak mam ci dziękować. Do końca życia mam u ciebie dług wdzięczności!

– Przestań, stary! – zaprotestował Antek. – Zwyczajny, ludzki odruch. Nie róbmy scen.

Bolek chciał się uśmiechnąć, ale tylko się skrzywił. Rozcięta warga zabolala. Pół policzka miało liczne zadrapania.

Doszli do rogu Nowogrodzkiej i Emilii Plater, gdzie stało zaparkowane auto cinkciarza, duży fiat w kolorze kości słoniowej.

Antoni wyciągnął rękę na pożegnanie.

– To cześć, stary! Wpadnę do ciebie pojutrze!

Bolek zdziwił się, patrząc na kolegę.

– Miałeś sprawę do mnie, czyż nie?

Tamten tylko machnął ręką.

– Nic ważnego, drobna wymiana, która może zaczekać. Darujmy sobie dzisiaj.

– No dobrze... – Cinkciarz westchnął, klepiąc go po ramieniu. – Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma sprawy, trzymaj się!

Chciał sobie pójść, kiedy kumpel znów go zatrzymał wołaniem.

– Zaczekaj, mam coś dla twojej ślicznej żony! Powinny być dobre.

Bolek właśnie pochylał się nad otwartym bagażnikiem, szukał tam czegoś, posapując pod nosem. Wreszcie znalazł, bo mruknął zadowolony, wyciągnął zdobycz i podał koledze.

Antek spojrzał na przepiękną parę wysokich, skórkowych butów z haftowanymi cholewkami.

– Ktoś mi je kiedyś dał, ale mi się nie przydadzą. A moja ślubna nosi rozmiar trzydzieści dziewięć.

– No co ty? – Antek się wzdrygnął. – Musiały kosztować majątek! To nie nasze, to z Zachodu. – Jego dziadek był szewcem, ale nigdy nie widział u niego tak pięknych kozaków.

– Daj spokój, bierz! To nie dla ciebie, tylko dla Alinki! Jak jej się nie spodoba, to wtedy oddasz. Umowa stoi?

Zawahał się. Miał wątpliwości, ale kiedy patrzył na te buty, już widział w nich swoją żonę. Idealnie pasowałyby do jej zgrabnych łydek i szczupłych ud. Marzył, aby zobaczyć jej minę, kiedy na nie spojrzy. Nosila dokładnie ten rozmiar – trzydzieści sześć i pół.

– No dobra – zgodził się tym razem. – Umowa stoi.

Leżały na niej doskonale, jakby uszyto je specjalnie dla niej. Idealnie przylegały do kostki, odchylały się tuż przed kolanem i odsłaniały zgrabne uda, które coraz częściej prezentowała, podążając za modą i nosząc mini. Były porządnie wykonane, całe z miękkiej, ciepłej skóry, na solidnej, gumowej podeszwie. Wyglądały na towar z górnej półki, w kraju takich na pewno nie można było nigdzie dostać, w dodatku wygodne. Alina była przeschczęśliwa, kilka razy przeparałowała przez pokój, kilka razy obejrzała się w lustrze, a jeszcze kilka zapytała, jak wygląda. Musiał przyznać, że jego żona mimo dwóch przebytych porodów i paru nadprogramowych kilogramów olśniewała urodą. Jeszcze bardziej pociągały go krągłości, a kilka centymetrów więcej w talii nie stanowiło dla niego żadnego problemu. Wciąż miała długie, błyszczące włosy, które pielęgnowała, robiąc co jakiś czas okład z żółtek, gładką oliwkową cerę i intensywnie niebieskie oczy, ukryte w gęstej, czarnej oprawie. Miała też gust, ubierała się świetnie, stosownie do figury i okoliczności. Fakt, że czasy ostatnio temu sprzyjały, zarabiał coraz więcej, stać ich było na zakupy nie tylko w domach handlowych, ale też w pewek-sie. Jego żona tak dobierała stroje, że kiedy wychodzili w niedzielę całą rodziną łącznie z Barym na spacer, nie było osoby, która by się za nimi nie obejrzała. Podobno stanowili niezwykle dobraną parę. On – wysoki, dobrze zbudowany brunet, ona sporo niższa, drobniejsza, również brunetka. Ich wspólne wyjście zawsze było głośno komentowane przez sąsiadów, rzucali się w oczy, a niektóre sąsiadki próbowały dość nieudolnie naśladować styl Alinki. Wyprostowani, świetnie ubrani, całkiem nie jak na polskie standardy, piękni i młodzi. Jak by tego było mało – ich córki przypominały dwie słodkie księżniczki. Alina nie szczędziła starań, aby i one ubrane były po królewsku. Jeśli nie udało jej się czegoś kupić, zlecała szycie zaprzyjaźnionemu krawcowi. Od niego pochodziły eleganckie płaszcze o wyszukanym kroju, a także spódnice, kostiumy, suknie i marynarki. Cały orszak dopełniał Bary, również czarny i nieco niesforny, ale przy tym niezastąpiony

i kochany przyjaciel rodziny. Zwykle robili jedno okrążenie po okolicy. Mi-
jali skwer, plac zabaw z górką, ulubioną cukiernię Julki, szkołę podsta-
wową, lokalny targ, a potem wracali do swojego bloku od drugiej strony.
Taka przechadzka dobrze im robiła, czasem spotykali po drodze znajo-
mych, ucinali krótkie pogawędki, w niektórych przypadkach zapraszali się
na kawę, a przy dobrej pogodzie szli na lody.

W ostatnim miesiącu zaszły spore zmiany, okazało się bowiem, że przy-
znano im wreszcie upragnione mieszkanie. Radość była ogromna, zwłasz-
cza że ich nowy dom znajdował się na tym samym osiedlu, zaledwie dwie
przecznice dalej.

Akurat popsuła się winda, więc wspinali się na piąte piętro wieżowca, po-
konując dość strome, betonowe schody. Stefania, wsparta na ramieniu
męża, postękiwała, Alina ciągnęła za sobą Julkę, która co jakiś czas zwal-
niała kroku, narzekając, że bołą ją nogi, natomiast Antoni niósł na rękach
owiniętą w becik maleńką Tosię. Zatrzymał się tuż przed drzwiami, wycią-
gnął pęk kluczy i pomagając sobie zębami, odnalazł ten właściwy. Po chwili
zgrzytnął zamek i wejście do ich nowego mieszkania stało otworem.

– Przytrzymaj, mamo – poprosił, wciskając jej w ramiona córeczkę. –
Muszę coś jeszcze zrobić.

Ta uniosła brwi, zmarszczyła je, nie kryjąc zdziwienia. Bez słowa sprze-
ciwu przejęła wnuczkę, patrząc z zaciekawieniem, jak jej syn podrywa sy-
nową na ręce i przenosi ją przez próg nowego mieszkania.

– Hej, wariacie! Co robisz? – zaprotestowała Alina, tarmosząc, rozba-
wiona, jego czuprynę.

Antoni nie odpowiedział, tylko zrobił arcyważną minę, wniósł żonę do
dużego pokoju i postawił ją na podłodze wyłożonej płytkami pcv.

W lokalu obok słyhać było jakieś kroki, zaszczekał pies, a wizjer strzelił
do nich ciekawskim okiem. Nie zwrócili na ten detal uwagi, od dawna było

wiadomo, że sąsiadów interesuje, co się dzieje na terenie ich miejsca zamieszkania.

Stefania tylko uśmiechnęła się nieznacznie, łza wzruszenia zakręciła jej się w oku. Feliks, widząc to, objął ją ciasno ramieniem i przytulił.

– Pięknie tutaj! – jęknęła z zachwytem, przypominając sobie moment, kiedy to Józia prezentowała jej mieszkanie na Piotrkowskiej. – A jaka przestrzeń!

– Taak... – przytaknęła synowa, nie kryjąc euforii, podbiegając tanecznym krokiem do okna balkonowego. – Złożyłam podanie o trzy pokoje, na początku nie chcieli słuchać, ale w końcu się udało! Na wszelki wypadek dopisałam do liczby lokatorów moją mamę jako opiekunkę do dzieci. Tak mi doradzono w spółdzielni. Mieliśmy takie szczęście!

Zaczęła biegać od pokoju do pokoju.

– Tu będzie miejsce dla dziewczynek, a tu nasza sypialnia! Tak mi się marzy szerokie łóżko! – szczebiotała. – A w kuchni koniecznie musi być stół i zasłonki w słoneczniki! Kocham słoneczniki!

– Będziesz miała szerokie łóżko, zasłonki i stół. Wszystko, czego zapragniesz, moja królowo! – oznajmił Antoni, wyciągając z torby butelkę wódki i przygotowane wcześniej kieliszki. – Musimy to oblać! – uznał rzeczowo.

– Koniecznie! – podchwycił Felek, który pierwszy wyciągnął rękę po napełnione szkło. – To za wasze szczęście w tym domu! – dodał zaraz, uśmiechając się promiennie.

– Za szczęście! – zawtórowała Stefania, pozwalając sobie na otarcie policzka wierzchem przedramienia. – Cieszę się razem z wami.

Alina wyszła na balkon. Nie był pokaźny, ale był. Przed jej oczami rozpościerał się widok na niewielkie wzniesienie będące pozostałością po budowie osiedla i wcześniejszych wykopach. Obecnie zarośnięte kępami trawy i chwastami, stanowiło miejsce do zabaw najmłodszych mieszkańców blokowiska. W dole rosło kilka rozłożystych drzew, teren był wstępnie uporządkowany, choć wymagał jeszcze sporo pracy. Niedaleko, zaraz za górką,

pięła się w górę smukła wieża kościoła w stylu gotyckim, na której zawieszony był ogromny dzwon.

– Będzie nas budził codziennie rano! – prychnęła wesoło.

Antek z kieliszkiem w ręku podszedł do niej i ją przytulił.

– Kocham cię, Alinko. Najbardziej na świecie – szepnął jej do ucha.

– A mnie? – Niespodziewanie przy jego nogawce spodni pojawiła się Julka, która nie bacząc na nic, domagała się uwagi.

– Jak możesz pytać? – Tata pochylił się nad dziewczynką i objął z całych sił. – Jesteś moim największym skarbem. Zapamiętaj to sobie!

Potem wszyscy udali się na obiad do najbliższej restauracji. Wspólnie zastanawiali się, jak zdobyć wymarzone meble i sprzęty. Antek pomyślał o Bolku, przecież miał tylu znajomych, w tym cwaniaczków, handlarzy i stójkowych. Będzie musiał z nim o tym pogadać.

Tydzień później zorganizowano przeprowadzkę. Rzeczy do przewiezienia było sporo, toteż Ostrowski poprosił o pomoc generała. Z człowiekiem tym łączyła go spora zażyłość, od dawna był częstym gościem w restauracji, gdzie nie tylko dzielił swoje upodobania do tłustej, staropolskiej kuchni, ale też wiele o tym rozprawiał, zakrapiając te dyskusje wysokoprocentowym napojem. Zwykle była to czysta wódka bądź brandy, wypijali po dwa kieliszki na jedną i drugą nogę, potem znowu, aż wreszcie zbierał się i lekko podchmielony wracał do domu. Podczas tych zażartych rozmów dotyczących przede wszystkim przyrządzania potraw narodziła się między Antkiem a generałem nie tylko zażyłość, ale nawet przyjaźń.

Miał na imię Zenek. Był barczystym, dobrze zbudowanym mężczyzną po pięćdziesiątce, z krągłymi policzkami, ogorzałą od wiatru cerą i sumiastym, zawadiackim wąsem. W restauracji pojawiał się zawsze w cywilnym ubraniu, najczęściej w swetrze w serek, liliowej koszuli i fioletowym kraciacie. W jego zwyczajnym wyglądzie trudno było odnaleźć człowieka pełnego zamiłowania do dyscypliny, organizacji, twardego i wymagającego.

Kiedys podarował Ostrowskiemu książkę kucharską. Był to niezwykle egzemplarz, niewielkiej objętości, dość małego formatu, oprawiony w płócienną, wyblakłą okładkę, z pożółkłymi, przygniecionymi kartkami pergaminu w środku. Pismo było ręczne, starannie kaligrafowane, choć momentami trudne do odczytania, datowane na koniec tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

– Prawdziwy unikat – stwierdził Antoni, przewracając z namaszczaniem kartki. – Nie mogę tego przyjąć, Zenek. To na pewno bardzo cenna rzecz.

– Bierz, nie gadaj! – zaprotestował generał, nie chcąc słyszeć o odmowie.

– Kopa jaj? – przeczytał zdumiony Ostrowski. – To recepta na danie dla całego oddziału wojska! – Zaśmiał się.

– To musiał pisać jakiś kuchmistrz pracujący w pałacu. Kiedy do dworu zjeżdżała się familia, załoga kuchni miała nie lada problem, aby wyżywić całą hałastrę.

– To były czasy! – Kucharz westchnął z rozrzewnieniem, wczytując się w kolejny przepis. – Dziękuję, to wspaniały podarunek. – I poklepał kumpla po ramieniu.

– Niech ci służy! – odparł wówczas Zenek i wrócili do poprzedniej rozmowy. Rzecz dotyczyła przyrządzania kiszki ziemniaczanej, którą generał swoją drogą uwielbiał.

Zdarzyło się kiedyś, że restauracja otrzymała cynk od zaprzyjaźnionego pracownika Sanepidu o planowanej kontroli. Pech chciał, że dzień wcześniej przeszło przez lokal tornado – coroczny bal dziennikarzy, na który zjechała się elita z telewizyjnego świata, jego kuchnia musiała nie tylko lśnić, ale stanąć na wysokości zadania, potrawy trzeba było odpowiednio przygotować i podać. Wszystko świeże, na czas, wymiana talerzy, serwetek, sztućców... Nie zmrużył oka całą noc, wydawał polecenia, dyrygował, sam tworzył niektóre dania, ale krótko nad ranem jego kilkudziesięcioosobowa załoga miała już dość. Kiedy lokal opuścił ostatni gość, okazało się, że nikt już na nic nie ma siły, a na pewno nie na sprzątanie.

– Dobra, pochowajcie do lodówek resztę jedzenia, żeby się nie zepsuło, przystawki zabierzcie do domu, ogarnijcie z grubsza i możecie iść. Zro-

bimy to w poniedziałek, tylko przyjdźcie trochę wcześniej, do południa i tak nic się nie zadzieje.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, szybko wykonali polecenia i się rozeszli. Został sam. Patrzył na zmięte, poplamione obrusy na stolikach, stojące nieskładnie krzesła, wiszące smętnie story, podarte wstążki na podłodze i popękane balony. W skisłym powietrzu mieszały się zapachy potraw, perfum, ludzkiego potu. Czuł się zmęczony, ale kolejny raz rozpierała go duma. Sprostą zadaniu, co wydawało się niemożliwe. Zbliżył się do akwarium, będącego niewątpliwą chlubą restauracji i zajmującego jedną, przeszkloną ścianę tuż przy wejściu. Widok pływających beztrosko rybek uspokajał go. Mógł na nie patrzeć godzinami, choć nigdy nie miał na to czasu, za to bardzo często robili to goście.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon, który wyrwał go z chwilowej zadumy. W pierwszej chwili pomyślał, że to Alinka. Pewnie martwi się o niego i zaraz zapyta, kiedy wróci. Szybko jednak przekonał się, że to zupełnie inna osoba.

– Dowiedziałem się niedawno, dlatego dzwonię. W poniedziałek rano ma być inspekcja. Masz niewiele czasu, aby się przygotować – poinformował go znajomy głos.

Załamał ręce. Wiedział, że z Państwową Inspekcją Sanitarną nie ma żartów, że jeśli się czegoś dopatrzą, mogą nawet zamknąć restaurację. Całą dokumentację miał w porządku, przynajmniej tak mu się wydawało, ślezczał nad nią niejedną noc, zapisywał całymi rubrykami wszystkie wydatki i dochody. Zwykle przez kalkę, bo oryginały musiały trafić do urzędu. Doświadczenie mu jednak podpowiadało, że jeżeli będą chcieli coś znaleźć, to znajdą. A teraz jeszcze ten bałagan. Pracownicy inspekcji pracy byli często nieprzejednani, nie dawali się niczym przekupić ani omamić słodkimi słówkami. Właśnie wtedy pojawił się generał. Akurat wtedy przechodził, wracał do domu po odbytej służbie, a że mieszkał niedaleko i zobaczył, że restauracja jeszcze otwarta, postanowił zajrzeć.

– Co się martwisz? Postawisz chłopakom skrzynkę wódki i sprawa będzie załatwiona.

– Jakim chłopakom? – zdumiał się.

Podszedł do baru i zdjął z półki butelkę czystej. Napełnił, zrezygnowany, dwa kieliszki.

Zenek wygładził wąsa i uśmiechnął się łobuzersko. Tym razem był w mundurze, Antek musiał przyznać, że ten strój budził dopiero respekt. Zielony, ze sznurem, na pagonach pyszniły się błyszczące gwiazdki.

– No moi chłopcy z koszarów. Jeden telefon i zaraz tu będą.

– Mówisz poważnie? – zdumiał się Antoni. – Możesz to zrobić?

Tamten się zaśmiał.

– Jeśli ja nie mogę, to kto?

– Stary, uratowałbyś mi życie – wydukał z niedowierzaniem.

Generał wychylił kieliszek wódki i otarł usta wierzchem dłoni. Plasnął w kolano.

– Czego się nie robi dla przyjaciół – oznajmił wesoło.

Godzinę później liczący sobie niemal trzydziestu mężczyzn oddział szeregowych żołnierzy włączył się do akcji opisanej w dokumentacji jako oczyszczanie terenu przed nieprzyjacielem. W ciągu kolejnego czasu w ruch poszły ścierki, miotły, drapaki, szczoteczki do zębów. Zamieszaniu towarzyszyły śmiechy, okrzyki, postukiwania, głośnie szuranie. Wkrótce cała restauracja wraz z kuchnią łśniły jak jeszcze nigdy dotąd. Oni siedzieli przy barze, popijając wódeczkę, zagryzając pozostałymi po przyjęciu zakąskami, czasem Antek wydał jakieś polecenie i wskazał kolejny niemyty od tygodni kąt, lodówkę lub chłodnię. Potem znów wracali do serdecznej rozmowy o ulubionych potrawach.

– Przyjdź we wtorek, przygotuję ci coś ekstra! – zaproponował Ostrowski koledze. – Mam nadzieję, że będzie już po wszystkim.

– Ja też, wypijmy za to! – Znów się stuknęli i wymienili uśmiechy.

Za taką przysługę obiecana skrzynka wódki wydawała się nic nieznaczącym drobiazgiem, jednak generał nie chciał nic więcej. Już po wszystkim kazał swoim chłopakom uformować zgrabną kolumnę, zabrali ochoczo

obiecana zapłatę, potem pojedynczo wskoczyli na kipę i odjechali ze śmiechem na ustach zadaszoną plandeką ciężarówką.

Antek miał już dobrze w czubie, ale czuł się szczęśliwy. Jak tylko dotrze do domu, to padnie na łóżko i pójdzie spać. Miał nadzieję, że Alinka nie będzie miała pretensji o to opóźnienie, choć telefonował do niej kilka razy i zdawał relację z tego, co się wydarzyło.

To samo okazało się z przeprowadzką. Wystarczyło, że wspomniał o tym Zenkowi, ten już zaproponował pomoc. Znowu przyjechała grupa chłopaków, która w mig uporała się z meblami, sprzętem, torbami czy porcelanową zastawą.

W bloku zaroilo się od mundurów, waliły o beton grube podeszwy żołnierskich butów, sąsiedzi wylegli na klatkę, szeptali coś jeden do drugiego, kiwali głowami skonfundowani.

Wołał nie myśleć, co im teraz chodziło po głowach, najważniejsze, że wszystko poszło sprawnie i już dwa dni później spali w nowym domu przy Puszczy Solskiej, gdzie na nowo rozkwitło szczęśliwe i dostatnie życie.

Rozdział 29

Małgosia kończyła sześć lat, kiedy Weronika postanowiła wreszcie zakończyć długi czas bycia zaręczoną i wyjść za mąż. Jej wybrankiem był Zbyszek – niezwykle ciepły, szarmancki kierownik zmiany w zakładach gumowniczych Stomil. Wysoki, trochę kościsty, z przyjemną twarzą, ujmującym uśmiechem i parą ładnych, zielonych oczu. Poznała go na przyjęciu urodzinowym u koleżanki, tańczyli ze sobą przy przebojach Anny Jantar i Zdzisławy Sośnickiej cały wieczór, a nad ranem odprowadził ją do domu. Od tej pory często u nich bywał, a co najważniejsze – Małgosia go polubiła. Po dwóch latach oświadczył się, a ona się zgodziła. Wspólnie z mamą i Felkiem urządzili skromne przyjęcie, na które zaprosili brata z rodziną, ojca z jego drugą żoną oraz rodziców narzeczonego. Wszystko odbyło się poprawnie, był obiad, uroczysta przemowa, oświadczyny, kwiaty i pierścionek. Objęła wtedy kędzierzawą głowę klęczącego u jej stóp Zbyszka i powiedziała czule: „tak”. Zaczynało się układać, on coraz odważniej snuł plany na temat ich wspólnego pożycia, ona mu przytakiwała. Postanowili zamieszkać na Lipowej, musiała przyznać sama przed sobą, że już nie mogła się doczekać tej chwili. Wspólne mieszkanie z matką i Felkiem miało swoje zalety, ale też i wady. Brakowało jej prywatności, własnej przestrzeni, dlatego też rychło zaczęli ustalać datę ślubu i wesela.

Tymczasem Weronika odnosiła coraz większe sukcesy w Telimenie. Ten łódzki Dom Mody, który powstał w pięćdziesiątym siódmym roku, bardzo szybko zdobył ogromną popularność. Od początku kojarzył się też z elegancją, szykiem i luksusem, zasłynął również z tego, że szył ubrania dla najważniejszych Polek, w tym Stanisławy Gierek i Wisławy Szymborskiej.

Pokazy mody, w których brały udział nie tylko znane modelki, ale także aktualne i były miss, stawały się więc nie lada wydarzeniem. Sama nazwa budziła w tamtym czasie spore kontrowersje, ponieważ władze początkowo nie chciały się zgodzić, aby patronką łódzkiego salonu została frywolna bohaterka *Pana Tadeusza*. Trzeba było stoczyć nie lada boje, ale się opłaciło, bo góra ustąpiła, a nazwa przyniosła temu miejscu ogromną sławę.

Najnowszy pokaz miał się odbyć poniekąd z udziałem Weroniki. Jej projekt został wybrany do kolekcji, niestety – na tym się skończyło. Mimo że pominięto jej nazwisko w finałowej części, był to dla młodej projektantki olbrzymi sukces i wyróżnienie. I coś jeszcze – mogła wreszcie zaprosić tutaj swoich rodziców, dzięki czemu miała nadzieję, że wreszcie ujrzą w niej to wszystko, co dotąd dostrzegali tylko w Antku. Nie dość, że matka miała na punkcie syna bzika, ojciec chwalił się osiągnięciami pierworodnego, na prawo i lewo powtarzając, że to jego krew, to nawet Bajeczka nie kryła słabości do tego przystojnego chłopaka, któremu wszystko w życiu wychodziło.

Stefania z Felkiem zajmowali miejsca w pierwszym rzędzie z lewej strony, za to Tadeusz ze swoją Bajeczką – z drugiej. Po ostatniej ostrej wymianie zdań kobiety ignorowały się, a obopólna niechęć malowała im twarze za każdym razem, kiedy przypadkowo na siebie wpadały. Jedyne mężczyźni zachowywali pozornie poprawne relacje, częstowali się nawzajem papierosem czy wymieniali krótkie uwagi. Atmosfera największego domu mody w Łodzi gęstniała z każdą chwilą, wśród przybyłych można było rozpoznać znajome twarze z gazet, a także najbardziej wzięte projektantki odzieży. Wśród nich również ich córka, która w tej chwili biegła gdzieś na zapleczu, przygotowując modelkę do kolejnego wyjścia.

Dziewczyny wychodziły jedna po drugiej, prezentując zgrabne kostiumy, płaszczyki o wyszukanej linii, a także robiące ogromne wrażenie suknie balowe.

Na koniec odbył się poczęstunek. Kelnerki w minispódniczkach roznosiły apetyczne przekąski i kieliszki z szampanem. Twórczyni pokazu – Stella Brocka – stojąc z boku w eleganckim stroju, przyjmowała gratulacje,

a obok niej kręciło się mnóstwo osób odpowiedzialnych za to wydarzenie. Między nimi również pojawiła się Weronika.

– Jesteś, nareszcie! – zawołał Zbyszek, który wcześniej siedział w piątym rzędzie i z całych sił kibicował przyszej żonie. – Jestem z ciebie dumny! – Dopadł do ukochanej z bukietem goździków. Niewiele myśląc, oderwał ją od ziemi, na co ona zareagowała gwałtownie.

– Oszalałeś?

– Tak, ze szczęścia, jestem z ciebie dumny! – powtórzył, nie zwracając uwagi na jej nieco obcesowe zachowanie.

– Ja też, córeczko. – Stefania przedarła się przez niewielki tłumek i podeszła bliżej. Złożyła na jej policzku pocałunek i podała małe pakuneczki owinięte czerwoną wstążką.

– Co to? – Dziewczyna uniosła brwi, spoglądając na rodzicielkę z niemałym zdumieniem.

– Sama zobacz – odparła matka. Wyglądała na wzruszoną, zupełnie jakby ten moment miał być czymś wyjątkowym.

Weronika rozwiązała kokardkę i rozwinęła papier. W środku tkwił niewielki kwadrat bordowego aksamitu złożony w kopertę, który teraz delikatnie rozłożyła. Przez jej palce prześlizgnęły się kuleczki kremowych pereł. Błysnęły żywo swoim dawnym, nigdy niestraconym blaskiem.

– Ależ mamoo... – Wargi młodej Ostrowskiej zadrżały. – To przecież...

– Tak, to rodowa pamiątka, przechodzi z pokolenie na pokolenie od wielu lat. Od dziś są twoje. Zaopiekuj się nimi najlepiej, jak potrafisz! Noś je twoja prababka, babka, potem ja. Nieraz uratowały nam życie. A teraz należą do ciebie. Noś je z dumą.

Oczy dziewczyny zaszkliły się, zakryła twarz rękoma, w których tkwił sznur przepięknych pereł.

Stefania objęła ją, przytuliła mocno do siebie.

– Kocham cię, córeczko, jestem z ciebie taka dumna! – jęknęła wzruszona.

Narzeczonego przyglądał się tej scenie ze ściśniętym gardłem, Feliks też. Tylko Bajeczka, która podeszła w tej chwili, prychnęła i wzruszyła ramionami. Towarzyszący jej Tadeusz nie reagował na jej zachowanie. Przyglądał się uważnie Stefanii i Weronice, stwierdzając jednocześnie, że jest szczęściarzem, mogąc mimo wszystko uczestniczyć w ich życiu.

Rozdział 30

Znowu piłeś! – warknęła Alina, odpychając męża, kiedy po powrocie do domu próbował jej wsunąć palce pod bluzkę. – Nie ma dnia, abyś nie wracał zawiany, zacznam mieć tego dość!

– Skarbie ty mój! – podjął na swoje usprawiedliwienie. – Zobacz, co ci przyniosłem. Aby zdobyć płytę z autografem, musiałem się nieźle natrudzić!

– Też mi coś! – fuknęła, odwracając się do niego plecami. Kątem oka uchwyciła zapakowany w tekturowe opakowanie winyl, na którym widniała podobizna Violetty Villas. Marzyła o niej od dawna.

Objął ją ostrożnie, zmusił, aby spojrzała mu w twarz.

– Wszystko dla ciebie. Była dziś u nas, osobiście złożyła podpis.

– I piłeś z nią? – spytała z niedowierzaniem.

– Z nią nie – bąknął. – Była z jakimiś ważniakami. Ale przyszedł generał. Nie mogłem mu odmówić. Tyle dla nas przecież zrobił...

Zaczynała mięknać. Przekonał ją kolejny raz. To prawda, że pan Zenek był dla niej bardzo miły i wiele dla nich zrobił. W dodatku korciło ją, aby wyrwać mu z ręki tę płytę. Sąsiadka Wioletta, imienniczka gwiazdy, była jej wierną fanką. Zrezygnowała jednak z tego zamiaru, nie chciała tak szybko okazać mu swojej słabości.

Stali w słabo doświetlonym korytarzu, było już bardzo późno. Dziewczynki zdążyły dawno zasnąć. Czekala na niego cały wieczór, chciała spokojnie porozmawiać, omówić wyjazd do Łodzi, szkołę Julki, zwrócić mu

uwagę na wścibskiego sąsiada. Było jeszcze tyle innych rzeczy, a mimo łączących ich wspólnych spraw tak mało mieli dla siebie czasu.

Podsunał jej płytę pod nos.

– *Dla ciebie, miły...* – przeczytał na głos. – Tej jeszcze nie masz.

– Tej nie – ucięła bez przekonania. Czowała się pogubiona. Z jednej strony restauracja przynosiła coraz większe zyski, z drugiej – brakowało jej normalnego życia z ukochanym mężczyzną. Nie chciała też uchodzić za chimerkę, bo przecież miała wszystko, co było niezbędne do szczęścia. Mieszkanie już prawie urządzili, stali się posiadaczami ogromnego łóża, toaletki, dwóch szafek nocnych, w kuchni stał wymarzony stół, ściany udekorowane zostały ulubionym fajansem z Włocławka, w dużym pokoju segment, dywan, telewizor. Jej stroje nie miały równych, mogła sobie pozwolić na zakupy w drogich domach mody czy peweksie. A jednak coraz częściej pogrążała się w poczuciu zagrożenia.

– Kto cię przywiózł? Mam nadzieję, że nie prowadziłeś po pijanemu? – spytała, chcąc się upewnić, czy aby na pewno nie dopuszcza się takiej nieodpowiedzialności. – Wiesz, ten sąsiad z boku jest taki dziwny. Mam wrażenie, że cały czas nas obserwuje. Trzeba na niego uważać.

– Przesadzasz! – mruknął i wyminąwszy ją, skierował kroki do łazienki. Po kilku minutach wyszedł z niej odświeżony, przebrany w bawełnianą piżamę w pionowe prążki. – To normalny facet, choć pracuje w milicji – rzucił przez ramię, zanurzając się w fotelu.

– Nie byłabym tego taka pewna! – syknęła przez zęby. – Nie widziałeś, jak dziś na mnie patrzył, kiedy wybierałam się z dziewczynkami na spacer.

– Jesteś piękna! Co w tym dziwnego? Każdy normalny facet się za tobą ogląda!

– Ale nie tak! – zaprotestowała gwałtownie. – Miałam wrażenie, jakby mnie chciał przeświecić na wylot. Pozdrowiłam go, uśmiechnęłam się nawet, a Julka zauważyła, że ma ładne guziki w mundurze.

Skrzywił się tylko, mruknął coś pod nosem i pomknął z aktówką pod pachą w dół schodów.

– No dobrze, porozmawiam z nim. Pójdę w niedzielę i postaram się przełamać lody. Nie martw się, kochanie, wszystko będzie dobrze.

Podeszła i usiadła na oparciu fotela. Czarne, rozpuszczone włosy falowały wokół jej twarzy, z której nadal nie schodziło napięcie.

– Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć? – Widział, że jej myśli nadal gdzieś krążą. Położył rękę na jej zgrabnym, odsłoniętym kolanie. Przesunął wyżej, na co ona zareagowała mocnym szturchnięciem.

– Dzwoniła ciocia Bożena. Marcelina wychodzi za mąż. Znalazła sobie we wsi chłopaka. – Westchnęła głośno. – Chce, żebym do nich przyjechała z dziewczynkami i trochę jej pomogła w przygotowaniach do wesela. Co ty na to?

– To cię tak martwi? – spytał zdziwiony. – Jeśli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko. Wiś dobrze wam wszystkim zrobi – podsumował z ulgą, bo obawiał się czegoś poważniejszego. – Na długo?

– Jakieś dwa tygodnie...

Sarknął głośno.

– Jakoś wytrzymam!

Pacnęła go w ramię.

– I o to mi właśnie chodzi! – burknęła.

– Ależ skarbie! – zaprotestował. – Co do mnie, nie musisz się martwić. Dam sobie radę!

– Nie to mam na myśli.

– A co w takim razie?

Chwyciła jego pokryty kilkudniowym zarostem podbródek i przyciągnęła bliżej siebie.

– Naprawdę nie wiesz? – wycodziła. – Widziałam, jak się koło ciebie kręcą te wszystkie pozał się Boże kelnereczki, jak strzelają oczami i wodzą za tobą wzrokiem. Myślisz, że jestem ślepa?

– Ależ o czym tym mówisz? – Niemal nie zerwał się z fotela. – Jesteś tylko ty! Poza tym nie mam czasu na takie głupoty. O co ty mnie posądzasz?

– Wódka i kobiety wokół to nie jest dobre połączenie – skwitowała kwaśno. – Ktoś mi to kiedyś powiedział.

– Musiałbym być ostatnim idiotą! – warknął. – Mając taką kobietę przy sobie.

Podniosła się i przemierzyła pokój.

– Wyjeżdżamy za dwa dni. Zawieziesz nas?

Spojrzał na nią jakoś dziwnie podejrzliwie. Nigdy się tak nie zachowywała.

– Przecież wiesz, że tak. Co za pytanie?

Westchnęła ciężko.

– Położę się, jest już bardzo późno. A ty?

– Zaraz do ciebie przyjdę. Napiję się jeszcze herbaty.

Nie powiedziała nic więcej, tylko cicho przymknęła drzwi. Przeszła na palcach obok pokoju dzieci i udała się do sypialni.

Tymczasem Antoni kolejny raz odetchnął z ulgą. Wziął do ręki gazetę i przeniósł się do kuchni.

Tydzień później wylądował z Ryśkiem w Niedźwiedziu – nieco spelunkowatym miejscu, gdzie zbierali się lokalsi z północnej Pragi. Jakies dwa lata temu jego kolega otrzymał wreszcie swój upragniony przydział, ulokował się w nim wraz z narzeczoną Edytką, która już wówczas była w piątym miesiącu ciąży. Dwupokojowe mieszkanie znajdowało się na osiedlu bloków wzniesionych dla pracowników zakładów FSO na Żeraniu, który niemal graniczył z tym obszarem, dając swoim ludziom możliwość szybkiego przemieszczania się do pracy. Rychu w ostatnim czasie awansował na głównego kontrolera swojego działu, pierworodny chował się znakomicie, żona spodziewała się kolejnego dziecka, dlatego powodów do zadowolenia mu nie brakowało.

– I jakoś nam się poukladało, stary! – mruknął kolega, stukając go ciężkim kuflem z upitym do połowy piwem. – Wiesz... lubię to miejsce, choć

moglibyśmy obracać się w nieco elegantszym otoczeniu. A ty?

– Ja też – bąknął Antoni, rozglądając się dookoła. – Kojarzy mi się z naszym kawalerskim czasem.

Na kwadratowym stoliku przykrytym ceratą stały talerze ze śledziem w oleju, kilkoma plasterkami kielbasy i kromkami bułki paryskiej. Gwarno tu było jak zawsze o tej porze, dźwięczało szkło, głosy nie ustawały, przerywane od czasu do czasu wybuchami gromkiego śmiechu. Przy barze stała pulchna pani Jadzia ubrana w czepek zdobiący jej zgrabną główkę i biały fartuszek opinający ponętne ciało. Wprawnie nalewała piwo, uważając, aby piana zgęstniała równo na dwa palce, nie dbając o to, że strugi jej lały się na kratkę ściekową poniżej nalewaka. Nie brakowało jej wielbicieli, którzy przychodzili tu tylko dla niej, zagadywali, opowiadali sprośne kawały, a ona, zaczerwieniona, śmiała się szeroko, ukazując zalotną przerwę między jedynekami. Dym z papierosa gryzł się z zapachami jadła, które młode kelnerki wносиły z kuchni na tacach, warzonego piwa i męskiego potu. Sielsko tu było mimo ponurego wnętrza, pożółkłych ścian, niepranych tygodniami zasłonek, a także śmierdzącej uryną toalety.

– Grzechem by było narzekać – odparł Antek, przeciągając sylaby, zagryzając piwo kawałkiem kielbasy. – Szkoda tylko, że tak wiele pokus czyha wokół nas, co nie, Rychu?

– Ach, te baby! – sarknął ze zrozumieniem, wycierając usta wierzchem dłoni. – Same się człowiekowi pchają do łóżka, a potem jeszcze mają pretensje.

Zamyślił się na chwilę i chlapanął lubieżnie.

– Ale ta twoja Alinka to prima sort! Im starsza, tym ładniejsza. – Mlasnął i oblizał wargi, nie zważając na oburzenie kolegi.

– Wiesz, że każdemu, kto się do niej zbliży, utnę jaja?

– Wiem, wiem! – odparł tamten z pełną powagą, dlatego nawet nie próbuję. Żony kolegów są nie do ruszenia! Znam zasady, stary! Bez urazy.

– No, masz szczęście... – mruknął Antoni, uśmiechając się nieznacznie. Znał już Rycha tyle lat i wiedział, że w tych kwestiach może mu ufać. –

Cztery dni temu wywiozłem je na wieś pod Poznań – zwierzył się. – Alinka marudziła ostatnio, że za dużo piję. Może i dobrze się stało. Taki to ze mnie teraz słomiany wdowiec! – sarknął.

– Mam nadzieję, że nie szukasz szczęścia – stwierdził raczej, niż zapytał kolega. – Wiesz, że o kłopoty nietrudno...

– Wiem, wiem – przytaknął rażno. – Choć mam wrażenie, że one wszystkie wyczuwają, że jestem sam. Jak one to robią?

Rysiek dopił piwo i skinął na kelnerkę, która akurat sprzątała sąsiedni stolik.

– Jeszcze dwa! – rzucił, kiedy przemykała obok z brudnymi naczyniami. A potem zaraz dodał wesoło: – Ja tam na swoją znalazłem sposób. Jak zaczęła wymyślać głupoty, robić mi sceny zazdrości, zmajstrowałem jej drugiego dzieciaka. Teraz narzeka na nudności, biega do lekarzy, więc mam trochę spokoju.

– Cwaniak! – mruknął.

– Jak zostałem głównym kontrolerem, te wszystkie baby zaczęły mnie wręcz osaczać. Uśmiechają się to z jednej strony, to z drugiej, wdzięczą, mrugają, oblizują wargi, aż trudno czasem nad tym wszystkim zapanować.

– Oj, Rychu, Rychu... – Ostrowski się zaśmiał. – Jak my się dobrze rozumiemy.

Młoda, mocno umalowana kelnerka z blond włosami związanymi w kok przyniosła dwa potężne kufle i z hukiem postawiła przed nimi, rozbryzgując wokół pianę, zaraz potem zabrała puste szkło i ulotniła się gdzieś w gęstych oparach baru.

– Nawet ostatnio... – zaczął Antek, sięgając po kawałek bułki. – Siedzę w robocie, ślęczę nad papierami w swoim biurze. Restauracja zamknięta, wszyscy już sobie poszli...

– No, i ... – niecierpliwiał się Rychu. Przełknął urwany kęs pieczywa i spojrział na kolegę jakiś rozanielony.

– Przyjąłem nie tak dawno do kelnerowania Dankę. Taką śliczną, świeżutką jak malina dziewczuszkę. Blondyneczka, filigranowa, cera jak alaba-

ster... Ach! – jęknął przeciągle. – Przyjechała do stolicy ze wsi pod Włocławkiem karierę zrobić, męża znaleźć. Siedzę nad dokumentacją, mam już trochę w czubie po całym dniu, pali się tylko lampka i nagle słyszę stuknięcie i czyjeś kroki. Odwracam się, a w drzwiach stoi ona. W samym fartuszku, butach na koturnach, z rozpuszczonymi włosami... „Jaka ona śliczna, ech!”, myślę sobie. – Antoni pochylił głowę i potarł czoło, na którym błyszczały drobne kropelki potu. – Uwierz mi, stary! Nie chciałem tego!

Tamten pokiwał głową ze zrozumieniem, upił łyk piwa, które zostawiło na jego wardze biały osad.

– Podchodzi do biurka, odsuwa papiery, siada przede mną i rozpina fartuszek...

– I???

– A pod nim nic, zupełnie nic, tylko to jej ciało takie różowe, gładkie, z małymi sterczącymi piersiami i... Czuję, jak krew mi gęstnieje, jak robi się gorąco i tak słodko. – Urwał, oblizując wargi. – A tymczasem ona rozchyła te swoje cholernie zgrabne nogi... a tam... w gęstwinie blond skręconych włosków czeka z utęsknieniem jaskinia rozkoszy. Co byś, do diabła, zrobił na moim miejscu? – jęknął teatralnie.

– Pewnie to samo – przytaknął kolega, nie kryjąc ubolewania. – Miałem kiedyś całkiem podobną sytuację.

Antek oparł się na łokciach, chwycił oburącz zmęczoną twarz.

– Dlaczego one to robią, dlaczego? Wszystko chcą zniszczyć, nawet to, co związane boskim sakramentem.

– Hej, chłopie! – zadrwił tym razem Rychu. – Nie dramatyzuj! Źle ci było w tej jaskini?

Ostrowski chwycił kufel z piwem i zaczerpnął chciwie kilka potężnych guli. Następnie odstawił go z głuchym tąpnięciem.

– Dobrze, bardzo dobrze... – przyznał z westchnieniem. – Tylko to nie w porządku. Wobec Alinki, wobec moich córek... Czuję się jak ostatni drań. W dodatku ona chce jeszcze, ona chce więcej! Nie mogę się z nią gzić w robocie. Nie chcę, aby ktoś nas nakrył.

Gil ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Żona nie może się dowiedzieć, to prawda. Ja jej nie powiem, ty też nie. Ale uważaj na innych, nie ufaj nikomu – ostrzegł solidarnie.

– Wiem, stary, wiem... Wszyscy tam już czekają, aż mi się noga wreszcie powinie. Taki już jest ten dziwny świat.

– Mam tu niedaleko taką metę – odezwał się po chwili konspiracyjnym tonem Rysiek. – Mojego wujka oddelegowano do Jugosławii. Dał mi klucze do swojego mieszkania, prosił, aby od czasu do czasu podlać kwiaty i nakarmić kanarki. – Uśmiechnął się łobuzersko – Wujek tak szybko nie wróci, a chata stoi pusta, niewykorzystana. – Mrugnął do niego znad krawędzi kufla.

– Ty serio? – mruknął Antek, kiwając głową z niedowierzaniem. – Proponujesz mi garsonierę?

– A czemu nie? – Roześmiał się tamten przekornie. – Chcesz mieć pewność i pełną dyskrecję?

Ostrowski bąknął tylko, wypite duże ilości barowego trunku strąciły jego głowę z łokcia i zarzuciły nad blatem stolika.

– Oj, Rychu, Rychu... – zdążył wymamrotać, a potem wyszczerzył się z zadowoleniem.

Rozdział 31

Jak tu pięknie, jak cicho i spokojnie! – Alina westchnęła, rozpościerając szeroko ramiona. – Jaka szkoda, że Antek musi siedzieć w Warszawie. Świeże powietrze dobrze by mu zrobiło, nawet nie ma kiedy wypocząć. Wciąż tylko praca i praca.

– Biedak... – zawtórowała ciocia Bożena, siedząca na ławce pod domem ze świeżo sparzoną kurą na kolanach. Kurak z obciętą głową był już do połowy pozbawiony piór, które z łatwością odchodziły od skóry i lądowały w metalowym wiadrze.

Ostrowska stała na środku świeżo wymiecionego podwórza, otoczonego z dwóch stron płotem z drewnianych sztachet, na którym zadzierzgnięte były gdzieśgdzie wyszczerbione gliniane dzbanki i donice. Rosła pod nim gromadka dorodnych malw, obsypanych czerwonymi i różowymi dzwonkami kwiatów, gdzieśgdzie też piął się po zarośniętych mchem szczeblach groszek, delikatnie rozchyłał liliowe główki, kiedy przez zaciągnięte chmurami niebo przebijały się słabe promienie słońca. Na ledwie zazielenionym trawą skrawku ziemi dreptało stadko kaczek. Alina posypała im w koryto garść pszenicy, zwracając jednocześnie uwagę na bawiące się nieopodal dziewczynki usiłujące dosiąść Barego, który wyrwał się co chwila, bo tym razem wolał towarzystwo kundla spod budy. Tosia niedawno zaczęła stawiać pierwsze kroki, nie skończyła jeszcze roku, ale już była bardzo bystra i silna.

Tymczasem na schodach przed gankiem ukazała się postać Marceliny ubranej w suknię ślubną. Właśnie odebrała ją od krawcowej i postanowiła zaprezentować się przed matką i kuzynką z Warszawy.

Ciocia Bożena podniosła głowę i omiotła dziewczynę pełnym zachwytem wzrokiem.

– A nie za ciasna w pasie? – dodała z przekorą. – Jak się najesz, nie będziesz mogła oddychać.

– To najwyżej nie będę jadła! – odcięła się córka.

– Ciociu, wyglądasz jak prawdziwa księżniczka! – zawołała Julka, która natychmiast porzuciła zabawę i przybiegła przejęta i oszołomiona. – Też bym chciała taką mieć!

– Przepiękna! – wyraziła swój zachwyt Alina, zatrzymując się z Tośką na rękach na wprost schodów. – Wspaniale na tobie leży. Jesteś taka zgrabna.

– Dziękuję! Kochana moja! – odparła tamta, uśmiechając się z wdzięcznością.

Marcelina wszak wyrosła na dorodną, wysoką pannicę, ze szczególnie uwydatnionym biustem, szerokimi biodrami i wąskim odcięciem w pasie. Nogi też miała długie, łydki umięśnione od pracy w polu i spacerów po łąkach, za to twarz pociągłą, wyrazistą, z parą wielkich brązowych oczu.

Jej narzeczony, na szczęście słusznego wzrostu, co najmniej o głowę wyższy, w ubiegłym roku ukończył mechanikę pojazdową, interesowały go maszyny rolnicze, które miał zamiar w przyszłości wdrożyć w gospodarstwo. Nie było wątpliwości co do tego, że dziesięć hektarów uprawianych przez schorowanych rodziców przejmie ich pierworodny syn. Oborę mieli murowaną, stodołę jak się patrzy, zagospodarowaną chlewnię, obejście zadbane i solidny, parterowy dom z łupka przykryty eternitem. Wszystko wskazywało na to, że dziewczyna dobrze wybrała i wchodzi w porządną, dość zamożną rodzinę. W przeciwieństwie do niej – brat nie kwapił się do żeniaczki, nad czym jego matka szczerze ubolewała. Marzył jej się godny następca, pomocnik do roli i co dużo mówić – wnuki. Tymczasem z Maciejem były same problemy, włóczył się po zabawach z kolegami, spijał wino patykami pisane pod remizą albo zadawał się z dziewczynami najmniej odpowiednimi. Aż wreszcie, ku jego rozpaczy – zgarnęli go do wojska. Wuj stwierdził, że dobrze mu zrobi dyscyplina i że póki w tyłek wody mu się nie naleje, życia się nie nauczy. Na wesele miał dostać przepustkę, oczywiście

pod warunkiem, że nie podpadnie dowództwu, co było wielce prawdopodobne.

– Moim zdaniem leży idealnie – podsumowała Alinka, łapiąc za brzeg falbaniastej spódnicy. – I długość jak należy. Nie będzie jej się dół włóczyć po brudnej, zakurzonej podłodze.

– Też tak uważam. Pójdę się przebrać, zaraz może wpaść Paweł, a nie chcę, żeby mnie zobaczył przed ślubem. To podobno przynosi pecha.

– No cóż... – Ciotka Bożena z westchnieniem odłożyła na ławkę oskubanego kuraka. – Suknia gotowa, sala i kucharki zamówione, kałduny oczyszczone, kiełbasy się wędzą... – zaczęła wyliczać, jakby chciała się kolejny raz utwierdzić w tym, że o niczym nie zapomniała. – Mam nadzieję, że chociaż ona będzie szczęśliwa...

– Będzie, będzie! – przyznała siostrzenica, stawiając córeczkę na lekko zazielenionym terenie.

Mała zrobiła kilka zgrabnych kroków, po czym przewróciła się i zaryła noskiem w rozpulchnionej ziemi. Zaczęła płakać.

Alina chwyciła ją, postawiła na nogi i otrzepała. Potem przytuliła szlochającą córeczkę.

– Jeszcze nieraz się przewróci, zanim zacznie chodzić – podsumowała spokojnie starsza kobieta. – Takie jest życie.

– A ty, ciociu, masz sukienkę? Jako mama panny młodej musisz się prezentować szczególnie.

Bożena w odpowiedzi machnęła lekceważąco ręką.

– A coś tam w szafie mam, jeszcze z dawnych lat. Nie przybrałam wiele, może jeszcze się zmieszczę.

– Ej, ciociu! Nie mów tak nawet! W poniedziałek pojedziemy do miasta i coś kupimy! Nie możesz wyglądać gorzej niż przyszła teściówka Marceliny. Słyszałam, że w gminie się udziela, w kole gospodyń wiejskich, a nawet w kościele. A ty co, gorsza jesteś? Dzieci uczyłaś języka polskiego, powinnaś być z siebie dumna.

– Kiedy to było, dziecko? – Skrzywiła twarz w bolesnym grymasie. – Kto dziś o tym pamięta?

– Wszyscy, których uczyłaś – odparła Alina, podnosząc się z kucek. – W poniedziałek jedziemy, postanowione.

– No dobrze – zgodziła się ciotka z ledwie widocznym uśmiechem w kąciku ust.

W tym samym momencie Bary oderwał się od budy i jak strzała pomknął ku bramie. Jego radosny szczek był zwiastunem nadejścia kogoś zaprzyjaźnionego z rodziną. Jednocześnie do uszu kobiet dobiegł warkot silnika, zaciekawione, podniosły się i ruszyły w stronę otwartych na oścież wrót.

We wjeździe mruczał na wolnych obrotach samochód, którego błękitny lakier przedniej klapy lśnił w ostatnich, dość mocnych promieniach. Jego wielkie, prostokątne reflektory odbijały się srebrnymi refleksami, niemal raziły. Alina przytknęła jedną rękę do czoła. Chciała w ten sposób zasłonić się przed mocną czerwienią kuli słońca, chowającego się za ścianą lasu. Tymczasem silnik zgasł, drzwi uchyliły się, a ze środka wyskoczył z bukietem róż Antoni. W jasnych spodniach, seledynowej koszuli, przeciwsłonecznych okularach, które automatycznie odsunął na czubek głowy.

Kobieta zadrżała na ten widok, fala przyjemnych dreszczy przejęła ją od stóp do głów, Julka rzuciła się w jego stronę, wydając z siebie radosny, pełen ogromnych emocji okrzyk.

– Tatuś, tatuś przyjechał!

– Jestem, mój kwiatuszku! – Kucnął, chwycił małą i trzymając mocno w ramionach, zbliżył się do żony.

– Miałeś być dopiero we wtorek....

– Chciałem ci zrobić niespodziankę, mam nadzieję, że mi się udało.

– Owszem – mruknęła, pozwalając się czule objąć i pocałować. Po trwającej kilka minut ceremonii powitalnej ośmieliła się zapytać: – A ten samochód to czyj?

– Jak to czyj? Nasz!

– Nasz? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Ale jak to? Skąd? Przecież on musiał kosztować majątek!

– Noo... – przytaknęła rzeczowo mąż cioci Bożeny, który dołączył do nich chwilę wcześniej, podszedł do wozu, a następnie przejechał z uznaniem ręką po lśniącym błotniku. – Takim to jeździł sam sekretarz partii, kiedy przyjechał na obchody pierwszego maja! – oznajmił z podziwem, zaglądając do środka. – Mercedes pierwsza klasa! – Cmokał, przewracał oczami, pieścił wzrokiem imitujące drewno wykończenie i skórzaną kremową tapicerkę.

– Trafiła mi się okazja – tłumaczył Antek, wyciągając z kieszeni papierosa i częstując nim wujka. – Mam takiego znajomego cinkciarza... Zadzwoń, że potrzebuje kupca na gwałt. A to staruszek już jest, ma z dziesięć lat. – Ostrowski zaciągał się krótkimi wdechami.

– Ładny mi staruszek, wygląda jakby wyszedł spod igły – stwierdził wujek, strzepując popiół i uważając, aby żaden pyłek nie wpadł do wnętrza samochodu.

Antek zmiażdżył pod eleganckim butem papierosa i otworzył szerzej drzwi pasażera.

– Przejedziemy się?

– Chętnie! – odparł gospodarz i wsunął się do pachnącego wanilią wnętrza. Pomyślał, jak to dobrze, że zdążył się umyć i przebrać po wydojeniu krów w oborze.

Alina z Marceliną i ciotką przygotowywały kolację, zerkając co chwila za okno.

– Trafił ci się zaradny ten mąż – skwitowała kuzynka, nie kryjąc uznania.

– I przystojny skubany jak żaden! – zawtórowała Bożenka, wyciągając z garnka równiutko osznurowany, sparzony boczek. Na szczęście zdążył ją wystygnać, dlatego położyła go na sękatej desce i zaczęła go dzielić w grube paski.

– Mamo, cieniej trochę, kroisz jak chłopu do kosy!

– A to się miastowa znalazła! – zakpiła ciotka lekko rozbawiona. – Niedługo zostaniesz gospodynią, to będziesz robić co będziesz chciała!

Marcelka fuknęła tylko i wzięła się do szatkowania pomidorów i cebuli. Ciotka zerknęła na nią i sarknęła pod nosem z zadowoleniem.

Alina siedziała na kozetce i karmiła dziewczynki. Zdążyła im ugotować kaszę manną, którą poliała stopionym masłem zmieszonym z cynamonem i cukrem. Uśmiechała się przy tym, słuchając przekomarzania kobiet. Wiedziała, że za tym wszystkim stoją ogromne uczucie i przywiązanie. Skrycie marzyła już tylko o tym, aby położyć dziewczynki spać i zostać sam na sam z mężem. Mieli sobie tyle do powiedzenia, stęskniła się za nim tak bardzo. Targały nią na przemian tęsknota i podniecenie, chciała wtulić się w jego silne ramiona i kochać się z nim tak mocno, jak jeszcze nigdy dotąd.

Zygmunt Woliński obszedł samochód dookoła, otworzył klapę bagażnika, zajrzał do środka, po czym zaszedł auto od przodu i podniósł maskę. Silnik prezentował się okazale, był czysty, niezachlapany olejem, a po sprawdzeniu bagnetem jego stanu okazało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Cmoknął z uznaniem, wsunął się do wnętrza i usadowił na miękkim siedzeniu kierowcy.

Antek usiadł obok, wskazał na wmontowane radio.

– Nie boisz się? – mruknął teść, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Czego, tato?

– Wiesz, jacy są ludzie, zwłaszcza w dzisiejszych czasach – zaczął ostrożnie. – Najpierw dostaliście trzy pokoje, a teraz kupiłeś ten samochód. I to nie byle jaki, tylko zachodni. To kłuje w oczy i sprowadza niepotrzebne kłopoty. Może lepiej mieć coś skromniejszego...

– Pracuję, to mam! – oburzył się zięć. – Restauracja przynosi zyski, ale samo mi z nieba nie leci. Haruję jak wół od rana do nocy! – burknął.

– Ja tylko tak z troski o was. Restauracja to trudny kawałek chleba, wiem coś o tym. Sam kiedyś miałem zdarzenie, że do mnie przyszli, dlatego ci mówię.

– Kto przyszedł? – Antek zdziwił się i omiół starszego, wciąż dobrze prezentującego się mężczyznę niespokojnym wzrokiem.

– Służby – odparł głucho. – To było jakieś pięć lat po tym, jak zacząłem szefować w Grand Hotelu. Staralem się zawsze wszystko uczciwie, nawet jak coś brałem z restauracji, to na rachunek i odliczałem od wynagrodzenia. A tu poszedł donos na mnie, że kradnę i się bogacę. Jeździłem od początku syrenką, a później warszawą. Zresztą jak wiesz, do dziś nią jeżdżę.

Zgasił silnik i przekręcił gałki radia. Z małego odbiornika popłynął chrapliwy głos.

– Zaszli mi drogę na parkingu, kazali otworzyć bagażnik i wypakować siatki. Na szczęście w każdej paczce mięsa były rachunki. – Westchnął. – Wzięli na spytki mojego zastępcę: jakie mam mieszkanie, jakie wiodę życie, z kim się spotykam. A później sam musiałem złożyć zeznania. Dali mi spokój, ale raz na zawsze odechciało mi się mieć. Rozumiesz?

Antek w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami i przełknął głośno ślinę.

– Tato, czasy się trochę zmieniły... – bąknął. – Teraz każdy czymś jeździ. Papiery u mnie w porządku, naprawdę nie mają się do czego doczepić.

Zygmunt Woliński poklepał go ojcowskim gestem po ramieniu. W jego poważnej, naznaczonej bruzdami twarzy pojawił się błysk nadziei.

– I oby tak było, synu.

Rozdział 32

Do wesela zostały zaledwie cztery tygodnie. Miało być skromnie i kameralnie, bo tak sobie życzyła Weronika. Stwierdziła też, że nie będzie się wygłupiać i nie założy welonu, tylko stroik, ani białej powłóczystej sukni. W zamian zaprojektowała sobie dwuczęściowy kremowy kostium, z baskinką doszytą w talii. Wszyscy wokół twierdzili, że uszycie sobie samej kreacji ślubnej przynosi pecha, dlatego poprosiła o pomoc Ewkę. Zdążyła się już z nią jakiś czas temu pogodzić i zapomnieć o dawnych urazach. W końcu dziewczyna miała rację, Józek to prostak i cham. Nie zasługiwał na jej uczucia, ale ona sama musiała się o tym przekonać.

Zaszła do niej pewnego popołudnia z torbą ze skrojonymi kawałkami materiału. Mogła poprosić o zszycie którąś koleżankę z pracy, ale chciała odwiedzić dawną przyjaciółkę. Spotkały się kiedyś w parku Śledzia, wówczas Ewa podała jej nowy adres, bo w tym czasie zdążyła wyjść za mąż i urodzić dwoje dzieci. Z trzecim była w ciąży. Mieszkała teraz kątem u teściów na Rybnej w dwupokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze, z czego jeden, ten mniejszy, zajmowali oni, na razie w czwórkę, a wkrótce – w piątkę.

Weronika chyba po raz pierwszy doceniła, ile ją spotkało w życiu szczęścia, bo nigdy nie zaznała tak rażącej ciasnoty. Już w progu przytłoczyły ją ogromne ilości rzeczy, pudełka, ubrania, buty porzucane gdzie popadnie, a także duchota, która aż zatykała.

– Wejdz, proszę.

Ewka, która miała rodzić za jakieś trzy miesiące, wyglądała na sporo grubszą, niż być powinna. Jej brzuch zasłaniał wszystko, sterczał na wyso-

kości piersi pod kraciastą sukienką, umarszczoną na kwadratowym karczku. Nie przypominała dawnej siebie sprzed lat – ładnej, żywiołowej dziewczyny.

– Przepraszam za ten bałagan... – jęknęła. – Nie mam na nic siły, a teściowa... Szkoda gadać... – Urwała.

– Nic nie szkodzi – bąknęła Werka, rozglądając się dyskretnie dookoła. Po chwili wyciągnęła z torby ciasto z owocami, które na tę okoliczność zakupiła obok w cukierni.

– Proszę, to dla was.

– Dziękuję. – Ewa uśmiechnęła się oszczędnie, zrobiła miejsce na blacie i pokroiła placek na talerzu.

– Sama jesteś?

– Tak, dzieci w szkole, teściowie w fabryce, a mój kończy zmianę o szóstej. Mamy trochę czasu dla siebie, czego się napijesz?

– Herbaty, jeśli to nie kłopot.

– Żaden kłopot – odparła, tarabaniąc się do kuchni. Nogi miała opuchnięte, twarz również dziwnie zniekształconą, wyraźnie zbrzydła od ostatniego czasu.

– Będzie dziewczynka – stwierdziła z rozeznaniem Ostrowska, przyglądając się uważnie przyszłej matce.

– Też tak myślę – prychnęła Ewa w odpowiedzi. – Czuję się zupełnie inaczej niż poprzednio, mam inne smaki i wzdrygam się na niektóre zapachy... Nie cierpię smrodu gotowanej kapusty! – Skrzywiła się z obrzydzeniem. – A moja teściowa robi mi na złość i wciąż gotuje kapustę! Dasz wiarę?

– Powiedziałaś jej?

– A nie? – Ewka podparła się pod boki i w krótkich zdaniach zdała jej relację, jak matka męża robi wszystko, aby ją wyprowadzić z równowagi. Źle gotuje, nie sprząta, nie pozwala wietrzyć mieszkania i korzystać z pralki podczas ich obecności w domu. – Nie cierpię tej baby! – syknęła wściekle.

Nalała wody i ustawiła czajnik na gazowej kuchni. Wyjęła z szafki dwie szklanki i zasypała czarną herbatą.

Kuchnia była ciasna, przepelniona zbędnymi kłopotami, ze zlewem pełnym niepozmywanych talerzy i zaschniętych garnków.

– Myślisz, że chce mi pomóc, franca jedna? Tylko o sobie myśli. Żeby się wystroić i do kościółka lecieć. Tylko po co? Chodzi co niedziela, modli się, a potem wraca i się awanturuje.

– Ale o co? – Weronika usiadła przy wąskim stole nakrytym ceratą na drewnianym, bujającym się krześle.

– Już dawno mówiłam staremu, żeby naprawił to krzesło, a on nic, tylko czyta gazety. Poza tym ma wszystko gdzieś. Ja chyba oszaleję!

Ostrowska pomyślała w tym momencie, że szycie sukienki w tych warunkach nie jest dobrym pomysłem. Nie dość, że Ewa ledwie się poruszała, to jeszcze panujący w tym domu rozgardiasz...

– Jest nadzieja na jakieś większe lokum? – spytała ostrożnie, patrząc na pełną żalu rozmówczynię, która pochłaniała kolejny kawałek ciasta. – Podziwiam cię, że dajesz sobie radę w tych warunkach. A do tej pory myślałam, że to mnie nic w życiu nie wychodzi.

– A widzisz, jak to życie potrafi zaskakiwać? – podjęła natychmiast temat. – Kiedy zaszłaś w ciążę, a ten dureń cię porzucił, myślałam wówczas, że już gorzej być nie może. A tymczasem ukończyłaś szkołę, zdałaś maturę, zdobyłaś świetną pracę, odchowałaś córkę. W dodatku znalazł się mężczyzna, który pokochał cię i dziecko. Gdybyś wtedy zdecydowała się na aborcję, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Może już nigdy więcej nie zaszłabyś w ciążę? A tak... Za jednym zamachem masz cały komplet.

– No, niezupełnie – bąknęła Werka, zagryzając pełne wargi i wracając pamięcią do tamtych gorzkich dni. – Wtedy było mi cholernie trudno, w dodatku kochałam tego idiotę. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Jak to dobrze, że jeszcze wtedy żyła babcia i mi pomogła. Strasznie mi jej brakuje... Mama i Felek też mnie wspierali, tylko że ja na początku byłam przekonana, że oni nie są po mojej stronie. Byłam strasznie głupia i naiwna. Ile czasu potrzebowałam, aby to zrozumieć? Tak samo było z bratem. Za-

zdrość o niego przesłaniała mi prawdziwy obraz, wydawało mi się, że mama kocha tylko jego. A kiedy jemu powinęła się noga, nawet nie potrafiłam mu współczuć.

– Wszyscy kiedyś doroślejemy, wszyscy popełniamy błędy... Najważniejsze, że umiemy się do nich przyznać.

– To prawda – mruknęła, a potem nagle wstała. – To może chociaż pozmywam – zaproponowała.

– No co ty? Nie wygłupiaj się, to nie wypada!

Weronika zakasała już rękawy, wyjęła brudne naczynia z komory i naląła do niej wody.

– Nie powiedziałaś, czy jest szansa na większe mieszkanie?

Ewka westchnęła.

– Staramy się, ale na razie... Moja babcia zameldowała mnie u siebie, co prawda metraż mniejszy od tego, ale zawsze bylibyśmy na swoim. Rozmawiałam z mamą, aby wzięła babcię do siebie, my przenieśliśmy się do tamtego mieszkania.

– Jest to jakieś rozwiązanie, a co mama na to?

– Wiesz, jak to jest... przyzwyczaiła się już do większej przestrzeni, odkąd się wyprowadziłam, mają dodatkowy pokój do dyspozycji. Jednak jest nadzieja, że się zgodzi. Ojciec ma mi pomóc ją przekonać.

– Byłoby cudownie! – rzuciła Werka przez ramię, nie przerywając szorowania garnków. Następnie wytarła wszystkie naczynia i ustawiła w szafkach na swoim miejscu. Usunęła też z korytarza zbędne rzeczy i wstawiła do szafy.

– Jesteś kochana! – Ewka z rozczuleniem zamknęła ją na dłużej w ramionach. – Szkoda, że tak rzadko się widzimy.

– Szkoda... musimy to naprawić. I dbaj o siebie, i nie złość się z byle powodu. Jak się mieszka na kupie, to wszystko denerwuje, zdaję sobie z tego sprawę. Ale pamiętaj, spodziewasz się dziecka, musisz być radosna i wypoczęta.

– Łatwo powiedzieć... – skwitowała Ewka, ale bardziej ze śmiechem niż żalem. Przyznała, że ta wizyta bardzo jej pomogła, i umówiły się na odwiedziny u Weroniki. – Wyjdę trochę z domu i się przewietrzę, spacer dobrze mi robi – uznała, robiąc kilka głębokich wdechów. – Przecież to zupełnie niedaleko.

– Czekam więc na ciebie w czwartek po pracy. Przygotuję coś smacznego.

– A co z sukienką? – zagadnęła ją w ostatniej chwili tuż przed pożegnaniem w korytarzu.

– Dam sobie radę, ty odpoczywaj! Pracuję w końcu na szwalni – dodała ze śmiechem.

Zerknęła na lustro w przedpokoju, w którym zobaczyła dość ładną, zgrabną kobietę ze świeżą cerą, błyszczącymi oczami i burzą czarnych, lśniących włosów. „Nie jest jeszcze tak źle” – skwitowała w myślach, chwyciła torbę z materiałem i ruszyła pędem w dół schodów. Trzymając się szerokiej poręczy, wspomniała czasy, kiedy zsuwała się po takiej poręczy z bratem, gdy oboje mieszkali jeszcze w rodzinnym domu. Mijający ich mieszkańcy kamienicy podziwiali ich spryt, a Antek zawsze uważał, aby nie spadła, dlatego stał z boku i ją asekurował. A jej głupiej wydawało się wówczas, że traktuje ją jak smarkulę, której nic nie wychodzi. „To były czasy” – pomyślała z rozrzewnieniem i pod powiekami aż zakłuło ze wzruszenia.

Dochodziła do skrzyżowania z Zachodnią, kiedy w nasilającym się ulicznym zgiełku usłyszała swoje imię. Zaciekawiona, odwróciła głowę. To był Józek. Stał obok, zupełnie jak niegdyś, kiedy po udanym seksie w mieszkaniu na Lipowej szwendali się po mieście, szukając dodatkowych wrażeń. Tylko że wówczas wszystko smakowało inaczej, ale przede wszystkim nie było na świecie Małgosi. Nie wiedziała też wtedy, czym jest odpowiedzialność za drugiego człowieka.

Zmienił go ten czas, choć nie pozbawił uroku. Mimo kilku siwych pasm na skroniach, promienistych zmarszczek wokół oczu nadal był posiadaczem najpiękniejszych tęczy, jakie kiedykolwiek widziała. Krótko ostrzyżony, schludnie ubrany, w jasnych spodniach i niebieskiej koszuli, nie przypominał tamtego chłopaka w brudnym, pogniecionym kombinezonie.

– Możemy porozmawiać? – spytał, patrząc na nią błagalnie.

– Ale o czym? – rzuciła z pozoru obojętnie. – Wszystko już sobie kiedyś wyjaśniliśmy, prawda?

Chciała przejść przez ulicę, kiedy szarpnął ją za łokieć.

– Nalegam. – Zmierzył ją nieustępliwym wzrokiem. – Tylko kilka minut.

Westchnęła teatralnie, wzruszyła, zrezygnowana, ramionami.

– Dokąd chcesz pójść?

– Niedaleko jest skwer i ławka. Za ledwie kilka kroków stąd.

Za chwilę usiedli w oddalonym od miejskiego gwaru miejscu. Kilka drzew z rozłożystymi koronami osłaniało ich przed natarczym słońcem. Pod nogami mieli płachtę udeptanej ziemi, porosłej gdzieś kępami jasnych traw, zaś na wysokości oczu rozciągał się czerwony mur fabryki Marchlewskiego, kiedyś Poznańskiego. To tutaj w siedemdziesiątym pierwszym roku odbył się słynny strajk włókniarzy i pojawiła się delegacja z premierem Piotrem Jaroszewiczem na czele. W wyniku negocjacji przywrócono ceny mięsa przed trzynastego grudnia siedemdziesiątego roku.

– Czego chcesz? – Odwróciła wzrok i wycedziła, przystępując do ataku.

– Porozumienia, wybaczenia... – bąknął jakoś nieskładnie, co jeszcze bardziej ją rozeźliło.

– Dlaczego teraz? Po tylu latach? Gdzie byłeś, do diabła, do tej pory?

Chwycił ją za rękę i zmusił, aby spojrzała mu w twarz.

– Pogubiłem się, nie rozumiesz? Potrzebowałem wiele czasu, aby zrozumieć, co do ciebie czuję.

Roześmiała się, jednocześnie wyszarpnęła dłoń z uścisku.

– Żartujesz sobie? I ja ma ci w tę bajkę uwierzyć? Chciałeś się wyszaleć, to wyszalałeś, proste! A teraz co? Coś ci nie wyszło? Nie masz gdzie się podziać? Potrzebujesz, aby cię ktoś przygarnął?

Nie szczędziła gorzkiej ironii i szyderstwa, cedząc słowa wolno i dosadnie. Jednocześnie patrzyła mu w oczy, które uciekały pod naciskiem jej wzroku.

– Nie wstyd ci? Naprawdę? – Nie przestawała, widząc, jak kurczy się pod jej spojrzeniem, i przybiera pozę bezradnego chłopca.

– Wstyd – zgodził się. – Bardzo się tego wstydzę. Zostawiłem dziewczynę bez pomocy z dzieckiem, choć od początku wiedziałem, że jest moje.

Uderzyła go w twarz. Nie spodziewała się takiego wyznania.

– Twój brat też mi przyłożył – wyznał gorzko. – I nie twierdzę, że sobie na to nie zasłużyłem. Miał rację, nazywając mnie ostatnim łajdakiem.

– Brat? – dopytała zdziwiona. – To był na pewno mój brat?

– A kto? Przyszedł do spółdzielni i mnie porządnie sprął.

Znów się zaśmiała, tylko tym razem jakoś histerycznie i pusto. Znów się okazało, jak bardzo się myliła co do Antka. On całe życie się o nią martwił, gdy tymczasem ona myślała wyłącznie o sobie.

– Chciałbym, abyś rozważyła moje przeprosiny – wydukał. – Wiem, że to zbyt wygórowana prośba, ale jeśli nie zapytam, nigdy się nie dowiem.

– Jak mam rozumieć te przeprosiny? – zadrwiła. – Chcesz poznać córkę, płacić na nią czy mi się oświadczyć? – wypaliła, nie zastanawiając się ani chwili.

Podniósł głowę i spojrzał na nią tak, że znów jakieś licho przebiegło po jej plecach. Zastanawiała się, co odpowie, czy będzie ją zwodził słodkimi słówkami, co nie było zupełnie w jego stylu, czy wyrazi wprost, o co mu chodzi.

– Chcę, abyś za mnie wyszła – oznajmił bez ogródek. – Wszystko się wtedy zmieni, będziemy rodziną, będę o was dbał. Wiem, że nadal jesteś sama.

– I tutaj się mylisz! – syknęła wściekle, oburzona jego bezczelnością. Zerwała się z ławki, nie mogąc opanować natrętnych myśli. – Za kilka tygodni wychodzę za mąż. I nie za takiego łajdaka jak ty! Daruj sobie te gierki!

Odwróciła się na pięcie i zaczęła gnać przed siebie, choć wcale jej nie gonił, wciąż tkwił na ławce, nie ruszając się z miejsca. Dopiero gdy oddaliła się od niego i niemal straciła go z oczu, nieco zwolniła. Wtedy właśnie dopadła ją refleksja: myśląc, że skończyła z tym draniem raz na zawsze, tak bardzo się pomyliła. Jej serce wciąż kochało tego bydlaka, a teraz wyło z bólu, rozpaczy i bezradności.

Rozdział 33

Julka wspięła się na kolana mężczyzny i sięgnęła rączką do jego zawa-
diacko wywiniętych wąsów.

– Mamusiu, one są prawdziwe! – zawołała odkrywczco.

– Córciu, tak nie można! Zejdź z kolan pana Zenka! – skarciła ją Alina, zajmując miejsce naprzeciwko.

– Proszę się nie martwić. Julcia jest przeurocza! – odparł generał, okraszając zwykle poważną twarz ciepłym, ujmującym uśmiechem. Pogładził dziewczynkę po włosach, które jak zawsze skręcone w czarne spiralki wirowały niesfornie wokół jej ślicznej twarzyczki. Pokręciła się jeszcze chwilę na kolanach mężczyzny, a kiedy zobaczyła kolorowe, migoczące w słońcu stworzenie, postanowiła zejść i przyjrzeć się temu bliżej.

Siedzieli w przepięknym ogrodzie na tyłach restauracji, gdzie latem kwitło barwne jak motyl życie. Wielkie połacie wypielegnowanych trawników poprzecinane szerokimi alejkami otaczał dostojny starodrzew. Jego korony szumiały cicho, przywołując nostalgię i czar dawnych czasów. Na środku, przed kamiennym tarasem, usytuowano rozłożystą fontannę, która każdego dnia od rana do późnego wieczora tryskała tysiącami drobnych strumieni wody. Taras zajmowały ciężkie meble z kutego metalu, w tym okrągłe ażurowe stoliki i wygodne krzesła, chętnie zajmowane przez gości, którzy przychodzili tutaj zwykle po obfitym posiłku, zamawiali kawę lub kieliszek koniaku i paląc papierosy, wsłuchiwali się w odgłosy otaczającej ich natury. Doceniali wyjątkowość tego miejsca, położonego w centrum Śródmieścia, ale niezwykłym klimatem odbiegającego od pozostałych tego typu obiektów.

– Chodź, skarbie, wybierzesz sobie ciasteczko! – zaproponował Antoni, który niemal w tej chwili wyrósł tuż obok nich.

– Muszę poszukać Julki – odparła, rozglądając się za dzieckiem, które dopiero co pobiegło za motylem.

– Jest w dobrych rękach – uspokoił ją mąż. – Zajęła się nią pani Lodzia, bo mała zdążyła już odwiedzić kuchnię.

– A to szelma! – zachichotała Alina, kręcąc z pobłażaniem głową.

– Panie Zenku, jeszcze jeden koniaczek?

Mężczyzna podkręcił wąsa i machnął z rezygnacją ręką.

– A, niech tam będzie! W zasadzie jestem już po robocie!

Ostrowski odwrócił się i pstryknął na przemykającą się obok pracownicę.

– Pliska dwa razy, szybciotko!

Dziewczyna skinęła głową, uśmiechnęła promiennie i niemal natychmiast przyspieszyła kroku.

Alina wstała, wygładziła kremową spódniczkę sięgającą kolan, poprawiła zaбот szyfonowej bluzki wsuniętej za pasek w talii. Skórkową torebkę w kształcie koperty odwiesiła na poręczy krzesła. Podreptała za mężem posłusznie, mimo że na nogach miała dość wysokie koturny z kolorowymi paskami na przodzie. Już od wejścia dotarł do niej zapach gotowanych ziemniaków posypanych koperkiem i pieczonego, dobrze sprawionego mięsa. Na stołach przykrytych wykrochmalonymi, białymi obrusami co rusz lądowały zamówione dania. Kelnerki biegały między stolikami i dbały o to, aby żaden gość nie czuł się zaniedbany. Czuła na sobie spojrzenia wielu kobiet, które tutaj pracowały, wszystkie w dopasowanych uniformach, składających się z czarnego dołu i białej góry. Jedne wykonywały swoje obowiązki sprawnie i zdecydowanie, inne ślamazarnie.

– Pospiesz się, Edzia, z tym stolikiem. Kolejni goście czekają! – ponaglił mąż niewysoką brunetkę, usiłującą zebrać brudne talerze po obiedzie. – Ruszasz się jak mucha w smole!

– Tak, szefie! – mruknęła dziewczyna, a jej twarz spłonęła rumieńcem.

Antoni potrafił być w jednej chwili szorstki i nieprzyjemny, w drugiej – miły i niezwykle szarmancki.

Dotarli do cukierni, gdzie na samym froncie stał bufet udekorowany bułkami i ciasteczkami, obsługiwany przez panią Romkę, dwudziestokilkulatkę o okrągłej, lekko zarumienionej i pokrytej gęsto piegami twarzy. Dziewczyna wyglądała na bardzo miłą, co wkrótce się potwierdziło.

– Polecam orzechowe języczki.. Specjalność szefa kuchni – szepnęła konspiracyjnym tonem, puszczając do niej oko.

– To poproszę dwie. I jeszcze te. – Wskazała palcem ciasteczka w kształcie łożki o puszystej śmietanowej konsystencji.

– Ooo, te są również wyśmienite! Wspaniały wybór! – zatrajkotała i nałożyła na talerz wybrane desery.

Antoni tymczasem objął żonę wpół i odebrał osobiście talerzyk od pracownicy.

– Dziękuję, pani Romko. Sam odniosę.

Podniosła głowę, skinęła nią niezdarnie, potem patrzyła na oddalającą się, niezwykle parę. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że ta piękna kobieta, z którą szef tak wyjątkowo się obchodzi, jest jego żoną.

Wracały do domu na Jelonkach nieco już zmęczone, tym bardziej że Antek musiał jeszcze zostać w restauracji, spodziewając się po południu ważnych gości. Idąc ulicą Foksal w stronę Marszałkowskiej, minęły Orbis, a następnie peweks, gdzie Alina zakupiła jeszcze słodczyce dla dzieci, a dla dorosłych na niedzielę butelkę Bolsa. Spodziewali się gości, choć czasem lubili sobie usiąść tylko we dwoje i powolutku, bez pośpiechu spijać kieliszek po kieliszeczku, rozprawiając przy tym o życiu, które nieustannie zaskakiwało.

Z centrum Warszawy do przystanku niedaleko bloku autobus numer sto sześć jechał około dwudziestu minut, a stamtąd do domu było zaledwie pięć minut spacerkiem. Julka już marudziła, bolały ją nogi, wciąż domagała

się, że chce na ręce, tymczasem myśli Aliny krążyły wokół tych ładnych kobiet pracujących u męża. Zwłaszcza jedna z nich utkwiała jej w pamięci. Drobna, delikatna blondynka z twarzą anielicy z kręconymi włosami – patrzyła na nią tak, jakby Ostrowska była czemuś winna. Nieustannie ciskała w nią wzrokiem pełnym niechęci, a kiedy pojawiał się obok Antoni – jej spojrzenie natychmiast łagodniało.

Uznała, że będzie musiała o tym wszystkim porozmawiać z mężem. Albo częściej zaglądać do restauracji.

Zbliżyły się do bloku, na ostatnim odcinku wzięła córeczkę na ręce i dreptała, uważnie spoglądając pod nogi. Niedawno oddany do użytku chodnik miał swoje wady i zalety. Niektóre płyty wystawały krawędzią ponad powierzchnię, ale nikogo to zbyt nie dziwiło. Partactwo wpisane było w panujący system, nie liczyła się jakość, a jedynie robota oddana w terminie. Mimo to w deszczową porę stawał się niezastąpiony. Tymczasem drogę zastąpiła jej sąsiadka, która wyszła naprzeciw, ciągnąc za sobą spacerowy wózek. Podjęła się przypilnowania nie tylko jej młodszej córki, ale także psiaka, za co Alina była jej niezmiernie wdzięczna. W podziękowaniu zakupiła dla niej w peweksie konserwę z szynką mieloną. Takim prezentem raczej nikt by nie pogardził. Nie mogła się doczekać chwili, gdy ją wręczy koleżance, kiedy jej wygląd zbił ją z tropu.

– Stało się coś? – rzuciła z trwogą Alina, widząc roztrzęsioną sąsiadkę. Tosia szlochała, wycierając piąstkami mokre oczy. Postawiła Julkę na ziemi, przyglądając się Wioli w coraz większym zdenerwowaniu. Kobieta spuściła oczy, unikając kontaktu wzrokowego.

– Co się stało? – powtórzyła Ostrowska, czując, jak ogarnia ją coraz większy niepokój.

– Bary... – wyszeptała tamta drżącymi wargami.

– Co z moim pieskiem? – zawołała Julka, uniesionym głosem.

Sąsiadka najpierw objęła przejętym spojrzeniem dziewczynkę, później jej matkę, następnie rzuciła się Alinie na szyję. Dopiero wtedy pękła i zaczęła płakać.

Śniadanie z kaszy manny na mleku będące dotychczas ulubionym daniem dziewczynek – tym razem nie smakowało. Jadły je, krzywiąc się i grymasząc. Otworzyła słoik z sokiem malinowym, ułożyła słodkie owoce na kremowej masie, ale i to nie pomogło. W domu panował istic żałobny nastrój, choć dzień z samego rana zapowiadał się ciepły i rześki. W jasnej, zalanej słońcem kuchni królowały beżowe szafki pokryte fornirem, kwadratowy stół, cztery krzesła oraz radziecka lodówka marki Mińsk z oddzielnym zamrażalnikiem. Ściany zdobiła kolekcja z Włocławka, którą skrzętnie od wielu lat zbierała. W zlewie między brudnymi naczyniami tkwił zalany wodą, przypalony mlekiem rondel. Pewnie ten drobny szczegół zadecydował o smaku kaszy manny, na dowód tego ostra woń spalenizny unosiła się w powietrzu i wgryzała nie tylko w tynk, ale też w piękne, pokryte żółtymi słonecznikami zasłonki w oknach.

– Zaraz będzie *Teleranek* – próbowała zająć ich myśli czymś innym. – Wasz ukochany program.

– Nieee... – burknęła natychmiast Julka, a Tośka zawtórowała efektywnym prychnięciem, w efekcie czego mleczna zupka wylądowała obok talerza, co już mamę mocno zdenerwowało.

– Tośka, bo dostaniesz klapsa! Masz jeść i koniec! Innego śniadania nie będzie!

– Nie smakuje – bąknęła starsza córka, przesuwając krawędzią łyżki po brzegu talerza. Potem zaraz dodała: – Myślisz, mamusiu, że Barego mocno bolało?

Zacisnęła zęby z bezradności. Tak, zdawała sobie sprawę z tego, że nastrój dziewczynek nie wynikał z przypalonej kaszy manny, ale z braku ich ukochanego psa, który właśnie w tym momencie towarzyszyłby im przy stole, domagając się uwagi, uwagi i smacznych kąsków.

– Na pewno nie – odparła ze ściśniętym gardłem.

Nie miała żalu do Wioli, przecież to nie była jej wina. Bary wyskoczył za kotem i wpadł prosto pod koła przejeżdżającego zbyt szybko samochodu,

na co sąsiadka nie miała żadnego wpływu. Całe zdarzenie potwierdziła na swój sposób Tośka, która tylko słuchała i chlipała. Jakże kochała tego psiaka, który niepostrzeżenie stał się częścią ich życia. Już od samego początku, kiedy to jego urok połączył ich dwoje w jedno, a potem wspólne życie i pojawienie się na świecie kolejno dwóch małych istotek. Nigdy nie był o żadną zazdrosny, wręcz przeciwnie – czuwał przy łóżeczku, wsłuchując się w oddech i alarmując przy każdym niespokojnym ruchu. „Jakie to było urocze” – myślała z rozrzewnieniem, próbując w ten sposób pokonać napływający atak tęsknoty i bólu. Nawet nie był za bardzo poturbowany, wyglądał, jakby sobie spał. Antek po powrocie z pracy wziął go na ręce, włożył do bagażnika i pojechał nad Wisłę, aby go tam zakopać. Wolą nie uczestniczyć w tej ceremonii, jej serce pękłoby z rozpaczy, dlatego została wraz z dziewczynkami i usiłowała im przeczytać bajkę o kocie w butach. Nie słuchały, tylko cały czas pochlipywały. Wreszcie zasnęły.

Od tamtej pory minęły dwa długie tygodnie, ale nie było dnia, aby któraś z nich nie wspomniała Barego. Czasem Julka siadała w miejscu, gdzie zwierzak miał legowisko, i zamyślona wpatrywała się w puste miejsce. Ten widok rozrywał na pół serce Aliny.

Postanowiła, że po śniadaniu pójdą na spacer, przy okazji kupią świeże pieczywo, jaja od zaprzyjaźnionej handlarki i warzony ser.

Poszły więc, mijając kolumny wysokich wieżowców aż po ich kres, gdzie przycupnięte jeden obok drugiego stały rzędy murowanych i drewnianych domostw. Lubiła tędy chodzić, zwłaszcza jesienią i zimą późnym popołudniem, kiedy w oknach paliły się już światła. Mogła wtedy zaglądać bezkarnie do wnętrza mieszkań, lustrować wyposażenie, prześlizgiwać się wzrokiem po ścianach, podziwiać obrazy czy bogato zdobione lustra. Niektóre z nich prezentowały się naprawdę dostojnie, widziała ciężkie przedwojenne meble zastawione rodzinnymi pamiątkami, zegary ścienne, okrągłe stoły nakryte obrusem, w jednym z mieszkań dostrzegła nawet fortepian. Zniecierpliwiona Julka szarpała ją wówczas za rękaw, bo zatrzymywała się bezwiednie i wgapiała w ten obrazek, jakby czas zatrzymał się w miejscu.

Tego dnia zrobiły podobne okrążenie, załatwiły po drodze wszystkie naglące sprawy i wróciły do domu. Obie dziewczynki były już zmęczone, dlatego miała nadzieję, że po obfitym posiłku Tosia pójdzie grzecznie spać. Włączyła radio i nastawiła na kuchni gazowej zupę. Jak zawsze o tej porze dnia odgrywano *Hejnał Mariacki*, co oznaczało, że mijało południe.

Córki siedziały przy stole nad talerzami wypełnionymi makaronem. Opierały się na łokciach, buźki miały smutne, oczka zamyślane, a usteczka wygięte w podkówkę. Właśnie sięgała po łyżkę wazową, aby napełnić talerze, kiedy wszystkie trzy usłyszały dźwięk przekręcanego klucza w zamku.

– Tatusz? – Julka zerwała się z krzesła i pierwsza wybiegła ojcemu na powitanie.

Alina podniosła głowę, nie kryjąc zdumienia. Mąż o tej porze dnia w domu to byłaby zupełnie niecodzienna sytuacja. Jednak nikt prócz niego nie posiadał klucza.

W drzwiach kuchni rzeczywiście pojawił się Antoni. W ciemnych spodniach, jasnej koszuli, ze zmierzwionymi od wiatru włosami. Tajemniczy uśmiech oblekał mu twarz. Wziął na ręce Julkę, która lgnęła do niego zachłannie.

– Ty tutaj? O tej porze? Co za niespodzianka!

Mężczyzna chrząknął w odpowiedzi, po czym posadził córeczkę przy stole.

– Wpadłem na chwilę, aby wam kogoś przedstawić – mruknął enigmatycznie.

Alina uniosła w górę brwi, spoglądając na niego pytająco.

Tymczasem Antoni wrócił się do korytarza, by za chwilę znów pojawić się w kuchni. Przynosił ze sobą wielką, czarną torbę, w której coś najwyraźniej się ruszało i wydawało dźwięki.

Wszystkie trzy wstrzymały oddech.

Rozsunął zamek i ze środka wytoczyła się niezdarnie brązowa kulka.

W tym samym momencie rozległ się pisk radości.

– Musicie wybrać dla niego imię – oznajmił uroczyście.

Rozdział 34

P przed kościołem Zwiastowania Pańskiego zebrał się spory tłumek. Właśnie wybrzmiewały w powietrzu ostatnie dźwięki *Ave Maria*, młodzi klęczeli przed ołtarzem, chcąc zwyczajowo podziękować za udzielony sakrament małżeństwa, a goście niecierpliwiąc się, czekali już na dziedzińcu. Rozleniwiony dzień rzucał ostatnie promienie zachodzącego słońca na wybetonowane podwórko, ślizgał się po ogrodzeniu i dość stromych schodach wieńczących wejście do świątyni. Młoda para zdążyła się po nich ostrożnie zsunąć, kiedy posypały się, dźwięcząc i połyskując srebrzyście, monety.

Stefania i Feliks stali z boku, przyglądając się Weronice i Zbyszkowi zbierającym drobniaki. Pomagała im koleżanka Wery z pracy, Kasia, którą panna młoda poprosiła na świadkową. Ostrowska знаła swoją córkę i wiedziała, że ten zwyczaj był przez nią często krytykowany. „Kto wymyślił tę bzdurę?” – utyskiwała po wielokroć na ślubach swoich koleżanek. „Ręce pobrudzone, sukienka też, a z tymi drobnymi i tak nie ma co zrobić”...

Weronika wyglądała ślicznie w kremowej, atlasowej garsonce, maleńkim stroiku w upiętych misternie włosach i beżowych szpilkach na wysokim obcasie. Zbyszek w niczym nie odstawał od swojej nowo poślubionej żony, w czarnym smokingu, białej koszuli z wykrochmalonymi mankietami i kołnierzykiem oraz lakierowanych butach na grubej podeszwie. Wciąż podtrzymywał swoją ukochaną za łokieć, a jego twarz naznaczona była nieskrywanym szczęściem.

– Piękna z nich para! – szepnęła Stefania zachwycona. – Zupełnie jakby byli dla siebie stworzeni.

– Lubię tego chłopaka – skwitował Felek, pochylając się nad żoną. Poczowała jego ciepły oddech na swojej szyi. – Tak cierpliwie znosił wszystkie grymasy Werki. On naprawdę musi ją kochać.

– Hmm... – mruknęła z zadowoleniem Stroińska, tuląc się do mężowskiego ramienia. – Najważniejsze, że uwielbia Małgosię, ona jego też. Po drugiej stronie dziedzińca dostrzegła swojego byłego męża z obecną żoną, która przybyła na tę uroczystość w czerwonej, okropnie jaskrawej sukience. Tadeusz wyglądał na wzruszonego, tym razem prezentował się wyjątkowo dobrze, w pewnej chwili podszedł nawet do córki i pomógł jej w zbieraniu groszaków. Ten spontaniczny gest nie spodobał się Bajeczce, która najpierw szarpnęła ślubnego za rękaw, a kiedy to nie pomogło i się oddalił, zrobiła wściekłą minę. Tadeusza to jednak niewiele obeszło, nie tylko wybierał ostatnie drobniaki i dosypał do woreczka, ale jeszcze dołączył do świadków i zaczął odbierać kwiaty od gości składających tłumnie życzenia.

Na ślub przyjechali znajomi z pracy. Przynieśli ze sobą imponujący kosz z kwiatami i zapakowany w szary papier ogromny pakunek. Był Staszek z żoną i dziećmi, Helena Stroińska z mężem, Irena z panem Markiem, jej córka Urszula z mężem, a także jak zawsze elegancka i dostojna Józia, na którą wszyscy zerkali nie tylko z podziwem, ale nawet atencją. Wróblewska nadal była piękną kobietą, a ostatnio wręcz olśniewała urodą. Widząc swoją przyjaciółkę, Stefcia miała ochotę zapytać, czy za tą przemianą nic nie stoi. Szybko jednak doszła do wniosku, że jeśli przyjaciółka będzie chciała, sama jej o tym opowie. Byli sąsiedzi, znajomi i mnóstwo biegających po placu dzieci. Te miały najwięcej radochy, ganiając się i wykradając przygotowane dla gości złociste krówki z koszyka. Małgosia, drepcząc niecierpliwie u boku dziadków, spoglądała tęsknie w ich stronę. Kilka razy usiłowała się wyszarpnąć, ale uścisk opiekunki był silny i zdecydowany.

– Pobrudzisz sukienkę, Małgoniu – wyjaśniła Stefania nieco karcącym głosem, kiedy wnuczka kolejny raz próbowała wyrwać się spod troskliwej opieki.

Tuż obok stali, zwracając na siebie uwagę, Alina z Antonim i dziewczynkami. On – jak zwykle szalenie przystojny w białym garniturze w prążki, ona – w długiej, błękitnej sukni obszytej cekinami. Nie było osoby, która nie omiotłaby ich pełnym ciekawości i zdumienia wzrokiem, bowiem wyglądali na parę ze zdjęcia z pierwszych stron zachodnich gazet, a te można było nabyć na czarnym rynku albo w paczce od rodziny od dawna żyjącej za granicą. Obie córki w różowych sukienkach z mnóstwem falbanek, z anielskimi główkami i sprężynkami czarnych włosów, ujarzmionymi wstążkami, przypominały księżniczki albo przynajmniej porcelanowe lalki z wystawy w sklepie. Jedna z nich, ta młodsza, siedziała grzecznie w wózku spacerowym, druga, starsza, trzymała się taty.

Robiło się ciemno, kiedy goście skończyli składać życzenia i zaczęli się rozchodzić, pozostali tylko ci, co otrzymali zaproszenie na uroczystość weselną.

W pewnej chwili Antoni odłączył się od rodziny i zdecydowanym, sprężystym krokiem podążył w stronę głównej bramy dziedzińca. Alina nieco zaskoczona powiodła za nim wzrokiem, lecz za chwilę zniknął jej z oczu.

– Po co tu przylazłeś, jeszcze ci mało? – zaatakował Józka, którego nagle dostrzegł koło ogrodzenia.

– Odczep się! Co ci do tego? – warknął tamten i ani myślał odejść. Ubrany był w ciemne spodnie z odprasowanym równo kaniem i białą koszulę z krótkim rękawem. Łypnął na niego niechętnie spod krzaczastych brwi tymi swoimi cholernie ładnymi oczyskami.

– Weronika to moja siostra, nie zapominaj o tym! Zdążyła sobie właśnie ułożyć życie. Ma fajnego, poukładanego męża. Po co jej taka łajza jak ty? – wycedził Antek, łapiąc go za łokieć.

– Mamy dziecko – wyjaśnił tamten bez odrobiny emocji.

– Dziecko! – powtórzył Ostrowski z drwiną w głosie. – To już nie twoje dziecko, zostałeś pozbawiony praw rodzicielskich. Zapomniałeś, tępą pało?

– Wypraszam sobie! – rzucił obruszony. – To sprawa między mną a Weroniką!

– Tylko ci się wydaje!

– Obrońca się znalazł! – zakpił Józek.

– Tknij ją tylko, a zobaczysz, co cię spotka! – warknął kolejny raz i zrobił obrót na pięcie. – A teraz stąd spieprzaj! – syknął przez ramię.

– Ha, ha! – dobiegł śmiech do jego pleców. – Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Nie pójdę, dopóki jej osobiście nie złożę życzeń!

– Składaj sobie! – burknął Antek, nie odwracając głowy. – I tak ci to niewiele pomoże!

Przyjęcie dobiegało końca, kiedy Józia ze Stefcia wyszły na balkon z kieliskami wina w dłoniach.

– Będzie dobrym mężem – oznajmiła Wróblewska, spoglądając na pustą ulicę oświetloną latarniami. Było cicho, tylko gdzieniegdzie odzywały się pojedyncze głosy, które niczym piłeczka odbijały się echem po utwardzonej nawierzchni. Szumiały przeciągle rozciągnięte nad domami druty elektryczne, wiatr myszkował w zaułkach bram. Wyglądała już na nieco zmęczoną, włosy miała zmierzwione, oczy podkrążone, makijaż lekko rozmyty.

– Też tak sądzę – zgodziła się przyjaciółka, upijając łyk wina. – Wierzę w to, że będą szczęśliwi. Weronika potrzebowała dużo czasu, aby zrozumieć, co jest dla niej ważne. Dla dziecka też.

– Nie ona jedna – skwitowała Józia, uśmiechając się tajemniczo. – Życie nas nieustannie zaskakuje, nieprawdaż? Na przykład ty i Felek. Tworzyliście przez wiele lat z Tadeuszem taką zgraną parę. A potem pojawiła się ta Bajeczka! – prychnęła, pochylając się nad barierką. – Zresztą, gdyby nawet się nie pojawiła...

– Naprawdę myślisz, że porzuciłabym rodzinę, gdybym nie miała powodu?

– Nie, skąd... – mruknęła. – Chcę tylko powiedzieć, że czasem wydaje mi się, że naszym życiem kieruje przeznaczenie. W którą stronę byśmy szli,

jak bardzo chcielibyśmy nadać bieg wydarzeniom, to i tak los pokieruje nas tam, dokąd chce, postawi na naszej drodze odpowiednie osoby.

– Myślę jednak, że to od nas samych zależy, z kim chcemy iść przez życie. I dokąd – wtrąciła Stefania zdecydowanym tonem. – Takie myślenie jest dla wielu ludzi wygodne. Bo po co się uczyć, zdobywać nowe umiejętności, dążyć do czegoś, spełniać marzenia, jeśli to wszystko jest gdzieś tam, w górze już zapisane?

– Zgodzę się z tobą... – Józia oderwała się od balustrady, na której oparta była na łokciach. – Przeznaczeniu należy jednak pomóc, a do tego trzeba mieć tego cholernego farta, o którym się tyle mówi. Znaleźć się w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie, przy odpowiednich osobach.

– Ooo, i tu ci przyznam rację. – Stefcia z uśmiechem zerknęła za siebie i spojrzała przez okno do wnętrza pomieszczenia, gdzie ostatni goście usiłowali tańczyć przy płynącej smętnie muzyce z adapteru.

– Odniosłam wrażenie, jakbyś od dłuższego czasu usiłowała mi coś powiedzieć. Mam rację? – Zmrużyła figlarnie oczy, spoglądając na przyjaciółkę opartą biodrami o balustradę. Miała na sobie lekko połyskującą suknię ze złotej satyny, która zmysłowo opływała jej zgrabną sylwetkę. Do tego piękny szal w kolorze dojrzałych kasztanów narzucony na ramiona.

– Jak ty mnie dobrze znasz! – zachichotała, rzucając w jej kierunku wymowne spojrzenie. – Tak, masz rację. Czekałam na odpowiedni moment.

– Coś z Rozalią? – wyprzedziła ją pytaniem, ale zaraz pożałowała. Wyraz twarzy Józki mówił sam za siebie. To nie dotyczyło córki, ale jej samej.

– U Rozalki wszystko w porządku. Dostała się do jakiejś radzieckiej produkcji, kręcą teraz zdjęcia na Krymie. Są tam we troje, więc mam więcej czasu dla siebie!

– To dobrze, choć pewnie tęsknisz za Nineczką?

– O, tak! Bardzo! Ona za mną też. Telefonują od czasu do czasu, przysyłają kartki z pięknymi widokami i czułe listy. To takie miłe...

Znów się uśmiechnęła, w jej oczach coś błysnęło.

– Pamiętasz jak rozmawialiśmy o koncertowaniu? – Wzruszyła ramionami. – Wtedy się zarzekałam, że nie chcę, że nigdy w życiu bez Kazia. Jednak przyszedł moment, że dojrzałam do zmian.

– Naprawdę? – wtrąciła zachwycona Stefka. – Tak się cieszę! Będę mogła pojechać na twój recital, to wspaniała wiadomość!

– Miałam tylko jeden problem... brakowało mi akompaniamentu – oświadczyła, wzdychając głośno. – I wtedy jeden znajomy z teatru zaproponował mi Gustawa. To świetny instrumentalista, może nie tak dobry jak Kazik, ale razem możemy sporo osiągnąć.

– I na pewno jest cholernie przystojny! – wtrąciła Stefa sarkastycznym tonem.

– To też, choć tylko dwa lata ode mnie starszy. A jak wiesz... gustuję w bardziej dojrzałych panach.

– Jak miałaś trzydzieści czy nawet czterdzieści lat, ta dojrzałość była nawet zrozumiała, ale teraz? Spójrz na siebie! Nadal kwitniesz, emanujesz pięknem! Co byś robiła z takim dziadkiem. Teraz potrzebujesz młodej krwi i energii!

– Ech! – Józia machnęła ręką. – Już nikt nie zastąpi mi Kazimierza, ale jak to mówią... żyć trzeba dalej.

– No właśnie – skonkludowała koleżanka. – A ty z takim talentem i urodą potrzebujesz wsparcia, obecności tej drugiej osoby.

– Jest miły i ocytany... Rozwiódł się z żoną wiele lat temu, ma dorosłego syna. Czegóż więcej trzeba? Na razie tylko się spotykamy, spędzamy ze sobą wieczory, rzadziej ranki. Na zamieszkanie razem nie jestem jeszcze gotowa.

– Na wszystko przyjdzie czas, na to też – pośpieszyła z odpowiedzią Stroińska, choć przez moment jej myśli popłynęły gdzieś indziej. Do jej początków z Felkiem, kiedy już podjęła decyzję o odejściu od męża. Z jednej strony pragnęła z nim spędzać każdą chwilę, ale z drugiej, chciała przygotować rodzinę do zmian. Wtedy czuła, że postępuje słusznie, ale ona miała wówczas małe dzieci. Józci te problemy nie dotyczyły.

– Sama będziesz wiedziała, kiedy to się stanie – mruknęła bezwiednie, a potem zaraz dodała: – Cieszę się z tych zmian. To na pewno dobrze ci zrobi, znów poczujesz wiatr w żaglach, a twoi wielbicielcy czekają na ciebie od dawna!

– Tak sądzisz? – spytała niepewnie Józia, dopijając ostatni łyk wina.

– Jestem o tym przekonana.

Rozdział 35

U wielbiał ten moment, kiedy pierwszy wchodził do restauracji, otwierał okna, wietrzył pomieszczenia, wdychał rześkie powietrze i słuchał bijącej po uszach ciszy. Na stołach bieleły się sztywne, ukrochmalone obrusy, każdy wypolerowany wazonik czekał na swojego kwiatka. Sprawdzał czystość zastawy, stan zaopatrzenia, notował i tworzył listę zakupów. Lubił karmić i patrzeć na pływające leniwie rybki, dla których ograniczona przestrzeń zdawała się nie mieć znaczenia. Za chwilę pojawi się załoga, ruszą maszyny, zadźwięczą gary, kucharze staną na swoich stanowiskach, a jasną przestrzeń wypełnią znajome zapachy: aromat świeżo parzonej kawy, piekącego się w piecu pieczywa, smażonej na maśle jajecznicy, parującej kielbasy czy siekanego drobnutko koperku. Zaczną się schodzić pierwsi goście, kelnerki ruszą w swoje rewiry, zbiorą zamówienia, przyniosą do stolika parującą kawę i gorące, słodkie bułeczki. Zacznie się kolejny dzień nerwówki albo dla odmiany – zwykłej krzątaniny.

Bez względu na to – kochał to miejsce i to wszystko, co tutaj robił. Zwłaszcza rano, kiedy jego umysł był czysty, niezmacony nawet jedną kroplą alkoholu, pracował na pełnych obrotach i chłonał każdą najcenniejszą sekundę tego pięknego życia. Jeszcze kiedy nikogo nie było, stawał na tarasie w ogrodzie, rozkładał szeroko ramiona i wciągał z lubością orzeźwiający powietrze. Gdzieś w koronach drzew swiergoliły ptaki, przemknął z bzykiem jakiś owad, stał i słuchał tego budzącego się życia, dziękując Bogu za to, dokąd doszedł przez te wszystkie lata.

Gorzej było potem. Zjawiał się dziennikarz Leszczyński, który zapraszał go do baru na kieliszek koniaczku, potem zachodził na obiad jego uko-

chany generał. Z nim też należało się napić, a jeśli do tego doszły jakieś kłopoty z zamówieniem, dostawą towaru czy niespodziewaną inspekcją – powody do picia się mnożyły. Wszystkie interesy załatwiane były przy wódce, dlatego już pod wieczór jego umysł pracował na zwolnionych obrotach, aczkolwiek świat wydawał się znacznie łatwiejszy.

Koniec zmiany to zawsze liczenie utargów. Miał zaufanie do swoich pracowników, które schodziły się w kantorku, wyciągały z fartucha wszystkie pieniądze i z papierosem między wargami, kartką i ołówkiem w ręku podliczały stan jego zawartości. Strużka dymu sączyła się aż pod sam sufit, popiół spadał szarą kupką na pulpit biurka, czas to był jednak bezcenny, bo jego kieszeń z każdą sekundą puchła od nadmiaru pieniędzy. Starsze kelnerki rozliczały się uczciwie co do ostatniego grosika, czego nie omieszkała wynagradzać dodatkową gratyfikacją, te najatrakcyjniejsze młodsze oprócz napiwku próbowały ugrać jeszcze więcej. Wszystkie zabiegały o jego względy, wdzięcząc się i afiszując swoimi walorami. Czuł się czasem bezradny, kiedy wyciągały go na zaplecze, domagając się czułych pocałunków i pieśzcot. Na początku wzbraniał się przed tymi miłymi bądź co bądź atakami, z czasem myśli o nich wracały jak natrętne muchy, aż w rezultacie przegrywał z własną słabością. Miał kilka swoich faworyt, poświęcał im więcej uwagi i cennego czasu, nie zdając sobie sprawy, że toczy się między nimi cicha rywalizacja o jego względy. Zaczynało się jak zawsze niewinnie – od kilku skradzionych całusów czy muśnięcia ręki. Szybko jednak okazało się, że to nie wystarcza. Ta gra była dopiero preludium do czegoś, co po długim, wyczerpującym dniu pracy miało przynieść pewnego rodzaju ulgę, a także spełnienie. Coraz bardziej zaskakiwany, rozpieszczany przez swoje adoratorki, które umiały wykorzystać każdą jego chwilę słabości – czuł się przy nich jak prawdziwy lew strzegący swego stada. Z czasem zatracił się w tej niewinnej grze, lecz ta pewnego dnia przestała być czysta i niewinna.

Już od początku wiedział, że alkohol plus kobiety nie stanowią bezpiecznej mieszanki, a jednak nie zrobił kroku w tył w odpowiednim momencie. Aż pewnego dnia przekonał się, że zabrnął za daleko. Zostały mu więc tylko

czujność i uwaga. Unikał zbliżeń w swoim miejscu pracy, bojąc się, że pewnego dnia ktoś odkryje jego gorszą stronę człowieczeństwa. A że nie potrafił oprzeć się nadciągającym z każdej strony pokusom, to nie zastanawiając się dłużej, skorzystał z propozycji przyjaciela i przejął klucz do mieszkania jego wujka.

– Rysiek, błagam! Pomóż mi!

W Niedźwiedziu wszystko było po staremu, tłumnie i hałaśliwie. Piwo z nalewaka lało się litrami, dym z papierosów unosił się nad stolikami, tworząc nad nimi gęstą chmurę.

Wylądowali tam tuż przed zamknięciem baru, czyli krótko przed dwudziestą trzecią. Opróżnili już pierwszy kufel, zamówili kolejny, zagryzając chleb ze smalcem pełen tłustych, spieczonych skwarków.

– Sam mnie wpakowałeś w to bagno, niepotrzebnie dałeś mi te klucze – jęknął teatralnie Antoni i zasłonił twarz, jakby chciał coś ukryć.

Kumpel puścił w jego kierunku oko i uśmiechnął się lubieżnie.

– Nakarmiłeś chociaż kanarki? – spytał ironicznie.

– Nakarmiłem – burknął, a potem dodał uniesionym głosem: – Do jasnej cholery, świat wali mi się na głowę, a ty pytasz o kanarki?

– Przecież muszą jeść, co nie? – Rychu sięgnął po pajdę chleba i zatopił w niej równe, zdrowe zęby.

– Tia... – mruknął Ostrowski, słysząc lekceważący ton kumpla. – Liczyłem na ciebie.

– Ale o co chodzi? – zdziwił się tamten i urwał, kiedy podeszła krągła kelnerka z dwoma kuflami piwa. Postawiła z brzdękiem szkło, po czym się oddaliła, a Rychu dopiero teraz zajrzał uważniej Antkowi w oczy.

– Nie wróciłem do domu na noc. Alina już mi więcej nie uwierzy... Muszę coś szybko wymyślić.

– Tylko co? – bąknął kolega, przetykając głośno ślinę i wpatrując się w ciemność za oknem. – Oto jest pytanie.

– No, na przykład że byliśmy tej nocy razem, załatwialiśmy jakieś interesy... – zaczął Antek tonem pełnym desperackiej nadziei. – Wymyśl coś, proszę!

– Chciałbym ci pomóc, stary, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Musiałeś zostawać tam na noc? – dodał głosem pełnym oburzenia. – Nie mogłeś skończyć na jednym numerku?

– Łatwo ci mówić! – Westchnął z żalem. – Była taka napalona. Ja nie wiem, jak one to robią. Wciąż im mało i mało. A potem na koniec pytają, kiedy odejdę od żony. Dobrze, co?

– No to się doigrałeś – podsumował bezlitośnie Rychu. – A nie mówiłem, że z babami trzeba ostrożnie? Masz taką ładną żonę, po co ci to wszystko? Dają ci więcej niż ona?

– Oczywiście, że nie – mruknął posępnie. – Tylko wiesz, jak to jest... – Każda na początku lepiej smakuje. – Zagryzł wargi, potem sięgnął do kieszeni kurtki. Wyciągnął paczkę z papierosami i poczęstował nią kumpla. – Ale żeby była jasność: one nic nie znaczą. Liczy się tylko Alina – dodał dramatycznym, aczkolwiek zdecydowanym tonem.

– Tylko nie na tym rzecz polega – ujął rzeczowo Rysiek. – W życiu trzeba mieć umiar.

– Chcesz mnie teraz pouczać? – bąknął bezradnie Antek, zaciągając się chciwie dymem. – Sam nigdy nie zaliczyłeś wpadki?

Mężczyzna strzepnął niedbale popiół do popielnicy.

– Zaliczyłem, bo to raz? – Przytknął papierosa do warg i oparł się o łokieć. – A nie myślałeś o tym, aby kupić działkę za miastem? Zakłady FSO sprzedają ziemię swoim pracownikom. Ja nie potrzebuję, moja Edytka twierdzi, że ziemia nie dla niej. Szkoda jej rąk i paznokci. Poza tym nie mamy aż tyle kasy. Ostatnio kupiłem nowy samochód.

– I nie chwalisz się?

–W porównaniu z twoim niemieckim cudem naprawdę nie ma czym. Dopiero zszedł z taśmy. Nowy fiat 126p. Syrenka zaczęła się sypać, rodzina się powiększyła, więc rozumiesz.

– Niejeden Kowalski marzy o takim cacku – mruknął Antoni, mlaszcząc z podziwem. – To auto przyszłości. Zobaczysz, słyszałem o nim to i owo... Jest ekonomiczne, zwrotne, a przy tym niedrogie.

W tym momencie podeszła kelnerka, przynosząc kolejny kufel z piwem. Pochyliła się głęboko nad stolikiem, świecąc Ostrowskiemu w oczy białym, ponętym biustem wystającym spod obcisłej bluzki. Rozchyliła w uśmiechu pełne, uszmlinkowane wargi.

– Ech! – jęknął poirytowany i odwrócił wzrok.

– Ma pani piękne oczy! – szepnął zuchwale Rychu, mierząc młodą kobietę beczelnym wzrokiem. – Szkoda takich oczu dla takiej speluny.

Tamta w mig wyprostowała plecy, uśmiech z jej twarzy zgasł, a zastąpiła go chwilowa wrogość.

– Nie pana sprawa! – odcięła się ostro, zebrała szybko naczynia, odwróciła na pięcie i poszła.

– Musiałeś ją splawić? Fajna była... – rzucił Antoni, odprowadzając ją wzrokiem.

– Właśnie uratowałem ci życie – oświadczył arcypoważnie Rysiek, a potem wybuchł niepohamowanym śmiechem.

Siedzieli w barze jeszcze kilka minut, dopili po ostatnim piwie, a potem Gil zaszedł do domu, oznajmiając Edytce, że wróci późno. Mieszkał tuż obok, na Szanajcy, więc stwierdził, że dzwonienie w takiej sytuacji byłoby niepoważne. Już w progu oznajmił, że mają z kolegą do załatwienia bardzo ważną sprawę. Od niej w zasadzie zależy przyszłość Ostrowskiego, a on jako jego przyjaciel nie może go zostawić w potrzebie.

Antek w tym czasie ze strapioną miną i głową wciśniętą w ramiona stał w zacienionym korytarzu i patrzył z niedowierzaniem, jak kumpel tłumaczy żonie całą sytuację. Ta natomiast, ubrana w żółty, pikowany szlafrok, nieco już przymały, trzymała jego głowę na piersiach, szepcząc do niego czule.

– Tylko niech Rysio uważa na siebie, Edytka będzie tęskniła.

– Ryś za swoją kaczuszką też będzie tęsknił. A gdzie reszta stadka? – Rychu zmienił głos na potrzebę wyrażenia większych emocji, zwinął usta w dzióbek i obsypał biust ukochanej drobnymi całuskami.

– Przestań, głuptasie! – przekomarzała się, targając jego gęstą czuprynę – Śpią już. Nie mogły się ciebie doczekać, więc obejrzały wieczorynkę, zjadły kolację i poszły spać. Tylko wróc do rana jak człowiek! – upomniała, przekrzywiając śmiesznie głowę. – A może Antoni wejdzie i napijecie się herbaty? – zaproponowała w pewnym momencie, spoglądając z ukosa na przestępującego z nogi na nogę kolegę męża.

– Dziękujemy, Edytko, za zaproszenie, ale mamy pilną sprawę do załatwienia – bąknął, zerkając błagalnie na Rycha, który właśnie usiłował wyrwać się z czułych uścisków.

Następnie szybko pożegnał się z gospodynią, cmokając ją z namaszczeniem w rękę, i pomknął jak strzała w dół schodów. Kilka minut później zdyszany Rychu usiadł obok na ławce, na której siedział, gniotąc w zdenerwowaniu końcówkę papierosa.

– Ale ci się kobitka trafiła, niech cię szlag! Jak ty to robisz? – jęknął z uznaniem Antek. – Urobiłeś ją w sekundzie jak plastelinę. Z moją by to nie przeszło.

Rysiek wypiął pierś do przodu, nie kryjąc dumy.

– No, cóż... trochę się napracowałem. Jak wiesz, nic nie przychodzi samo. Jedno jest pewne. Z niczym nie można przesadzać. Każde zaufanie jest ograniczone.

– Mądry z ciebie chłop i dobry kumpel – przyznał Antek, wzdychając głośno. – Szkoda tylko, że ja taki głupi...

Miał rację, z Aliną wszystko wyglądało inaczej. Nie spała, kiedy weszli do mieszkania i usiłowali ulokować się w kuchni. Pies zerwał się z legowiska i przywitał ich głośnym ujadaniem. Po takim mocnym wstępie położył się obok nogi pana i znów zasnął.

Tymczasem ona stanęła w drzwiach kuchni, gdzie siedzieli od pięciu minut, w bordowym szlafroku z frotté, z szopą czarnych, potarganych włosów, mierząc męża oskarżycielsko. Na stole stała już napoczęta butelka wódki i dwa do połowy napełnione kieliszki. Rychu poruszył się nerwowo na krześle, podniósł się nawet, usiłując coś powiedzieć na powitanie.

– Przepraszamy, Alinko, za tak późną porę, ale mieliśmy do załatwienia ważny interes. Gdyby nie twój mąż, byłbym... zgubiony. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Twarz kobiety się nie zmieniła, nadal tkwiła w drzwiach z gradową, nieprzejednaną miną.

– Co takiego zrobił mój mąż, że nie ma go drugą noc w domu, a ja umieram z niepokoju, nie mogę się z nim skontaktować, bo nie odbiera żadnych telefonów? – warknęła wściekle.

– To wszystko moja wina! – oznajmił mężczyzna, bijąc się w pierś. – Narozrabiałem ostatnio! Edytka by mnie zabiła, gdyby się dowiedziała, co zrobiłem.

– Że niby co takiego? – Alina usiłowała zrobić obojętną minę, choć paląca ciekawość zwyciężała.

– Rozwaliłem auto pod miastem, prowadziłem po pijanemu. Antek pomógł mnie ściągnąć, załatwił mechanika, a nawet wykorzystał swoje znajomości w milicji. Inaczej zabraliby mi prawo jazdy. Ma skubany wszędzie znajomości. Przesłuchiwali nas kilka godzin, aż wreszcie pojawił się pewien gość, szepnął swoim podwładnym kilka słówek i nas puścili. Wyobrażasz sobie? Mlasnął z zadowoleniem, spoglądając z uznaniem na kumpla.

Ten podniósł głowę, mając otwarte ze zdziwienia usta. Rychu kłamał jak z nut. W dodatku był taki przekonujący.

– Zajął wam to całą noc i cały dzień? – Nie dowierzała.

Rychu westchnął teatralnie.

– Nawet nie wiesz, jak padnięci jesteśmy. Marzę o tym, aby się położyć, ale obiecałem mojemu przyjacielowi, że wszystko ci opowiem. Bał się, że mu nie uwierzysz...

– A powinnam? – Skrzywiła się.

– Alinko, broń Boże! Twój mąż to kryształ! Jestem mu dozgonnie wdzięczny! Nie wiem, co bym bez niego zrobił!

W kilku susach dopadł do żony kolegi i zaczął ją obcałowywać po rękach.

– A do tego trafił mu się taki skarb.... – słodził dalej. – Taka piękność, taka wspaniała kobieta...

Alina przyjęła kilka komplementów bez słowa, ale kiedy poczuła odór alkoholu, cofnęła się, demonstracyjnie wznosząc obie ręce ku górze.

– Już dobrze, już dobrze... Wypijcie tę butelkę. Jak chcesz, możesz zostać na noc. Zadzwoń do domu i uprzedź, że nie wrócisz. Niedobrze w waszym stanie kręcić się po mieście. Nieszczęście gotowe. – Sapnęła, podnosząc podbródek i spoglądając z wyższością na męża.

– Pozwolicie, że już się położę? Miałam wyczerpujący dzień. Tośka gorączkowała – dodała z naciskiem na ostatnie słowa.

– Ale już dobrze? – zainteresował się mąż, przybierając troskliwą minę.

– Gdybyś odbierał telefony, tobyś wiedział. – Odcięła się, nie kryjąc goryczy.

Antoni, chwiejąc się na nogach, wstał. Przeszedł obok Aliny, chcąc zajrzeć do pokoju dziewczynek. Musnął ją ledwie, ale nawet nie drgnęła. W sypialni córek paliła się lampka, obie spały, oddychając równo. Pogłaskał je czule po włosach i policzkach. Żadna z nich nie była rozpalona, odcchnął więc z ulgą i wrócił do kuchni. Aliny już tam nie było, za to Rysiek przyglądał mu się uważniej niż zwykle. Pokiwał tylko głową z powątpiewaniem i wstał.

– Pójdę już, może złapię jeszcze jakiś nocny autobus.

– Zostań, prześpij się na kanapie. Rano cię odwiozę.

– Wybacz, stary, ale nie. Muszę wracać do domu.

Ostrowski przytaknął ze zrozumieniem, odprowadzając przyjaciela do przedpokoju.

– Dzięki – mruknął porozumiewawczo, kiedy tamten opuszczał jego mieszkanie.

Rozdział 36

Alina odłożyła druty do koszyczka i przyłożyła przód grubego swetra do tyłu. Pasował idealnie, uśmiechnęła się. „Jeszcze tylko rękawy i gotowe” – pomyślała. „Julka będzie miała w czym chodzić na łyżwy”. Tuż za osiedlem każdej zimy wylewano lodowisko, które jej córka uwielbiała. To, co wywijala na lodzie, przechodziło ludzkie pojęcie. Była urodzoną tancerką, pełną wdzięku i uroku, dlatego mama zapisała ją na łyżwy. Zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu, ale patrząc na postępy Julki – trudno było oprzeć się wrażeniu, że jest właściwą osobą na właściwym miejscu. Sweter był na ukończeniu, ale na lód trzeba było jeszcze trochę poczekać.

Niepostrzeżenie zrobiła się jesień, korony drzew nabrały rdzawej albo czysto żółtej barwy, mieniąc się w promieniach mocno świecącego słońca. Na trawnik opadły liście, które utworzyły barwny, szeleszczący dywan, rozdmuchiwany niekiedy przez szalejący wiatr. Ale dziś było ciepło i bezwietrznie, Julka bawiła się z dziećmi na podwórku, a Tośka jeszcze spała. Mieszkanie świeciło czystością, włożyła dużo pracy w to, aby urządzić pranie, wyszorować parkiety, które niedawno założyli, wyczyścić meble, uporządkować łazienkę i kuchnię. Na szczęście efekty były zadowalające. Ich dom przy Puszczy Solskiej lubili odwiedzać inni. Tętniło tutaj życie, radość aż dudniła, Alina miała okazję pochwalić się swoimi kulinarnymi zdolnościami, kiedy Antek dbał o to, aby nie zabrakło alkoholu. Dziewczynki w tym czasie najczęściej wywozili do dziadków. Kiedy były małe, jej matka zajmowała się nimi niechętnie. Teraz gdy podrosły, częściej podejmowała się opieki, choć jak twierdziła – brakowało im twardej ręki i dyscypliny. Obie wnuczki nie przepadały za babcią, bo ta ciągle od nich

czegoś wymagała, była szorstka, apodyktyczna i zimna jak lód. Co innego babcia Stefcia – ta skradła serca obu latorośli i za każdym razem nie mogły się doczekać wyjazdu do Łodzi.

Jelonki, kompleks bloków i wieżowców, uzupełniony o kościół, szkołę podstawową, a także małe sklepiki i drobny handel, był przede wszystkim tygłem przeróżnej społeczności, która zjechała tutaj i osiedliła się z wielu zakątków Polski. Chodząc z Makssem na spacerów bądź na codzienne zakupy do osiedlowego sklepiku, Alina wiele się mogła dowiedzieć. Panowała tutaj hierarchia taka jak wszędzie. Byli lepsi i gorsi, mniej i bardziej uprzywilejowani, choć w socjalistycznym systemie pozornie funkcjonowała równość. Jedni mogli więcej, inni mniej. Bez względu na podziały i uprzedzenia starała się być miła i nikogo nie wyróżniała z tłumu. Jednych lubiła bardziej, innych mniej. Na dobrą sprawę zaprzyjaźniła się tylko z Wiolettą, sąsiad z boku budził wciąż niepokój, zwłaszcza kiedy się w nią wgapiał i zamiast odpowiadać na pozdrowienia, tylko mruczał pod nosem. Antek raz do niego zaszedł z butelką wódki. Było to niedzielne, leniwe popołudnie, kiedy mieszkańcy osiedla zwykle zaszywali się w swoich mieszkaniach i odpoczywali po sutym, treściwym obiedzie. Dziewczynki poszły do swojego pokoju grać w bierki, a ona, popijając kawę, oglądała *Koncert życzeń*. Lubiła patrzeć na Krystynę Loskę, piękną, elegancką kobietę, która ze wspaniałą dykcją i nie mniej wspaniałą fryzurą odczytywała te wszystkie dedykacje. Bywała częstym gościem w restauracji Antoniego, więc oglądanie jej w szklanym okienku dawało podwójną satysfakcję. A potem słuchać Ireny Jarockiej, Jerzego Połomskiego, Anny Jantar, Seweryna Krajewskiego i wielu innych wykonawców, którzy swoimi wspaniałymi głosami skradli serca większości Polaków.

Mąż wrócił już po kilkunastu minutach wściekły i rozżalony.

– Nieużytek społeczny! – sarknął gniewnie. – Nie rozumiem takich ludzi!

– Ale co się stało? – spytała, wyciągając z barku drugi kieliszek. – Nie chciał z tobą wypić?

– Wypił, i owszem... – mruknął zrezygnowany. – Ale tylko jednego... Tłumaczył się, że ma służbę, że nie może, że innym razem. Czerśniak jeden!

– Dziś nie ma służby – odpowiedziała głucho Alina. – Znam jego grafik. Nie sposób nie słyszeć, jak wychodzi do roboty. Szamocze się przy tych drzwiach, jakby je pierwszy raz otwierał. A kiedy zobaczy mnie na klatce, to nie może oderwać oczu. Patrzy spode łba i nie wiadomo, co takiemu przychodzi do głowy.

– Pieprzony konfident! – sarknął Antoni, przechylając kieliszek wódki. – Jak nie chce pić, są tylko dwa wyjścia. Były alkoholik albo donosiciel.

– Stawiałabym na to drugie – rzuciła zdawkowo, nie odrywając wzroku od męża. Stał się jakiś wypłoszony, zupełnie nieswój.

– Nie przejmuj się tym idiotą! – oznajmił po chwili, nalewając jej kieliszek. – Nie z takimi dawałem sobie radę!

Tym stwierdzeniem ją nieco uspokoił, choć sąsiad nadal wydawał się nieprzyjazny i nieufny. Łypał tylko na nią spod krzaczastych brwi, czasem bąknął coś na powitanie, i to wszystko. „Okropny dziad!” – skwitowała w myślach, lecz na tym poprzestała. Moc pierwszego kieliszka zrobiła swoje, najważniejsze jednak, że złe myśli odpłynęły...

Tymczasem odgłos warczącego silnika kazał jej poderwać się z kanapy i ruszyć do okna. Tutaj wszyscy mieli silniki benzynowe, które inaczej pracowały. Nie pomyliła się i tym razem. Z balkonu ujrzała nadjeżdżającego błękitnego mercedesa. Zdziwiła się, bo zwykle mąż wracał do domu dopiero późnym wieczorem, pomijając noc, kiedy w ogóle nie wracał.

Za chwilę samochód zatrzymał się pod blokiem, drzwi otworzyły się i wyskoczył z niego Antoni. Julka, która natychmiast go zauważyła, porzuciła koleżanki, grę w gumę i wybiegła mu na powitanie.

– Tatuś przyjechał, kochany tatuś! – zaszczebotała.

Dosłownie chwilę później mąż pojawił się w mieszkaniu, trzymając starszą córkę za rękę, i kazał im się szybko ubrać.

– Jedziemy! To niespodzianka! – oświadczył krótko i tajemniczo.

Jechali nieco ponad pół godziny, najpierw pokonali drogę przez miasto, zostawiając za sobą betonowe osiedla, huczące aorty ulic, a potem dla odmiany minęli ciche, ciągnące się bezkresem pola i łąki. Aż znaleźli się we wsi, z drewnianą kapliczką na skrzyżowaniu dróg, remizą strażacką po drugiej stronie i małym sklepem spożywczym na rogu, pod którym na ławeczce kilku mężczyzn spijało piwo. Obrzucili obcy samochód uważnym wzrokiem i patrzyli jak przyhamował, a następnie ostrożnie potoczył się dalej, mijając skromne, niewysokie zabudowania przycupnięte po jednej stronie drogi. Dopiero kiedy zostawili za sobą wieś, Antoni zatrzymał się przy mało uczęszczanym, niedawno utwardzonym gościńcu. Wysiadł z auta i rozejrzał się badawczo na boki. Tosia jeszcze spała, więc Alina nie pozwoliła jej ruszyć, tylko przykryła szczelniej kocykiem, za to Julka wyskoczyła jak z procy, nie pytając nikogo o zdanie. Za nią Maks. Tymczasem mąż wskazał ramieniem przed siebie.

– To tutaj! – oznajmił – Tutaj będzie stał nasz dom!

Alina zamarła na te słowa. Tyle razy o tym marzyła, ale nawet nie śmiała mówić o swoich pragnieniach głośno. Uważała, że i tak ma więcej niż inni.

– Ale gdzie? – pierwsza zapytała Julka, która nic nie widziała poza porośniętym chaszczami prostokątem pola. – Tutaj nic nie ma, tatusiu! – rzuciła rozczarowana.

– Ale będzie – odparł uroczyście ojciec, wskazując ramieniem na pustą parcelę ziemi. – Już zamówiłem robotników, trzeba tylko wybrać projekt, załatwić parę papierków i gotowe!

Jak ojciec mówił, że trzeba załatwić parę papierków, to oznaczało, że nie ma i nie będzie w tym żadnych trudności, miał znajomości wszędzie, a już najmniej bał się urzędowych spraw. No, może poza kontaktami z milicją i tajnymi służbami. Tych z kolei bał się jak ognia.

Tośka dalej spała na tylnym siedzeniu, niczego nie rejestrując. Niedawno ukończyła dwa lata, była sprytna i szybko chłonęła wiedzę, a przy starszej siostrze edukacja szła jej jeszcze lepiej.

– Ojej! Jak tu pięknie! – odezwała się wreszcie Alina, odzyskując głos. – Cudowne miejsce, jak tu cicho, spokojnie! Ten las wokół, te pola, drzewa,

łąki... coś wspaniałego!

Antek objął ją ramieniem.

– Tak się cieszę, skarbie, że ci się podoba. Kupiłem tę działkę z myślą o tobie. Chciałem stworzyć dla nas azyl, takie miejsce, gdzie nikt nie będzie nam zaglądał w kieszeń ani w nasze życie... Będziemy tylko dla siebie, będziemy tu robić, co nam się tylko zamarzy. – Nachylił się do jej ucha i szepnął: – Kochać się na wiele sposobów. Tak jak lubisz, tak jak chcesz o każdej porze dnia i nocy...

Alina zadrżała. To wyznanie ją poruszyło do głębi. W oczach pojawiły się łzy wzruszenia.

– I będziesz wracał na noce do swojej Aluni? – spytała, podnosząc brwi i spoglądając na męża uważnie i z nadzieją. – I żadne sprawy nie będą ważniejsze od nas?

Uścisnął ją mocno i zachłannie.

– Żadne sprawy nigdy nie były ważniejsze od was. Obiecuję – oznajmił uroczyście.

Rozdział 37

Budowa szła pełną parą, plac wkrótce stał się jednym wielkim poboż-wiskiem, pełnym wykopów, błota, kolein, sterczących pali, porozrzu-canych narzędzi, gwoździ, rolek papy załatwionej po znajomości, belek i krokwi. Robotnicy ruszali się jak muchy w smole, wciąż się zatrzymywali na papierosa albo na szklanekę fusiastej kawy. Czasem przy niższych tem-peraturach sięgali po napoje procentowe, co nie zwiększało efektywności. Antek wciąż ponaglał, przyjeżdżał na teren, pilnował, negocjował warunki. Pragnął, aby do wiosny powstał ich nowy dom, sezonowy wprawdzie, ale zawsze dom.

Drewniany, parterowy, z użytkowym poddaszem, na którym miały się mieścić trzy nieduże sypialnie. Na dole zaplanowano spory salonik z ko-minkiem, kuchnię, pokój, korytarz z szafą i łazienkę. Całość uwieńczona ogrodem.

Tuż po Świątach Wielkanocnych osiemdziesiątego piątego roku dom był już niemal gotowy. Brakowało jeszcze schodów na górę, podstawowych mebli, tarasu, ale można już było zorganizować pierwsze tego roku ogni-sko.

Tego dnia Alina promieniała, w nowiutkim srebrnym dresie z mięciut-kiego kreszu, zapinanym z przodu na suwak, pikowanej kamizelce z orta-lionu, adidasach na wysokich podszewkach i przyciętych modnie na pazia włosach. Swym wyglądem robiła furorę wśród znajomych, którzy nie za-wiedli i przybyli licznie na tak zwane otwarcie sezonu. Wśród nich znaleźli się Rysiek z Edytą, generał Zenek z żoną Alutką, Marta z nowym narzeczo-

nym, Wiola z chłopakiem i wielu innych kolegów z pracy i zaprzyjaźnionych sąsiadów.

Antek w ciągu dnia przygotował ognisko, patyki do nabijania kiełbasy, a Alina skroiła sałatkę warzywną, otworzyła kilka słoików z ogórkami konserwowymi, a także grzybów z octem. Wódka w skrzynkach czekała w bagażniku. Było jeszcze chłodno, więc nie potrzebowali lodówki. Miało być swojsko i sielsko.

Po wygrabionym, uprzątniętym z żelastwa placu biegały dziewczynki z Maksem, pod płotem zieleniły się pierwsze zasadzone przez gospodynię różane krzewy. Na terenie pozostało kilka drzew, których nie pozwolili wyciąć. Całe szczęście, bo teraz rozłożysty dąb oraz kilka srebrnych, cichoszumiących brzoź tworzyły niepowtarzalny, klimatyczny zagajnik. Wokół działki rozciągnięto już ogrodzenie z siatki, zainstalowano bramę z metalu i furtkę, co z kolei dawało trochę złudne poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy zapadł wieczór, rozpalono wreszcie ognisko. Słup ognia wzbił się w górę, buchnął tysiącem iskier i oświetlił imprezowiczom roześmiane, zaczerwienione twarze. Każde z nich trzymało w ręku nabitą na patyk kiełbasę, skwierczącą od gorąca, niektórzy szklanki wypełnione wódką. Alutka – śliczna żona generała, drobniutka, eteryczna blondynka z ogromnymi niebieskimi oczami, zapominając się, opowiadała o kulisach swojej pracy w wojsku przy podsłuchiowaniu rozmów telefonicznych. Wszyscy zebrani słuchali jej z zaciekawieniem. Pełna inwigilacja nie była nowością, ale przedstawiona w ten sposób budziła niemałe rozbawienie.

– Głowa mi czasem puchnie od tych rozmów – żaliła się głośno, a pozostali uważnie jej słuchali. – Czego ci ludzie nie wymyślają, nie chcielibyście wiedzieć.

– Powiedz, powiedz! – naciskali, ale kobieta tylko uśmiechała się niewinnie i zalotnie. Przykładała palec do pełnych ust i chichocząc w alkoholowym zadurzeniu, powtarzała.

– Ciii, tajemnica państwowa.

Większość miała już dobrze w czubie, dlatego kończyło się wybuchem śmiechu, ktoś przerywał, wtrącał swoje opowieści, ktoś zaczynał głośno

wyśpiewywać. Czas mijał niepostrzeżenie, tuż po dwudziestej drugiej i Alina postanowiła położyć dziewczynki spać. Obie protestowały, ale w końcu zasnęły dopiero kiedy mama przeczytała im ulubioną bajkę. Dalej już impreza potoczyła się swoistym, dotychczasowym rytmem, przy rozmowach, śpiewie, jedzeniu i piciu. Świat zatrzymał się w miejscu na tym niewielkim skrawku ziemi, pod tym samym wspólnym niebem, który miał się okazać dla Ostrowskich nieocenionym azylem.

Rozdział 38

Sala koncertowa teatru Roma wypchana była po brzegi. Czarna scena oświetlała słupami reflektorów grupę tancerzy wykonującą po mistrzowsku przygotowany numer. Po nich miała wystąpić ze swoim nowym pianistą Józefa Wróblewska, wielbicielom jej muzyki znana jako Gina. Wszyscy niecierpliwie czekali na występ ukochanej gwiazdy, która po latach postanowiła wrócić do śpiewania. Wreszcie, po krótkiej przerwie między występami, na scenę wyszedł ubrany w czarny smoking konferansjer i zapowiedział uroczyście jej występ. Rozległy się brawa, okrzyki uznania, nawet pełne nonszalancji gwizdy.

Zanim pojawiła się na scenie, miejsce przy fortepianie zajął wysoki, szczupły mężczyzna w średnim wieku, lekko szpakowaty, w ciemnym fraku, białej koszuli i lakierowanych butach. Stroińscy siedzący w pierwszym rzędzie popatrzyli na siebie porozumiewawczo, po czym wymienili znaczące uśmiechy. Stefania poprawiła się w obitym bordowym pluszem fotelu, odruchowo strzeliła kulkami zamka eleganckiej torebki, zaś Felek wyciągnął długie nogi przed siebie.

– Oto i ona! – mruknęła podekscytowana przyjaciółka, biegnąc spojrzeniem za smukłą postacią w szarej, lśniącej sukni oświetlonej słupem reflektora. Włosy miała tym razem luźno ułożone, wcześniej zakręcone na grube wałki, dzięki czemu wiły się teraz zalotnymi lokami wokół twarzy, nadając jej świeży, dziewczęcy wygląd.

– Piękna jak zawsze. – Feliks westchnął z uznaniem, na co Stefka trąciła go z udawaną złością w łokieć. Zerknął na nią przez ramię i uśmiechnął się

rozbrajająco. – Ale przecież nie taka piękna jak ty – dodał szybko na usprawiedliwienie.

– No, myślę... – chrząknęła udobruchana, choć zazdrość o koleżankę czy o inne kobiety w tym wypadku nie wchodziła w grę. Ufała mężowi na tyle, że nie obawiała się z jego strony żadnych jednoznacznych sytuacji. Tylko z przekory lubili sobie czasem podokuczać, co urozmaicało i jeszcze bardziej cementowało ich związek.

Wkrótce rozległy się pierwsze dźwięki instrumentu, sala ucichła, a w powietrzu wzbił się czysty jak kryształ, anielski głos. Śpiewała swój stary przebój, który wiele lat temu stworzyli wspólnie z Kazimierzem. Wówczas zdobył popularność nie tylko w kraju, ale również w całym bloku wschodnim, gdzie przecież często byli zapraszani na występy.

Teraz również jej wykonanie porwało publiczność, bo jak tylko wybrzmiały ostatnie takty, podniosła się wrzawa, ludzie zaczęli klaskać, wstać i prosić o bisy.

– To się nazywa wielki powrót – podsumował Feliks bez cienia złośliwości, nachylając się żonie do ucha. – Swoją drogą zasłużyła. Ona naprawdę ma talent. Cieszę się, że dałem ci się namówić na przyjazd do Warszawy.

– Jak będziesz mnie słuchał, dobrze na tym wyjdiesz – skwitowała, mrugając łobuzersko w jego stronę. – Zgadzam się z tobą. – Podniosła głos, usiłując przebić się przez głośnie wiwaty. – Józia to prawdziwa gwiazda!

Zaśpiewała jeszcze trzy utwory, ostatni stworzyła niedawno. Nosił tytuł *Nie zapomnę*. Następnie przedstawiła nowego muzyka, który na dźwięk swojego nazwiska oderwał się od fortepianu i głęboko uklonił widowni. Znów rozbrzmiały głośnie brawa, publiczność szalała i nie pozwoliła swojej ulubienicy zejść ze sceny. Jakiś mężczyzna wręczył artystce bukiet przepięknych róż.

Dopiero po kilku bisach i pojawieniu się w miejscu Giny konferansjera wrzawa nieco przycichła.

– Chodźmy! – zdecydowała Stefania. – Zaskoczmy Józję i wręczymy jej prezent w garderobie!

– Jesteś pewna?

– Oczywiście!

Wstali i ruszyli w miejsce, które już wcześniej odwiedzała. Przyjaciółka wielokrotnie pokazywała jej kulisy teatru. Przemknęli się przez tajne drzwi i pokonali długi, słabo oświetlony korytarz, wciąż mijając po drodze śpieszących się gdzieś, zdenerwowanych artystów.

Nie byli zaskoczeni tym, że zastali w garderobie również Gustawa. Masował plecy kobiety, kiedy ta usiłowała poprawić makijaż. Niewielkie pomieszczenie z toaletką, lustrem, parawanem wypełniały kwiaty. Ich ostry zapach drażnił i przyprawiał o mdłości.

– Witajcie, kochani! Co za niespodzianka!

Poderwała się zdumiona na ich widok, w tej samej chwili jej twarz rozjaśnił piękny uśmiech.

– Poznajcie się. To moi przyjaciele z Łodzi: Stefania i jej mąż Feliks!

– Gustaw Rojecki – przedstawił się mężczyzna i pochylił, cmokając z pietyzmem dłoń Stroińskiej.

Tymczasem Józia wzięła do rąk bukiet kwiatów i przytknęła do nosa.

– Pamiętaliście... – jęknęła wzruszona. – Tylko wy jedni...

– A ja? – wtrącił Gustaw. – Ja też pamiętałem!

– Ty tak, ale moja córka, zięć... Nawet nie przysłali kartki z życzeniami.

Zapadła niezręczna cisza. Duszący zapach stawał się nie do zniesienia.

– Wiesz, że kartki zwykle przychodzą z opóźnieniem! – odezwała się Stefcia, chcąc rozładować atmosferę. – Nie smuć się, zobacz, ilu ludzi cię kocha! – Zatoczyła ramieniem, wskazując na bukiety w wazonach i wiadrach.

W odpowiedzi pokiwała smętnie głową, a potem ku zaskoczeniu pozostałych roześmiała się szeroko.

– A co powiecie, kochani, na urodzinową kolację?

– Czemu nie? – podchwyciła Stefania, mrugając porozumiewawczo w kierunku męża.

– To ja was zostawię na chwilę – oznajmił nagle partner Wróblewskiej, widząc, ile to spotkanie znaczy dla ukochanej. – Przyniosę butelkę szampana. Nie możemy tego tak zostawić.

– Wspaniały pomysł, kochanie! – rzuciła do jego pleców. – Wracaj szybko! Czekaamy tu na ciebie!

Stefania objęła przyjaciółkę ramionami.

– Byłaś wspaniała, gratuluję! – szepnęła jej do ucha. – Jeszcze raz wszystkiego najlepszego! Dużo miłości i szczęścia! – Podała jej maleńki pakunek owinięty czerwoną wstążką. – To dla ciebie, taki drobiazg. Ten Gustaw jest naprawdę czarujący – dodała, mrugając wymownie.

– Dziękuję...

Józia uściskała przyjaciółkę i jej męża, następnie drżącymi palcami rozwiązała kokardkę. W środku pudełeczka mieniła się srebrna, owalna broszka otoczona na krawędziach misternym wzorem, z wtopionym w centralnym miejscu wielkim piaskiem pustyni.

– Cudowna! Zawsze o takiej marzyłam! – zawołała zachwycona.

– Kupiliśmy ją nad morzem, we Władysławowie. Byliśmy tam kilka dni z Weroniką, Małgosią i Zbyszkim. Kiedy ją wypatrzyłam na wystawie w takim maleńkim sklepiku, od razu wiedziałam, że musi być twoja!

Wróblewska odwróciła się do lustrzanej tafli i zaczęła ją przykładać do dekoltu sukni.

– Z tym kolorem się trochę kłóci, ale do mojego nowego kostiumu i futerka z norek będzie pasowała idealnie!

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Rozmowa się urwała, a na twarzy jubilatki wymalowało się zniecierpliwienie pomieszane z irytacją.

Przyłożyła figlarnie palec do ust.

– Ciii... mnie tu nie ma! Jakby coś, wyszłam z teatru – mówiąc to, schowała się za rozłożony za plecami parawan.

Popatrzyli po sobie nieco zdezorientowani, kiedy drzwi rozwarły się z hukiem i stanęła w nich cała trójka.

– Sto lat, sto lat! – zaczęli wyśpiewywać łącznie z Nineczką na czele, która dzierżyła w małych rączkach ogromną bombonierę zapakowaną w błyszczący celofan.

– Babciu, gdzie jesteś? – spytała cienkim, rozczarowanym głosikiem, widząc zamiast ukochanej osoby jej bliską znajomą.

– Tu jestem, kochanie! – Józia wybiegła z ukrycia z szeroko rozstawionymi ramionami. Jej głos zaczął się łamać ze wzruszenia.

– Niespodzianka! – zawołała tymczasem Rozalia, dopadając do matki. W rękę trzymała butelkę szampana, a jej mąż niósł za nią ostrożnie szklaną patere, a na niej piętrowy tort ozdobiony girlandą róż.

– Myślałam, że jesteście na Krymie! – załkała Józia, nie mogąc opanować łez. – Nie sądziłam, że...

– Wzięliśmy sobie kilka dni urlopu – wtrąciła zadowolona córka, obejmując rodzicielkę czulej niż zwykle. Następnie pogłaskała ją po skroniach. – Chcieliśmy zrobić ci niespodziankę.

– To wam się udało. – Otarła mokre policzki, nie kryjąc wzruszenia. Potem porwała w ramiona wnuczkę i wyściskała mocno.

Wkrótce dołączył do nich Gustaw. Przyniósł na tacy komplet kieliszków. Musiał być wtajemniczony we wszystko, bo liczba szkła zgadzała się co do jednego.

Stefania stała obok, przyglądając się tej scenie ze ściśniętym sercem. Córka jej przyjaciółki wyrosła na piękną kobietę. Jej wygląd stanowił kwintesencję smaku i klasy. Nic dziwnego... podobnie jak matka była gwiazdą. Wprawdzie nie estrady, ale szklanego ekranu. Znana była z wielu ról, w które się wcielała. Nie zawsze były to postacie pierwszoplanowe, jednak w kraju stawała się coraz bardziej rozpoznawalna.

– Dzień dobry, ciociu! – przerwała jej rozmyślenia Rozalia i podbiegła, aby się przywitać.

– Witaj, kochana! – Objęła ją ramionami, wyczuwając zmysłowo-orientalny zapach perfum. – Pięknie wyglądasz!

– Dziękuję – odparła skromnie, a potem dodała:

– Ty też, ciociu. Obie z mamą wyglądacie znakomicie!

Roześmiały się na te słowa, sięgnęły po napełnione bąbelkami kieliszki i wszyscy odśpiewali jubilatce *Sto lat*.

Weronika miała powody do zadowolenia, szefowa przychylnie odniosła się do jej ostatniego projektu i postanowiła umieścić go w najnowszej kolekcji. Była to sukienka – niezwykle prosta, subtelna, przewiązana w talii paskiem, z rozkloszowanym dołem. Cała magia tkwiła jednak w kolorze. Na tle szarej, betonowej Polski ten projekt w dość ostrej, odważnej zieleni wyróżniał się na tle innych. Wiązało się to z tym, że jej nazwisko wreszcie miało zostać odczytane na premierowej gali. Marzyła o tym niejedna projektantka, dlatego takie osiągnięcie mogła śmiało nazwać sukcesem.

Wychodziła właśnie z pracy roześmiana od ucha do ucha, bo koleżanki jedna przez drugą gratulowały szczerze. Wszystkie uznały, że zasłużyła sobie na to wyróżnienie nie tylko pracowitością, ale i talentem zarazem.

Zdziwiła się, kiedy pod ogrodzeniem dostrzegła Józka. Czekał na nią oparty o metalowy płot, paląc bez pośpiechu papierosa. Grupa roześmianych kobiet ściągnęła jego uwagę, bo rzucił niedopałek pod nogi i uśmiechnął się głupawo. Towarzyszące Weronice koleżanki na jego widok zaczęły się wdzięczyc i robić zalotne miny. Nie miały pojęcia, kim był i do kogo przyszedł, jednak jego urok zadziałał i tym razem. Zatrzymała się w pół kroku ku zdziwieniu współpracownic, a te gwizdząc i pomrukując, mrugając porozumiewawczo, poszły dalej. Rzuciła lodowato.

– Czego znów chcesz? Przestań za mną łązić!

– Chcę porozmawiać! – wyjaśnił, patrząc w jej oczy zuchwale.

Nie wiedzieć czemu, wbrew samej sobie znów zadrżała, jak wtedy, kiedy zobaczyła go pierwszy raz.

– Nie mamy o czym, wszystko sobie już powiedzieliśmy.

– Kocham cię, Werka! – oznajmił krótko, zastępując jej drogę. – Nie mogę przestać o tobie myśleć. Byłem głupcem, cholernym głupcem. Wy-

bacz mi!

– Zejdź mi z oczu! – syknęła wściekle. – Zapomniałeś, że właśnie niedawno wyszłam za mąż? Zbyszek to wspaniały człowiek, nie jesteś w stanie mu w niczym dorównać!

Bąknęła coś niewyraźnie, kiwając głową, jakby zgadzając się z tym, co powiedziała.

– Nawet nie śmiem... Gdybyś jednak mogła mnie wysłuchać... – jęknęła błagalnie. – To nie zajmie nam wiele czasu.

Wiedziała, że powinna go pogonić, że spotkanie z nim tylko skomplikuje jej życie, ale jej serce kolejny raz jak szalone zawyło z tęsknoty. Rozejrzała się uważnie na boki. Na fabrycznym placu było pusto, w dali krzątał się jedynie pan Włodek, który dbał o porządek całego terenu.

Przestąpiła niecierpliwie z nogi na nogę. Józek wgapił się w nią spod łba, nie kryjąc swoich uczuć, których wcześniej nie umiał z siebie wykrzesać.

– Masz pięć minut! – rzuciła obcesowo.

Najpierw odetchnął z ulgą, ale potem chrząknął, bezradnie rozkładając szeroko ręce.

– Tutaj wszędzie ktoś się kręci, chciałbym abyśmy byli sami. Może pojedziemy na Lipową?

Zdumiała ją jego bezczelność, choć z drugiej strony – czego mogła się po nim spodziewać. Przy wykształconym, kulturalnym mężu ten jawił się jako nieokrzesany, prymitywny cap. A jednak to właśnie ją w nim pociągało. Ta szorstkość i obcesowość prostego chłopca, który potrafił w jednej sekundzie zrzucić z siebie całą tę maskę pozorów i stać się ognistym, czułym, pełnym niepohamowanej fantazji kochankiem. Tego jej brakowało przy zdystansowanym, zachowawczym mężu, w dodatku posłusznym i oddanym do granic. Tego szaleństwa, żaru, namiętności, tej każdej rozpaczliwej sekundy bycia z kimś, kogo się naprawdę pragnęło. Tylko że ona już dawno wyleczyła się z tego uzależnienia, przynajmniej do tej pory tak myślała.

– Tam mieszka teraz moja matka z Felkiem. Odstąpili nam swoje mieszkanie przy Piotrkowskiej, uznając, że jest bardziej przestronne i... – bąknęła wymownie – rozwojowe.

– Szczęściara! – wycedził drwiąco, lecz zaraz się pohamował i dodał: – W takim razie... chodźmy do mnie. To niedaleko stąd.

– Czyli?

– Obrońców Stalingradu. Mieszkała tam moja babka, która zmarła ponad rok temu. Byłem u niej zameldowany, więc można uznać, że lokum jest moje.

Łypnął na nią spod krzaczastych brwi, sprawdzając, czy to wyznanie zrobiło na ukochanej wrażenie.

– Nie miałam pojęcia, że mieszkasz w tej okolicy... Masz żonę? – spytała szybko.

– Nie – odparł.

– To z kim mieszkasz? – drążyła, dotrzymując mu kroku, kiedy ruszył w stronę bramy.

– Z nikim.

Jej serce zabiło kolejny raz, zdradzieckie myśli poszybowały w nieznany rewir, gdzie byłoby tylko we dwoje. Już na samo wyobrażenie poczuła niepokojący dreszcz prześlizgujący się wzdłuż jej pleców. Wiedziała, że idąc z nim – wiele ryzykuje. Powinna wracać do domu, gdzie czekała na nią córeczka Małgosia z mężem. Powinna zawrócić z tej niebezpiecznej drogi, zanim nie będzie jeszcze za późno. A jednak nie zrobiła tego, doszli do przystanku, gdzie wsiedli w pierwszy lepszy tramwaj. Dudnił, przemieszczając się po torach, a hamując, świdrował uszy nieprzyjemnym zgrzytem.

Wreszcie wysiedli i ona znów jak lunatyk podążyła za nim. Po kilku minutach znaleźli się na ponurym, cuchnącym rynsztokiem i moczem podwórku, z kostropatymi ścianami oficyn, na którym kilku chłopaków ubranych w liche porcięta i swetry grało w kapsle. Kiedy jeden z blaszanych krążków wylądował pod ich nogami, Józek pochylił się, pochwycił w palce,

podrzucił nim kilka razy, a potem wręczył małemu mieszkańcowi kamienicy, który właśnie podbiegł i wyciągnął w ich stronę ramię.

– Dzięki, Józek! – zawołał nieco zasapany chłopiec, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Znacie się? – nie kryła zdziwienia.

– Tak, to mój sąsiad z drugiego piętra. Pomagam czasem jego matce nosić węgiel. Jest chora biedaczka...

– To miło z twojej strony – podsumowała, nie kryjąc sarkazmu. – Ładna chociaż jest?

– Daj spokój! – zachnął się. – Naprawdę myślisz, że mógłbym tak z każdą?

– A nie?

– Nie – odparł poważnie.

Przed samym wejściem na klatkę zatrzymała się. Jakaś wewnętrzna intuicja podpowiadała jej, że powinna się natychmiast wycofać.

– Wystarczy tego, dość! – zaprotestowała gwałtownie. – Co ja tutaj właściwie robię?

Chwycił ją za łokieć, popatrzył głęboko w oczy.

– Jeszcze chwila i będziemy na miejscu. Tylko pięć minut, błagam!

– Ale po co? Jaki to ma sens?

– Proszę! – Biliński się nie poddawał. – Przekonam cię, że ma.

Nie zwolnił uścisku, tylko popchnął ją lekko w górę schodów.

Odurzyła ją woń stęchlizny i kocich odchodów. W pierwszej chwili stanęła jak wryta, czeluść wnętrza pogrzyła ją w mroku, lecz w drugiej – zamknęła oczy i pozwoliła poprowadzić się dalej.

Rozdział 39

W mieszkaniu przy Puszczy Solskiej grało radio. *Cztery pory roku* Vivaldiego wybrzmiały przyjemnie w uszach Aliny, kiedy skończyła zmywanie i poszła do łazienki napełnić wodą pralkę franię. Niedawno odprowadziła Julkę do szkoły, Tośka zaś biegła jak szalona po pokoju, drażniąc Maksa, który tym razem nie miał ochoty na zabawę. Leżał na swoim legowisku i nawet nie drgnął, kiedy targała go za uszy i próbowała go dosiąść. Ten brązowej maści bokser stał się ulubieńcem całej rodziny. Wprawdzie dalej na myśl o Barym robiło im się ciężko na sercu, to jednak w jakimś stopniu ten psiak zastąpił im dawnego pupila, a w ich życie wniósł niezwykłą radość i ciepło. Zerkała kontrolnie od czasu do czasu w ich stronę, rejestrując wyczyny córki.

– Tośka, zostaw Maksa! – rzuciła przez ramię, ale jej łobuziara nawet nie zareagowała.

Westchnęła zrezygnowana i odruchowo sięgnęła do blaszanej miski, w której zbierała brudy z kilku dni. Zaczęła je segregować, zaczynając od męzowskich koszul i bielizny. Odkładała na jedną kupkę jasne rzeczy, na drugą ciemne. Nagle jej uwagę przykuł ślad kobiecej szminki odbitej na białym, sztywnym kołnierzyku. Co ciekawe, ślad kobiecych ust widniał od wewnętrznej strony tej części ubrania. Zamarła w pierwszej chwili, w drugiej zalała ją fala wściekłości. Jedna ręka zawisła bezradnie w powietrzu, myśli tłukły się po głowie jak szalone.

– To nic nie znaczy – podpowiadał jej głos rozsądku, ale diabelski szept uświadomił jej, że w końcu to nic innego tylko dowód zdrady.

Usiadła na brzegu wanny, nie wiedząc, co ze sobą począć, przytrzymała się krawędzi warczącego urządzenia, bo w głowie poczuła zamęt. Myślała intensywnie kilka minut, aż wreszcie podjęła decyzję. Wyłączyła pralkę, ubrała się starannie, uczesała, nie zapominając o makijażu. Zadowolona z takiego obrotu sprawy Tośkę zaprowadziła do sąsiadki. Wioletta miała z kolei kota, który dawał się głaskać i obściskiwać.

– Muszę jechać do restauracji. Mam ważną sprawę do załatwienia – wyjaśniła w kilku słowach. – Zaopiekujesz się małą?

– No pewnie! – odparła koleżanka, która akurat szła do fabryki na nocną zmianę. – Tylko wróć przed piętnastą, chciałabym się z godzinkę jeszcze przespać.

– Wrócę, nie obawiaj się! Załatwię, co mam załatwić, i wrócę – obiecała ponurym głosem.

– Stało się coś? – Wiola odprowadziła ją do korytarza i obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem. – Masz taką minę...

Alina westchnęła ciężko i bezradnie wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że nie.

Czterdzieści minut później była już na miejscu. Podobno nie byłoby ulicy Foksal, gdyby w połowie osiemnastego wieku nie pojawił się w Warszawie niejaki Franciszek Ryx. Pochodził z Flandrii, gdzie był czeladnikiem fryzjerskim. Człowiek ten, żyjący w czasach króla Stanisława Poniatowskiego, zrobił zawrotną karierę, awansując najpierw na królewskiego kamerdynera, a następnie na starostę. Po pewnym czasie wszedł do spółki z bankierem Fryderykiem Kabrytem, który na tyłach Nowego Świata wypatrzył sobie urokliwy zakątek – posiadłość należącą wcześniej do rodziny Czapskich. Obaj panowie wpadli na pomysł, aby w tym miejscu zorganizować ogród dla wyższych sfer i wprowadzić bilety wstępu, jak na tamte czasy bardzo kosztowne, które wyeliminowały skutecznie biedotę i pospólstwo. Trafić tam było łatwo, bo wisiał szyld z napisem Foksal.

Alina słyszała tę opowieść od generała, pan Zenek bardzo często przytaczał różne ciekawostki z życia Warszawy. Teraz jednak ogarnięta złością, wparowała do restauracji, nie kryjąc swojego podłego nastroju, ściągając na siebie falę zaciekawionych spojrzeń.

Nie zastała męża w cukierni, gdzie właśnie wypiekały się, rumieniąc uwodzicielsko, bułeczki, a ich zapach dobywał się z rozgrzanego pieca, ani w kuchni, gdzie zwykle doglądał pracy swojej załogi. Przy barze o tej porze było pusto, za to po głównej sali biegały, kręcąc zalotnie tyłkami, kelnerki. Było też kilku kelnerów, ale ci jej akurat nie interesowali. Gości było już sporo, zamówień nie brakowało. Przyglądała im się podejrzliwie, śledząc ich ruchy, ale przede wszystkim skupiając uwagę na ustach. Zerknęły na nią z ukosa, niektóre prychały pogardliwie. Zwłaszcza jedna wydała jej się podejrzana. Niewysoka blondyneczka, cholernie zgrabna, o nietuzinkowej urodzie. Zbliżyła się do niej, obrzuciła nieco natarczywym uważnym wzrokiem.

– Jak ci na imię? – spytała.

– Danuta – odparła tamta z wyższością.

– Mogę cię prosić na bok?

– Mnie, ale po co? Mam dużo pracy... – bąknęła nieco wylękniona.

Alina chwyciła ją za łokieć i pociągnęła za sobą. Tuż za kuchnią był niewielki kantorek, w którym Antoni najczęściej podliczał utargi.

– To twoje? – Demonstracyjnie wyciągnęła z torby mężowską koszulę i podstawiła jej pod nos.

– Ależ co pani wyprawia? – oburzyła się tamta, próbując wyrwać rękę z uścisku.

Im bardziej się stawiała, tym większą pewność miała Ostrowska. Ten sam kolor szminki, ten sam pełny kształt ust.

– Jeśli nie odczepisz się od mojego męża, inaczej sobie porozmawiamy – syknęła wściekle.

Nagle, ku jej zaskoczeniu, dziewczę wyprostowało się i wypięło dumnie pierś.

– A co mi zrobisz? – rzuciła zuchwale.

– Wyrwę ci te kudły z głowy! – wycedziła Alina, nie kryjąc determinacji. – A z Antkiem sobie porozmawiam. Ma cię natychmiast zwolnić, ty wywłoko! Zrozumiałaś?

Puściła ją, lecz Danka zamiast sobie pójść, wymierzyła w jej twarz pogardliwym wzrokiem.

– To się jeszcze okaże – mruknęła ostrzegawczo.

Antoni wszystkiemu zaprzeczał. Twierdził, że fantazjuje, że to wszystko bzdury.

– Cały czas ktoś się ze mną wita. Robisz aferę z powodu szminki na kołnierzyku?

– Ta flądra niemal się przyznała! – broniła swoich racji Alina. – Masz ją natychmiast zwolnić!

Mąż podszedł bliżej i próbował objąć pojednawczo. Wzdrygnęła się i cofnęła dwa kroki. Znajdowali się w ogrodzie, na tyłach restauracji, gdzie nie dosięgało ich żadne wścibskie oko.

– Nie mogła się przyznać, bo nic między nami nie zaszło – odparł zdecydowanie. – Chciała ci widocznie zrobić na złość, po tym jak ją zaatakowałaś. Niepotrzebnie, kochanie, tak się denerwujesz.

– Tym bardziej! – wrzasnęła z furją. – Nie będzie mi taka wywłoka dyktowała, co mam robić! Masz ją zwolnić i koniec kropka!

– Dobrze, skarbie. Przemyślę to. Tylko się uspokój.

Podniosła brwi i zamrugła oczami, w których szkiło się od łez.

– Obiecujesz?

Myślał chwilę intensywnie, jego twarz ściągnął niepokojący grymas.

– Ale po co aż tak drastycznie? – zaoponował po chwili nieco sztywnym głosem. – Dziewczyna ma bardzo trudną sytuację finansową. Bez tej pracy

będzie musiała wszystko rzucić i wrócić na wieś. Ma chorego ojca na utrzymaniu...

Obrzuciła go tym razem wściekłym spojrzeniem.

– A co mnie obchodzi jakaś wieśniara? Czy ona jest ważniejsza od nas?

Znów spróbował się zbliżyć i objąć ramionami, na co mu nie pozwoliła. Odepchnęła jego dłonie, które ledwie ją musnęły.

– Nie poznaję cię – sarknął z wyrzutem. – Nigdy taka nie byłaś.

Roześmiała się drwiąco, nie kryjąc goryczy.

– A jaka byłam? Głupia i naiwna, bo wierzyłam w każde twoje kłamstwo?

– Nigdy tak nie myślałem. Jesteś najmądrzejszą, najważniejszą kobietą w moim życiu.

– Dobrze sobie! – prychnęła gorzko.

Następnie wyprostowała się dumnie i spojrzała mu oskarżycielsko w twarz.

– Jeśli jej nie zwolnisz, z nami koniec – oświadczyła hardo, zrobiła zwrot na pięcie i skierowała kroki w stronę restauracji.

Rozdział 40

Nie ma! – Pulchna ekspedientka ze sklepu mięsnego, ubrana w biały, poplamiony krwią fartuch, burknęła pod nosem, kiedy zapytała, czy jest łopatka.

– A kiedy będzie?

– A bo ja wiem? – Wzruszyła bezwiednie ramionami i rozciągnęła wąskie usta w kreskę.

– To co w takim razie jest? – drażyla Weronika, nie kryjąc irytacji. Stała w kolejce już dwie godziny, chcąc kupić cokolwiek na obiad. Za nią ciągnął się długi ogonek wystający aż za drzwi budynku.

– Słonina – odparła tamta zniecierpliwiona. – To kupuje paniusia czy nie?

– Ale ja mam kartki – oznajmiła, na co tamta prychnęła lekceważąco.

Powiodła wzrokiem po pustych hakach, na których wisiał tylko jeden maleńki zrębek białego tłuszczu.

– Ten? – Wskazała ruchem brody, mając ochotę roześmiać się w głos.

Sklepowa uderzyła tasakiem w drewnianą deskę, obrzucając ją wyniosłym spojrzeniem.

– Jak się nie podoba, to weźmie ktoś inny! – wycodziła.

Weronika westchnęła ciężko i zawahała się na chwilę. Potem zaś rzuciła bezradnie.

– Niech będzie... I dwie nóżki – dodała, dostrzegając je w ostatniej chwili. „Zrobię galaretkę” – pomyślała. „Chociaż tyle”...

Zapakowała zdobycze do torby i ruszyła dalej, do delikatesów, gdzie już wcześniej zaklepała kolejkę. Mieli rzucić kawę, chałwę i michałki, uwielbiane przez Małgosię. Wpadła do środka niemal w ostatniej chwili, kobieta, która była przed nią, właśnie dokonywała zakupów. Podziękowała za utrzymanie miejsca uprzejmemu panu po sześćdziesiątce, który na widok ładnej młodziutkiej dziewczyny tylko się uśmiechnął.

– Zdążyła pani, akurat rzucili! – zachnął się. – Ale można tylko kupić po pół kilograma!

Sapnęła, luzując apaszkę wokół szyi. Odpięła guziki wiosennego palta, przytakując rozmówcy z ubolewaniem.

– Pół kilograma luksusu! – prychnęła gorzko, zerkając w jego kierunku przez ramię.

Mężczyzna odpowiedział kiwnięciem głowy, z jego pokrytej rozczarowaniem twarzy płynął głęboki smutek. Pewnie w swoim życiu niejedno przeżył i widział.

– Nie dość, że ceny wciąż rosną, to jeszcze nic nie ma na półkach.

– Jak to nie ma? – zadrwiła. – A ocet i musztarda?

Chciał spuentować jej wypowiedź, ale zamilkł, bo Weronika dotarła wreszcie do zaszczytnego miejsca przy ladzie. Sprzedawczyni popatrzyła na nią spode łba, kiedy poprosiła o zapakowanie kawałka waniliowej chałwy. Zrobiła to bez słowa, następnie odważyła cukierki.

Na koniec łaskawie przyniosła paczkę palonych ziaren.

Młoda kobieta zapłaciła i podziękowała, choć sprzedawczyni nie raczyła jej nawet odpowiedzieć.

– Wszystkiego dobrego! – Pokłoniła się kolejkowemu towarzyszowi i wyszła z wnętrza sklepu nasyconego boskim aromatem kawy i czekolady. Odetchnęła z ulgą, widząc wijący się daleko poza drzwi magazynu, niekończący się ogonek.

Chciała wejść jeszcze do sklepu z chemią, aby zakupić pastę do podłogi i proszek do prania, gdy natknęła się na idącą z przeciwnej strony rodzicielkę.

– Mamo, co tutaj robisz? – zawołała zaskoczona.

– Wracam właśnie z pracy, słyszałam, że w chemicznym rzucili papier toaletowy.

– Ojej, jak to dobrze! Ja też tam idę!

Wkrótce obie zajmowały miejsce w długim sznureczku oczekujących.

– A wiadomo, czy dla nas starczy? Dają po dwa sznurki, jakby dawali po jednym, toby starczyło... – powątpiewała z tyłu jakaś kobieta.

– Właśnie! – podjęła druga, stojąca za nią. – Niech ktoś zarządzi, żeby dawali po jednym!

– Zamknij się, stara babo! – warknął jakiś gruby mężczyzna, przeciskający się bliżej lady. – Nie ty tu rządzisz!

– Ty się zamknij, obleśna świnió! – Obrażona kolejkowiczka nie pozostawała dłużna. – Poprawiła mechanicznie chustkę pod szyją, a jej czerwoną twarz ściągnął gniewny grymas.

– Co za ludzie? – jęknęła oburzona jej sąsiadka. – Jak można być takim samolubem?

– Jakie państwo, tacy ludzie... – Tamta westchnęła z ubolewaniem.

Stefania pogładziła tymczasem Weronikę po policzku.

– I jak córcia? Dobrze się wam żyje?

– Dobrze, mamo – odpowiedziała jakoś markotnie, stawiając szmaciane torby obok nogi. – Niczego nam nie brakuje. Małgosia dobrze się uczy, a Zbyszek zamówił u siebie w zakładzie wczasy we Władysławowie. Mamy wyjechać w lipcu na całe dwa tygodnie.

Matka popatrzyła jej w oczy. Uśmiechnęła się ledwie zauważalnie, przez jej twarz przebiegł cień niepokoju.

– Ale nie wyglądasz na szczęśliwą. Coś cię trapi? Jesteś chora?

– Nie, skąd... Wszystko dobrze. Niedługo pokaz, dużo pracy, jestem już trochę zmęczona tymi przygotowaniami.

– Rozumiem... – Kiwnęła głową. – Zajrzyjcie do nas w sobotę. Zrobię obiad. Kupiłam ostatnio kurę na rosół od pani Jadzi. Ugniotę makaron.

– Wszyscy uwielbiamy twój rosół, mamó! Nikt nie robi lepszego!

– Udało nam się też zdobyć nowy tapczan, taki szeroki, ze skrzynią na pościel. Teraz przynajmniej wygodnie się śpi.

– Cudownie! – podchwyciła córka. – Przyjdziemy na pewno, musimy koniecznie obejrzeć ten zakup!

– Piętnasta? – zaproponowała matka.

– Dobrze, piętnasta – zgodziła się ochoczo. – Małgosia będzie przeszcześliwa. Strasznie za wami tęskni, wciąż wspomina, jak wieczorami grała z Felkiem w bierki.

– My za nią też. – Stefania westchnęła, przesuwając się nieco do przodu. Kolejka znacznie się zmniejszyła, a szczęśliwi posiadacze papieru toaletowego ku zazdrości pozostałych opuszczali już sklep.

– Martwię się o Felka... – podjęła po chwili matka, zniżając głos, szepcząc niemal do ucha córki. – Wciąż chodzi na te zebrania Solidarności, aktywnie się udziela. – A tymczasem znów podwyżki cen elektryczności, gazu i węgla, ludzie zaczynają się burzyć i wychodzić na ulicę. Słyszałaś o kolejnych strajkach w innych miastach? Podobno aresztowano kilku działaczy podczas nielegalnego zebrania... Boję się o niego.

Weronika objęła rodzicielkę ramieniem. Była o pół głowy niższa od Stefanii, choć nieco drobniejszej budowy.

– Nie martw się, mamó. Felek wie, co robi, to mądry człowiek.

– Obyś miała rację. – Chrząknęła w odpowiedzi drżącymi wargami. – Nie zniosłabym tego po raz drugi.

Urwała, bo kolejką wstrząsnął kolejny szturm, doszło do awantury po tym, jak jeden z mężczyzn próbował wyjść ze sklepu z trzema sznurkami na ramieniu zamiast dwóch.

Został zatrzymany i wciągnięty z powrotem.

– Moja córka tu stała, dopiero wyszła! – tłumaczył się żarliwie, ale nikt go nie słuchał. Jakiś dryblas ściągnął mu nieszczęsny sznur z ramienia i przytroczył do siebie.

– Oddaj!

– Nie oddam!

Bójka trwała, tymczasem Weronice i Stefanii udało się dotrzeć do celu. Zakupiły, co miały w planie, między innymi szare mydło, pastę do podłogi, proszek do prania o nazwie Bis marki Pollena, odebrały przydział papieru i opuściły z ulgą sklep, w którym aż kipiało od złości.

Weronika właśnie zsunęła się z męża, który zaledwie kilka chwil wcześniej wydał z siebie cichy okrzyk. Podniosła się na łokciu i jedną ręką tarmosząc gęstwinę skręconych włosów na klatce piersiowej, przyglądała mu się uważnie. Sypialnię spowijał półmrok, tylko ze stojącej obok nocnej lampki sączyło się słabe światło. Okno zaciągnięte było grubymi kotarami, zaś na ich szerokim łóżku z drewnianym zagłówkiem panował rozgardiasz. Poduszki leżały rozrzucone, pościel zwinięta w nogach, prześcieradło pościągane. Ich rozgrzane, nagie ciała nie potrzebowały teraz nakrycia. Patrzyła na jego ładną twarz z przymkniętymi powiekami, pod którymi zatrzymała się chwila błogiego spełnienia.

– Łaskoczesz! – mruknął i chwycił jej rękę. Przyciągnął do warg i musnął nimi opuszki palców. – Byłaś cudowna!

– Ty też, kochanie... – skłamała, okrywając jego klatkę piersiową drobnymi pocałunkami. Potem podniosła się, usiadła na krawędzi łóżka i sięgnęła po koszulę wiszącą na oparciu krzesła.

– Pójdę do łazienki, ale najpierw sprawdzę, czy Małgosia śpi – oznajmiła po chwili. – Jutro musimy wstać przed piątą.

– Tak, skarbie, masz rację – przytaknął, wciąż leżąc na plecach i kontemplując smak cielesnego zbliżenia. – Nie chce mi się nawet wstać – mruknął. – Tak mi dobrze...

– To nie wstawaj! – Zaśmiała się, wsuwając stopy w kapcie i narzucając na siebie szlafrok. – Nic nie musisz.

– Ach! – Zbyszek westchnął, przekręcając się na bok. – Ta noc mogłaby nigdy się nie kończyć.

– Nic nie może trwać wiecznie – odparła lekko, próbując nadać głosowi żartobliwy ton.

Małgosia spała twardo, ściskając pod pachą brązowego misia z oklapniętym uszkiem. Przeniosła się więc do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Wiedziała, że i tak nie zaśnie, dlatego postanowiła jeszcze chwilę posiedzieć. Na stole w kryształowym naczyniu w kształcie łożki leżały michałki, sięgnęła więc po jednego, nie myśląc w tej chwili o drobnych grzeszkach wynikających z łakomstwa.

Podeszła do okna, rozsunęła firanki, spoglądając na świat po drugiej stronie. Ciemność spowiła puste, zalane deszczem podwórko, po którym przemknęła jakaś przytulona, osłonięta parasolem para.

– Czego ja, do diabła, chcę? – zapytała samą siebie, czując w piersiach niepokojący ścisk.

Wróciła pamięcią do tamtego popołudnia, kiedy Józek zaprowadził ją do swojego mieszkania. Jeśli oczekiwała po tej rozmowie konstruktywnej, wyczerpującej wymiany myśli, bardzo się myliła. Od początku wiedziała, że chce ją uwieść, a mimo to nie zawróciła z drogi. Może chciała zaspokoić ciekawość, upewnić się co do swoich przypuszczeń?

Ogarnęło ją obrzydzenie, kiedy stanęła w drzwiach jego kuchni. Ściana nad brudnym, wypełnionym kubkami po kawie i herbacie zlewem oklejona była plastikową imitacją płytek. Na każdym kwadraciku widniała kalkomania, najczęściej był to owocowy wzór, jednak czystość tego zestawu pozostawiała wiele do życzenia. Gazowa kuchnia była zalana czymś brązowym, na palnikach stały okopcone gary. Kredens miał urwane drzwiczki, szybki w górnej części wybite. Okno zastawione przypadkowymi przedmiotami z trudem przepuszczało światło. Uniemożliwiała to warstwa brudu pokrywająca szyby, których wątpliwą ozdobę stanowiły oberwane, smętnie związające firanki.

– Przepraszam za bałagan, nie spodziewałem się gości – bąknął, widząc jej minę.

– Raczej od dawna ich się nie spodziewałeś – stwierdziła, nie kryjąc ironii.

– Wiesz, jak to jest. Praca, obowiązki... Poza tym – pomyślał chwilę – mężczyzna nie zna się na porządkach – próbował się usprawiedliwić.

– Zależy który! – prychnęła wymownie.

Chciała przejść dalej, ale potknęła się o podarte, wystające gumoleum.

Jej wzrok mimo woli ześlizgnął się pod nogi, rejestrując kolejny żaloszny widok. Jeśli się spodziewała, że w pokoju zastanie względny porządek, to znów srodze się zawiodła. Pod ścianą stało łóżko ze zwiniętą niechlujnie pościelą, która chyba od początku swojego istnienia nie widziała wody i proszku. Dalej stolik, na nim telewizor i przekrzywiona szafa, z wysypującymi się z niej, pogniecionymi ubraniami. Odurzył ją smród skiśniętego powietrza wymieszanego z dymem z papierosów. W popielnicy pod wersalką piętrzyły się pety.

Józek zaszedł ją od tyłu i objął w pól. Wzdrygnęła się na ten dotyk, szarpnęła, próbując jak najszybciej się z niego wyswobodzić.

– Miałeś mi coś powiedzieć. Słucham!

Znów ją oblał i próbował przycisnąć do siebie. Jego ręce powędrowały w górę, czuła je na brzuchu, a potem na wysokości piersi. Zrobiło jej się niedobrze.

– Zostaw! Mów, o co ci chodzi!

Odwróciła się i stanęła na wprost niego, mierząc go zimnym, oczekującym wyjaśnienia wzrokiem.

Patrzył na nią zaskoczony, nie spodziewał się po niej takiego zachowania.

– Chciałem ci powiedzieć, że jesteś najcudowniejszą kobietą, jaką znam. Zapomnijmy o tym, co było. Zacznijmy wszystko od początku.

Zaśmiała mu się prosto w twarz.

– To wszystko? Nawet nie zapytałeś o Małgosię! Co z ciebie za ojciec?

– Nie złość się! Nawet nie wiem, jak mam do ciebie podejść? Nigdy taka nie byłeś – wydukał, nie kryjąc zawodu.

– I nie będę! Tamtej Weroniki już nie ma! Zapamiętaj to sobie!

Tymczasem ponowił próbę i wyciągnął ręce, chcąc ją przytulić.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – syknęła wściekle. – To po co ja tu przyszedłam, do jasnej cholery? Myślałeś, że znów mnie urobisz i wylądujemy w łóżku?

– A nie? – spytał z niedowierzaniem. – Nie chcesz tego? – Przez chwilę po jego twarzy przebiegł chytry uśmieszek. – Przecież widzę, jak na mnie patrzysz.

– Czyli jak?

Zaśmiał się cynicznie.

– Pożądliwie?

Utkwiła spojrzenie w jego brązowych oczach, w których niegdyś tak się zatraciła.

– Więc po to tu przyszedłam?

– A nie?

Tym razem nie wytrzymała, bezczelność Józka przerosła wszystkie jej nadzieje i wyobrażenia. Poczuli się do bólu dotknięta takim potraktowaniem.

– Nie! – wycodziła. – Nie, ty sukinsynu!

Wymierzyła mu policzek i nie czekając na ciąg dalszy, wybiegła co sił z mieszkania. Słyszała, jak za nią woła, ale się nie zatrzymała. Pokonała drewniane, skrzypiące schody i wydostała się na podwórze. Powiew świeżego powietrza rozjaśnił jej zmałowany umysł.

„Idiotka! Kretynka! Idiotka!” – powtarzała jak w transie, idąc z pochyloną głową szybkim krokiem wzdłuż Obrońców Stalingradu. Niektórzy się za nią oglądali, ale ona na nic nie zwracała uwagi. Upokorzona i rozczarowana, wracała do domu, gdzie czekała na nią córka i nieświadomy jej rozterek, kochający mąż.

Rozdział 41

Po cichych dwóch tygodniach, nastąpił czas pojednania. Alina wybaczyła mężowi, przestała podejrzewać o zdrady, zwłaszcza że ostatnio zjawiał się w domu punktualnie, zawsze z bukietem świeżych kwiatów i słodyczami dla dziewczynek. Niekiedy w pakiecie przynosił gumy balonowe, które cudownie pachniały i miały dodatek w postaci ciekawej historyki. Julka je skrzętnie zbierała, układała w zakupionym do tego celu klaserze, nie omieszkując zanieść do szkoły ku zazdrości kolegów i koleżanek. Każde z nich marzyło o takim zbiorze, ale nie każdy mógł się nim pochwalić. Tym posunięciem klasa podzieliła się na jej zwolenników i przeciwników. Julka jednak nic sobie z tego nie robiła. Tatuś jej nieustannie powtarzał, żeby w siebie wierzyła i walczyła o swoje przekonania. Twierdził, że rzeczą ludzką jest się mylić, i że i czasem, aby dojść do czegoś wielkiego, trzeba wiele razy się potknąć lub przewrócić. Mówił, że nieważne, ile razy człowiek upada, ważne jest, jak się podnosi. Uważał, że dla niektórych ludzi nie warto poświęcać swojego czasu, bo oni i tak tego nie docenią. I to właśnie zapamiętała.

Po pewnym czasie historia ze szminką rozmyła się i poszła w zapomnienie, nastąpił czas renesansu związku Ostrowskich, w tym intensywnej zabawy, miłości i korzystania ze wszystkich uroków życia. Pojechali nawet we dwoje do Jugosławii, skąd Alina przywiozła stos szalowych ubrań i kosmetyków, zorganizowali wypad w góry z córkami, a także nad morze, gdzie wypoczęli po intensywnym roku. W tym czasie założyli schody w domku w Lipowie i zakupili komplet nowych mebli. Planowali kolejną imprezę na działce, robili właśnie listę gości, siedząc wieczorem przy stole

w kuchni w mieszkaniu na Jelonkach, kiedy niespodziewanie rozległo się walenie.

– Pewnie sąsiadka. Ale ma werwę! – Alina zaśmiała się i podbiegła do wyjścia, ciaśniej zawiązując pasek szlafroka.

Jakież było jej zdumienie, kiedy w drzwiach ujrzała kilku uzbrojonych funkcjonariuszy milicji.

– Panowie do kogo? – spytała, siłąc się na uprzejmość, choć nogi się pod nią ugięły.

– Zastaliśmy Antoniego Ostrowskiego? – spytał bez wstępów najwyższy z nich o kanciastej, masywnej budowie.

Zawahalała się.

– Ale o co chodzi?

Milicjanci nie raczyli odpowiedzieć, obrzucili ją tylko lekceważącym spojrzeniem, wyminęli i bez słowa wyjaśnienia ruszyli w głąb mieszkania.

Antoni na ich widok zerwał się z krzesła. Zbladł.

– Nie rozumiem... W jakiej sprawie? – zażądał wyjaśnienia.

Było ich pięciu, rozpierzchli się po pokojach i zaczęli przetrząsać zakamarki. Największy kipisz zrobili w ich sypialni, wysypując na podłogę zawartość szafy, bieliznę i skarpety.

– Czego tu szukacie? Tu nic nie ma! – zaprotestował Ostrowski, ale oni za nic mieli jego sprzeciw.

Dobrali się do kuchni, gdzie z kolei opróżnili metalowe puszki z mąką, cukrem i kawą. Otwierali szufladę po szufladzie, a ich zawartość lądowała na podłodze. W jednej z nich był zwitek pieniędzy, który kiedyś Antoni sam tam umieścił. Miał nadzieję, że w tym miejscu będzie całkowicie bezpieczny. „Ale się przeliczyłem!” – przemknęło mu niepokojąco przez myśl.

Na końcu przetrząsnęli łazienkę, wysypując brudy z miski, zaglądnąc do pralki i pod wannę.

– Proszę się ubrać! Macie pięć minut! – zdecydował ten sam mężczyzna. – Dowiecie się wszystkiego na posterunku!

„I jeszcze ta maniera mówienia w liczbie mnogiej” – przeszło mu mimo woli przez myśl, kiedy w pośpiechu wciągał spodnie i skarpetki. „Cholerna radziecka poprawność” – zreflektował się z niechęcią.

– Nie martw się, kochanie – powiedział, zbliżając się do żony. Alina, trzymając głowę obiema rękami, roztrzęsiona stała w korytarzu. – Wyjaśnię wszystko i wrócę. Będzie dobrze. Całe szczęście, że dziewczynki są u dziadków...

– Pośpieszcie się! – warknął jeden z funkcjonariuszy i nakazał mu iść.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, następnie wziął torbę, do której na wszelki wypadek zdążył wepchnąć slipy, piżamę, pastę do zębów i szczoteczkę.

– Będzie dobrze, skarbie! – zawołał kolejny raz przez ramię, zanim zatrzasnęły się za nim drzwi i zrobiło się nieznośnie cicho.

– Pieprzony konfident, ludzkie ścierwo, sukinsyn! – cedził Antoni od samego wejścia, kiedy wrócił do domu dwa dni później bardzo wczesnym rankiem.

Twarz miał przemęczoną, zapadłą na policzkach, zarośniętą na brodzie. Przepocony, w wymiętych ubraniach, wpadł w ramiona Aliny, kiedy ta, wystraszona, otworzyła mu drzwi. Maks zerwał się z legowiska i oparł łapami o jego nogę, domagając się powitania.

– Należę ci wody do wanny, kąpiel dobrze ci zrobi – zaproponowała ze ściśniętym żołądkiem. – A potem zaparzę herbaty i zjemy śniadanie. Niedługo przebudzą się dziewczynki.

– Dobrze, kochanie... – zgodził się i zrezygnowany powlókł do łazienki.

Pół godziny później, świeżo ogolony, wymoczony, w samym szlafroku, zgarnął z blatu paczkę papierosów i wyszedł na balkon. Miasto spało jeszcze, oddychając miarowo, powietrze było rześkie i wilgotne, mleczna mgła oblepiła osiedle, z którego wystawały jedynie wierzchołki drzew, wieżowców i czubek kościelnej dzwonnicy. Niebo było jeszcze ciemne, choć z dołu

rozświetlało je promieniście wstające słońce. Alina zatrzymała się tuż obok, położyła rękę na jego ramieniu.

– Skąd wiesz, że to on?

– Zenek – mruknął, zaciągając się ponownie dymem. Chwilę trzymał go w płucach, a potem z ulgą wypuścił. – To on mi pomógł, nie wiem, skąd wiedział, ale pojawił się tam i wszystko załatwił. Powiedzieli mu. – Urwał.

Westchnęła ciężko, opierając się o balustradę.

– Chodźmy stąd, tutaj może nas jeszcze ktoś usłyszeć.

Posłuchał jej, zgasił papierosa w nakrętce od słoika i wszedł do mieszkania.

Usiedli przy stole w kuchni, gdzie już czekała na niego gorąca herbata.

– Usmażę ci jajecznicę – zaproponowała, a potem bez słowa zabrała się do krojenia kielbasy. – A ty tymczasem opowiedz mi, jak tam było.

Antoni upił łyk naparu, syknął, parząc sobie koniec języka.

– Wciąż mnie przesłuchiwali, pytali o wszystko. O restaurację, jak ją przejąłem, kto tam przychodzi, ile spędzam w niej czasu. O twojego ojca, o samochód, stan majątkowy, znajomości poza granicami kraju. Nic, tylko mnie maglowali, a ja już nie wiedziałem, co jest prawdą, a co kłamstwem.

– To ich typowa zagrywka! – prychnęła ze złością. – Dobrze, że zadzwoniłam do Alutki. Ta od razu zaangażowała swojego męża.

Antoni przełknął łyk herbaty i syknął:

– Zastanawiałem się, skąd wiedział, teraz już wszystko jasne. – Popatrzył na nią z wdzięcznością. – Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Dzwonienie stamtąd byłoby raczej ryzykowne, w dzisiejszych czasach niczego nie można być pewnym. Nawet tego, czy tutaj nie ma podsłuchu.

Alina przecząco pokiwała głową.

– Na szczęście nie ma. Wiem od niej.

Nałożyła parującą jajecznicę na talerz i postawiła przed mężem. Usiadła naprzeciw ze szklanką świeżo zaparzonej kawy.

– Co zamierzasz z nim zrobić? – rzuciła głucho w powietrze.

– Z kim?

– No, z sąsiadem...

Westchnął ciężko, sarknął i bezradnie uderzył pięścią w stół.

– Nic. Najgorsze jest to, że nie mogę nic zrobić!

W ramach rozluźnienia po ostatnich traumatycznych przejściach wyjechali na wieś do Lipowa. Antoni wziął kilka dni urlopu, a obowiązkami obarczył swojego podwładnego, którego niegdyś mianował kierownikiem zmiany. Nie do końca darzył go zaufaniem, kilka razy przyłapał na małych oszustwach, natomiast w obecnej sytuacji nie widział innego rozwiązania. Liczył się ze stratami, jednakże kiedy na szali stawiał spokój i szczęście rodziny, zdecydowanie przeważało to drugie. Marcin Jankowski, wysoki, kościsty mężczyzna po czterdziestce, dotychczas zajmował się głównie cukiernią, sporadycznie przejmował sprawy restauracji i kuchni. Znał się jednak na tym fachu nie gorzej niż on, sam kiedyś prowadził bar, dlatego Antoni od czasu do czasu powierzał mu niektóre obowiązki. Nie łączyła ich żadna zażyłość, poza stosunkami w pracy, które można było zaliczyć do poprawnych. Wolał nie wtajemniczać go w głębsze obszary swojej działalności, mając na uwadze poczucie własnego bezpieczeństwa i uniemożliwienie tym samym ewentualnego przejęcia jego interesów.

Zostawił mu wykaz obowiązków, Łodzi szepnął, aby miała go na oku, a w razie czego szepnęła to czy owo. Tak naprawdę jedynie tę kobietę darzył pełnym zaufaniem. Zatrudniał ją u siebie od samego początku przejęcia Stowarzyszenia. Nie należała do atrakcyjnych kobiet, a jednak miała to coś, co czyniło ją wyjątkową. Nie wiodła łatwego życia, żyjąc obok schorowanego męża, wymagającego opieki i zaangażowania. Wychowanie córki spadło właściwie w całości na jej barki. Kiedy pewnego nieszczęsnego roku poważnie się rozchorowała, a jej życie było zagrożone, to właśnie Antoni sprowadził dla niej leki z Zachodu, które na polskim rynku były niemal nieosiągalne. Alina miała rodzinę w Kanadzie, regularnie z nią korespondowała, a on – w niemieckiej Kolonii. Jedna i druga znajomość okazały się

przydatne. W ten sposób zdobył dozgonnie wdzięczność kobiety, która okazała się oddanym, lojalnym pracownikiem.

Tymczasem w Lipowie czas zatrzymał się w miejscu, ich życie kwitło bowiem, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Wstawali wczesnym rankiem, pili kawę na tarasie, chodzili na długie spacery z Maksymem do pobliskiego lasu, jeździli na zakupy do miejscowego sklepiku lub gospodarzy po jaja i drób, grali w piłkę z dziewczynkami, a wieczorem w ogrodzie przy blasku księżyca pili wino.

Alina chyba jeszcze nigdy dotychczas nie była taka szczęśliwa, nie przeszkadzało jej odcięcie od stolicy i wielkiego świata, w którym dotychczas się obracała. Te spokojne, ciche dni na łonie natury przy wschodach i zachodach słońca, a przede wszystkim obecność najbliższych – stały się dla niej niespodziewanie esencją życia. Najchętniej zostałaby tutaj na zawsze, choć wiedziała, że to nie będzie możliwe. Mąż musiał wkrótce wracać do pracy, a starsza córka – do szkoły.

Wspólnie postanowili, że w wakacje przeniesie się tutaj z dziewczynkami na stałe, a Antoni będzie przyjeżdżał do nich już w piątek i zostawał do poniedziałku.

Na najbliższą sobotę zapowiadali ładną pogodę, dlatego znów zaprosili znajomych. Tym razem gospodarz zakupił we wsi barana, sprawił go w musztardzie, majeranku i przyprawie, którą odziedziczył w spadku po dawnych restauratorach o nazwie Zatar. Była to aromatyczna mieszanka przypraw na bazie tymianku i prażonego sezamu, używana do wypieku chleba, marynowania mięs i warzyw. Niektórzy nie mogli się nadziwić, skąd u Ostrowskiego taki talent do gotowania. Potrafił zaskakiwać na każdym kroku, nie bojąc się eksperymentów i improwizacji. Bez względu na to, czego by się dotknął, potrafił wyczarować potrawę pełną smaku, prezencji i oryginalności.

Alina była z niego dumna, choć jej popisy kulinarne również zachwyciły. Strogonow, śledzie po kaszubsku, żydowski, gołąbki w sosie pomidorowym, a także bigos nie miały sobie równych.

Goście zjechali się według ustalonego planu, w nieco innym składzie niż zawsze. Tym razem zabrakło generałowej, która została oddelegowana do Moskwy na szkolenie.

Teren ożywił się, zrobiło się gwarno i tłoczno. Ludzie zasiedli na swoich ulubionych miejscach, krzesłach, leżakach, ławkach, rozpoczęły się rozmowy, picie i degustacja. Antoni wyniósł na taras magnetofon kasetowy, z którego płynęła rozkręcona na cały regulator muzyka. Królowały tym razem przeboje Lombardu, Perfectu, Lady Panku, Maanamu i Urszuli. Piosenki tych zespołów śpiewała teraz cała Polska, Alina szczególnie upodobała sobie utwór *Dmuchawce, latawce, wiatr*. Mogła go słuchać godzinami, zwłaszcza wczesnym rankiem, kiedy siedziała na tarasie, pijąc kawę z mlekiem i zagryzając ją ulubionymi kruchymi ciasteczkami z marmoladą. Rozmyślała wtedy o życiu, o tym, co ją spotkało, i o tym, czego mogła uniknąć. O wyborach, jakich dokonała, o tym, czego nie zrobiła, a powinna. Coraz intensywniej rozważała powrót do pracy w zawodzie, choć Antoni nadal był temu przeciwny. Uznał, że jest w stanie sam zapracować na rodzinę, a ona jako matka dwójki dzieci ma wystarczająco dużo zajęć i obowiązków. Dotychczas ulegała, choć niekiedy dopadały ją refleksje na temat własnej bezczynności i bezproduktywności. Antoni spotykał się z ludźmi, wychodził z domu, a ona wciąż tkwiła w tym samym miejscu. W dodatku sytuacja coraz częściej wymykała się spod kontroli. „A co będzie, jeśli stracimy restaurację?” – myślała z lękiem. Komuś na tym bardzo zależało. Czasy były niebezpieczne i bardzo niepewne. przy rządach ekipy Jaruzelskiego minioną epoką gierkowska wydawała się dekadą wolności i postępu. Teraz znów wróciły dawne niepokoje, zamordyzm i prześladowania.

Tymczasem baran dochodził na ruszcie, boski aromat plątał się w powietrzu, niektórzy ruszyli w tan, boso, po zroszonej trawie.

Wszyscy wiedzieli, że takie imprezy są tylko u Ostrowskich, dlatego rzadko kto odmawiał.

Budka Suflera śpiewała *Nie płacz, Ewka, Lombard – Przeżyj to sam, Perfect – Chcemy być sobą*. Goście słuchali tych słów, chłonęli je, a potem odsu-

wali na dalszy plan problemy, które obecnie nurtowały naród. Czas płynął po prostu w cudownym, beztróskim zapomnieniu.

Rozdział 42

W ostatnim miesiącu w restauracji były aż trzy kontrole. Każda z nich kosztowała Antoniego ogrom nerwów i stresów. Po godzinach wertowania w papierach, sztorcowania pracowników, aby większy nacisk kładli na czystość w kuchni, po chodzeniu na baczność, podlizywaniu się urzędasom, wkładaniu im dyskretnie do kieszeni ogromnych łapówek – miał dość. Na koniec upijał się albo dawał upust swoim żądzom, spędzając upojne godziny z kochanką. Jedną czy drugą, jakie to miało znaczenie w obliczu tylu świństw, które zdążył w życiu narobić. A potem znów wracał do domu i starał się być wzorowym, kochającym mężem i ojcem. Tak naprawdę czuł się coraz większym łajdakiem i śmieciem, a zaglądając w lustro, miał ochotę w nie napluć.

– Znowu piłeś! – powitała go żona głosem pełnym pretensji, kiedy już zdążył wytarabanić się z taksówki i z trudem dostać na piąte piętro.

– Tylkoo trooszeeczkę... Muusiałlemmm... – wymamrotał pod nosem, kierując się wprost do sypialni, aby położyć się spać, bo już na nic innego nie miał siły. Nawet pupil, który łapał go za nogawkę w nadziei na dobrą zabawę, nie był w stanie go zainteresować.

Dopiero następnego dnia przychodziło otrzeźwienie. Zwykle ten jakże trudny bolesny proces stawał się powodem do zatrzymania się i głębokiej refleksji.

– Ostatni raz! – powtarzał sobie, zanim umyty, ogolony, przebrany w czyste, świeże ubrania gotowy był do wyjścia. Przepraszał wówczas Alinę, obiecywał, że tego wieczora i następnego wróci trzeźwy, ale zawsze coś lub ktoś krzyżowało mu plany.

Sytuację zaczęły jeszcze pogarszać telefony.

Dzwoniły o różnych porach dnia i nocy. Najczęściej odbierała Alina, kiedyś zdarzyło się, że słuchawkę podniosła Julia.

– Mamusiu, jakaś pani do ciebie! – zawołała, ciągnąc za sobą do kuchni długi sznur.

Ostrowska akurat kończyła zmywanie, wytarła mokre ręce w ścierkę i chwyciła za słuchawkę. Tymczasem po drugiej stronie druta rozległ się niski, gardłowy głos:

– Jeśli myślisz, że on jest twój, to się mylisz. Może z nim mieszkasz, ale to ja z nim sypiam.

– Kto mówi? Halo! – rzuciła do słuchawki, ale głos się natychmiast urwał. Długi sygnał był znakiem, że rozmowa właśnie się zakończyła.

Takie połączenia zaczęła odbierać kilka razy dziennie, zaczynała się coraz bardziej bać.

– Mamo, ja już nie mam siły! – jęknęła bezradnie, patrząc błagalnie w oczy ukochanej teściowej.

– Co się dzieje, dziecko moje? – spytała Stefania, mocno zaniepokojona, kiedy pewnego popołudnia zostały same na tarasie domku w Lipowie.

Maks leżał przy jej nodze i udawał, że śpi. Tak naprawdę nasłuchiwał, strzygąc co chwila uszami i zerkając na wróble, kiedy sfruwały z drzew i siadały na drewnianej balustradzie otaczającej ganek.

Dzień był słoneczny, ciepły, babie lato snuło się między krzewami malin i agrestu, które zdążyła wiosną zasadzić. Korona dębu przybrała rdzawo-brunatną barwę, lśniła uroczo w pełnym słońcu, uwodząc kolorami, zaś brzozy zaczęły gubić drobne, pożółkłe listki. Feliks z Antonim i dziewczynkami udali się na spacer do lasu, kiedy one postanowiły zostać za wcześniejszą jej namową. Liczyli na to, że znajdą jakieś grzyby, podobno w tym sezonie obrodziły prawdziwki i kurki. Antek miał tego dnia szczególną ochotę na leniwe z sosem kurkowym.

Tymczasem Alina usiadła naprzeciw jego matki i zaczęła mówić:

– Było tak pięknie, i nagle wszystko zaczęło się walić – wyznała dramatycznym, pełnym bolesnej szczerości głosem. W jej oczach pojawiły się łzy, które dyskretnie otarła.

– Ale jak to? – zdziwiła się teściowa. – Nic nie rozumiem... – Potrząsnęła głową, nie kryjąc zaskoczenia.

Młoda kobieta sięgnęła po talerzyk, z leżącym na nim kawałkiem kruchości ciasta. Krótką chwilę drobiła go zapamiętane, nie biorąc kęsa do ust. W ostatnim czasie znacznie schudła, co było widoczne już na pierwszy rzut oka.

– Nic nie wiesz, nie powiedział ci? – spytała, wpatrując się uważnie w twarz Stefani.

– Kto, Antek?

Potwierdziła, drobiąc ciasto, aż w pewnym momencie chwyciła talerzyk i wyrzuciła okruchy wróblom. Te natychmiast sfrunęły na trawnik i zaczęły je wydłubywać, na co Maks nawet nie zareagował. Najwyraźniej nie gustował w słodkościach.

Zacząła mówić, najpierw powoli, nieśpiesznie, a potem coraz bardziej emocjonalnie wyrzucała z siebie całą prawdę. Najtrudniej było, kiedy do-
darła do drażliwego tematu: kobiety i zdrady.

– Nie wierzę! – wyrzuciła z siebie Stefania, załamując ręce. – Wydawało mi się, że jesteście tacy szczęśliwi, zakochani w sobie. Jak to możliwe?

Alina nie odpowiedziała, tylko gorączkowo relacjonowała dalej.

– W ostatnim czasie ciągle do mnie dzwonią. Nie ma dnia bez telefonu... Poza tym te kontrole, najazdy służb. Niedawno przyszli do restauracji, ubrani po cywilnemu, w te swoje czarne garnitury, kapelusze i płaszcze. Kazali mu opuścić stanowisko pracy i pójść z nimi. Pełno gości, pracownicy, a tu taki wstyd!

Ukryła twarz w dłoniach, nie mogąc pohamować łkania.

– Dostał wezwanie do wojska, do czynnej służby. Rozumiesz coś z tego? Gdyby nie poczciwy generał, musiałby już zwijać restaurację. Boję się tylko

tego, że przyjdzie taki dzień, że nawet Zenek nie pomoże...

– Ktoś was bardzo nie lubi. Komuś musiał się narazić – oznajmiła chmurnie teściowa. – Mówiłam mu, że ten samochód to tylko kłucie w oczy, mówiłam...

– Nawet wiem komu – mruknęła gorzko. – Nasz sąsiad jest milicjantem. Zwykłą szują i zomowcem. To niewątpliwie jego sprawa. Gdybyś widziała, mamó, jak nas mierzy wzrokiem. Antek próbował z nim rozmawiać, poszedł nawet kiedyś do niego z wódką, ale to nic nie dało. Wręcz odwrotnie.

– W dzisiejszych czasach nie można rzucać się w oczy. Nasza władza nie lubi tych, którzy próbują być lepsi od nich. A tym bardziej jeśli widzą wzorowanie się na znienawidzonym Zachodzie. Może w takim razie należy z czegoś zrezygnować?

– Ale z czego, mamó?

W odpowiedzi wzruszyła ramionami, upiła łyk czarnej kawy, która zdążyła już nieco wystygnać.

– Może dać sobie spokój z tą restauracją, zająć się czymś innym? – rzuciła bez przekonania.

Alina wstała, ku jej zdziwieniu zeszła z tarasu i zrobiła kilka kółek wokół działki. Kiedy wróciła, oczy i nos miała czerwone od płaczu. Z jej rozgoryczkowanych oczu biła jednak jakaś niezwykła determinacja.

– Niech to zostanie między nami, mamó. Ale mam pewien pomysł. Chodzi mi to po głowie od jakiegoś czasu, chyba od tej chwili, kiedy późnym wieczorem wtargnęła do nas milicja.

Stefania omiotła ją niespokojnym wzrokiem. Czuła pod skórą, że to nie będą dla niej dobre wieści. – Jak wiesz, mam rodzinę w Kanadzie. Kuzynostwo od strony ojca. Wiedzie im się tam bardzo dobrze. Mają swój własny biznes, dom w kredycie, samochód... Wszystko, co jest potrzebne do życia. Od wielu lat piszemy do siebie, sporadycznie dzwonimy. Kiedyś przysyłali nam paczki, ale odkąd wiedzą, że powodzi nam się dobrze, przestali przysyłać, o co matka ma do mnie żal. Ostatnio jednak zatelefonowałam do

nich z budki. Boję się, że w mieszkaniu może być podsłuch. Wprawdzie Alutka twierdzi, że nie, ale ona też nie może wiedzieć wszystkiego.

Usiadła na powrót w wiklinowym fotelu, na co mebel skrzypnął z zadowoleniem, nabrała łyk zimnej kawy.

– Do czego zmierzasz? – zapytała teściowa zmienionym głosem. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

– Tak, właśnie! – przerwała jej synowa. – W każdej chwili możemy tam mieć pracę. Na początek nas przygarną do siebie. Dom mają piętrowy, na górze są dwa wolne pokoje. Mieszkają sto kilometrów od Toronto w niewielkiej miejscowości otulonej gęstwiną klonowych lasów. Tam jest pięknie, mamo!

Stefania przelknęła głośno ślinę. Chrząknęła, usiłując odzyskać głos.

– Nie przeczę, że... Rozumiem, że to dopiero jakiś pomysł do rozważenia... – wtrąciła niepewnie.

Alina spojrzała na nią dłużej, niż powinna, aż poczuła się jakoś nieswojo.

– Jakiś czas temu też tak myślałam, ale dziś... Analizowałam to wiele razy na wiele sposobów. Nie widzę innego wyjścia z sytuacji! – rzuciła zdecydowanie.

– Jesteś pewna?

– Tak, mamo. Albo rodzina, albo one. Niech wybiera!

– A mieszkanie, ten domek? Tutaj jest cudownie, jak w raju! Nie będzie wam tego żal?

Młoda gospodyni podniosła głowę, omiotła spojrzeniem ogródek, po czym wydeła wargi w zamyśleniu.

– Pewnie, że szkoda. Kocham to miejsce. Tylko tutaj czuję się ostatnio bezpieczna. Jednak świadomość, że ja jestem tu, a on tam... Za dużo mnie to kosztuje... – Urwała, dławiąc się własnym głosem. – Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie. Muszę z nim o tym porozmawiać – dodała po chwili ciszej.

– Może jednak da się to wyprostować? Bez tak drastycznych posunięć?

– Może... – bąknęła bez przekonania synowa.

Stefania zamilkła, spoglądała, jak pożółkłe liście spływają z drzewa, i poczuła żal do losu.

Najpierw Tadek, potem Weronika, teraz Antek. Czy kiedyś nastąpi kres tych zmartwień?

„Dopiero po twojej śmierci” – odezwał się, drwiąc sobie z jej smutku, wewnętrzny głos. „Życie jest jak zapakowany ślicznie prezent. Nigdy nie wiemy, co odnajdziemy w środku”.

– A dziewczynki? Myślisz, że są gotowe? – odezwała się po chwili, wyciągając z rękawa ostatni argument.

– Dowiedzą się w swoim czasie, poza tym... dzieci lubią zmiany. Które z nich nie chciałoby zamieszkać w Kanadzie? Pokaż mi takie!

Stefania pokiwała, zrezygnowana, głową, zaplotła na kolanach palce obu dłoni i patrzyła przed siebie pustym wzrokiem.

– Jakoś tego nie przyjmuję do wiadomości. Mam nadzieję, że znajdziecie inne rozwiązanie z tej całej sytuacji. Jednak chcę, abyś wiedziała, że wszystko, co zrobisz, zaakceptuję. Masz moje poparcie. Wiesz, że pragnę dla was jak najlepiej. I oczywiście wszystko, co powiedziałaś, zachowam dla siebie.

Alina spojrzała na teściową, wyciągnęła do niej rękę i uściskała.

– Dziękuję, mamu. To dla mnie wiele znaczy.

Po powrocie do Warszawy znów zaczęły się szare, beznadziejne dni, pełne nerwów i przykrych niespodzianek. Największą okazało się zniszczenie ich samochodu. Kiedy wstali któregoś ranka, ich mercedes obłany był czerwoną farbą olejną, a z przedniej maski krzyczał wielki napis: „Złodzieje!”. Sprawców nie ujęto, auto trzeba było oddać do lakiernika, ale napięcie i rozczarowanie rozrastały się do niewyobrażalnych rozmiarów.

Po pewnym czasie Alina zdecydowała się podjąć pierwsze rozmowy z mężem. Wybrała na ten moment niedzielne popołudnie. Wywiozła dzieci do mamy, przygotowała aromatyczną kąpiel i kolację, schłodziła białe

wino. Mimo że mąż pracował w restauracji, lubił, kiedy ktoś przygotowywał jedzenie, zwłaszcza że było inne od tego, które on osobiście przyrządzał. Poza tym, jak twierdził, inaczej gotuje się dla grupy ludzi, a inaczej dla dwóch osób. I to była akurat prawda. Włożyła ogrom serca w ugotowanie gulaszu z kurzych żołądków, z dużą ilością koperku, z ziemniakami purée i marchewką z groszkiem. Miała nadzieję, że tym razem mąż wróci z pracy punktualnie i cały jej trud nie pójdzie na marne.

Nie zawiodła się. Antek zjawił się w domu tuż przed piętnastą. W niedzielę kończył zawsze wcześniej, zostawiając na zastępstwo Marcina Jan-kowskiego. Już w progu przywitał się wylewnie z psem, co mogło tylko oznaczać, że jest trzeźwy. Wszystko szło po jej myśli, więc gdy po rozluźniającej kąpieli wylądowali w łóżku, poczuła się nieco pewniej.

„Może będzie jeszcze pięknie” – przyszła jej do głowy myśl, kiedy po udanym seksie narzucała na siebie szlafrok, udając się do łazienki.

Zjedli spóźniony obiad i otworzyli wino. Antoni pochwalił jej kulinarne dokonania, zastanawiając się nawet, czy nie wprowadzić takiego zestawu do restauracji, na co ona z radością przystała.

Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenie, postanowili zrezygnować ze spaceru. Afiszowanie się w takiej sytuacji mogłoby tylko niepotrzebnie sprowokować i ściągnąć na nich jeszcze większą falę nienawiści.

Jednak dalej nie było już tak gładko. Po wysłuchaniu jej, niemal w sekundzie rozanielony uśmiech na twarzy męża zgasł, a zastąpił go nerwowy grymas.

– Jak to sobie wyobrażasz? – niemal ryknął. – Co za głupi, absurdalny pomysł! Nie znamy języka, co my tam będziemy robić?

– Ja troszkę znam... – wtrąciła nieśmiało. – Chodziłam na prywatne lekcje, trochę uczyłam się w domu...

– I myślisz, że to wystarczy? – Ściął ją jednym zdaniem pełnym okrutnego powątpiewania. – To zupełnie inny świat, inni ludzie. Tutaj jest jak jest, mamy wrogów i mamy przyjaciół. Ale przynajmniej ich znamy. Tam wszystko będzie obce.

– Tylko na początku... – Nie poddawała się. – Znajdziemy sobie pracę, z czasem kupimy dom. Dziewczynki pójdą do szkoły, będą się uczyć angielskiego. Zaczniemy wszystko od nowa – przekonywała.– Rozmawiałam z ciocią Reginą. Może nam przysłać zaproszenie. Musimy tylko wyrobić wizy, paszporty dla dziewczynek, uporządkować sprawy...

– Dość tego! – Zerwał się z krzesła. – Nie chcę więcej słyszeć na ten temat! W głowie ci się przewraca z tej beczynności! – wycedził przez ramię i wypadł z kuchni. Słyszała, jak się nerwowo ubiera, upina smycz Maksowi, który popiskiwał z zadowoleniem, potem trzasnęły głucho drzwi.

Zrobiło się cicho, zaniepokojona wybiegła na balkon i patrzyła z góry, dokąd zmierza jej mąż. Widziała, jak pali nerwowo papierosa, jak rozgląda się uważnie na wszystkie strony, pochyła się od czasu do czasu, głośzcze skaczącego radośnie psa, a potem idzie dalej w kierunku kościoła, aż wreszcie, ku jej rozpaczycy – całkowicie znika jej z oczu.

Rozdział 43

Na terenie Łodzi działało kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt kin różnej kategorii. Łodzianie uwielbiali ten rodzaj rozrywki, który po ciężkiej, wielogodzinnej pracy w fabryce dawał poczucie wytchnienia i relaksu.

Kino Bałtyk miało największy ekran w Polsce i widownię na ponad sześćset foteli, w kinie Włókniarz przy Próchnika szesnaście jeszcze przed wojną wyświetlono pierwszy film dźwiękowy. Adria, Muza, Roma, Oka, Zachęta... Wymieniać by można bez końca. Weronika miała swoje ulubione, zachwycały w nim wnętrza, goście chodzili po marmurowych schodach, a z sufitów zwisały kryształowe żyrandole. Było to kino Wisła, które przejęło budynek Zgromadzenia Majstrów Tkackich przy ulicy Juliana Tuwima dwa, bardzo ważnej instytucji dla dziewiętnastowiecznej przemysłowej Łodzi. Powstał w pierwszej dekadzie dwudziestego wieku, miał być nie tylko miejscem spotkań majstrów, ale przede wszystkim przynosić dochody z wynajmu pomieszczeń na cele rozrywkowe. W najbardziej reprezentacyjnej sali początkowo przeznaczony na przedstawienia teatralne urządzone zostało jedno z najlepszych wówczas kin – Luna. Pod nową nazwą – Wisła – zostało otwarte w sześćdziesiątym pierwszym roku, z widownią na ponad siedemset miejsc, a co więcej – miało też kawiarnię i bar.

Grali akurat *Znachora* ze znakomitą rolą Jerzego Bińczyckiego. Mogła ten film oglądać bez przerwy, a końcowa scena w sądzie wzruszała ją za każdym razem do łez. Zresztą, nie tylko ją, bo kiedy opuszczali kino, większość kobiet ocierała zapłakane oczy.

– To dokąd teraz pójdziemy? – spytał mąż, kiedy już znaleźli się na ulicy Piotrkowskiej. – Szkoda tak wspaniale zaczętego wieczoru, prawda?

– Chodźmy na spacer, jest tak pięknie! – zaproponowała i pozwoliła Zbyszkowi wziąć się pod ramię. Szli jakiś czas w milczeniu, przyglądając się tętniącemu życiu miasta. Kawiarnie, restauracje kipiały od gości, z oświetlonych witryn odzieżowych spoglądały na nich nieruchome oczy manekinów.

– Ten zakiet jest mój. – Zatrzymała się i wskazała palcem plastikową kobietę ubraną w luźną marynarkę w kratę. – To ja zaprojektowałam ten fason. Zrezygnowałam z cięć i zaszewek. Jest wygodnie, prosto i praktycznie.

– No, no! – Zbyszek gwizdnął z zachwytem. – Jaka moja żonka jest zdolna, kto by pomyślał!

Objął ją jeszcze ciaśniej i niespodziewanie pocałował.

– Kocham cię – powiedziała pierwsza, patrząc na niego spod zmrużonych powiek.

– Jak ciebie też, przecież wiesz! Ale.... – Poderwał ją od ziemi i zrobił pełny obrót. – Powiedziałas to wreszcie! Myślałem już, że nigdy tego nie usłyszę! Jestem szczęściarzem, cholernym szczęściarzem! – zawołał głośno.

– Nie krzycz! Całe miasto nas usłyszy! – Zachichotała.

– A niech słyszy! – wydarł się, nie szczędząc decybeli. – Chodź do Łodzianki. Musimy to jakoś uczcić.

Przytaknęła, wciąż na niego patrząc, stwierdzając w duchu, ku swojemu coraz większemu zdumieniu, że wybrała na męża cholernie przystojnego mężczyznę. Nagle dostrzegła też swoją głupotę, kiedy po cichu wzdychała do prymitywnego Józka, myśląc naiwnie, że będzie w stanie stworzyć z nim rodzinę. Mało tego, uważając jego walory za wyjątkowe, podczas kiedy okazał się zwykłym prostakiem, flejtuchem i chamem.

„Jak to dobrze, że mu nie uległam” – skonstatowała, otrząsając się jednocześnie z ponurych myśli.

– Zamówimy butelkę wina, co ty na to?

Chwyciła go za rękę i przytrzymała.

– Oczywiście, że tak, tylko że ja... Nie mogę pić.

– Dlaczego? – zdziwił się. – Jesteś chora?

– Nie, chora nie. Jestem w ciąży. Byłam wczoraj u lekarza, który tylko potwierdził moje podejrzenia. Siódmy tydzień – powiedziała niemal jednym tchem i spojrzała na niego z ukosa.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz? – Znów ją chwycił i poderwał do góry. – To wspaniała wiadomość! – wykrzyknął.

– Cicho, wariacie! Uspokój się! Postaw mnie na ziemi, bo kręci mi się w głowie!

Roześmiała się.

Zrobił, o co prosiła, ale nie wypuszczał jej ręki z silnego uścisku.

– A może kupmy coś i pójźmy lepiej do twoich rodziców? – zaproponował. – Podzielimy się z nimi tą cudowną wiadomością, a przy okazji napiję się z Felkiem.

– Zgoda – przytaknęła, zadowolona z obrotu sprawy, po czym pociągnęła go za rękaw i ruszyli rażno w stronę ulicy Lipowej.

Musiała przyznać, że matka miała wyjątkowy dar do aranżacji wnętrz. Zapamiętała to mieszkanie jako mało przyjazne, dość ponure, tymczasem znaleźli się w uroczym, przytulnym miejscu, pełnym ciepła i jesiennej nostalgii. Szeroki parapet okna zdobiła kompozycja z liści, żołądź i kasztanów, to samo zastała w kuchni, tylko jeszcze całość wieńczyło kilka miniaturowych dyń. W życiu nie wpadłaby na taki pomysł, tym bardziej nie kryła zachwyty i nie szczędziła rodzicielce słów uznania. Do tego koronkowe firanki upięte po bokach i urocza zazdrostka z gęstym wzorem uniemożliwiająca ciekawskim zaglądnienie do środka. Drewniane meble w kuchni były świeżo polakierowane, podłoga pokryta nowym gumoleum. W pokoju stał okrągły stół nakryty obrusem, cztery krzesła i stylowy kredens z przeszkloną nadstawką. W nim królowała porcelanowa zastawa, która ocalała

jeszcze z wojennej zawieruchy, a którą Krystyna Rudzka odzyskała, tocząc o nią dość długą walkę z synową. Ewka nie lubiła starych rzeczy, bardziej po drodze była jej nowoczesność, jednakże nawet ona doceniła pięknie malowane talerze, wazę, sosjerkę, dzbanek i filiżanki do kawy z fabryki porcelany Chodzież. Z żalem zwróciła ją teściowej, nie omieszkując natruć później Staśkowi, jaka to ją spotkała niewdzięczność. Na szczęście mąż kupił jej w zamian trochę inny, w dodatku nowy komplet z Bolesławca, czym udobruchał swoją ślubną.

Drewnianą, malowaną olejną farbą podłogę zdobił wzorzysty dywan, a pod ścianą stał szeroki tapczan pokryty bordową, welurową narzutą. W kaflowym piecu hulał ogień, przy nim stał bujany fotel, w którym niegdyś lubiła siadać ukochana babcia Krysia.

– Co za niespodzianka! – zawołała wzruszona Stefania, kiedy siedząc już przy stole, obwieścili rodzicom wspaniałą wiadomość. – Jestem taka szczęśliwa!

Otarła łzę, która zakolysała jej się w oku, i objęła z czułością Weronikę.

– Gratuluję, córeczko, i tobie, synu – dodała, ściskając również zięcia.

Tymczasem Felek zakręcił się po pomieszczeniu i wyciągnął z szafki butelkę samogonu.

– Swojej roboty, dostałem od kolegi z pracy. Jest naprawdę dobry i sprawdzony.

Mlasnął na potwierdzenie i rozstawił trzy kieliszki.

– A Małgosia z wami nie przyszła?

– Nie ma jej, pojechała z całą klasą na wycieczkę do Torunia – wyjaśniła córka, sięgając po plasterek leberki, którą matka zdążyła postawić już na stole. – Taki wyjazd dobrze jej zrobi.

– Pewnie! – przyznała babcia. – Jak wróci, bardzo się ucieszy, zawsze chciała mieć młodszą siostrzyczkę.

– Chyba że będzie braciszek – wtrącił się Felek, mrugając łobuzersko w stronę zięcia.

– Co będzie, to będzie, ważne, żeby urodziło się zdrowe – skwitował z uśmiechem Zbyszek. – To za zdrowie tego maleństwa! – dodał i uniósł w górę kieliszek.

– Za zdrowie! – dołączyli się pozostali i stuknęli radośnie szkłem.

Stefania wstała i ruszyła do kuchni przygotować coś na zakąskę. Weronika chciała jej pomóc, ale mama zaprotestowała.

– Siedź, dziecko, i odpoczywaj. To żaden problem pokroić pętko kiełbasy – stwierdziła.

Tymczasem chciała choć przez chwilę zostać sama, zrobiło jej się trochę lżej, chwilowa radość odepchnęła na dalszy plan inne troski. „Chociaż jednym się układa” – pomyślała, mimo że ciężar ostatnich przeżyć robił swoje. Gniótł ją w piersiach aż do bólu. Po ostatnich odwiedzinach w Warszawie i rozmowie z synową długo nie mogła do siebie dojść. To mąż wytłumaczył jej, że na pewne sprawy nie ma się wpływu, że trzeba czasem pozwolić im toczyć się po swojemu.

– Nie martw się. Pojadą i wrócą. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Poza tym... nie sądzę, że Antek na to pójdzie.

Nieco ją uspokoił, choć będąc jeszcze tam, na działce w Lipowie, zdecydowała się na rozmowę z synem.

– Ostatnio kiepsko wyglądasz, Lolek. Czy coś się dzieje? – Udała, że nie wie o żadnych problemach.

Ściągnął brwi, zaplótł palce obu dłoni, widziała, jak jego broda zadrżała zdradziecko.

– Sam nie wiem, mamo. Pogubiłem się.

– Kiedyś mówiłeś mi o wszystkim – rzuciła z lekkim wyrzutem. – Możesz mi przecież zaufać.

Antek podniósł oczy i omiótł ją tkliwym spojrzeniem. Wciąż się jednak nie odzywał, ważąc intensywnie myśli. Dopiero po chwili zaczął z siebie wyrzucać słowa. Cały potok gorzkiej prawdy. Właściwie potwierdził to wszystko, o czym już wiedziała, teraz już była pewna, że żadne z nich nie kłamało.

– Alina wie o tym?

Przytaknął, nie patrząc jej w oczy.

– I co zamierzasz w takim razie zrobić?

– Zakończyć to wszystko – mruknął, a potem dodał głucho: – Alina chce stąd wyjechać. Coraz bardziej się upiera.

– A ty?

– Ja nie chcę! – warknął w odpowiedzi. – Nie mam najmniejszego zamiaru!

Stefania oderwała myśli od wspomnień, skończyła kroić pętko kielbasy i kiszzonego ogórka. Uszykowała pajdy chleba, a masło nałożyła na mały talerzyk. Postawiła wszystko na zielonej, metalowej tacy z obrazkiem dorodnej kiści winogrona.

– Szczęście zawsze na pstrym koniu jeździ – podsumowała cicho, rozciągnęła usta w uśmiechu i ruszyła ponownie do pokoju.

Rozdział 44

Złota polska jesień osiemdziesiątego szóstego miała się już ku końcowi. Dni, choć nadal słoneczne, stawały się coraz chłodniejsze. Zwłaszcza rano i późnym popołudniem, wtedy temperatury spadały poniżej dziesięciu stopni, a nawet dochodziły do zera. Świt witał już szronem, który nasuwał myśli o zbliżającej się zimie. Pozbawione liści drzewa zgrzytały ponuro, trąc łyse gałęzie jedna o drugą przy podmuchach silniejszego wiatru.

Siedzieli na kamiennym tarasie na tyłach restauracji, przy metalowym stoliku, na którym stała napoczęta butelka brandy. Tylko tutaj mogli swobodnie porozmawiać, nie obawiając się trzeciej pary uszu. Obaj ciepło ubrani, z mocno zaczerwienionymi policzkami, wspominali ostatnie spotkanie w Lipowie, kiedy nagle rozmowa przeszła na inny tor.

– Wybacz, stary, ale nie będę mógł ci już pomóc – oświadczył nagle generał strapionym głosem. – Robiłem do tej pory, co mogłem...

– Wiem... – przyznał Antoni, wciskając szyję w ramiona. – I tak dużo dla mnie zrobiłeś. Więcej niż było można.

– Komuś zależy, aby cię udupić. Dopatrzyli się, że byłeś kiedyś na terenie RFN-u...

– Przecież to jakiś absurd. – Ostrowski się uniósł. – Byłem tam z matką, miałem z piętnaście lat. Ona pojechała odwiedzić tego Niemca, który uratował jej życie w czasie wojny.

Zenon przytaknął z rezygnacją.

– Wiem, że to bzdura, tylko co im zrobisz? Ten kraj składa się z samych bzdur i absurdów.

Antoni ponownie napełnił pękate kieliszki.

– Przecież nikogo nie okradłem, do jasnej cholery, staram się wszystko prowadzić jak należy. Płacę podatki co do grosika.

– Im nie chodzi o podatki. Ten skurwiel ciągle na ciebie donosi, więc zaczęli się bardziej interesować i drażnić. Gdybym mógł go jakoś strącić, to bym to zrobił, ale gnój ma kogoś na wyższym szczeblu. Wiedzą nawet, że mąż twojej matki był internowany, a więc uznany za szkodliwy element. Ktoś, kto działa na szkodę naszego kraju, uznawany jest za wroga, a skoro jesteście rodziną, to sam wiesz... – Westchnął bezradnie.

– Jasna cholera! – zaklął Ostrowski, zaciskając palce na szkle butelki. – Nawet to wywlekli?

– Musisz się mieć na baczności. Będą grzebać dalej, aż wreszcie coś wygrzebią. A jak nie wygrzebią, to i tak coś znajdą.

– Niech grzebią! – rzucił buńczucznie – Nie mam nic na sumieniu. Haruję jak wół od świtu do nocy. Nigdy niczego nie ukradłem!

Generał upił łyk, odstawił z brzękiem kieliszek.

– Ja to wiem, ty to wiesz, ale oni? Dwa lata temu wykończyli Popiełuszkę. Po co? Komu przeszkadzał ksiądz, który się modlił i przemawiał do ludu? Jego msze gromadziły tłumy, naród go kochał... a propagandziści reżimu Jaruzelskiego nazywali je seansami nienawiści.

– Naród nigdy nie zapomni i nigdy tego nie wybaczy – sarknął Antoni w odpowiedzi. – Ktoś ich kiedyś za to rozliczy, zapewniam cię.

– Też tak myślę – przytaknął ponuro generał. – Kwestia czasu.

– Poza tym... Ja do polityki się nie wtrącam – mruknął, a Zenek tylko z ubolewaniem pokiwał głową. – Wiesz, co wymyśliła Alina? – dodał, nie zmieniając tonu głosu.

– Co takiego?

– Zaproponowała, abyśmy pozbyli się tutaj wszystkiego i wyjechali do Kanady. Ma tam rodzinę.

– I co ty na to? – Podniósł brwi, zerkając na niego z ciekawością.

– Powiedziałem, że nigdy w życiu. Nie wyobrażam sobie tego.

General zagryzł wargi i chwilę nic nie mówił. Jego twarz stężała od natłoku myśli.

– Wiesz co? – odezwał się wreszcie po dłuższej chwili. – A może ona ma rację?

– No, nie! Jesteś z nią w zмовie czy co? – Ostrowski się zaperzył.

Jego rozmówca poruszył się na krześle, spojrział mu badawczo w oczy i oznajmił dobitnie:

– Na twoim miejscu poważnie bym to rozważył. Serio, stary. Ja nie żartuję. To wcale nie jest głupi pomysł. Przeczekacie tam zły czas i wróćcie, jak wszystko się uspokoi. Może przyjdzie nowa władza i będzie lepiej, kto to wie... – zachnął się. – Tylko że... jest jeden problem. Do Kanady nie jest łatwo się stąd wydostać. Zwłaszcza z całą rodziną. Nikt wam na to nie pozwoli.

Antek zamarł na chwilę, jego plecy znów przeszły zimno.

– Wiem, dowiedziałem się już co nieco. To jest bardziej skomplikowane, niż sądziłem. Najpierw musimy pojechać do zachodnich Niemiec i dopiero stamtąd starać się o wizy. A po drodze uruchomić całą masę kontaktów. Bez znajomości i łapówek nic się w tym kraju nie da zrobić.

– Ano nie – przytaknął przyjaciel, zerkając na niego spod krzaczastych brwi.

Ponownie napełnił kieliszki, spoglądając z rezygnacją na pustą butelkę.

– Zaraz wrócę, pójdę do toalety – odezwał się po chwili Zenon i wstał, tracąc na moment równowagę. Przytrzymał się krzesła i pochylił, z trudem usiłując ściągnąć w dół nogawki spodni. Potem wyprostował się i ruszył przed siebie nieco chwiejnym krokiem. Antek tymczasem położył łokcie na blacie zimnego stolika, ciężką głowę oparł na jednym ręku i spoglądał pustym wzrokiem w głąb ogrodu, gdzie łyse, kiwające się drzewa potęgowały poczucie bezradności. Zimny wiatr z jękiem wślizgnął mu się za kołnierz, powodując falę nieprzyjemnych dreszczy.

– Mam coś jeszcze podać, szefie?

Niespodziewanie pojawiła się na tarasie postać Marzeny. Pochyliła się z tacą, chcąc wymienić szkło. Ta wysoka, szczupła, czarnooka piękność od jakiegoś czasu stała się jego żarliwą pocieszycielką. To z nią spędził kilka nocy, jeszcze wtedy kiedy Alina z dziećmi przebywała na wsi.

– Dziękuję, wszystko mam – bąknął, podnosząc wzrok. Nie było jednak w jego oczach tego błysku co zawsze, kiedy na nią spoglądał.

– Zobaczymy się później? – szepnęła konspiracyjnie. – Stęskniłam się bardzo za swoim chłopczykiem...

Wygiął wargi w coś na kształt uśmiechu.

– Dzisiaj nie, nie dam rady.

– A jutro? – Nie poddawała się.

– Jutro też nie.

– Antek, co się dzieje? Jesteś jakiś nieobecny, zmieniony! – oświadczyła z wyrzutem.

Odwrócił wzrok, chcąc uniknąć jej natarczywego spojrzenia.

– Owszem... – mruknął. – Nic już nie jest takie jak dawniej. I nie będzie, moja droga.

– O czym ty mówisz, do cholery? – wybuchła.

– Nie możemy się już więcej spotykać. To koniec. Wybacz.

– Ale jak to? Powtarzałeś, że jestem twoim ukochanym okruszkiem. Zapomniałeś?

– Wybacz – powtórzył, podnosząc kieliszek z pliską. – Ale nigdy nie ukrywałem, że mam żonę i dzieci. Nie zostawię swojej żony, bo za bardzo ją kocham. Wiedziałaś o tym od początku.

– Drań! – syknęła mściwie.

Jej śliczną buzię zalała natychmiast fala wściekłości, chciała coś jeszcze dodać, ale na szczęście wrócił generał. Zrobiła więc gwałtowny obrót i gniewnie stukając obcasami, wycofała się do kuchni.

– Te kobiety kiedyś cię zgubią! – zauważył, nie kryjąc ironii. – Nie masz jeszcze dość?

– Mam – odparł Ostrowski, spoglądając wymownie w twarz towarzysza. – Właśnie jej to powiedziałem.

Zenon mruknął z zadowoleniem, podniósł napełniony do połowy kieliszek i stuknął nim szkło przyjaciela.

– Brawo, chłopie! Nareszcie usłyszałem coś rozsądnego. Wypijmy za to!

Tym razem wylądowali w Grubej Kaśce. Ten samoobsługowy bar szczycił się najlepszą w całej stolicy fasolką po bretońsku. Mieli sentyment do tego miejsca, został z czasów kiedy obaj wspólnie mieszkali w hotelu robotniczym. Przychodzili tu najczęściej w soboty, kiedy Antek miał wolne od pracy i zdążył w związku z tym porządnie zgłodnieć. Zamówili jeszcze po dwa piwa i usiedli pod ścianą, w najbardziej zacisznym kącie, choć generalnie przez lokal przewijały się tłumy ludzi.

Ostrowski nie był dziś głodny, za to Rysiek pochłonał swoją porcję w mig, wytarł chlebem dno talerza i poszedł po dokładkę. Wrócił tym razem z kotлетem mielonym z ubitymi ziemniakami i zasmażanymi buraczkami.

– Ale ty masz spust! – zauważył kolega sarkastycznym tonem.

– Od rana nie miałem nic w pysku. Nie było czasu zjeść, robota i robota... – odparł Gil, niezrażony uwagą przyjaciela.

– Jedz, jedz! – Zaśmiał się, patrząc jak tuż obok sadowi się kobieta o obfitych kształtach, z dwójką tłuściutkich dzieciaków. Ściągnęła z głowy chustkę, zdjęła płaszcz, który przewiesiła na oparciu krzesła. Jej pociechy, nie czekając na matkę, rzuciły się tymczasem na porcję parującego kapuśniaku.

– Co im się tak przyglądasz? – spytał Rysiek, podnosząc głowę znad talerza. – Znasz ich?

– Nie, skąd... Tak po prostu. Przypomniałem sobie swój pierwszy kapuśniak – sarknął. – Był obrzydliwy!

– Jak to mówią? Pierwsze śliwki robaczywki. – Zaśmiał się. – Najważniejsze, to iść do przodu i nie poddawać się.

– Właśnie – przytaknął chmurnie Antoni i sięgnął do kieszeni. – Jednak poddaję się. Dzięki, stary, ale mam już dość. – Położył przed nim klucz do garsoniery.

Tamten tylko łypnął na niego okiem, zgarnął go zamaszystym ruchem i wrzucił do skórzanej teczki.

– Posprzątałem po ostatnim razie, kanarki też nakarmiłem...

– Wiem, wiem... byłem tam wczoraj.

– No co ty? Ty też?

Rychu machnął z rezygnacją ręką.

– Tego nie było w planach. – Uśmiechnął się krzywo i otarł brudne od bu-raczków wargi. – Taki jednorazowy występ.

– Ja już z tym kończę. Obiecałem sobie, że już więcej tego nie zrobię.

Rychu uniósł brwi i przyglądał się kumpłowi z zainteresowaniem.

– Poza tym... Zmiana planów.

– Czyli?

Zapadła cisza. Antek dalej przyglądał się kobiecie jedzącej bigos z wyjątkowym zaangażowaniem. Miała utłuszczoną brodę, którą co chwila ocierała barową serwetką. Potem tą samą chusteczką, śliniąc ją wcześniej, wycierała twarze swoich pociech.

Kolega szturchnął go, okazując zniecierpliwienie.

Antoni drgnął jak rażony prądem.

– Pamiętaj, że wszystko, co teraz powiem, zostanie między nami. Słowo?

– Słowo! – odparł Rychu, waląc się w pierś. – Zresztą, po co to pytanie? – dodał lekko obruszony.

– Przeprowadziłem z Aliną długą rozmowę i podjęliśmy ostatecznie decyzję. Wyjeżdżamy stąd.

Rysiek zakrztusił się i niemal nie wypluł cząstki kotleta na blat stołu.

– Dokąd?

– Docelowo do Kanady.

– Ty serio tak?

Spuścił głowę i wzruszył bezradnie ramionami.

– Niestety...

– A co z mieszkaniem, działką, restauracją? – Nie krył zaskoczenia. – Zostawicie to tak, po prostu?

Antek upił łyk piwa, wytarł wargi i zaczął mówić.

– Działkę przepisujemy na teścia, znajomy chce wziąć mieszkanie, zameldujemy go, przeliczyliśmy mniej więcej równowartość, którą przekaże nam pod stołem. – Sarknął głośno. – Przydział przepisze sobie później, ma ciotkę w spółdzielni, więc wie, jak to zrobić... Na samochód znaleźliśmy kupca za całkiem niezłą sumkę. Restaurację przejmie mój kierownik... – wyliczał powoli. – Już od dawna ostrzył sobie na nią zęby. Ustaliliśmy, że zapłaci mi odstępne, całkiem niemałe, więc na początek nam to wystarczy. Poza tym sporo odłożyłem przez ten czas. Muszę tylko poprosić Bolka, żeby mi to wszystko zamienił na dolary i marki.

– A po co ci marki? – wtrącił Rychu, który słuchał tych rewelacji, spoglądając na niego spod uniesionych brwi.

Antek rozejrzał się uważnie na boki, potem dodał ściszym głosem:

– Nie możemy bezpośrednio stąd do Kanady, najpierw musimy do Niemiec. Tam nas przyjmą na tak zwany pobyt tolerowany i dopiero stamtąd... Rozumiesz? Pojedziemy jako turystyczni, rozdzielimy się, najpierw Alina z dziećmi, a potem ja. Mam na terenie RFN kumpla. Wiesz, jego starzy podpisali kiedyś volkslistę, przeszli na drugą stronę mocy. Mieszka tam od wielu lat, też prowadzi restaurację. Poznałem go jeszcze wtedy, kiedy pracowałem w Grand Hotelu u teścia. Wypiłem z nim niejedną butelkę, przegadałem niejedną noc. Opowiadał mi często, jak to Polacy sobie radzą i przyjeżdżają na pochodzenie. Śmiano się wówczas, że aby zdobyć papiery, wystarczy mieć w rodzinie owczarka niemieckiego – skończył rozba-
wiony.

– Nie wierzę! – jęknął Rysiek, odsuwając talerz z niedojedzonym kotletem. Chwycił kufel i przechylił go zachłannie.

– Obiecał, że przyjedzie po Alinę i dzieci. Jak się tam dostanę następnego dnia samolotem. Wszystkie te ruchy to masa znajomości. Bez nich nie mielibyśmy szans. Trzeba opłacić kogo się da, aby stąd wyjechać.

Rychu pokręcił głową z niedowierzaniem. Na chwilę odjęło mu mowę.

– Nie chcemy pozbywać się wszystkiego, żebyśmy mieli kiedyś do czego wrócić.

– Ale nie da się jakoś inaczej? – zapytał. – Po co aż tak drastycznie?

– Też tak na początku myślałem, ale nawet generał poparł ten pomysł. – Zniżył głos. – Skurczybyki depczą mi po piętach. Zaczynają coraz bardziej grzebać w przeszłości. Niby wszystko jest w porządku, ale wiesz, że z nimi nigdy nie wiadomo. Uparli się, zawzięli na mnie. Wciąż tylko kontrole, wezwania na przesłuchania i najścia w domu. Musiałem gdzieś ukryć wszystkie pieniądze. Myślę, że ty też miałbyś dość. A do tego jeszcze te głupie baby. Dzwonią i dzwonią, aby uprzykrzyć nam życie. – Westchnął ciężko, podrapał się po brodzie. – Myślę, że za tym stoi Danka. Nie może mi wybaczyć tego, że zwolniłem ją z pracy i zerwałem z nią wszelkie kontakty. Alina zaczyna wariować, te telefony ją kiedyś wykończą.

– Faktycznie – mruknął Gil. – Nieciekawie to wszystko wygląda.

Antek rozejrzał się z żalem po barze.

– Będzie mi tego wszystkiego brakowało, oj, będzie.

– Wcale ci się nie dziwię – przytaknął kolega. – Tutaj jest, jak jest, ale to nasz kraj, nasza ojczyzna. A tam... wszystko obce, nowe, nieznane.

– Daj spokój! – bąknął Ostrowski. – Mam nadzieję, że to tylko na jakiś czas. A potem wrócimy tu i jeszcze nieraz napijemy się wódki – zawołał z zapalem, głosem przepełnionym nadzieją.

– Oby – dodał tamten smutno.

– Tylko pamiętaj, Rysiek, to wszystko zostaje między nami. Nikt nie może się dowiedzieć. Staramy się, aby o tych planach wiedziało jak najmniej osób.

– To przecież jasne! – obruszył się kumpel. – Masz u mnie jak w banku!

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości – oświadczył Antoni, klepiąc kolegę po ramieniu.

Pierwszy śnieg oblepił cienkie gałązki brzoź, koronę dębu i pokrył grubą warstwą przerośnięty trawnik, na którym pojawiły się ślady psich łap i dziewczęcych nóżek. Okna domku były już zasłonięte drewnianymi okiennicami, z tarasu zniknęły meble i sprzęty. Smutno było patrzeć na pusty, pozbawiony życia teren, który jeszcze nie tak dawno tętnił przepelnionymi radością głosami. W pamięci miał jeszcze obraz buchającego snopem iskier ogniska, piekącego się na ruszcie barana, rozbawionego towarzystwa korzystającego z uroków tego miejsca. Przypomnił sobie nagle te wszystkie ciepłe noce, kiedy baraszkował z żoną w łóżku, podczas kiedy dziewczynki dawno już spały na górze, te wszystkie wspólne śniadania na tarasie i kawy tuż po wschodzie słońca. Spacer, zakupy w miejscowym sklepie, rozmowy z mieszkańcami wioski, wyprawy do lasu... Jak cholernie było mu żal. Byli tacy szczęśliwi, spełnieni, zakochani...

Objął ramieniem Alinę, która nie mogąc powstrzymać łez, wyciągnęła chusteczkę z kieszeni kożucha. Wyszli z domku, zostawiając w nim wszystkie drogie im sercu przedmioty, potem Antek wyjął pęk kluczy i pozamykał zamki. Trzymając się poręczy, stąpając ostrożnie, ruszyli w dół oblodzonych schodów.

– Wrócimy tu jeszcze, prawda? – spytała głucho.

– Pewnie, że tak.

– Pozamykałeś wszystko?

Mruknął twierdząco w odpowiedzi.

Za siatką, w odległości kilkunastu metrów stały dwie sarenki i przyglądały im się czujnie.

Julka dysząc, do kolan ubrudzona w śniegu, podbiegła do nich i chwyciła ojca za rękę. Przytulił ją do siebie i poprawił grubą wełnianą czapkę, która

zsunęła jej się z głowy.

– Tatusiu, czy tam, dokąd jedziemy, też będą sarny?

– Oczywiście, że będą. Sarny, jelenie, dziki, niedźwiedzie... Tam jest pełno pięknych lasów i jezior...

– I będziemy się kąpać latem?

– Będziemy – odparł zduszonym głosem i urwał. Miał ochotę się teraz rozplakać, ale tylko przełknął głośno ślinę i bezwiednie zacisnął palce na ubranej w rękawiczkę rączce córki.

– A czy będę mogła powiedzieć w szkole, dokąd jedziemy?

– Lepiej nie – wtrąciła się mama.

– Nawet swojej przyjaciółce Basi?

Popatrzyli po sobie, robiąc wymowne miny. Antoni pochylił się i pocałował zmarznięty nosek Julki.

– Powiedz Basi, że na razie jedziemy odwiedzić serdecznego wujka, który mieszka w Niemczech. Jak wrócimy, to będziesz miała jej o czym opowiadać.

– A kiedy wrócimy? – drążyła starsza córka.

Młodsza tymczasem wraz z Maksym właśnie tarzała się w śniegu. Pies obskakiwał ją dookoła, podczas kiedy ona leżąc na plecach wymachiwała nogami i ramionami. Alina, widząc, to skierowała kroki w ich stronę. Podniosła Tośkę mimo jej protestów, próbując ją otrzepać.

– Kiedy wrócimy? – powtórzyła Julka, szarpiąc ojca za rękę.

– Niedługo, skarbie, niedługo... – mruknął czule do jej ucha, wyprostował plecy i z palącym sercem żalem potoczył wzrokiem po okolicy.

„Jak tu pięknie!” – westchnął w myślach. „Jak tu cholernie pięknie!”

Rozdział 45

Święta Bożego Narodzenia spędzili w Łodzi na Piotrkowskiej. Była choinka, kolorowe bombki, sianko, opłatek i wigilijna kolacja. Nie zabrakło na stole karpia, pierogów z kapustą i grzybami, czerwonego barszczu i zupy grzybowej. Był też śledź, makiełki i pachnący cynamonem i goździkami piernik. Każdy znalazł coś dla siebie. Dalsza część wieczoru przebiegła w ciepłej, rodzinnej atmosferze przy kolędowaniu, otwieraniu prezentów i wspomnianiu tych, którzy już odeszli. Weronika zdążyła już urodzić zdrowego, ślicznego chłopca, któremu dali na imię Filip. Wyglądała na bardzo szczęśliwą i zakochaną w mężu, oczywiście z wzajemnością, co dla Antoniego okazało się miłą niespodzianką. Jednocześnie sprawiło mu to ogromną radość, cieszył się, że zostawia ją w dobrych rękach. Jego mama z Felkiem nadal stanowili zgraną parę i nic nie wskazywało na to, że miałyby się coś zmienić. Z drugiej strony, zaniepokoił go wygląd ojczyma, zmierniał w ostatnim czasie, choć zostawił to spostrzeżenie tylko dla siebie. Przez chwilę dopadły Antka nawet wyrzuty sumienia. Jak mógł zataić przed matką tak ważną sprawę? Wiedział jednak, że bezpieczeństwo rodziny na pierwszym miejscu, nieraz przecież słyszał o przypadkach nękania przez służby. Generał go uprzedzał, dyskrecja przede wszystkim. Wprawdzie przebąkiwał kiedyś o takiej ewentualności, ale wtedy jeszcze nie było to nic pewnego. Teraz kiedy ten pomysł stał się faktem, wszystko przybrało inny wymiar.

Julka nie odstępowała na krok Małgosi, która jako starsza siostra miała całkiem niebanalne pomysły na zabawę. Tośka im tylko przeszkadzała, ale dzięki temu wciąż coś się działo.

Następnego dnia odwiedzili ojca i jego żonę. Tam też wszystko odbyło się po staremu, czyli bardzo nijako. W przeciwieństwie do dbałości jego mamy o każdy detal – tutaj stół wyglądał wręcz niechlujnie. Bajeczka znów się nie popisała, podając mętny rosół i zimne, przypalone kartofle. Kurak był niedopieczony, ciasto miało zakalec. Zjedli, wymienili się podarunkami, podziękowali za przyjęcie i poszli, nie zdradzając nic o swoich planach. Wrócili do Warszawy po kilku dniach.

Pierwszy raz od wielu lat nie czuł tego ciężaru związanego z odpowiedzialnością za udane przyjęcie. Bal sylwestrowy, za każdym razem przysparzał mu stresów, obowiązków, podnosił wielokrotnie ciśnienie, nie wspominając już o totalnym przemęczeniu. Udekorowanie sali, przygotowanie ogromnej ilości dań, kontrola nad pełną organizacją i sztabem pracujących u niego ludzi – wpływały bardzo często na jego zmienne nastroje, podniesiony poziom adrenaliny, a także nerwów, które najczęściej wyładowywał na najbliższych. Przyjemnie się patrzyło na bawiących, wyluzowanych gości, piękne, wyszukane stroje, twarze znane większości z okienka telewizora, ale to wszystko okupione było wyczerpującą, czasami ponad siły pracą. Oczywiście, po każdym udanym przedsięwzięciu przychodził moment rozluźnienia, na który czekał z utęsknieniem.

Tego roku po raz pierwszy nie musiał o tym myśleć. Mało tego, poczuł nawet swoistą ulgę, wiedząc, że ta cała organizacyjna zabawa spadnie na barki Marcina. Do tego dawny kierownik błagał go o pomoc. Odmówił. Nie chciał tam być, mając świadomość, że jest już kimś spoza rewiru. Wolał odciąć przeszłość grubą kreską i skupić się na teraźniejszości, ale przede wszystkim na rodzinie.

Tym sposobem sylwester spędzili u Ryśka, który zaprosił wspólnych znajomych do swojego domu. Dzieci podrzucili dziadkom, a sami oddali się szalonej zabawie. Alkohol lał się strumieniami, była muzyka, tańce, słowem – ogólna wesołość. W zasadzie bawił się cały blok, o północy zeszli się sąsiedzi ze wszystkich pięter, wzniesiono toasty, posypały się żarliwe, gorące życzenia. Nie pamiętał, kiedy tak dobrze się bawił, choć oboje z Alinką mieli świadomość, że to ich ostatni wspólny sylwester. Poza teściem, Ryś-

kiem i generałem, który jeszcze zaangażował się w załatwienie paszportów dla dziewczynek, nikt nie znał ich dalszych planów. Bawili się tak, jakby nic się nie stało, witając ten nowy rok z entuzjazmem i wiarą, że wszystko, co najlepsze, dopiero przed nimi.

Podeszła do okna. Nie miała pojęcia, jak Antoniemu udało się przekonać Romana Bielickiego, aby przyjechał po nie z samych zachodnich Niemiec. Od wielu lat mieszkał w Kolonii, czyli po drugiej stronie berlińskiego muru, gdzie panowała zupełnie inna rzeczywistość. Jego ojciec był Polakiem, matka Niemką, dołączył do rodziców w końcu lat sześćdziesiątych, wykorzystując pochodzenie. Porzucił siermiężną, zacofaną ojczyznę, w której nie widział żadnych perspektyw na rozwój. W Kolonii wraz z ojcem prowadził z sukcesem kultową restaurację Kraków, która stała się miejscem dialogu wielu kultur. To właśnie ten człowiek uświadomił im, ilu Polaków przybyło w ostatnich latach do Niemiec, usiłując wyrwać się z pogłębiającej się w kryzysie gospodarczym Polsce. Do tego zryw solidarnościowy, a także stan wojenny nasiliły falę emigracji. Niektórzy zaangażowani w walkę z systemem, prześladowani w kraju, właśnie tam odnajdywali schronienie. Nie otrzymywali wprawdzie statusu uchodźcy, ale byli tolerowani (*geduldet*).

Roman Bielicki pomógł już niejednej osobie usiłującej wydostać się z komunistycznego reżimu, co nie należało do łatwych zadań. Zaplanowali, że Alina z dziewczynkami wyjedzie najpierw, a Antoni, który wykupił bilet na samolot, dołączy do nich następnego dnia.

Samochód, wypakowany po sam sufit, stał już przed blokiem, prowiant na drogę był przygotowany, wystarczyło tylko zamknąć drzwi do mieszkania, oddać klucze nowemu nabywcy i ruszyć przed siebie. Dobrze, że umówili się ze znajomym, który przejął mieszkanie, że mogą zostać w nim do końca tego miesiąca. Zostawili mu wszystko, łącznie z pełnym wyposażeniem, czyli meblami, sprzętami domowego użytku, zastawą, garnkami, firanami. Zabrali jedynie przedmioty osobiste, ubrania, pościel, ulubione

książki, magnetofon, kasety, a także uwielbianą przez Alinę kolekcję z fabryki Włocławek. Mąż ironizował, że tam, dokąd jadą, na pewno takich rzeczy nie brakuje, ale ona zignorowała jego przytyki. Zapakowała naczynia do kartonu, owijając każdy fajans osobno w gazetę, a następnie zaniósła do bagażnika.

Nawet Wioli nie pisnęła słowa, tylko poinformowała ją, że wyjeżdżają w celach turystycznych. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia, ufała sąsiadce, jednakże Antoni zakazał mówienia o tym komukolwiek. Matka też nie wiedziała, choć tym Alina martwiła się najmniej.

Dziewczynki szykowały się do drogi, obie siedziały do połowy ubrane w swoim pokoju, kłócąc się, która ma nieść plecak, a która misia, co było nieco zabawne. Miały świadomość, że czeka je zmiana, ale nie miały pojęcia jak wielka. „Całe szczęście” – skonkludowała w myślach. Maks leżał na swoim posłaniu, podnosząc co chwila uszy i nasłuchując kroków na klatce schodowej.

Westchnęła ciężko, spoglądając na spakowane walizki, omiatając wzrokiem znajome ściany i kąty. Coś się bezpowrotnie kończyło, coś zaczynało. „Po starym przychodzi nowe, jak świat światem” – podsumowała z nadzieją.

Kolejny dzień wstawał rześko, ciągnąc za sobą płachty rzadniejącej mgły, z której raz po raz wyłaniały się kontury mijanych budynków. Słońce przebijało się przez chmury, oświetlając coraz odważniej biegnące w dal, zabielone łąki, błyszczące żrenice okolicznych stawów, prostokąty zieleniejących się pól, a także szpaler drzew strzegących pobocza. Asfaltowa droga wiła się przed nimi czarną wstęgą, pokonywali kolejne zakręty, mijali mosty, górki, kapliczki, małe i większe miejscowości. Coraz bardziej oddalali się od miejsca, które do niedawna nazywała domem, zostawiając za sobą korowód dobrych i złych dni oplecionych w smutki i radości. Od czasu do czasu zerknęła na Romana – mężczyznę po czterdziestce, postawnego, dobrze ubranego, który podśpiewując pod nosem w rytm muzyki płynącej

z magnetofonu, usiłując prawdopodobnie ukryć w ten sposób zdenerwowanie, prowadził samochód. Czasem rzucił jakiś żart, czasem o coś zapytał, choć rozmowa generalnie się nie kleiła. Srebrne audi toczyło się łagodnie po asfaltowej nawierzchni, pomrukując cicho warkotem silnika. Tymczasem im bardziej się oddalali, tym większe ogarniały ją wątpliwości, bo przecież tam, dokąd zmierzali, nie było jeszcze nic poza złudną nadzieją na spokojne, szczęśliwe życie.

Na płycie imponującego lotniska w Bonn widziała olbrzymie samoloty szykujące się do startu, a także te, które dopiero co wylądowały. Tłum podróżujących cisnął się w różne strony, jedni odprawiali bagaże, inni już szli w stronę bramek, a jeszcze inni buszowali po eleganckich, pachnących perfumami znanych światowych marek sklepach. Znajdowali się na ogromnej, przeszklonej hali, gdzie na świetlnych tablicach co rusz wyskakiwały informacje o kolejnych lotach. Dziewczynki i Maks zostali tymczasem pod opieką Helgi, żony Romana, sympatycznej, nawet ładnej kobiety, która niewiele mówiła po polsku. Na szczęście w ich telewizji było ponad trzydzieści kanałów, w tym bajki dla dzieci, między innymi o Kaczorze Donaldzie i Myszce Miki, co na ten moment okazało się zbawieniem. Dom Bielickich był duży, piętrowy, wybudowany solidnie z klinkierowej cegły, okolony niewielkim ogrodem. Dzielnica, w której mieszkali, sprawiała wrażenie bardzo zadbanej, czystej, wręcz uroczej. Zdążyły już się odświeżyć i zjeść coś gorącego, a także rozłożyć rzeczy w jednym pokoju, który otrzymały do dyspozycji.

Przejazd przez jedną i drugą granicę to niekończące się godziny niepewności, napięcia i grozy. Istne apogeum strachu. Kontrole wopistów przyprowadziły ją o trwogę i ciarki na plecach, a potem jeszcze celnicy, którzy mierzyli ich świdrującym wzrokiem, prześwietlali na wylot, zabierali paszporty i znikali na długi, pełen nerwowego wyczekiwania czas. Dziewczynki się denerwowały, Tośka płakała, Julka narzekała na bóle brzucha. Im również udzielił się ten podły, wydawałoby się niemający końca nastrój.

Alina nie pozbyła się lęku. O ile jej i córkom udało się już wydostać, o tyle wypuszczenie męża z Polski nie było takie oczywiste. Z każdą mijającą minutą jej zdenerwowanie się zwiększało.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. – Bielicki trącił ją w ramię, kiedy biała jak ściana spoglądała z przerażeniem na przesuwane się co chwila ruchome drzwi, gdzie co najmniej kilka minut temu powinna pojawić się sylwetka jej ukochanego.

– Musi jeszcze poczekać na bagaż, to chwilę trwa. Potem sprawdzają paszporty, ale przecież wszystko jest w papierach w porządku.

– Oby... – bąknęła niepewnie. Czarne scenariusze przesuwały jej się przed oczami, wyobraźnia pracowała na wysokich obrotach, widziała, jak go legitymują, zatrzymują, a potem wsadzają do więzienia. Niekończące się przesłuchania... Nie, tylko nie to! Do końca nie było przecież pewności, czy ich plan się powiedzie. „A może zatrzymała go jakaś zdzira?” – wkradło jej się do głowy niepostrzeżenie, co jeszcze bardziej zabolęło. Boże, co by w takim razie zrobiła bez Antoniego? Przecież to nie miałoby żadnego sensu. Uświadomiła sobie teraz, że przecież to ona była sprawczynią tych wszystkich wydarzeń, dlatego nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby coś poszło nie tak. Zacisnęła pięści z bezradności, zamknęła oczy. „Policzę do dziesięciu” – pomyślała. „To pomoże”.

Podróżujący trącali ją co chwila, chcąc przejść dalej, szczekali coś po niemiecku, Roman tymczasem wyszedł na papierosa.

– Osiem, dziewięć, dziesięć – dokończyła, podniosła głowę i otworzyła oczy.

Stał kilka metrów przed nią, w szarym płaszczu w jodełkę, wełnianym szaliku, który własnoręcznie wykonała i podarowała mu na urodziny, ze skórzaną walizką w ręku. Na widok Aliny zatrzymał się w pół kroku, uniósł nieznacznie ramię, a na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

Podziękowania

Dziękuję całemu zespołowi Skarpy Warszawskiej za przemiłą współpracę, wyrozumiałość i życzliwość przy tworzeniu drugiej już książki.

Dziękuję bibliotekarzom i recenzentom oraz całej Blogosferze – a w szczególności Agnieszce Kaniuk (Kocie czytanie), Madzi Zimnej (Czytamy, bo kochamy), Monice Winciorek (Dziennikarz z pasji), Natalii Kapeli (Natalove czytanie), Renacie Przybysz (Diabeł poleca) i agencji Autorzy Książek w Obiektywie – za ogromny wkład włożony w promowanie polskiej literatury, za poświęcony czas, energię i niezwykłą pasję.

Dziękuję moim wspomniałym administratorkom grupy „Książkowe Mole Anny Stryjewskiej”: Ewelince Góreckiej (Ewelkowe Czytanie) i Ewelince Kwiatkowskiej-Tabaczyńskiej (Zaczytana Ewelka). Za to wszystko, co robicie, za niesamowite pomysły, towarzyszenie mi w tej internetowej przestrzeni i za wsparcie. Ponadto dziękuję Ewelince Kwiatkowskiej-Tabaczyńskiej za założenie tej grupy, liczne projekty, akcje promujące moje książki, spotkania autorskie, długie rozmowy i przede wszystkim – za przyjaźń.

Dziękuję pani Marii Hertel za interesujące opowieści o pracy w SPATIF-ie, które stały się dla mnie inspiracją do napisania wielu scen w powieści.

Dziękuję Kasi Dzięgielewskiej za radość, optymizm i siłę. Wiele można się od Ciebie, Kasiu, nauczyć.

Dziękuję Blance Heublein za tę historię, za to wszystko, co się wydarzyło przedtem i potem.

Dziękuję moim najbliższym, dzieciom, Jarkowi i siostrze Iwonie, za obecność, motywację do działania i wyrozumiałość, kiedy staję się nie do zniesienia.

Dziękuję, drogi Czytelniku, za to, że sięgasz po moje powieści i wracasz po kolejne. Ogromne to dla mnie wyróżnienie. Do spotkania przy kolejnym tomie!